

Dola i niedola

EWALDA KROLLA



POLAK Z WYBORU SERCA. ŚLAZAK.

Wspomnienia autobiograficzne, opowiadania,
relacje, korespondencja kombatantka, zapiski
dotyczące spraw, których pamięć winna nie
zaginać.

WSTĘP – WPROWADZENIE

Do spisania tejże autobiografii skłoniła mnie chęć przekazania (a mam nadzieję licznym) wnukom i prawnukom obrazu przeszłości życia w licznej wiejskiej rodzinie, w której wzrastałem, jak kształtowała się moja osobowość, która na pewno miała duży wpływ na moje zachowania. Żyłem długo w czasach burzliwych, gdzie na pewno byłem nie tylko przedmiotem, ale i podmiotem historii.

Lata dzieciństwa postaram się przedstawić w języku serca, zachowując fonetykę miejsca urodzenia, tj. Kośmidrów – w moich czasach zadupia powiatu lublinieckiego.

W dalszej części tak, jak wzrastała moja świadomość, tak i narracja będzie odpowiadać wzrastającej wiedzy. Tak, jak ją widzi starzec 84-letni po burzliwym życiu, które przeżyłem w subiektywnym odczuciu ucziwie. Nie pragnąłem zaszczytów i wyróżnień, choć mnie nie miały. Posiadanie nie było moim celem, pieniądze mi nie były potrzebne, ale dla rodziny potrafiłem je zarobić – myślę, że zawsze ucziwie.

Do czasów minionej wojny tak jako Orle w Strzelcach, czy przymusowy „lancer” Wehrmachtu, czy partyzant AK lub żołnierz II armii odrodzonego Wojska Polskiego, jak i PPS-iak, a z konieczności PZPR-owiec. Pracownik techniczny – robot śląski, co chodził zawsze z robotą do domu. Stykałem się z wieloma ludźmi. Ludźmi wielkimi w ocenie obiektywnej i wielkimi draniami, pysznymi i skromnymi. Zawsze optowałem za skromnością, strzegąc honoru w gradacji z domu mi danej. Wszędzie, gdzie los mnie rzucił, zostawiałem kawałek mego serca – tak we Francji, tak i w Wilnie i poznanej mi Wileńszczyźnie. Litwie głębokiej (Kowno – Ponamunas) i dzisiejszej Ukrainie – Bieszczadach, w Cieszanowie, w Lublinie, Ziemi Szczecińskiej - w Gryficach, gdzie skończyłem moją wędrówkę wojenną – żołnierz-tułacz pod pożyczonym nazwiskiem Bolesław Habrowski.

Jako cywil osadnik pokochałem Wrocław i Dolny Śląsk – Lwówek Śląski, Legnicę, Jelenią Górę wszędzie, gdzie odbudowywałem zabytki budownictwa. Szczególnie Wrocław, gdzie się ujawniłem – gdzie dano mi wykształcenie, a przede wszystkim, gdzie spotkałem miłość mojego życia – Anusię Marię Michalską.

Czas II wojny światowej postaram się odtworzyć tak, jak w czasie jej trwania ją przeżywałem jako szeregowy, Gefrajter, a na końcu sierżant – postaram się usunąć te mniemania ludzi niechętnych, nie znających faktów, osądzających i lepiej wiedzących, i tych jednodniowych bohaterów, co tą potworną wojnę wszechczasów wygrali.

Od autora

Piastów, dnia 9.III. 2006 r.

Ewald Kroll

Życiorys

Urodziłem się 1.IX.1922 w Kośmidrach, pow. lubliniecki - Górny Śląsk, z ojca Józefa i matki Anny z d. Śmiałek. Ojciec był kupcem, a matka córką młynarza z Krepy, k. Góry Św. Anny. Publiczną Katolicką Szkołę Powszechną ukończyłem w Kośmidrach, a dalsze nauki pobierałem w Lublińcu. Na wojnę 1939 roku wyruszyłem jako członek Związku Strzelca, posiadając II stopień przysposobienia wojskowego. Pierwszy dzień wojny zaliczyłem przy 74 Górnos Śląskim Pułku Piechoty, gdzie w nocy z 2 na 3 września naszą grupę Strzelca oficerowie przepędzili jako małodatów polecając ewakuację na Warszawę. Do Warszawy bardzo szybko doszliśmy, bo w 5 dni. W Warszawie przeżyłem oblężenie, zapoznałem się z głodem i potwornościami wojny. Po kapitulacji Warszawy wróciłem do domu, do rodzinnej wsi, gdzie okupant przy pomocy rodzimych renegatów szerzył terror, musieliśmy się byli Strzelcy, Orleńscy dziennie meldować u Bürgarmeistra. Z naszych szeregów czterech rozstrzelano, paru aresztowano.

Aby uniknąć represji, z bratem moim (również Strzelcem) wyjechaliśmy na ochotnika do Niemiec na roboty. Brat starszy uratował się 3 lata przed Wehrmachtem, a ja jako młodociany uzyskałem urlop. Gdy spędzałem urlop, była tak zwana stawka, na którą musiałem się zgłosić. Z robót w Niemczech mnie zwolniono, zatrudniono w przemyśle zbrojeniowym z dobrodziejstwem przydziału do wojska. Jak tylko skończyłem 19 lat – wcielili do wojska i powlekli najpierw do Francji, gdzie w tak zwanej marsz kompanii przeszedłem skrócony kurs rekrucki. Z Francji przerzucili mnie do Rosji, gdzie spędziłem dwie zimy i jedno lato w piekle na ziemi. Zaliczyłem przyczółek mostowy Kiriszy na rzece Wołhow, oblężenie Leningradu na historycznym wzgórzu Sinawinio. Dosłużyłem się stopnia Gefreitra, odznaki trzech krotnego ranienia oraz krzyża żelaznego II klasy. Języka niemieckiego nie zdążyłem opanować, bo zawsze byliśmy nie w komplecie i wszelkie warty wykonywałem w pojedynkę, w ciągłej obronie, czasem w ataku, a przede wszystkim w kontrataku, a tam używano wrzasków: naprzód, padnij, skok i szybko ładuj, ognia, ognia i ten ogień do dziś po nocach mi się śni. Czasami dukając przeczytałem coś w niemieckiej prasie, a wychowany w teorii dwóch wrogów myślałem, że choć z wrogiem, ale osłabiam drugiego. Dopiero przy odwróceniu od Leningradu do Rygi, cały czas w pobliżu Nachodzie

przekonałem się jak umieją niemieccy faszyci (nie tylko) mordować cywilów albo dobijać rannych, palić wioski, wywozić nie swoją własność, zrozumiałem i wołałem pozostać „polską świnia”, nie chciałem zostać niemieckim zbrodniarzem wojennym.

Wstydzę się swojej głupoty, że za bandytę Hitlera, którego ogłupiały naród niemiecki za Führera sobie obrał, krew przelewałem (własną i cudzą), a zrozumiawszy starałem się wszelkimi dostępnymi mi środkami i osobistym udziałem doprowadzić do upadku faszyzmu. Jako ranny znalazłem się w Wilnie w szpitalu, który mieścił się w gmachu gimnazjum Zygmunta Augusta. Udało mi się nawiązać kontakt (niełatwy) z ludźmi Garnizonu Wileńskiego AK Wilno. Zostałem zaprzysiężony na ul. Kalwaryjskiej w mieszkaniu państwa Leszczyńskich. Zdaje mi się, że to było na ul. Kalwaryjskiej 17/18 w oficynie, a przysięgę odbierał inż. Wendeker. Zostałem skierowany do 7 Brygady „Wilhelma”. Komendant „Wilhelm” powierzył mi siódmą drużynę w III plutonie, którym dowodził plut. pchor. „Szczęsny”. Drużyną dowodziłem wykorzystując nabyte w Wehrmachcie wiadomości, przystosowanie i dobrą znajomość broni, a szczególnie karabinów maszynowych, gdyż na froncie byłem pierwszym strzelcem MG 38, 41, 15 i innych. Służbę pełniłem gorliwie, a zapałem górowałem nad innymi skutecznie, bo w oczach przełożonych i podkomendnych uzyskałem uznanie. Za akcję pod Wielkopolem udzielono mi pochwały, a za walki pod Chaźbiejewicami przedstawiono do Krzyża Walecznych. W tej walce doznałem osobistej satysfakcji, gdyż ja – Gefreiter z poszczerbionym, co prawda, plutonem - pokonałem frontową kompanię Officerfetreitra Gilberta, wchodzącą w skład 391 dywizji osłonowej Generalmajora von Montetona.

Po rozbrojeniu udało mi się zbiec z kolumny marszowej. W Instytucie Geologicznym w Wilnie przy ul. Mickiewicza pracowałem w zakonspirowanej komórce i tam pełniłem różne funkcje zlecone mi przez tego inżyniera, który mnie zaprzysięgał. Dowiedziałem się, że nazywa się Wendekier i jako inżynier prowadził badania geologiczne w terenie. W działalności komórki nie byłem wtajemniczony, a jako zdyscyplinowany konspirator nie chciałem wiedzieć. W terenie pozorowaliśmy wiercenia i często powierzano mi przeprowadzanie osób, dla których dostarczałem koperty (myślę, że to były dokumenty). Na przełomie 1943 i 44 roku w Instytucie były aresztowania, mnie powiadomiono, abym się tam nie zjawiał (zimą roboty ziemne poza miastem były wstrzymane). W tym czasie mieszkałem kątem u kolegi z partyzantki – plutonowego Strzały (Władysław Bryl), u państwa Hansenów, u państwa Leszczyńskich w mieszkaniu przy Kalwaryjskiej, u państwa Piekrzów i innych.

Po rozpadnięciu się komórki przy Instytucie, przez Związek tzw. Patriotów wyjechałem do Polski Centralnej, gdzie wstąpiłem pod przybranym nazwiskiem Bolesław

Hebrowski jako szeregowy do Armii Polskiej. W tak zwanym odrodzonym Wojsku Polskim walczyłem z ukraińskimi nacjonalistami. Po ranieniu i rozbiciu naszej grupy zostałem skierowany do 2-giej Oficerskiej Szkoły Piechoty, „gdzie nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Ktoś pisać musiał, więc zaraz przydzielono mi etat kancelisty. Ciągłe pilotowany, czułem nad sobą opiekę bardzo życzliwych ludzi, wyświadczałem im przysługi, igrając z informacją (ostrzegłem pełniącego obowiązki szefa batalionu, że jest poszukiwany, dostarczyłem Zawadzkiemu prawdziwych dokumentów na jego prawdziwe dane - Kazimierz Gulbinowicz). A kiedy mnie, a ściśle Karlika zaczęto szukać i siebie w ewidencji ulokowałem i jako takiego przygotowałem mu, czyli sobie, dokumenty demobilizacyjne, niestety, aby je dostosować do rozkazu demobilizacyjnego 0181, musiałem pewne dane personalne zmienić, w tym rocznik. Dopilnowałem, aby moje, w pliku innych przedkładanych dokumentów, zostały podpisane. Opuściłem miesiąc postoj, w tym wypadku Greifenberg. Głowę wyniosłem całą, ale drogo zapłaciłem za swoje lekkomyślne działanie – przez 5 lat ożenić się nie mogłem i zamieszkać w swoich ukochanych Kośmidrach – wmieszany w morze wielu, we Wrocławiu spędziłem lata najpiękniejsze, czekając na chwilę, kiedy mnie zdekonspirują. Jak rozwiązano UB, a Gomułka wyszedł z lamusa bez zbędnych ceregieli uzyskałem dokumenty na prawdziwe dane i do roku 1996 nigdzie nie pisałem, jak żegnałem się z mundurem.

To tyle, co do obrazu wojny. Myślę, że moje dalsze przypadki nie wchodzą w zakres organizacji kombatanckiej.

Ewald Kroll

25.X.1998 r.

DZIECIŃSTWO

Ten okres życia pozwoliłem sobie napisać w języku śląskim – nie gwara śląską! Tak, dla wielu Polaków pojęcie nie znane, zapomniana historia, język śląski to przecież autonomiczny język wspólnego pnia dla języka polskiego. Ze względów historycznych, odłączenia części rdzennej polski i poddania długoletniemu okresowi czechizacji i germanizacji właśnie tu, w izolacji od reszty kraju, wśród ludu zachował się w swej pierwotnej formie, w swej najbardziej archaicznej polszczyźnie. Proszę nie zapominać, że właśnie tu! – na Śląsku znajduje się największa liczba grobów piastowskich, rodu który stworzył podwaliny państwowości polskiej i utożsamiany jest z istotą polskości. Jest to fragment dedykowany głównie dla koneserów wiedzy i ludzi ciekawych swoich polskich korzeni, zainteresowanych wiedzą o rozwoju języka i oczywiście wiedzą o Śląsku.

Na zakończeniu tego rozdziału umieściłem krótki słowniczek własnego autorstwa, pozwalający zrozumieć tekst i używane określenia niewprawnemu czytelnikowi.

„Mamlök”

Urodziłem się 1-go września 1922r. w Kośmidrach jako 6-te dziecko (pierwsza siostrzyczka zmarła zaraz po urodzeniu – nie podobała jej się w Niemczech). Mnie też się nie podobało, ale mnie namówili: akuszerka Smylino – postraszyli, że jak nie wylyzam, to tu zarośki bandzie doktor i farosz – już są w drodze, to mnie jeszcze nie stykło – dopiero, jak padali, że już Polska została zawelowano, to w sobota po południu zech wyłoz. Łojciec mianował się Józef (godali na niego Jozek), a nosił nazwisko Kral, co po polsku pisze się Król, a po niemiecku Kroll. Mamulka miała miano Ana, a z domu pochodziła z rodu Śmiałków, młynorzy z Krampy co leży kole gary Świętej Anny. Moimi potkami byli: potek Dyrektor Poczty z Lublińca - KOCUR, kolega Łojca po fachu, bo mój Tata był kupiec, ale był też agent pocztowy. Potka moja to ciotka Francka z Łopola, co tradycyjnie większości moje rodziństwo to krztu trzymali. Urodził się na łązku w Kośmidrach, a łokrzycili go farosz Hachulski w Pawonkowie. Do księgi metrykalnej wpisał go mój Łojciec, co był wtedy zastępca urzędnika Stanu Cywilnego. Za darmo, bo Niemców powstancy wygonili, a Polacy jeszcze stempel marków nie wydali. Potem jakoś zech przestoł nosić chazula i zech już nie bajukoł, a umiał zech topek sam przynieść. Mama godała do ciotki Hyjdli, że Jązek (mój Tata) ma 10 fachów, a 11 – to biyda. Pomału mi się rosło, poznał zech trzy siostrzycki, wszystkie pyskate, zawsze się wadziły, fto mo mnie wozić w wozku. Ta najstarszo (Maryj na nią

wołali) była najgorszo, paplała "na starość się im dziecka zakciało". Roz jak zech bardzo becoł, ta najmundrzejszo mie z wążkiem przewaliła. Trzy siostry, a co jedno to dłuśkie włosy miała, a wiewa to przy tym cesania, zaplatania bąło. Do tego ło ślajfki się wadziały. Żadno nie dała się za te włosy potargać, chyba czasami ta najmłodszo, Truda jej było, ale to jyno wtedy, kiedy się groła, a jo zech bął za pupka i to tak długo, jak zech się nie papuloł. Mioł zech tys braciszka - Zefek na niego wołali – bął chory na serce, a bął taki dobry do mnie. Łon mi miano wybrał te nieszczęśliwe Ewald i łan mi zawsze przoł, a jo na łodwyrтка za najmilszego go mioł. Jak ciotki u ujka godali ze sobą o Zefku, to padali „to taki Jezusiek”.

Uczyli mnie wszyscy i wszystkiego, każdy wydła swojej moduły. Jeszcze mie chodzić nie nauczyli, ale już zech umiał żykać. Jeno fłóre mi te wymie wcisło, co dopiero na katyjnusku mi to farosz pedzioł, że należy się przeżegnać padając „W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”, a nie żadne tam wymie łojca i to dalej było w porządku. Musioł jo być cieluch, bo dyć nie pojmował, czemu to mam żykać: chleba naszego daj nam dzisiaj – bo jak jest nasz, to go mamy, lepiej prosić: żymyły abo bombony, abo kołoczek dej nam dzisiaj abo jutro. Ale te mądrzejsze mi wyłożyły, że trzeba każdy dzień żykać, żeby bął świeży. Jak zech już jako tako chodział, to Łoni, to znaczy moja Mama z Ciotką Hyjdląm zaprowadziały mie do Starki i Starzyka, co na siebie kazał godać Tacik. Starka wziona mie się na klin i piastowała, a jo to mioł bardzo rod. Jak długo żyli moja Starka, to jo tam bardzo rad chodział, choć Łoni nie byli moja własna Starka, bo Łoni byli macochom mojej Mamy. Moje mądre siostry godały, że jo tak tam ciągnam, bo Starka dawajom mi na apfelziny, ale to nie je prawda – jo rychtig zech za nic Łonych przoł i Starka, i Starzika tyż. Starzyk abo fajniej Staroszek to wielgachny młynorz i gospodarz. Łoni ze Starkom spłacił erbów, a co Łonym guldynów złotych łostało, to za to kupiyli młynarnia. Młynarnia to je sam młon i do tego dużo morgów ziemi. Ło tych rozrachowaniach to w doma ciangiem gadali. Bo to było tak, że w tym rodzie byli moje dzieci, twoje i nasze dzieci – inaczyj ujek matki mojej matki, a zaś inkszy ujek tyż ujek, ale od inkszego łojca mojej matki. Ja cieluch tego nie rozumioł, a każdego ujka łod Mamy strony zech rad mioł.

Prościej było z familiom łod Łojca strony: wszystkie ciotki i ujki byli prawdziwe, żadyn nie bął przyszywany. Za to jednym zech przoł, inkszych zech się boł, ale wszystki szanował, a każdego osobno czy razem musioł zech słuhać. Ujka Gustla zech się bał, ale ciotce Ruzali przoł. Ciotka Jadwia i ujek Jozef Rurainscy byli najbliżsi, umiłowani, familianty. Tam od najmłodszych lat do starości byłem jak w doma. Maj Tata, co go nosiło po Kośmidrach, u swojej siostry Jadwigi musioł być ciągiem. Mama podali, że Tata włączy zawsze jedno dziecko za utrzydupskiego, to bardzo rod z Tata chodział do Ciotki Jadwigi.

Dowiedział żech się przy tym jak u Staroska bywało. Tyn Starosek bał łod Łojca mojego i Ciotki Jadwigi Łojciec. Jo tego Staroska nie znoł, bo żech się za nieskoro urodzał, ale jo myśłoł, że tyn Starzyk zawczas umarli. A zdawo mi się, że by mi się przydoł, bo łon nic nie robiął, jeno lezoł na łązku, to by mi mógł bery prawić, bo w domu żaden nie moł dlo mnie casu.

U nas w doma Mama rzadziła, a miała twardo ranka. Wszyjscy musieli się Łonej suchać, jeno Tata się Łonej nie boł. Jeno z flyntom na gon lotoł i jeno jak kto kichnął, to razicki szoł pomagać – u uja Świerca „żadyn nie umioł tak ciś do štiftówki, co zboże młóciola, jeno Jozek”. Kiejby to jesce sam szoł, ale zaroz musioł ze sobą brać cało dzieciarnia: i tak Zefek z Trudą snopki z sąsieka podawać, Hyjdla abo Maryj za geplem konia poganiać, łod maszyny odgrabiać i w cholwosie plewy łodnośc. Ciotka Ema, ujek Paul wiązoł wielgachne snopy, ftórych nie koždy mał dźwignąć. Ale jak urosnął mój kuzyn Gerdzik, co to my się ślubowanie być komplami na całe życie, to wtedy Gerdzik – jedyny erb gospodarstwa – konia poganiał, a ja mu pomagał. To mi się łopłacało, bo po młaceniu Ciotka kawa z mlykiem bardzo słodko dowali, a chleba nie żalowała rubo masłym posmarowany i wandzonkom łobłożony. Niekiedy to mi się te młaczenie nieopłaciło, ale to jeno kiedy nas Pan Bąg skoroł za jedzenie kwaśniałów. Bywało tak – natargali my się niejrzałych jabkąw, wtore my łobijali ło dysiel. Łysek to je koń, się wystraszoł, szarpnął za mocno i dyszel łod gepla złomoł. Zarozicki ujek Świerc wyskoczał, Gerdzika przez kolano przełożył i tak mu kopląm rzić sproł – Gerdzik wrzeszczy, w niebie trzeszczy, a przyjaciel dozgonny w nogi – stanął za winklem od płota i ze strachu w galoty ciuląm. Ale Gerdzik wiy, że jo go nie łopuscam w potrzebie i tam za płotem pokazoł mi te dangi, jakie po biciu kopląm na rzici mioł. Co jo mioł robić, pochajoł żech go po głowie i powiedzioł żech mu, że łon jest dlo mnie jak Zefek, to jest jak maj brat rodzony. Na kafeja żech nie poszoł, a łod tego czasu ujka Świerca żech się bardziej bał niż ujka Gustla.

Dnia 7-go maja urodził mi się jeszcze jeden braciszek, na krzcie go nazwali Norbert Stanisław, a w doma go wołali Bebuś. Ten Bebuś to mnie od cycka odgryzł, ja - że nikomu niepotrzebny - wszyscy przeganiali z kąta do kąta. Wszytkim, co mieli robota, zawadzał żech. Łopisom jedyn, a może dwa dni ftoe dobrze pamietam, a było to jak były w lesie jagody. Do lasu z ciotką Hajdlom i Klemynską (Klemynse u nos mieszkali) poszły wszystkie dzieci. W domu jo łostoł, Mama z Bebusiem i starka łod Klemynsów, co się Niesmanka nazywała, i Fridą Klemynsową, Mama nakarmiyli Bebusia papinką, jo dostoł łostatki tych dobroci do pomaszkecy. Bebuś nakarmiony i przewinięty leży w moym wążku, co mi go zafantowali, a tu w jasny dzień takoś się zrobiol cicho, żadnyj pisconcyj myszy nie słyhać,

a a, a po tym naroz jak nie huknie, a pierony zacną bić, coś gruchoce, drzwi się same lotwierają cug taki a ziąb – gipsdeka mokro. Mama na kolana, kozom mi żykać – mam za Łonom padać to samo i tak bucoł ze strachu i powtarzał zech: „Łod łognia i śmierci i za umrzyków i za tych, co w lesie”, a tu wietrzysko takie, krupa z nieba się sypie, wiater rwie jakieś dechy. To wszystko połamane z tą krupą, papam, blachą, cegłami tańcuje, to trzasko, hucy. „O Jezusicku ratuj, bo giniemy” i w tym momencie jak ucion, tako cisza. Wszystko zamilkło, jeno mama, co to zawsze tako twardo bała zapłakali i mie na kolana se posiadziła, Bebusia wazyk za racka trzymo i padajom:

– Zawsze w nieszczęściu sama. Poziyrej – dach od chlywa na placu leży, o pompa się zahacął.

Wtedy Tata w drzwiach stanyli i padajom do Mamy:

- Raduj się, że żyjemy. Dzieci wszystkie żywe już ich widać na drewnianej ławie. Dach łod naszymy chałpy leży w łogrodku, a jakiś inkszy na wilykowym polu, w koleinach pełno karpików, zaroz się bierom za robota – ryby pozbierom, bendzie na łobiod.

Na drugi dzień braciszek Zefek się zy mnąm bawił: skokalimy po tym dachu, co leżoł na łodwyrka w łogrodku. Tako jedna deska sponowała, a jak się na niej rozhuštoł, to ciebie podciepnie do gary. Jak mnie tak podciepła, tak bosa noga na wielgachny gwążdź, ftory mi przeloz przez cało stopa w miejscu, co się podbicie nazywa. Nogi wyjąć nie umiałem, Zefek tyż nie umioł – poleciał po Taty, co montował dach na chlywie. Tata wzion ta noga i jak nie szarpnie, tak do dzisiaj w karku mnie zaboli na wspomnienie. Mama już tego nie wytrzymali. Jak do tego doszło, jo pedzieć nie umiam – przeca jo bał wtedy bajtel. Powiam jeno, że wywieźli mnie do ciotki Francki do Łopola. Jak jo tam długo bał, nie wiam i camu, jak zech nazot do domu się dostał, tak jo nie po naszymu godoć nie umioł jeno po miemiecku. Przeca u ciotki Francki po naszymu godali. Teraz już przestał jo być bajtel, a stoł zech się synek.

„Synek”

Jak zech nazod przyjechał z tego Łopola, to ja bał synek: robota w doma już mioł przyryktowano. Zefek mioł terazki krowy paś, a domie trewiąły gansi to kuli tego, że tego gansiora, co mie ciygiem po nogach (gołych) szczypoł witką sproł. Jak mu witkam z flidra przyfandzolał po dziubie, to tak uciekoł jeno kurz soł.

Mama padajom:

- Jak się gansi nie boisz, to bandziesz jy mag paś, dej pozar małe gąsiątka na rance jy nie bier, łóżyniesz kole szkoły, pocierz pożykosz, przyżyniesz jy nazod.

Witka żech se wzią, bo tyn gąsior jeno na mie sycy, tak mi pieron roboty zazdroścą. Fartka mama łotwarli, a gasi rade pokolbały się na trowa, a te malutkie gąsiątka rajko za starymi. Jo żykom „Wymia Łojca” – cały pocierz, witkom śmigom, witka tak fajnie gwizdo. Roz dwa już żech ganis: łogoniał kole szkoły i pod fortkąm wołam, aby mi Mama fartkąm łotwarli, bo jo żech się uwijoł i piyrzo robota zrobał. Jezusku ratuj! Dowiedziol żech się, żech je nojgorszy cieluch, gardzioly gansiąt prążne, zganione, jeno ziajajam. Żykanie źle łodżykane. Jakby tak Łonym za mnąm się nie cniło, toby mi rzić sprali. Kozali mie jeszcze roz to samo robić, a porządnie żykać, a ganisi witkąm ni gonić. Łod tego casu zawsze kożdo robota robia porządnie.

Rwetes – unos, wielki harmider Łojciec robiam: dwie ktilki do zamiyszkania každo po jzbie. Na gąrze pod samiuśkiem dachem. W jednej są dwa małe łokienka, a w drugiej jyno jedno. Najymników duzo. Roboty przy tyj nowyj Polsce się ruszały – banka budujam, lasy trzybia, cholec place robam, telefon sztangi strugajam, kopalniaki rychtuja, papierówtka na bieluško ze skory skrobiam. Wymyślili ta nowo skrobaczko na sztylisku. Za wszystko płacom nowymi pieniądzmi, co teraz już nie marki są, ale złote. Te papiyroki tyż są ze złota, ale iym nie wierza, bo co papior to papior.

Do naszego domu wkłudziski się nowe lokatory do tej jzdebki, co mo dwa okienka i komin idzie przez samiuśki poszczotek, Polińscy. Łoni wtedy śtyry dzieci mieli. Zaś do tyj drugiej jzby, co mo jedno łokienko, wkłudziyli się Jędrychowscy. U łonych bało trzy dziolchy. Dwie starsze mioły czorne włosy, a ta malutko takie fest jasne i lokate. Polińscy godali tak prawie po naszymu, a Jędrychowscy to godali tak inacyj, ale u nich mi się wszystko podobało. Mieli tako maszyna do szycio, co trzeba bało rakam krancić. Łod łanych dzieci na mama musiol żech godać „pani Jędrychowsko”, a nie żodne tam „łoni”. Ta najstarszo – nazywali fajnie - Cilka. Dyc nie moga pedzić cy mi się to miono podobało, cy ta dziolcha.

Jo teraz chodzam do łochrąki. Tam tys poznoł jo mojego kolegi – nazywo się Gynieki, a po łojcu Wołyński. Łon tak godo jak Cilka. A ta, co nos ucy, pado, że my mamy tak mówić, a nie godać, bo to je lepyj, bo to je rychtig po polsku. Jo się tak przyložął, że terazki w doma wszystkich poprawiam, nawet Mamam. Jeno że moja Mama mi padali:

- Ty cedziku, jo i tak lepiej po polsku potrafię i tych twoich Polusów potrafię poprawić. My tu godomy, bo to je nasza mowa serca, co nom nawet Wilus musiol respektować. Po naszymu w kościele i na katyjmušku godać żoden nom zabronić nie mo prawa. A ty się ucz, jak mosz przynoleżytek, bo fto przyjdzie miandy wrony, krako jako łony.

W tyj łochronce to my jeno się grali i porządku ucyli. Skubali my takie gałgani – wyciągali nici radkie i to nasza pani brała dlo ptoškaw – ptoki z tego gniozda robioly i to bała prowda,

bo jak my z Zefkiym łogładali chlistka jajca, to gniozdo bąło tymi naszymi kłakami wymoszczane. Tys my grali w „kołko graniaste, styrykanciaste”, abo tys „tu rączkę mam prawom, a tu lewom mam”. Cieluchy się mylili, ale jo ni – było tak: jak Mama byli łodwiedzić Starka we młynie, a to boło we zima, to u nos w kuchni stoł żelazniok na samym pośrodku – bął rozhajcowany do cierwoności. My się grali ciucubabka. Jak mi wypadło, a mie te łocy zawiązali, to po cimoku zech se cały nadgarstek lewy ranki łoparzał blank do żywego. Dugo miół wielki strup. Po tym strupia zech wiedziół ftoro rynka je lewo.

Jak Mama kaj pojechali, a w doma Łanych nie bąło, to jo zawsze cosik naszkądziół. Roz zech poszoł Zefkowi pomogać sieczka rznąć i zamiast snopka z drażków ściępnać, to z powrąsłym zech na klepisko spod. Bezma mie nieżywego do dom przynieśli, to Tata włosy z głowy wszystkie wytargoł. Z tymi włosoma to nie boła prowda, bo kiedy indziej Łoni nom prawili, że to bez Francuza, bo jak tego Francuza do niewoli wzią, to tyn Francuz berdyją Łojca za włosy chyciął, a Łojciec go w rzić ugryzli. Francuz się szarpnął, a włosy Taty mu w rankach łostały, a że tyn Francuz miół bardzo twardo rzić, to Tata se wszystkie zamby wyłomali. Jedni z wojny profit mająm a Tata to stracili na wojnie za Wilusia i zamby, i włosy. Dajj o tym moym niefarcie: jo bął jednak podciep, jyno głupoty mi po głowie łaziąły. Mama mi tego podciepa z głowy wyperswadowali i rogi mi na głowie nie wyrosły. Jednak coś mie musiało wodzić, bo to, co normalnie najgorsze abo ja zrobiał, abo mnie zrobyli. Zefek „Jezusek”, Bebuś „Aniołek”, a jo „Gizd”.

W nasz domu myszkali komornicy – każdo familijo miała dzieckaw pora. Wszyscy my się bawili, a wtedy grocków nie bąło wiela. Sami my spekulowali granie. W kupie – tako kupa dzieckaw robi wielki harmider. Malutki jesce mamloki nie mogły przez te wrzaski spać, to nasza hałastra wygoniali abo na plac szkolny (bo my mieszkali po sąmsiecku ze szkołam), abo na wilymowe łonki przez rzyka przepływała: taki błota połny krzypop. Latym to bąło pął biydy, gorzyj zimam – wielka to bąło nieszczęść „gule na gowie „potrzaskancaw”, „galoty „potargańców” abo tys mokre łachy „utopkaw””. Tyn pierszy stych jo bął piyszy we wszystkim. „Potrzaskaniec” „gula na guli”, „strzaskany na kwaśne japko”. Galoty: wszystkie knefle pourywane – to mi Tata patyntoki założyli – te się już nie urywały, jeno wrywały wielko dziura. Za „utopka” ciągiem zech bął, a jak zech się cały stopłoł, toch do dobryj ciotki Rozali szoł, a u nich na piekarnioku łachy wysuszał. Do dom za nieskoro przyszoł już łobiod bął zjedzony, dlo mnie nic nie łostało. Miół jo se chleba wianś i tustym posmarować. Zarozicki to zrobiał, a Mama rance w dzyżce trzymają, zacynek drobiām na piecynie chleba – rance łotarli i padają: dej tyn naż i podej tyn posmarowany gelnik. Jo winowaty jak trusia

podowam, a Łoni tym nożem majt: całe tuste zgarneli. Anich nie pisknął, bo jak wina, to i kara człowiekowi się należy.

Kiedy indziej – gromy się całam bandom w „boicie się czornego luda” przed sklepem, gdzie przyjechał z taką wielgachnom bekom w dwa konie zaprzężonam (te konie nie miały chomontów jeno szory). Spuszczu z tej beki petrolyj i tak się guzdru, a my nie możemy się grać. To u formana „interwencję” wnoszam, padom - Ruszocie się jak byk cielny. Musiał u Mamy poskarżyć – skarżypyta, bo Mama wypadli ze sklepu i za uszy mnie wiedzom. Myślał żech, że źić bandzie taś, taś! – woła, ale kaj tam gorzyj – nasypali tytkam grochu na podłoka, kazali mi na tym grochu klanknąć i pociyrz głośno żykać. Groch się spod kolan łodturłoł, ale jako gańba – cało izba babaw nieznamomych, a jo pomału a głośno żykom, a w gardle mi gulgoto jak chandykowi. Wina było, to i kara musiała być. Muszam jeszcze, że to kobyty pierze skubały, a jak bał doskubek to musioł jy wszystkie przeprosić i wyboczynia prosić, potym żech mag snitlik kołoca wziąć.

Zaś kiedy indziej my ze Zefkiem pošli za rzyka Tyjdusią łodwydzić. Kosytorze miyszkali kole Drzizgów. Nad sama rzykom mieli łogradek, a tam rosły fajne japka – połno ich na ziemi leżała pod jabłonkam, pełniutko – te japka nazywali się augustki. Japkaw musioł wachować starzyk Drzizga, ale my go nie widzieli. Tyjduś pado do Zefka:

- To są takie dobre japka jak miąd, ale jo tam bez płot nie lyza.

Zefek pado:

- Jo się tys bojam.

To zgodnijcie, fto poloz? Frajer Ewald. Za pazuch nazbieroł żech gane połniutko, a wyglondoł jak jeki elefant, a tu jak nie wrzasknąm starzyk łod Drzizgi i leci z kobyrum w rance. Jo w nogi, na płocie żech się łobiesiał, a łoni piera kań popadnie. Na noga kulam, rzić strzaskano, pora japków na pociecha łostało, ale to nic, bo w doma dopiero mie lanie czekało – wina była, to i kara bała. Pani w ochronce mówiła, że to jest kara chłosty, że polscy królewicze również jej podlegali. A jo se chlipiam po tym dyscyplinowaniu – Zefek – Jezusek mie napusiał, a jo żech dostoł. Teraz jak mi pani ochroniarka powiedziała o królewicach, to nie Zefek jest prawdziwy król, jeno jo, bo co za taki „kronpinc”, co żodnyj dyscypliny nie przesoł.

Mieli my w doma sonki takie żelazne, co jeno do siedzynia pora lajstków miały. Co te sonki wystoły, to jeno Pan Bağ wiedzom i trocha tys zimam te starsze, to je Hanek, Wilym i Zefek na placu kole pompy zrobili taki karyzol. W ta zamarżnyto zymia kał wbili jakiś tyszel, do niego te żelazne sonki, jaś szwagrad i jesse cośik. Pompam woda płapali, a że mrąz boł tyngi, to się ślizgowka tako fest zrobiała, że po woda do płompy żodno gospodyni jść nie

dała rady. Jak się za tyn dyśiel cisło, to te sonki jyno furgaly. Żodyn na sonki z tych karlusów nie chcioł się siednąć – jeno wražitko jo. Legnął zech się na szczuka, a karluse fyrlają, wszyscy wrzeszczą i wcale nie dowają pozor, że to jo becam. Tyn szwong, co się nazywo w fizyce „siła odśrodkowa”, je coraz wiynkszy, palece mi wyprostowało i jak mie ciepło ło ta ściana domu. Reszta zabął zech wszystko. Wiam jeno, jak Mama z dziółchoma łod ciotki z Łopolo przyjechali, to Łociec Mamie się skarżał, godali:

- Zawsze jak zostanie som w doma, mo zy mnom zgorszynie. Przyszol ze sklepu, bo już wszystkich łobedinowoł, a tu na łązku w poprzyk leży Ewald nieżywy. Dopiyro rwetes taki zrobiał, baby się zleciały, jak zaczęły cucić, tak Ewalda łociuciały.

Tak bało cicho, jak w kościele przed żykaniem. Dopiyro, jak na wieczar Zefek ściagnął, to się Tata dopytali, jak to bało. Ślojdrło mnie na ściana. Hanek Klymysnaw mie wziął na rąki, a jo nie dychom, zaniął do jzby i wszyscy uciekli. Mama Tatowi dziubka dali i padali:

- Przeca Jązek ty to zrozum. Dziółchy musiały mieć coś cieplejszego, mrozy ciężkie idam, a w Łopolu dużo toniej.

Jeszcze godoli, czy zielonki bardzo rewidowali, ale Mama padali, przeca dziółchy pojechały w starych łachach, a tych z grzbietów jem nie weznam, choć som blank nowe.

Zefek smarów nie dostol, ale jo za pokusa 2 tygodnie w łązku musiol leżeć. Nie narzykam, bo mi smažonka robiyli, a i jajco trzepane widołkam z cukrym mi dali abo bałkam z lyjberkam. Sprawiedliwość musi być.

Mrozy minaly, nikaj nie można się poklojzdać. Łazymy z Zefkiem po łokolicy – rzyka wodą się podniosła i reszta lodu popłanoło bezma do Malapany, a potym Łodram do Miemiec. Na samym końcu do morza, kaj je woda słono-gorzko – bo Zefek wszystko wiy. Na wylywiskach woda się straciła, a ład same tabulki potrzaskane. Jdzymy i ciagniemy te zielazne sąnki po tej ziemi, pod wieczar mraż chyto – pora do dom, zaroz bańdzie wieczera. Zefek pado, jyno jeszcze łobejrzym, co w glinioku je. Moglibymy się choć pora razy kiołznać, bo co my tak po prażnicy łazymy. Poślimy przez żelazno ława, Fyrlokowo fąrtka na Ruraskowe łonki i już stojemy przy glinioku. Jakoś tyn ład nie bardzo wyglądo – pado Zefek i biere te sąnki i ciepnał je na ład. Ład się nie połomoł, ale sąnki kiołzny się na drugi rant glinioka. Sąnki w doma sąm potrzebne, zostawić niepodobno. Zefek pado:

– Ty, Waldušku, jeżes leksy, dej pozar, pójdziesz?

Dlo Zefka wszystko i poszol zech – rozściagnięty jak bych jesce bajukoł. Ład pod mnąm się fajnie hušto, na łokoło przy ranta pyrsko. Już sąnki mąm, stanął zech, sanki wycylowol i myśloł gupi, że na szczupoka się kiołznam. Kaj tam. Tako przerymbłam zech nogami wyrąboł, aż do samego kraja. Sanków zech nie puściął. W tym nieszczęściu miol jo szczęście,

bo kaj mi się to trefiło, glina dopiero co zacyli kopać i wody pod tym lodem było poza kolana. Uradowany niesam sonki do Zefka, a tyn już becy. Mokre galoty, trzewiki, wszystko łód pasa na dął mokrućkie, a tu mrąż coraz wiankszy. Zefek mie goni, dech mi zapiero, galoty w jegły lodu się zamieniają i już nogi łobcierają. I tak my do krzyża do ciotki Rązali dolecieli. Ciotka galoty i cały przyłodziewek na piekarniok do suszynio, mie teju słodkiego dali. Zefek do dom. Co tam w doma nagodoł, to jo nie wiam, ale jak mie tam po cimoku Ernst łodwiąd, to Zefek bął po wieczery, a jo jak zawsze ... wina bąła, kara być musiała.

„Szkolorz”

Ida do szkoły sam, żodyn mi nie musi drąga pokozować. Szkoła znam bardzo dobrze, bo czansto bez zima ciotce Hyidli waniel pomogoł w wiadrach nosić. Ciotka bąła za sprzątacka we szkole, to my wszyscy ciotce pomogli, to roz dwa wszystko bąło zrobione.

Pierszo klasa, a w tyj pierwszyj klasie bąły dwa oddziały. Pani, to je Rektarka, co ja jam znoł, bo oni się stołowali u mojej Mamy, postadziła mnie w piyrszyj ławce na kraju. Do szkoły mnie rychtowały siostry, a ta Maryj dawała zawsze pozar na rańce – musiały być cyste, a za paznokcioma nic cornego – krátko łostrzyżone. Biały kraglik wypuszczony na jaka aksamitno-corno w białymi knefloma w dwie raje naszyte – jak jo tego ancuga nie mioł rod. Na lekcji to my musieli być cicho, jyno słuchać, co „Pani” mówiła, a łoni to je ta Rektarka zaraz z jegły zrobiola widły. Uczyli my się na elementarzu Jana Żebroka. Myśla, że musioł na tym elementarzu się tyn żebrak dorobić, choć kto tam wiy, kiedy mu te przezwisko zostało.

Najbardziej mi się w szkole podobały przerwy. Na przerwie zech się poznał nowych kolegaw. Jeden się nazywoł Tyjduś Maniurka, a mieszkoł na samyj granicy po polskiej stronie. Tata jego bął robsikiem, a tyż szmugłował. Łon mi na pamiątka naszej przyjaźni podarował łostka. Pokozoł mi, jak się te ryby na ta łostka chyto. Chytali my te ryby w Sotwinie. Jo tyś jedno szczuka galanto chyciał i zech do dom przyniąsł. Maj Tata podali, że tak rybą nie trza chytać, bo jak źle trafi, to borozka ryba bandzie bolało. Ale łostka bąła moja. Tata zezwolił, żebych mu dać klekotka, bo jak robsik pojdzie na gon w nagonce, to mu się przydo.

Tyjduś poszoł do domu. Rano na drugi dzień mi się pochwałął, że dostoł w doma smary. Mama myślała, że zaś poszoł na krótszo droga przez taki drąg, co na rzyce bął przeciugnięty. Mama go jednego miała, a łon miał dwie siostry. Padoł, że mu łogromnie w domu przajom. Te nasze gadki „Pani” się nie podobały i nam po uszach dali, a przeca my cichutko godali.

Jeszcze jednego kolegi zech mioł. Nazywoł się Serafin. Jon bął zawsze taki inkszy, na pauzach z żadnym się nie kamraciał, bo łon bął łód zawitki i nie mioł łojca. Mioł za to ujka,

co miał kołko z imerdeptacym. Tyn ujek mu bardzo przoł i zrobił mu w krzykopie, co kole jego domu szoł łopusta i takie koło z łopatkami. Jak się woda w krzykopie nazbierała, a było jej pod sam wyrch łopusty, to trza było stawidła dźwignąć, to ta woda na te łopatki podała i takie cosik tam było, co się byrna świyciała. Jo to wszystko mag se połogładać, bo ja z Tata, tam u tego ujka od Serafina zech był. Tyn maj kolego to łon miał łojca, ale w Miemcach i tyn Łojciec był jego własny i z tą zawitkam się w Miemcach łożynili. Jak się już pobrali, to łon – Serafin – musioł z mamą wykludzić się do Miemców. Jak łon wyjechać mioł to my se podali, że jak bandzie jako wojna Miemców z Polakoma, a my bandziemy musieli na niom iść, to do siebie nie bądzymy strzylać. Mioł mi pisać, jak się naucy pisać, ale abo w Miemcach go pisać nie nauczyli, abo mu zabronili. Nigdy zech go nie trefiał, a to był taki fajny kolega.

W tyj pierszyj klasie pisali my na tabulce rysikiem. Tabulka miała z jednyj strony linijki, a z drugiej strony kratki, do tabulki na szpagacie była przywiązana szmałka i „gąbka”. Pisalimy takie laski – po naszymu kryki – przez to jak fto niefajnie pisze, to się goda, że łon krykło.

W tyj pierszyj klasie mioł wiele rozmaitych fajności, ale czansto tyż niedobroci. Najprząd te fajne rozmaitości. Najbardziej mie się podobała gimnastyka, no i te przerwy abo jak tak fto woli – pauzy. Na pauzach sami my się gracki wymyślali i tak w myśliwca, co strzyło do gadziny abo ptaków, policjanta i złodziejów i inksze zaklepanki, wyliczanki, skokali chłopaki – było wesoło. Gimnastyka tyż mi dobrze szła: naprząd z podskokiem w rozkroku stań, abo na szerokość ramion w marszu stań, skłony tułowia i tam rozmaite rozkazy uczyły posłuszeństwa. Ale jak już mogliśmy w dwa ognie grać abo „idzie lis koło drogi, nie ma ręki, ani nogi”, abo „stary niedźwiedź mocno śpi” to było dużo, dużo radości i krzyku. Jeszcze my się uczyli śpiewać „Coś tam w lesie stuknęło, a to komar z dęba spadł, złamał sobie w krzyżu gnat” abo „Ojciec Wergiliusz uczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto czterdzieści troje.”

Teraz te gorsze, ale tyż potrzebne. Rachować umioł zech zawsze, bo Łojciec kupiec, to rachować w kolybce się nauczał, gorzyj z tym pisaniem. Inaczej słyszysz, inacyj napiszesz, jeszcze ta kaligrafio to pomału, a „Pani” pokaże, pierwsze literki ładnie w tabule narysuje – to ja fajnie przerysować umioł. Najgorzyj z tym czytaniem, a tam narysowano jegła z niciom, a ty musisz cytać „igła, nitka”, jeż – nić na rozum, wszystko wykuj – nic sposobem, wszystko na mus.

Już w piyrszyj klasie przekonałem się, że sprawiedliwości na tyj ziemi nie ma, a było to tak: Pani wychyliła się bardzo mocno przez łokno i godali z inkszym Rektorym, co ucał na

wyrchu, tak mocno się wychylała, że cało rzić bąło widać. Warzecha, co chodział do drugiego łoddziału, woło:

- Rektarce galoty widoć,
jo jeno dodał:

- Ja, rychtig, ale całe potargane.

Rektorka fik z łokna, już mnie za ucho ciągnie, za tabula i jak mie drzistnie w pysk, to tyn łep od tyj ściany, co bąła za tabuląm, się łodbioł. Mocno mnie zaboląło. Stoja za kara za tom tabulą, a gowa próżno, nic do nie dobrego wlyść nie może, jeno tom gowam w ta ściana trzaskom i bucom pod nosem cichutko, aby Rektarce nie sterować, bo oni zaś z tym Rektórym Früllichem dalej chichrali. Dzwonek zadzwonioł na wielko pauza, a jo piętoma po rzici i już zech je w doma. Mama prali. Jo wpadom z wielgachnym płacem do kuchni i padom:

- Rektarka mie sprali. Niech Mama patrzą jako gula mi na gowie wyrósła. Za prawda mnie pobili, bo łona rychtig galoty mają potargane.

Mama rance łod mydlin łotarli, mie za ręką i nazod do szkoły i zaroz do Rektarki podaje:

- Dziołcha tyś jesce za młodo, to ci powiem, dziecko po gowie się nie bija, do tego ma rzić.

A jak się to jeszcze roz powtąrzy, to jo drogom znam do Szulinspektora.

Wtedy Pani łopatrzała moja gowa. Gula bąła cało sino jak światlicka. Gowa mi łowiazali i do dom posłali. A ta niesprawiedliwość bez to, że wtedy bąła moda „Radio bubikop: Koło, a rzić goło”. Wtedy huncwoty śpiewały tako śpiewka: „Jechała pani koło dołka, fik mik koziołka, leżała ona, się wstydzi, że każdy widzi, że jej majty-srajty potargane sąm”.

Musiałem zrozumieć wiele, bo do czwartego oddziału przeleciał jak z bica strzelił. Koledzy się zmieniali, a niektóre, np. Geniek Wołyński, przetrwały wszelkie przypadki, również kuzyn mój – Ernest Ruraiński, z którym siedziałem w jednej ławce, przyjaźni dotrzymywał.

W życiu domowym awansowałem – pasąłem krowy, gęsiami zajmował się młodszy braciszek Bebuś. Siostry zawsze dobrze się uczyły, zawsze przynosiły świadectwa bardzo dobre. Zefek tyż dobrze się uczył, a ja normalnie, aż do czwartego oddziału.

Historia była moim ulubionym przedmiotem. Pasąc krowy miałem możliwość czytania. Korzystałem z bibliotek Straży Granicznej, Towarzystwa Czytelniczego i mało zasobnej – szkolnej. Najlepsze egzemplarze można było wypożyczyć u Państwa Lasończyków. Sienkiewicza „Trylogię” przeczytałem dwa razy i mogłem konkurować z Panem Jędrychowskim, który ją na pamięć znał (całe fragmenty opowiadał przy skubaniu pierza). Obronę Częstochowy szczególnie zapamiętałem, gdyż była związana z legendami o Lublińcu. Zaliczyłem „Przeora Kordeckiego” – autora już dziś nie pamiętam.

Dzisiaj profesorowie rzeczoznawcy w „Wielkiej Grze” lub „Jeden z dziesięciu” wygrywają konkursy, np. pytanie: „Jakie nosił imię Zagłoba?” zawsze wygrywa ten, co odpowiada „Onufry”, a przecież to nie odpowiada zapisowi w „Trylogii”. Tam wyraźnie napisano przy pierwszym spotkaniu Zagłoby ze Skrzetuskim, gdzie Zagłoba przedstawia się Skrzetuskiemu: „Jan Zagłoba herbu Wczele”, a dopiero w czasie buntu Chmielnickiego we fragmencie, gdy uprowadza Bohunowi narzeczoną Skrzetuskiego, gdy przebiera się za dziada, mówi do Halszki: „Mów mi Onufryj, to jest moje dziadowskie imię”. To dziadowskie imię w trzecim tomie „Pan Wołodyjowski” drugi raz jest wymienione, gdy do obozu wojennego przyjeżdża Zagłoba z Basią, żoną Małego Rycerza. Wita ich na bramie wjazdowej napis: „Niech żyje Onufry Zagłoba, wszelkiego stanu kawalerskiego ozdoba”. Pytanie jest źle sformułowane, bo gdyby brzmiało: „Jakie to imię dziadowskie przybrał Zagłoba?”, poprawna odpowiedź to: „Onufry”. Ale pytają o imię Zagłoby, a w tym wypadku właściwa odpowiedź to: „Jan Zagłoba herbu Wczele”. A z tego wniosek, że historia jest zawsze niesprawiedliwa¹!!!

Ten powyższy wywód jest potwierdzeniem tezy o niesprawiedliwej historii. Bo tu muszę się wyzalić wracając do czwartego oddziału, bo ten oddział musiałem powtarzać otrzymując z historii notę niedostatecznie, bo nauczyciel Szpytman nie wiedział, że ja znam historię.

„A jak się stało, opowiem”

Została zorganizowana wycieczka międzyszkolna na Jasną Górę. Na tę wycieczkę mogli zapisać się opiekunowie dzieci i tak zapisała się moja Mama z siostrą Marysią, no i ja. Jesteśmy na Jasnej Górze, przewodnik oprowadza wycieczkę liczną. Mama słabo słyszy, no i zapewne nie wszystkie słowa rozumiała, więc ja Mamie tłumaczę dosyć głośno. Niektóre fragmenty omawiam szerzej i bardziej szczegółowo. Jakiś nauczyciel ze szkoły z Solarni przysłuchuje mi się z wałów do skarbcza. Zagaduje do mnie i zaczyna mnie przepytawać z historii i to nie tylko z obrony Jasnej Góry, ale i o całe panowanie króla Jana Kazimierza, ale i o Bitwę Grunwaldzką, jako inne, skacze po całym programie. Potem przedstawia się mojej Mamie i siostrze, że jest kierownikiem szkoły z Solarni – gratuluje Mamie takiego syna, który tak dobrze się uczy, na pewno z historii ma same bardzo dobre. Mama przecząco: a gdzie tam. Za historię siedzi drugi rok, bo pan Szpytman dał mu niedostatecznie.

Panowie nauczyciele między sobą:

- Panie kolego, jak tak można? Ten uczeń ma przedmiot opanowany perfektem i to dużo poza

¹ „Ogniem i mieczem” tom I, str. 22 „Jan Zagłoba herbu Wczele”, tamżesz, lecz str. 251 „Będziesz mnie waćpanna za rękę prowadzić, a zwij mnie Onurrij, bo takowe jest moje dziadowskie imię”.

zakres obowiązany wytycznymi do programu,

a nasz nauczyciel:

- Ja nie wiedziałem, że on historię umie – ale jego ojciec czyta niemieckie gazety.

Historia jest zawsze subiektywna.

„Chodzą na katechizmus”

W szkole nauczyli nas Biblii, a szczególnie historyjek ze „Starego Testamentu”. Aby świadomie przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej, musieliśmy chodzić do parafii w Pawonkowie. Droga prowadziła w połowie lasem, a za lasem były już pawonkowskie pola, a pod samą górą pawonkowską był tak zwany wygwizdówek. Katechizmus uczył nas farosz, ks. Florek. Katechizmus to jest książeczka do nauki katechizmu. Była napisana po polsku, lecz farosz uczył po naszymu, czyli więcej w mowie serca. Zaś wszystkie cytaty z książki musieliśmy na pamięć recytować. Rodzice przywiązywali bardzo duże zainteresowanie do postępów w nauce katechizmu i często przepytawali z danego tematu. Uczyliśmy się po południu, chodząc ścieżką kościelną, która prowadziła na skróty przez kośmiderskie pola, kawałek po tym Ptokowy i Webrowy las, mijało się Ptokowe i łód Kaplicki na Żyda i już głajze, i jeszcze kawałek pawonkowskiego lasu, feldsiojna Von Tera, jego pola, wygwizdówek, górka – na górze Bański po lewej stronie, po prawej sklepy za piekarnią i Łostrowskiego szlachthaus, na lewo odchodzi droga na zadupie, na rogu dom kapidoła, a naprzeciwko Kierchów. Przy płocie Kierchowa remiza i tu staro szkoła, a tam po schodkach izba, kaj uczą nas na porządnych ludzi. Przed szkołą plompa. Za szkołą fara i kościół z patronką św. Katarzyną w łótorzu głównym. Przed kościołem łukrant karczma Łostrowskiego i masarnia też Łostrowskiego. Zaraz tu się kończy pawonkowska droga, która nas wyprowadza w daleki świat na lewo do Dobrodzienia, a na prawo do Lublińca.

Pawonkowanie to byli w większości wolorze (bo robili w majątku Von Tera, a tam były woły). Kośmidroki to były dziki, co w lesie mieszkali, robsikowali i dziki jedli, bo świń nie mieli czym wykормić.

Dzisiaj istnieją fanki i bijbole, a za mojej młodości również walczone. A jak Tata opowiada, za Jego lat było to samo. Toczyliśmy prawdziwe bitwy, a zaczynały się tak: wolorz chodzi na katechizmus w pontoflach (drewniakach). Kośmidrok do niego:

- Chcesz mieć po francusku?

Odpowiada, że chce. Tu mróz siarczysty we uszy szczypie, a ten mądrała kośmiderski dzik poucza:

- Musisz język położyć na ta plompa, trocha potrzymać i odstawić głowa.

Język mokry przymarzył do żelaznej obudowy pompy i już wolorz bełkoce – wszyscy chichotają, a wolorz za trepy z wściekłości wali kogo popadnie. Wolorze swojemu na pomoc, a kośmiderska dzicz do lasu. W lesie to ich dom, a glejze mają podbudowa z kamieni. Tu przy torach „reduta Ordon”, a strzelać kazano. Wolorze odparci – uciekają wygwizdani na swój wygwizdówek.

Bez larma w parafii się nie obyło, para wolorzów z łowianymi gowami chadziła. Farosz nam reprimynda na katyjmusku zrobiał, rektary w szkole chcieli dopaść prowodyra, ale u nos Judasza Iskarioty nie było, a tak łod nauki języka francuskiego się zaczęło.

Starsze karluse to na muzykach sztachetami się tukli, ale łoni to dziady. A w Kośmidrach dziółchy były najfajniejsze i żadyn dziad czy wolorz nam jych nie bądzie brał.

Katyjmus zaliczyłem, do Piyrszej komunii Świętej zostałem dopuszczony, a w domu rwetes – przeca nowy ancug spaczyć, boso iść nie pasuje. W doma rada familijno zebrała się truiwirad to je Łojciec, co zawsze się na wszystko gadział, co Mamulka postanowiła, ale ta Najstarsza miała głos decydujący. Na krawiectwie się znała, bo praktyka w Lublińcu odbyła, nawet uczyła szyć inksze dziółchy. Postanowili żadnych Łojca ancugów przesywać nie bądzie. Krawiec męski jest niepotrzebny, bo tyn Ewald jest jeszcze dziecko, a dzieci obszywajom krawcowe. Łona już gadała Maryi z Ruraińskową (łona tys szyć umioła) – Ernst Ruraiński i jo bandziemy mieć marynarskie ancugi: krótkie golotki, a reszta ślajfki, woniacka z merty, gromnica jak wszyscy. Ujek Świyrć doł brycka (do odrobienia w polu abo przy młócyniu). Z łobiadym to mama se do rada, bo je dyplomowano kucharka.

Potym ustalili lista gości, a że mój potek „Kocur” w świecie się stracił, to prosili z Festrowni sekretarza Bąka. Mie się ło nic nie pytali. To było moje święto, ale ja nie miał nic do powiedzenia. Musiała to być przypowiednia na całe moje życie, zawsze o mojej dali inni decydowali abo Hitler, Stalin, Berling, Żymirski, Bierut, Gomułka, a na końcu Moja Umiłowana Żona, co zech u Niej pod pantoflem siedział. Ale ś.p. Małżonka wyprowadziła mnie na człowieka, przy wielu przeciwnościach losu zdobyłem zawód, który dał nam godnie przeżyć te burzliwe czasy.

d.c. bądzie

Karlus

SŁOWNICZEK:

Miymiec – Niemiec z za miedzy mynieć
dużo byda;
choć by – chociaż, choćby z głodu mrzyć,
aby w Polsce być;
wieprzki – agrest;
jagódki – porzeczki (jagódki);
liboski – śliwki;
pieczorki – gruszki suszone;
torki – tarnina;
gniątki – gruszki ulegałki;
papucie – buty ciepłe do chodzenia po
mieszkaniu;
lacki – j.w., lecz zwyczajne, klapki;
papuć - duży rak;
wielgachny – bardzo duży;
flider – bez - lilak;
kłósek – kłos;
winkiel – kąt prosty, narzędzie;
śmiga – kąt przestawny, narzędzie;
cwinga – ścisk, narzędzie;
flama – płomień;
zgniąły – leniwy;
kopciuch – fajka;
pulok – do siusiania; (penis)
gichnąć – wylać gwałtownie;
bzim – modrzew;
śnupt tabaka – tabaka do wążania;
presówka – oselka tytoniu prasowana.
Należało ją kroić i zwijać w bibułki i taki
papieros nazywał się skręt;
pimper – pieniądz wycofany z obiegu
służący do zabawy dzieci – gra w pimpry;

prątki – zapalki w czasie bezrobocia
grypem dzielono je na dwa, a czasem na 4
części;
scypki – drzazgi z drzewa smolnego na
podpałkę (scypki – podpałka);
wionek – wianek;
wandzić – wędzić;
regurator - zegar ścienny wg jego czasu
reguluje się zegarki inne;
piernat – materac;
sowizdzał – dziwak;
potka i potek – rodzice chrzestni;
ćwiekra – matka pana młodego;
kosiorze – żeńcy;
kramf – skurcz;
kramty – padaczka - choroba;
ubieraczka – co za kosiarzem zboże
podbiera i wiąże w snopki;
powrąsło – słomiane wiązadło;
pokos spędzany – tam i w nawrocie
jedyń kosiorz;
pokos zwyczajny – kosiarze w jednym
kierunku – więcej niżeli jeden;
ślak go trefiał – zawał;
zły duch go wodzął – błądzenie
przeważnie po pijanemu, gdy nie mógł
trafić do domu;
muterka – nakrętka;
klekotka – kołatka (np. wielkopostna, gdy
zamilkną dzwony);
rajfka – obręcz do toczenia – rodzaj
zabawy dla dzieci;

minca – pimper wyższego nominału, w rozliczeniach: jedna minca = dziesięć pimprów;
szpona – miara rozstawu palców kciuka i wskazującego stosowana w grze w pimpry;
pikuty – gra kozikiem;
kozik – nóż składany bez sprężyny;
bronik – ząb żelazny w bronie drewnianej;
chałpka – mały domek;
brzeziniok – laszek brzozowy;
dambina – laszek dębowy;
łorzechy leskie – orzech leszczynowy, laskowy;
wandrować – wędrować;
włócy kij – turysta;
pątnik – uczestnik pielgrzymki;
drażki – droga krzyżowa;
łobiad – obiad;
wieczera – kolacja;
śniadać – spożywać śniadanie;
łaz – młodniak zaraz po nasadzeniu, chodzić do łazu – pracować przy młodniaku;
bor – znacznik, którym wykonuje się otwór do sadzonki;
higiel – narzucona ziemia piaszczysta na podmokły grunt, aby się mogła ukorzenieć młoda rozsada, na takim higlu sadi się świerki;
chrobak – robak;
sztyl – stylisko;
gore – pali się;
klehce – w garnku wre woda;
becy – płacze maluch (koza mucus);

bal – piłka do zabawy;
wertować – przeglądać;
wert – wartość – to jest dużo wert, tzn. wielkiej wartości;
umrzyk – umarły;
truna – trumna;
padł – poległy, ale również upadł;
łożarty – pijany;
ława – kładka np. nad rzeką, może być drewniana lub żelazna;
kadłubek – domek dla ptaszków lub pojemnik na ostrzałkę;
łosołka – ostrzałka lub pół funta masła;
funt – około ½ kilograma;
kansik – gdzieś;
górale – obcy zza Tarnowskich Gór;
poloki – j.w. lecz z Częstochowy;
tutejsi – miejscowi;
pnioki – karpy, pnie;
krzoki – krzaki;
ptoki – ptaki;
n.p. Ślązoków dzielimy na pnioków, krzoków i ptoków, tj. pnioki od pokoleń tu trwają, krzoki to przybysze osiadli jeszcze dobrze nie ukorzeni, a ptoki, co to za chlebem po całym świecie furgają, ale wracają, aby w ziemi ojczystej złożyć utrudzone kości
furgać – latać;
płachta – prześcieradło;
zogowek – zagłówek;
ślajfka – wstążeczka;
mandle – migdały te gorzkie i te anatomiczne;

mamlok – osesek, ten, co mamle mamkę;
mamka – pierwotny smoczek – w szmatkę
zawinięty miód pszczelej, później cukier.
Dziecko to ssało;
klostorno – zakonnica;
szichta – dniówka;
imerdeptacz – przekładnia bez
wolnobiegu w rowerze;
lisówka – grzyb kurka;
osypka – otręby;
posypka – kruszonka;
makowka – przekładaniec plastrów bułki
paryskiej zalanych warstwami z mielonym
makiem, bakaliami, ugotowanych w mleku
– potrawa wigilijna, jak slizyki na Litwie
lub kutia we Lwowie;
Wilija – Wigilia;
śrombek – sanie w konnym zaprzęgu
z dzwonkami (janczarami);
krupa – kasza;
krupniok - kaszanka;
żymła – bułka;
trepny – stopnie schodowe;
gelender – poręcz;
tasia – torba;
taśka – torebka damska;
tytka – torebka papierowa na produkty
skelpowe;
zowitka – panna z dzieckiem;
motyka – ty motyko - ktoś, kto się źle
prowadzi lub nieżyczliwie się odnosi
– czasem żartobliwie;
kopoc – hak z wideł do ściągania gnoju
z woza;

gnój – nawóz zwierzęcy, nawóz naturalny;
ruby – gruby;
gansi pympek – stokrotka;
ciul – penis;
holwos – duży płaski kosz z dwoma
uchami;
tocka – taczka;
monek – młynek;
jajco – jajko;
widołka – widelec;
kichol – duży nos;
kastrol – duży gar żeliwny do gotowania
bielizny;
kastrolik – mały garnek żeliwny
podręczny, np. do smażenia lub topienia
słoniny;
tarło – tarnik;
drobno deptać – małymi kroczkami, np.
„nasza Andzia drobno depce, wczoraj dała,
dzisiaj nie kce.”
kcieć – chcieć;
fandzole – fasola, ale również fandzolić
– mówić rzeczy nieprawdziwe;
futrufka – podszewka;
mietlorz – robi brzożowe miotły;
gołymbiorz – hodowca gołębi;
uzok – klin powierzchni;
wierzchowina – wierzchołek;
ściegna – droga piesza;
szmatyrlok – motyl;
kobylica – warsztat do pracy ośnikiem;
koziół – oprzyrządowanie do piłowania
drzewa opałowego;

kobyłka – na nich buduje się rusztowanie
pospolite;
świncuch – gruźlica;
hyjbama – położna;
drzistka – rozwolnienie, stolec płynny;
strikarz – formierz w polowej cegielni;
rurarz – w hucie walcuje rury;
wojak – żołnierz;
kanona – działo;
fliger – samolot;
wancki – pluskwy;
łochyje – jagoda;
trusia – królik;
żabiory – zastoiny wodne po wylewie
rzeki, w wodzie pełno żab, żabiego
skrzeku;
łopusta – zastawa, zapora wodna
z możliwością regulacji poziomu wody
w rzece, ale także mnich na stawach
hodowlanych;
ciepać – rzucać;
szory – uprzęż dla konia;
gepel – kierat;
żabieśleпки – niezapominajki;
skrąbek – krochmal;
niecka – dębana miska podłużna;
rant – brzeg, pobocze;
tabula – tablica;
kryjda – kreda;
żeleznik – piec żeliwny;
byrna – żarówka;
glony – smarki;
światlicka – farbka do bielizny
(niebieska);

mantel – płaszcz;
kryka – faska;
siękiernik – kurtka z bocznymi
kieszeniami;
gadżina – bydło;
dymak – dmuchawa do odymiania pszczół
lub duża ręczna w kuźni;
gruba – kopalnia;
frop – korek;
ćmia – ciemno „po cimoku wychodził na
gruba i po cimoku nazad przyszoł”;
sztajer – sztygar;
fedrować – rąbać w przodku;
sipa – duża łopata;
sztajfa – stempel (kopalniak);
karbidówka – lampa górnicza na karbid;
grubiorz – górnik;
goniorz – myśliwy;
gon – polowanie;
kozlina – krokiew;
podwalina – belka dolna – ciesia;
oczepina – belka oczepowa wieńcowa;
wontor – wrąb w klepce na osadzenie dna
beczki;
tabulka – tabliczka łupkowa służąca do
pisania rysikiem (wyposażenie ucznia do
pierwszej klasy);
lajerka – katarynka;
drobić – rozkruszać np. chleb kurczakom;
deptać – ugniatać nogami np. kapustę
w beczce do kiszenia;
żdżobek – żrebak;
flynta – strzelba;
fajok – wialnia;

przetak – sito;
melać – mielić;
cieluch – niedouk;
maślak – maślak lub ciamajda;
bery i bojki – gadki i legendy;
klachy – plotki;
sekutnica – zła kobieta;
strzyga – w gusłach nieszczęście przynosi;
zmora – w nocy dusi;
utopek – topielec;
chadra – szmata;
chaderlok – szmaciarz;
chebzie – rupiecie;
klamoty – różności potrzebne;
kopystka – mała warzecha np. do
wygniatań maślanki z masła;
warzecha – duża drewniana łyżka;
chaziel – ustęp;
chasiok – śmietnik;
kotka – w grabiach drewnianych część
z zębami;
drag – tyka;
bania – dynia;
rzić – tylek;
nazad – z powrotem;
drabko – szybko;
pacyna – śnieżka, gruda;
gula – napuchnięte w wyniku uderzenia;
spyrka – słonina;
tuste – smalec;
mietła – miotła;
miyszek – portmonetka;
kreple – pączki;
nudle – makaron;

miesiącek – księżyc;
łyńskierok – zeszyły rok;
łon – ten;
łoni – forma grzecznościowa o kimś
z szacunkiem, szczególnie o matce i ojcu,
ale też zwrot np. Mamo, kaj łoni byli albo
Mamo kaj wyście byli;
gibej się – spiesz się;
pitlok – tępy nóż;
piscolytka – fujarka („piscolytko łolen mi
się, bo jak mi się nie łolemiś wciepna cie
pod płot, podziobie cie czarno kura,
jarząbiaty kokot”.)
trombitła – trąba ze zwoju kory zdjętej na
miażdze i ukształtowanej na róg
myśliwski, gdzie źródłem dźwięku jest
piscołka – strojik.
kokotek – kurek strzelby;
miech – worek;
kiska – zsiadłe mleko;
hajnyk – indyk;
gansior – gąsior;
ganś – gęś;
gąsiontko – pisklę gęsi;
cipelek – pisklę;
ściernisko – rżysko;
danga – tęcza, a również ślad sinizny na
ręce po uderzeniu trzcinką przez „Rektóra”
jako kary;
trowa – trawa;
roza – skiba skawalona;
siągi – ścinanie drzew;
przecinka – trzebież (przerzedzenie lasu);
żykać – modlić się;

ranne – msza poranna;
wielkie – suma;
kopidał – grabarz;
karyzol – karuzela;
kierchof – cmentarz;
smacyna – przekąska, drugie śniadanie;
trzewiki – kamasze;
saperki – kozaki;
kilof – oskard;
dziubek – całus;
fyrlok – trzepak;
kapołka – serwatka;
wodzionka – wodna zupa z chlebem;
smażonka – jajecznicza;
gelnik – kromka chleba;
kąłko – rower;
galert – galaretka z zimnych nóżek;
grotek – szaflik;
gipsdeka – sufit;
żdżadło – zwierciadło;
cug- ciąg;
kopruch – komar;
chlistek – pliszka;
ceski – 10 groszy;
piętok – pięć groszy;
tysek – tyle tylko, mało;
synek – chłopczyk;
bebuś – dzidzius;
karlus – chwat;
bajtel – mały, co przestał bajukać;
bajukać – raczkować;
kaj – gdzie;

chazula – sukienka dziecka obojga płci,
kiedy raczkują i później, gdy jeszcze nie
umieją korzystać z nocnika;
cedzik – co się moczy;
farsz - proboszcz, fara – probostwo;
kanonik – wikary;
pecynek – bochenek;
fik – skok;
fikać – robić koziołki;
starka – babcia;
starzyk – staruszek, dziadek;
smarkacz – obsmarkany;
kecka – sukienka;
lajbik – stanik;
spodnioki – kalesony;
goloty - spodnie,
gizd – niedobry;
krzykop – rów;
poganka – tatarka, kasza gryczana;
modrak – bławatek;
westa – kamizelka;
denciak – cylinder;
kosok – sierp do ścinania traw, np. po
zarnicy;
pyrlik – pucka;
spust – rabanek - równiak;
szlichciak – gładzik;
śrupak – zdzierak;
brusek – toczak do ostrzenia dłut, ostrzy
do strugów;
wandka – wędka, wędzisko;
bantować – hałasować;
larmo – kłótnia;

bzik – gra linijką po dłoni;
maśnicka – do ubijania śmietanki na masło;
rycka – małe krzeselko, podnózek;
stołek – taboret;
szrang – rozstaw zębów w piłach, szerokość rezu;
szrama – rysa, np. po ranie;
szpic – grot, wierzchołek;
piska – kreska;
kiołzdoć się – ślizgać;
ryma – katar;

kucać – kaszleć;
swand – dym;
bolok – bolączka, rana;
borocek – biedulek;
ganba – wstyd;
kain – gdzie;
pyrtać – popychać;
Zefek – Zeflik, Józek;
Gerdzik – Gerchard;
Hajnek – Henryk;
Jorguś – Jerzy.

I wiele innych, których nie pamiętam.

Wybuch wojny, wehrmacht, golgota wschodu, parę słów o korzeniach.

Opowiadane i spisane przy małym jasnym

Zacznijmy w ogóle od tego, kim byli moi dziadowie, w jaki sposób znaleźli się w Kośmidrach, czyli sięgnijmy do korzeni. Tradycja u nas mówi tak, że nazwisko Król mówi się po Śląsku Kral, jak będzie pisał to Niemiec to będzie Kroll, jak Polak - Król. Niemiec nie zna „o z kreską”. Mój pradziadek naprawdę był Łużyczaninem. Wiemy, że Łużyce pierwsze zostały podbite przez Germanów, wcielone w orbitę wpływów niemieckich i praktycznie nie ma po nich śladu. Może tylko domki siedleńskie, miejscowość Siedlęcín, charakterystyczne dla Łużyczan czy nieco śladów w toponomastyce. Matka moja mówi, że jest miejscowość Sale am Zale (nie mogę dociec pisowni) która nad jakąś rzeką leży, lecz ja tam nigdy nie byłem. I tam znajduje się miejscowość Krollwitz, ale czy to prawda, to ja nie wiem. Prawda na pewno jest taka, że pradziadek mój został wysiedlony z Łużyc. Był takim królikiem miejscowym i przez to ta nazwa króla, bo do Reichstagu należał z ramienia mniejszości słowiańskiej. A że coś się za bardzo czepiał tego swojego pochodzenia, zachowania swojej kultury to go wywieźli – skolonizowali - do Treutzdorf - to obecnie rejon Polski, gdzieś w okolicach Opola. Stało się to za czasów Fryderyka II, który Ślązaków z jednych miejscowości do drugich przekolonizowywał. I tak pradziadek mój tam był poddanym - na pańszczyznę robił, tu zaś na prawie pruskim, które Fryderyk wymyślił, został osadzony – w myśl tego prawa był zobowiązany do służby wojskowej i nie mógł dzielić gospodarstwa. Według prawa najstarszy w rodzie je dziedziczył. To była miejscowość Rzemczów, jest to pod Opolem i tam został skolonizowany. Było tam 260 kolonistów, trzech z nich potrafiło po niemiecku, a reszta mówiła po polsku i miała katolicką religię. W 1871 pradziadek został wysłany do wojska, bo akurat wojna była. Poszli, zdobyli Paryż i Francuzi zapłacili 5 miliardów złotych guldenów kontrybucji. Z tego Niemcy wybudowali mnóstwo szpitali, szkół i koszar, a część rozkradli. Jeszcze do tego przez cztery lata niewolnicy pracowali za darmo, czyli jeńcy wojenni. A to są dodatkowe pieniądze i to ogromne pieniądze. Niestety, pradziadek tam nabawił się

reumatyzmu i miał problemy ze stawami. I to takiego straszego, że o kulach chodził. W związku z tym dostał jakieś odszkodowanie, gospodarstwo przeszło na młodszego, bo on (dziadek) okazał się niezdolny do jego prowadzenia, lecz za te pieniądze kupił sobie dom w Kośmidrach. Jako zasłużony wojskowy miał katarynkę i mógł żebrnąć. I jednocześnie na gospodarce mógł mieć byka kierowanego, czyli byka zarodowego. Za każde pokrycie otrzymywał pięćdziesiąt fenigów. Babcia urodziła dwadzieścia jeden dzieci, jak kuropatwa. Był we Wrocławiu tak zwany bunt tkaczy, krwawo stłumiony - już za Bismarcka. Jakaś uciekinierka zatrzymała się u tej babci mojej z dzieckiem małym i umarła. Babcia to dziecko przyjęła i do dziś dnia nikt w rodzinie nie wie, która z nich jest ta przyjęta, bo to dziewczynka była. To była adopcja przede wszystkim z serca, ale też i z przymusu, z konieczności. I weszła ta dziewczynka w środek rodziny, jak swoja. Bez różnicy. Babcia mówiła, że jak dziadek sobie spodnie powiesił na oparciu łóżka tym wyższym, to ona od razu w ciążę zachodziła. Wszyscy wierzyli w Pana Boga, ale babcia też skakała z wozu z sianem, żeby poronić, lecz zawsze urodziła. Nawet przy kopaniu kartofli. Potem wybuchła pierwsza wojna światowa, dzieci już porosły, no i tak babcia zbierała telegramy. Raz przyszły trzy - dwóch synów i jeden szwagier poległo pod Verdun.

Ojciec poszedł na kupca się uczyć. Był taki Polnische Neukiereche, czyli polski nowy kościół. Był tam Adamik czy Hadamik - Żyd, który uczył mojego ojca, bo Fryderyk wprowadził takie prawo, że kupcem nie mógł być ten kto pieniądze ma, lecz musiał być zawodu wyuczony, musiał mieć uprawnienia w gildii zdobyte. Jak ojciec opowiadał, to ten Adamik był prezesem, prezydentem tak to nazywali, związku zawodowego kupców. A ta firma, gdzie się uczył to miała nabrzeże w Liverpoolu, więc ojciec tam czasem jeździł i nawet trochę po angielsku umiał. Tylko z synem sobie nie mógł pogadać, bo jak Zefek - mój brat - przyjechał, to już ojciec nie żył. Teraz... jest powstanie. Niemcy podpisali pakt w wagonie w miejscowości Compien, który przeszedł do historii jako traktat wersalski. To znaczy postanowienia polityczne nazwano traktatem wersalskim, ale pokój został podpisany w Compien. I pokój ten wszystkich żołnierzy urlopował. Niemcy ich nie zdemobilizowali, tylko dali im urlopy bezpłatne. To taka niemiecka perfidia. (Zawsze). I ojciec przyjechał z wojny, a przedtem miał tu w Kośmidrach pocztę w agencji i sklepy. Wybudował jeszcze drugi dom i miał trzeci. Ten był z knajpą. A matka była zakonnicą, którą do ślubów wieczystych nie dopuścili, bo chorowała i przedłużali jej nowicjat i mówili:

- Idź ty lepiej do cywila. Tobie chłop potrzebny, a wiano przejadłaś. -

A wiano to było 800 guldenów w złocie, to się przydało. To było w Trzebnicy, w klasztorze Sióstr Wincentek - inaczej Szarytek, pod Wrocławiem. Za jej wiano można było kupić małą

wioskę. Wniosła tę fortunę do klasztoru, a wyszła goła. Ze strony matki były różne historie i perypetie rodzinne, o których nie za bardzo chciałbym mówić. Jedną dziadek wywianował, dziecko uposażył i dał dwa młyny, a mężowi świadectwa dziedziczne bo sam nie miał synów. Ale wyszła za mąż mając szesnaście lat, urodziła więcej niż pięcioro dzieci i umarła. Mąż jej ożenił się drugi raz i potem on umarł. Potem wdowa po nim znów wyszła za mąż i jeden z braci był nauczycielem - pod Berlinem jest taka wioska Striegau, tam był kierownikiem szkoły, a równocześnie plenipotentem całego majątku - był takim jego opiekunem. Jak on umarł - Józek Śmiatek - ojciec matki - sprzedał cały majątek według szacunku sądowego, spłacił wszystkich erbów i zostało mu tyle pieniędzy, że kupił sobie w Koszvicach młyn z gospodarką. W ten sposób się wybronił przed nadmierną ilością spadkobierców, bo gdy sprzedał majątek, miał pieniądze, by ich spłacić i zostało jeszcze na młyn. A matka, idąc z tego klasztoru, w którym w czasie nowicjatu skończyła pielęgniarstwo i położnictwo. Trafiła do rodziny Fon Bidau - jakaś ziemczona szlachecka rodzima, która zatrudniła ją jako opiekunkę do dzieci. Jednocześnie pracowała tam jako kucharka. Zapracowała sobie na nowe wiano. Jak ojciec miał już trzydzieści lat, a wcześniej się nie mógł ożenić, bo nie miał czasu, bo był za handlem, pieniądze robił, dom budował, to matce jej ojczym wyswatał ojca na męża. A matka, niby jako zakonnica nieskończona, postawiła jeden warunek, że ojciec jej tego nigdy nie wypomni. Ojciec słowa dotrzymał. Przyszło wyzwolenie i powstanie śląskie. I jak wszystkie powstania, to się trochę szumowin zbiegło. A powstania śląskie tym się różniły od powstań narodowych polskich, że tu u podstaw leżało wyzwolenie społeczne. Bo kto Niemiec to musiał być bogaty. A że ojciec miał pocztę, miał sklep i drugi dom z knajpą(który był później główną przyczyną upadku materialnego) potraktowano go jak Niemca. W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim lub trzydziestym trzecim roku, Hitler do władzy jeszcze nie doszedł, ale już dochodził, jechaliśmy z ojcem na wycieczkę rowerową na Górę św. Anny. To kolebka po mamie - tam jeździliśmy do rodziny, z którą utrzymywaliśmy zażyłe stosunki i zawsze nas tam ciepło przyjmowano, jak pamiętam, młyn był już nieczynny. Mieszkał tam nauczyciel Brzozowski, który był kierownikiem w szkole, a syn jego był Ewald. Jego imię ja noszę, bo mój starszy brat kolegował się z synem nauczyciela i jak się urodziłem, do mamy krzyknął - dziecię Ewald. Chciał, żebym ja się tak nazywał, jak jego kolega. Był raptem o 2 lata starszy, ale już tyle umiał powiedzieć, że teraz to imię - Ewald - całe życie mnie prześladowuje. Od razu każdy sądzi, że jestem Niemcem. Ewald Kroll. I moja rodzina miała przez to różne przykre doświadczenia, bo krewni byli traktowani jako Niemcy. Ojciec nam o tym w domu nie opowiadał. Ale jesteśmy u tego Brzozowskiego - kierownika szkoły. Mam dziesięć albo

jedenaste lat. On zaprowadził mnie do szkoły, koło Koźła. Obaj z ojcem starzy kumple po sąsiedzku, przywitali się, po niemiecku szwargoczą, co tam potrzeba. Brzozowski się też do mnie w tym języku zwraca, i komentuje ojciec.

- On nie umie po niemiecku. –
- Kaj ty wiesz, .. tak musisz gadać, a nie będziesz tu polskie siedlisko robił. –

Sytuacja ta była spowodowana podziałem, gdyż Koźle już leżało po stronie niemieckiej, a Kośmidry na terenie Polski. Tam w szkole oficjalnie mówiono po niemiecku, tu zaś po polsku. Brzozowski był kierownikiem niemieckiej szkoły. Natomiast ojciec po niemiecku mówił, bo wiele lat był w Niemczech kierownikiem i prezesem związku zawodowego, więc niemiecki lepiej znał niż polski. Miał większy zasób słów. Potem obsługiwał jakieś turnieje, był specjalistą od podnoszenia ciężarów. Tam rozmawiali i ojciec zwraca się do mnie.

- No przecież znasz niemiecki. -

Na to moja mama, która miała swoje zasady i własne zdanie:

- Jeśli się zostało w Polsce to trzeba być Polakiem. A jak chciałeś by po stronie niemieckiej, to nie trzeba było sprzedawać domu i tam się osiedlić. Jak wybrałeś Kośmidry, to bądź Polakiem. -

Naturalnie była na to replika od ojca...

- A bo ty chciałaś, bo ta karczma tam była. Przeklinali tam na ciebie. –

I leciały wszystkie pieruny, bo jedno na drugiego się denerwowało.

- U mnie nie będzie się przeklinało i pierunie też nie może być gadane. – mówiła do ojca.

No a Brzozowski po polsku do mnie mówił i zachęcał, żebym szedł do jego szkoły. Pokazuje mi mapę i każe znaleźć Kośmidry. Mówię.

- Kośmidrów to tu nie ma, ale jest Lublinitz, czyli prawdopodobnie nasz Lubieniec.

–

- No widzisz, a co tu jest napisane? - Było po niemiecku. - Ja ci to przetłumaczę - to jest rejon śląski pod tymczasowym zarządem Polski, to jest wszystko niemieckie.

- Ale jak to jest, że to wszystko niemieckie, a wy, panie rektor, tak po polsku świetnie umiecie gadać. Skąd wyście się tak nauczyli? –

Odpowiedział, że w domu godali po polsku.

- I wy mnie chcecie ten kit wciskać, że to jest niemieckie? –

A tu nauczyciel odzywa się do mojego ojca - Józka tak:

- Józek, tak my chcieli być Polakoma, a nie dali nam. –

Ja wtedy zaczynam pytać się ojca, jak jedziemy doma:

- Dlaczego rektor tak powiedział? –

Rektor to po śląsku nauczyciel, po niemiecku lehrer. I ojciec mówi:

- Wiesz, powiem ci prawdę. My na ta Polska tak czekali z tymrektorem, ale jak to powstanie wybuchło, to nie przetrzebiło szumowin. Kiedyś okradli mnie do imentu. Żeby uzasadnić to, że rabują, to nazwali Niemcem i chcieli mnie zabić. Ale zech się wyrwał, a nie tyle jo, ino moja mamulka jak durszlakiem w łeb jednemu dała, tom się wyrwał. W saradeli na polu kryć się musiałem dwa dni... i zrobili ze mnie Niemca. -

Starka nawet nie umiała po niemiecku, może tylko kilka wyrazów powiedzieć, jak się co nazywa, np. koza - ziga, mucha - fliega,- takich wierszyków po niemiecku się uczyła, żeby wiedziała, jak co się nazywa. A czytała tylko polskie książki, a mało czytała, głównie o wszystkich duchach i wszystkich świętych. Chodzi o moją babcię - matkę mojego ojca. Powstania i te szumowiny, które zawsze wypływają na wierzch przy takich okazjach spowodowały rozdźwięki na zasadzie krzywdy. I Brzozowski się wyprowadził, a to było w czasie dewaluacji, kiedy polska marka przeszła na złotówki. Był to okres reformy walutowej ministra Grabskiego. Z punktu widzenia makroekonomicznego reforma udana, stawiająca rzetelne podstawy rozwoju gospodarczego ale dla mojej rodziny tragiczna w skutkach przy konkretnym zbiegu okoliczności – zepchnęła nas w skrajną biedę.

Ojciec sprzedał te sklepy i dom z karczmą, które były po stronie niemieckiej, choć mógł tego nie robić, bo ledwo to zrobił - dewaluacja. Za te pieniądze mógł sobie kupić trzysta hektarów ziemi, po wamianie praktycznie nic, mógł jeszcze kontrakt sprzedaży unieważnić, ale Pan Bóg nie pozwolił cyganić - raz wziął i koniec.

Ja urodziłem się jako drugi z chłopców. Były siostry - Marysia, Jadwiga, Truda, czyli po naszymu Gertruda, brat Zefek, czyli Józef, ja - czyli na włościach w Kośmidrach Król i młodszy brat Norbert, a to najmłodszy to” bebuś”, taki wyszkrobek, który nie odbiega od cycka mamy. A bankructwo ojca – przykra sprawa... ale cóż miał swoje stawy, polowanie, urząd stanu cywilnego prowadził po Brzozowskim, miał pocztę w ajencji. No i jak to w rodzinie. Przyjechała taka obca, tak pisała na tego ojca, że to Niemiec, że mu tę pocztę zabrali. Przyjechał urzędnik, były nauczyciel Spytman, to postarał się, żeby mu urząd stanu cywilnego zabrali – „, bo nie będzie Niemiec kołacza polskiego jadł” - bo przy zapowiedziach zawsze na poczęstunek kawałek weselnego ciasta się znalazł. Naturalnie tej poczty nie dostała po ojcu (właśnie w tym celu całą sprawę rozgrywał) tylko kasę PKO, a tego Urzędu Stanu Cywilnego też nie poprowadził, tylko go do Pawonkowa przenieśli.

W 1928 roku przeszła trąba powietrzna taka, jak ostatnio pod Częstochową, wypięła wodę ze stawu, wrzuciła to wszystko Józefowi Królowi pod sklep, żeby miał czym handlować - karpie

takie, jego własne z jego stawu, kilkaset metrów przeleciały. Zdjęła też dwa dachy - jeden ze sklepu rzuciła o ścianę dwieście metrów dalej, drugi ze stodoły rozwlekła. Ojciec miał te marki, później przewalutowanie nastąpiło, w weksle poszedł..

Po wielkim kryzysie nastął bum gospodarczy, Rzesza potrzebowała budulca uniwersalnego. Ruszyły roboty leśne robotnicy, których tu się wielu zjechało wycinali lasy, starodrzewie i założyli skład drewna, bo to było wielkie wtedy na nie zapotrzebowanie. Później spółkę handlującą drewnem zlikwidowali, większość obcych wyjechała nie płacąc oczywiście za towar w sklepie ojca, brany na zeszyt, na krechę. .Nieliczni co tu przyjechali – obcy... cześć z tych robotników się tu osiedliła - Wolińscy, Polińscy. Ojciec sprzedawał na kredyt, towar do sklepu więc brał na weksle. Miał potem na dwa tysiące z czymś dłużników. A jego najlepszy kolega wykupywał jego weksle po byle jakiej cenie. Ojciec ogłosił upadłość, sprzedał dom, załatwił sobie prawo pierwokupu, popadliśmy w wielką bідę.

Mimo wszystko byliśmy bardzo kochającą się rodziną, a owa bieda nas jednoczyła. Przykład podam taki - mam 12 lat i idę do lasu zbierać jagody. Żeby się mamie przypodobać, żeby mama nie płakała potrafiłem nazbierać 24 litry jagód, kto zbierał jagody to wie ile to pracy A ojciec, skądinąd święty człowiek, raz po raz wpada w depresję, głupoty plecie, idzie się powiesić... straszne... nie? Na dzieci nie może zarobić, nie ma pieniędzy, dla mężczyzny to cios.

Najstarsza siostra szyje i co przyjdzie z robotą to liczy, że już jej zapłacą – a tam najczęściej słyszy, że odejmują to od długu, co tam może ojciec musiał zrobić. I znów za darmo. Ja się szmugłem zajmuję - jagody. Ta najstarsza siostra bierze na siebie sklep. Długo otwierają. Wymyśliła sobie, żebym ja szukał towaru w Lublińcu, a ja przecież do szkoły do Lublińca chodził. Był więc chleb po lekcjach, inaczej być nie mogło, przecież pieszo szedłem. A jak ktoś kupuje, to świeży by chciał i rano a nie o pierwszej czy drugiej po południu, jak wracam ze szkoły. Popelnili więc błędy kupieckie. O rodzeństwie jeszcze powiem. Hyjdla wyszła za mąż za któregoś z robotników, co tu przyjechali - Kubisia z Poznańskiego. Marysia wyszła za mąż za strażnika granicznego. Za wiele kłopotów. Ledwo rodzice jedno wesele wyprawili, drugie trzeba wyprawiać. Z musu. A ojciec ciągle bezrobotny. Bieda w domu, ale matka obroniła przed licytacjami trochę gospodarstwa, to ze starych długów ktoś oddał i za to co zostało kupiła dwa i pół hektara ziemi. To taki kawałek pod te domki. Ojciec dostał tam plac, gdzie mógł pobudować ten sklep. Zefek chodził uczyć się na cieślę. A jeszcze Jasiak do Niemiec chodził jako robotnik.

Ja jestem u Malika - właściciela sklepu. Mam 14 lat. Głupi chłopak ze wsi, wszyscy się ze mnie podśmiewają. No i właśnie tam spotkałem się pierwszy raz z kapitalizmem, takim drapieżnym. Szczególnie objawiał się on w traktowaniu pracowników. Jestem najmłodszym uczniem. Muszę jeździć platformą - cztery kółka - resorowana - do Monopolu po spirytus. To jest sklep kolonialno-spożywczy delikatesów i wódek. Najlepiej by do tego jakiś osiołek pasował, ale to mnie do tego założyli, nie? Uciągnąć tego nie mogę, puścić mi tego nie wolno, bo to pełno towaru załadowane - wódek. Płacę ciągle, bo jak puszcę to się rozwali, a przecież ciężkie i utrzymać nie potrafię. Dobrze, że tam na przeciwko mieszkał i pracował taki wielki człowiek, Zawada się nazywał. Mieli ogrodnictwo i taki sklep, gdzie kwiaty sprzedawali, czyli tam u nich ruch był mniejszy. Wyskoczył i pomógł mi to ruszyć, żebym mógł przewieźć tę platformę od hurtowni do sklepu. A to był prawie kilometr. Tak to się jechało dobrze, tylko potem pod górkę - trudno. W sklepie jest też zawsze świeżo palona kawa z własnej palarni. Raz na tydzień palić tę kawę trzeba było. Nauczyli mnie i szef bardzo mnie chwalił przed ojcem, że lepiej to robię niż on. Jak już tak dobrze umiałem, to tylko ja paliłem kawę. Co prawda wołałem to, niż nadskakiwać klientom "Służę uprzejmie. Czym jeszcze mogę służyć? Polecam ciastka" i do drzwi wracać, drzwi otwierać. Tu, w palarni pracuję normalnie. Ale w niedziele też muszę pracować. Zgodnie z prawem sklep o siódmej musi być zamknięty, w niedzielę nie wolno otwierać. Ale od tyłu drzwi się otwiera. Panie, świec nad jego duszą, nie wiem, czy ksiądz jeszcze żyje, ale przez niego głównie musiałem pracować w niedziele, bo on co tydzień wysyłał służącą po pół litra "Machandlu". To jałowcówka – taka wódka, "Machandel" się nazywała. Jakby sobie jej nie mógł kupić w sobotę. Ale w każdą niedzielę, jak wziął na tacę. Malik o tym wiedział, ale to ja musiałem tam siedzieć, 4.55 kosztowała ta butelka. Pamiętam i do śmierci będę pamiętał, ile kosztowała. A z musu byłem tak pobożny, że rano musieli mnie do kościoła puścić. To szedłem do Kościoła o.o.Oblatów. A teraz jest lipiec i olbrzymi upał, nie taki jak akurat dzisiaj, i dałbym głowę, że mi się należy wolne - wyjście. Upał... nie daje się ruszać. No to też idę do kościoła na te dwie godziny, ale do wucetu, bo tam chłodniej było. Jak chodziłem do doksztalającej szkoły zawodowej, to w każdy dzień targowy miałem zwolnienia z lekcji, nauczyciel bowiem też był klientem szefa. Ale zamiast odpocząć w szkole musiałem po prostu pracować.

Jeden sklep i obok drugi sklep - żelaza. Właściciel nazywał się Freier - Niemiec, prezes Banku Spółdzielczego - ojca kolega. Tu Malik. W środku cały towar, dostawy z tyłu, przez sięń jest przenoszony, część na półki a część do piwnicy. . To są paki duże, bo to są ciężkie wódki, wina też są ciężkie. Muszą więc być dobrze opakowane. No i mydło - jeszcze

cięższe. Beczka z ogórkami - 200 kg, no i beczka z kapustą... Bloch się nazywała ta firma. W sklepowym magazynie musi być wszystko zrobione, więc w nocy siedzisz często. Sklep się zamknie o siódmej, a ty szpic - tak się nazywa najmłodszy uczeń – do roboty.

Ale ja tam też spałem, kwaterę do dyspozycji mam, muszę i inne prace wykonywać pieluchy rozwiesić ale i nocnik wynieść muszę i pójść do pralni, do magła. Zanieść blachę do piekarza, bo święta idą. No to teraz towar muszę znosić. W piwnicy póły, te wina leżą, te muszą stać, te w piachu, te korkiem w dół. Winna beczka to się nazywała kufa, to trzeba było ją przesunąć. Jak tu taki chłopak, 15-16 lat, ma to zanieść. Po sąsiedzku układają w tej piwnicy swoje żelastwa koledzy bo tam też magazyn mają. Oni po prawej, my po lewej. Oni pod swoim sklepem, my pod swoim sklepem. Potem beczki toczę, ale są też rzeczy, których unieść nie mogę. Czasem muszę prosić o pomoc. Był taki cienkusz, to było z owoców, jak sok. Raz na sto lat sam szef wpadł do piwnicy, bo mnie nie było, a nie miał kogo posłać, żeby mu przyniósł łaskawie butelki. Akurat wpadł kiedy owym cienkuszem poczęstowałem kolegów za pomoc w przemieszczaniu ciężarów ponad moje siły.

- Ja na policję! Zamknę! - wrzeszczał.

Poleciał. Szefowa był ludzka, to z jej posagu ten sklep powstał.

- A co tu się dzieje? - pyta. - A czego ty buczysz? –

- No bo niby złodziejem jestem, a kto te beczki miał przetoczyć? Prosiłem, żeby mi pomogli, jo im musiał coś dać. No to im dałem. Miałem im dać coś droższego? Przecież tam były i drogie rzeczy. Dałem im jabcoka, najtańszego soku, żeby mi pomogli. - To go zrugęła pierwszy raz i to przy mnie. Miałem więc trochę spokoju.

Ale jak szefa do wojska powołali...? Jak chodziłem do szkoły to mieliśmy przysposobienie wojskowe u nas. A tu należałem do Orlont. To na przysposobieniu wojskowym - miałem już tu zaliczone. Byłem takim pomocnikiem prowadzącego - starszym sekcijnym - tak to się jakoś nazywało. Na zajęcia praktyczne w terenie chodziłem, żeby po lasach pobiegać, na musztrę w tył zwrot, zwroty, w tym strzelanie. A ten mój szef należał do Koła Pułkowego Podoficerów, czy coś takiego, i z tego pieroństwa mnie zwolnili – z tych zajęć paramilitarnych, z przysposobienia obronnego, żebym był do roboty, żebym tyrał jak niewolnik a młody byłem, po lesie chciałem pobiegać.. Stąd moje wyobrażenie i moja wrogość wobec takiego paskudnego kapitalizmu, takiego drapieżnego, nieludzkiego, bo kto wyciskał młodego chłopaka, to robił z głupoty i wygodnictwa. Z wygodnictwa i prostactwa. I z braku wyczucia. Przecież 15-latek nie zmusza się do końskiej roboty. Nie raz się w nocy spłakałem gorzkimi łzami. Malik zaś się dwoił i troił w sklepie, ale synem się nie zajmował. Miał na kogo zrzucić ten obowiązek. To dziecko mnie kochało bardziej niż jego,

jak własnego, prawdziwego ojca. Gdy szedłem na wojnę, to on mi swój zegarek dał. Widać było, że Malik niestety ożenił się z pieniędzmi - bez uczucia, bez potrzeby rodziny. Z obowiązku. Z wojny nie wrócił, lecz na Zachodzie został i sporadycznie odzywał się. Jak żona umarła, to chciał wtedy nawiązać kontakt ale nic z tego nie wyszło.

Wiele miałem takich katorżniczych dni pracy, gdzie mnie posyłano do wszystkich możliwych robót, byle nie dać czasu wolnego, chwili wytchnienia. Upał jak cholera. Tam, gdzie się kawę pali to jest bryner. A jak nie przypilnujesz, to się paloną kawę pokrywa syropem z cukru i wody - lukrem. Wyjmiesz taką próbkę kawy i patrzysz, jak ona wygląda. Dzisiaj ludzie piją kawę, ale piją mieszanki. Nie ma kawy prawdziwej, nikt nie pije dzisiaj Santos, Rija Małyogryb, Mokka. Różne te kawy różnie się palą. Jedne szybciej - taki Santos, czy drobniutka kawa mniej więcej jak orzeszki i ona jak już, już ma kolor, to bardzo szybko może ci się spalić. I wtedy wszystko się syropem polewa. Syrop daje glazurę i barwę, a kawa aromatu nie traci. Ładnie trzyma ten aromat i ma wyższą cenę. A to jest niestety bubel. Ale żeby kawę upalić na tego bubla to trzeba mieć wyczucie bardzo dobre. Oni nigdy nie umieli tej kawy tak zrobić. Żaden. Zawsze im się spaliło. Mojemu starszemu, temu, co mnie uczył, a po pazurach bił, zawsze się odpłacałem pięknym za nadobne kidy była okazja.

Cukiernictwo wtedy już było bardzo rozwinięte. Asortyment był ogromny. Cukierków stało od podłogi po sufit, od lady po sufit tych landrynek różnego rodzaju - pieńki, zagłówki, takie siakie i owakie, kukułki, okrągłe. Delikatesy, czekolady, weź te mieszanki czekoladowe - to Wedel, Wedel, Domański, Fuks - było ich tylu. I teraz, jak ja przyszedłem, to musiałem te wszystkie słoiki, ile ich było, umyć ciepłą wodą. Zawartość wysypać z nich na papier pakowny na zapleczu. Teraz pójść gorącą wodą wymyć, wyczyścić, spróbować przy okazji, jak smakuje, koniecznie. Taki głupi chłopak byłem - przecież widać, że próbowałem. Później to nie wziąłem ani jednego cukierka, ale czekoladowych to mi nie kazał próbować, tylko landrynki te czarne. No i tak. Na początku jeździłem do domu co niedzielę, potem co kwartał, potem tylko na święta. Któregoś razu zachorowałem i poszedłem do lekarza. Miałem, okazało się, grypę. Dwa tygodnie łóżka. A myślałem, że szef się wścieknie. Kto mnie tu będzie w łóżku obsługiwał? Doktor powiedział, że nie mogę do ludzi iść, bo grypa jest zaraźliwa. Szef na to, że nie mogę tu spać, bo każdy się zarazi, a była tu służąca - szefa siostra. I tak dostałem dwa tygodnie urlopu.

Ale też byłem raz tam panem, w tym sklepie. Właściciel - Malik - został powołany do Obrony Narodowej - tak się nazywała ta formacja, a ja tu do strażnicy. Ale że jego powołali, to mnie z miejsca zdemobilizowali. Na drugi dzień już przed sklepem od czwartej stoją, bo to na wojnę monit, każdy zapasy robi. Trzeba przyznać hurtownicy dowozili. Szykowała się

zawierucha wojenna, to i popyt był na wszystkie artykuły. Godzina jedenasta - do kantorku mnie wzywają. Dostaję kakao i inny płaszcz. Szef nosił w kolorze białym. Jego żona - Paula - to była święta kobieta. Pochodziła z rodziny niemieckiej majstrów warsztatowych - jej ojciec - lent, co wykładziny robi. Tu w Lublińcu jest taka firma, która pobudowała domki dla pracowników i on tam był werkmajster - taki mistrz. Dał jej posag. Ona ten sklep prowadziła, znaczy wykupiła dla męża, a mąż przecież był kupcem. Miała troje dzieci. Taka maluśka Tereska im się urodziła akurat przed samą wojną. Niemiecka rodzina. Ona, jak rozmawiała z Kosikiem - uczniem, który był przede mną - starszym człowiekiem, prawdopodobnie z mniejszości od Rosenthala, to rozmawiała z nim zawsze po niemiecku. Piątego dnia wojny Treuhendel, (mąż zaufania), pisze i zaraz im majątek skonfiskowali i z tego mieszkania nad sklepem wyrzucili. Przewieźli na jakąś pustą przestrzeń i to dziecko im się zaziębiło, i umarła ta Tereska. Mimo że była pochodzenia niemieckiego, mąż zaufania po wybuchu wojny zaraz opisał mienie i wyrzucił właścicielkę z nieruchomości.. To był rabunek, normalny rabunek. Sklep, czyli to zrabowane mienie, przejął ten Treuhendel, ten mąż zaufania, bo on tam zarządzał. Nie wiem, kogo tam postawili. Prawdopodobnie wyszabrowali co się da, choć po tym głównym rabunku nie mieli czym handlować i upadło to wszystko.

Tymczasem mój brat należał do Strzelca - już był tam cały czas. Ja też do Strzeca cały czas należałem. Przed wojną - tu mam wezwanie - za godzinę musiałem się na granicy stawić. Tu, u nas, na szkole był punkt obserwacyjny - opeel. Nas we dwóch powołali do ochrony straży granicznej, bo taki był rozkaz. A z frontem z 74 Pułkiem Piechoty poszedłem do Warszawy w trzydziestym dziewiątym. Co prawda szedłem z takim synem komendanta policji, nazywał się Balbierz. Jego ojciec był komendantem powiatowym policji państwowej w Lublińcu. Jak się rozpoczęły działania wojenne i pierwszy patrol niemiecki wkroczył do Lublińca to wszyscy mieli się zameldować na wyznaczonych punktach. Syreny wyły. Mnie nie chcieli do punktu zbornego wpuścić te Freiry (sąsiedzi ze sklepu), jeden krzyczy przez drugiego, do rynku dochodzą wojska niemieckie. Już pojawił się jakiś patrol. I ten przylatuje. Do sklepu. Przed wojną był obowiązek budowania schronów, więc na zapleczu siedzieli niby w schronie bo to wojna. Wyszadzali mosty, był huk, samoloty bombardowały koszary, gdzieś latały, syreny wyją, no a ja chcę wyjść. Trzymają mnie i nie pozwalają na to. Nagle jeden, co tam stał od Freiera mówi - Nasi już tu są. Oni polecili tam witać szkopów a ja przez bramę skoczyłem na zaplecze tam, gdzie moja kwatera była. To ta piwnica na zapleczu między tym, a tamtym sklepem. I tam była również moja szefowa z dziećmi, i te Freiry też byli, i... I ja przez ten płot przeskoczyłem, bo wrota były zamknięte i zdążyłem do punktu zbornego. Ale

na tę komendę nikt nie przyszedł, choć rozkaz był taki, że mamy się tam zgłosić. Była w Polsce mobilizacja, którą odwołano na wniosek sojuszników.

Kiedy przejeżdżało ostatnie działko przeciwpancerne z 74 Pułku Piechoty, skoczyliśmy razem z Balbierzem na lawetę. Z rynku strzelali do nas, po koniach. Mnie w ogóle nie trafili. Ja to skróćę. Doszedłem do Warszawy. Mój brat też stąd się wyrwał.

A! – ciekawostka nie znana - pierwszy oficer niemiecki, który zginął w wojnie, zginął w Kośmidrach. Tu na górcie. Mój mały brat - miał gdzieś 12 lat, więc został na wsi i widział, jak tego żołnierza zastrzelili. On zginął w walce, na tej górcie w nocy. Niemcy siedzą na granicą mimo że kilometra od niej nie można było mieć wojsk, więc nasz pułk piechoty stanął dalej. Wojska zostały wystawione i granica przez to wzmocniona. Był tu punkt obserwacyjny - tzw. opeel. Przeciwlotniczy. Na szkole. Na tej szkole ojciec mój był dla tejże OPL – to takie stanowisko, że na dachu się stało. Obserwator. I mieli wgląd na niemiecki teren. Wszystkie ich ruchy były znane - czy to wojska, czy to pancerne, to samochody. Na granicy ruch jest zamknięty, ale strażnicy nadal są. Zawsze jeden jest z obrony, tej z opeelu. W nocy Niemcy granicę przeszli i tu w lesie otoczyli placówkę. Myśmy cekaem postawili w Webrowym lesie tam na górcie drugi. Niemcy mieli placówkę w kleszczach, a jak wybuchła wojna, ruszyli się. Prawdopodobnie pierwsze Westerplatte nie ruszyło, a Niemcy już tu działali, bo wysadzili most. Ten oficer niemiecki pędzi konno. Ginie, Niemcy stojąc bezpośrednio na granicy przekroczyli ją i otoczyli naszą placówkę już znacznie wcześniej, w nocy przekroczyli granicę po cichu – jeden z naszych strażników otworzył im szlaban. Na strażnicy był jeden ze strzelców. Kłaptacz - też strażnik graniczny, który miał u nas służbę, on się z Niemcami znosił, to chyba on otworzył granicę. A ten, co był ze Strzelców - Bieniek Heniek widząc to, urwał się i uciekł, bo zdradził Kłaptacz:

- Co to, swoich nie wpuszczasz? -

A chłopak umiał biegać. I jak uciekał to widział, że Kłaptacz otworzył przejście, że już Niemcy są gotowi do przemarszu. Już wyleźli z tych lasów, wyjechały samochody. Już wszystkie na drodze stoją. Jeden z oficerów na koniu chciał go złapać ale Heniek ukrył się w przydrożnych jeżynach. Konny oficer tak się rozpędził, że wjechał na górkę pod szkołą. Tam był nasz punkt. Jeden ze strażników zasadził się z karabinem podpartym na płocie. Jak Niemiec przeskakiwał górkę, to strzelił i zabił go. Był to strażnik graniczny, stary żołnierz frontowy Styczyński Nie wiadomo czy Niemiec gonił Heńka czy też chciał zrobić rozpoznanie ogniowe ale zginął na pewno. To był piękny strzał z odległości około dwustu kroków. Później była krwawa niemiecka zemsta. Myśleli , że oficera zastrzelił ktoś ze

Strzelców i cichcem zamordowali czterech moich kolegów w odwecie, a byli to Światły Paweł i jego brat, Kurcyk i Pyka. Cześć Ich pamięci.

Zefek, brat mój starszy, doszedł do Rrównego. Tam rozbroili ich Ruscy... albo sami się rozbroili, i z powrotem. A Niemcy, jak już przyszli, to wyznaczyli granicę - dokąd mieli pretensje, to do Rzeszy wcielają, zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow, tak jak się podzielili. Już tam granicę ustalili, gdy mój brat wracał. Niemcy mieli pretensje do mojego brata i całej grupy, gdy wracali z Rrównego, spod ruskiej granicy - do domu. Chcieli ich rozwalić. To było miesiąc po wojnie. Już są za Herbami. W Herbach przebiega granica. Strzegą jej pomocnicze służby, bo wtedy Niemcy nie mieli armii, dlatego zmobilizowali te Hitlerjugend, Ostdiensty i inne. Pełno tego było. Jacyś gówniarze ich zatrzymali - do rewizji. Nic nie mają. Brat i ja byliśmy w Strzelcach a nie w formacji wojskowej. Teraz Zefek wracał i ja wracam, ale z innego kierunku. W Lublińcu jestem pierwszego października. Wojna się skończyła. Przyjechałem pociągiem aż do Lublińca bez jednej przesiadki. I wtedy pierwszy raz widziałem jak Żydów Niemcy traktowali, od razu było to takie antyżydowskie. To było tak, że np. chcieli Żydzi wejść do pociągu to ich przepędzali "Jude, nein" - nie mają prawa, a mnie puścili. Nawet powiem szczerze, jakoś czułem się lepszy. Ale sam siebie opierniczyłem - "Co ty, przecież to taki sam synek, jak ty". No i wyskoczyłem w biegu z pociągu, nie było jeszcze tu tej estakady. A tu pociąg zwalnia - stacja. W Lublińcu wyskoczyłem, przecież u Malika mieszkam, nie? A tam zaraz w ręce niby policji niemieckiej wpadam. Ich cywilna policja. I zawlekli mnie na komendę i bardzo dobrze się stało, puścili. Noc przespałem u Malika, ale zaraz Malicka powiedziała mi, że do pracy mnie nie przyjmie, bo teraz są inne czasy i ja nie umia po niemiecku, a żech na wojnie był, jeszcze mogę nieszczęście sprowadzić.

W Warszawie natomiast miałem taką przygodę, że o mało się nie uduśliłem, jak bomba uderzyła w twierdzę. W parku Sobieskiego były kiedyś kazamaty z czasów carskich i tam mnie zasypało. Bomba uderzając na górze nic nie zrobiła, ale tuż przed wyjściem całą ścianę wrzuciło do środka. Leżałem wewnątrz na całe szczęście, bo gdybym nie leżał, to by mnie o tę ścianę... Zabiło. Tu pokazała się taka dziurka, jasno i tamtędy się wyczołgałem. I w nogi. Siedemnaście lat, akurat na dzień 1 września 17 lat mi stuknęło, poddała się Warszawa. A brat, mimo że łapią żandarmi, wraca do domu. Jest też nasz kierownik szkoły, jest też kuzyn z niemieckiej strony. Przychodzi Zefek z Marysią i z dziećmi, bo gdzieś się tam spotkali i potem razem wrócili. Najstarszą siostrę - Marysię - z dwojgiem dzieci ewakuowali. I potem gdzieś pod ruską granicę uciekała przed wojną. Tam spotkała brata i razem wrócili.

Jeszcze chleb im po drodze gdzieś piekł, bo chłopcy dali mąki. Coś tam jeszcze się działo po drodze, były różne perypetie, więc dwa miesiące później dopiero oni wrócili. No i zaraz mamy obowiązek meldować się u sołtysa - codziennie do dyspozycji.

Dostaliśmy robotę. Pracowaliśmy w rejonie Walimia razem z bratem, z Zefkiem. Szykowaliśmy obiekty, które potem mieli zasiedlić pracownicy drążący te, teraz wiem, tunele w Górach Sowich. No bo jeżeli był to rejon Walimia, to niczemu innemu nie mogły służyć. Niemcy zaczęli tam roboty zaraz po zajęciu Francji albo po rozpoczęciu Kampanii Francuskiej. Jeńcy Francuscy już byli, ale czy się kampania skończyła, to ja nie wiem. Ale na pewno już trwała. Teraz jako młodociany dostaję urlop, przyjeżdżam więc na Kośmidry. Muszę się zgłosić do poboru. Wezwanie przynosi goniec jakiś. Tłumaczę mu, że rodzice, że ja tu nie mieszkam, że jestem tylko na urlopie. Nie ważne, jeżeli się nie zgłoszę, to - mówi - policja po mnie przyjdzie. No i nie miałem innego wyjścia. Musiałem się zgłosić. Mimo że urlop mam, muszę zameldować się w arbeitshausie. Dostaję skierowanie do pracy do huty Zawadzkiej, tak więc nie pojedę do Gerlitz z powrotem – jego firma nazywała się Hoftifundbetonbater. Dostałem skierowanie do huty no i idę do roboty. Z jednej strony cieszę się, że mam na miejscu robotę. Ale nie chodziło o to, żebym miał pracę, tylko miałem być przygotowany do poboru, do wojska. Tylko ja sobie z tego nie zdawałem sprawy. 1 września kończę 19 lat, a 5 października już rok pracowałem. Nie wiem, ile miałem wtedy lat dokładnie - dziewiętnaście, może dwadzieścia. Drugą część Francji zdobywałem. Z miejsca mnie jako Śluzoka do marsz kompanii przydzielili, nie dali mnie do normalnego wyszkolenia lecz na front jako zwykłego wojskowego z ryzykiem, że pójdzie na "mięso". Jak przyjechałem do takiej miejscowości na francuskiej granicy - to w koszarach przygotowywali nas do przysięgi i właśnie był zbiórka. A ja na tej zbiórce dostałem tak ciężkiej anginy, że zemdlałem. Wzięły mnie łapiduchy na izbę zdrowia. Tam lekarz przyszedł i stwierdził anginę. Pozostali w międzyczasie złożyli tę przysięgę. Ja nawet nie składałem przysięgi w niemieckim wojsku, nie wiem, czy Opatrzność czuwała, czy przypadek... Inni koledzy mówią, że nie powtarzali słów, ino gębą ruszali, a nie mówili. Ale to było zupełnie nie istotne. Po prostu wcielili mnie do armii. I czy przysięgałem, czy nie - odpowiadałem tak, jakbym to zrobił i tyle. To była taka formalność. Obrzędowa. W polskim wojsku, jak mnie powoływali, na nowo przysięgałem. Chyba ze sto razy, no i na kogo innego, np. na sojusz i przyjaźń polsko-radziecką.

A brat siedzi w Niemczech i robi jako robotnik - Polak. Powołali jego, z niemieckich terenów. Jego jednostka stała na terenie francuskim, a on robił czołgi do ćwiczeń, takie atrapy do strzelania i był wiecznie potrzebny w koszarach. Na front nie poszedł. A ja z frontu

wysyłałem jemu papierosy, które zamieniał na pończochy i przysyłał siostrze. Mówimy teraz o kampanii francuskiej - brałem w niej udział. Właściwie to nie była cała kampania. To było już drugie zajęcie Francji, jak Niemcy nie dotrzykali umowy i zajęli Francję do końca. Mój brat był w tym czasie na terenie Niemiec i pracował tam normalnie jako cieśla po rozmaitych budowach. Jego nie biorą do wojska jako Polaka. Mnie, niestety, wcielają. Moje koszary są w „Sank a wott” - we Francji. Z Lublińca wiozą mnie tam prosto chyba tydzień, żeby zrobić ze mnie żołnierza, bo formują jakąś jednostkę. No i teraz stoimy przy samej granicy francusko- niemieckiej. Nazywali to linią demarkacyjną, dzielącą tę wewnętrzną Francję. Cześć terytorium była zajęta i wcielona do Niemiec, a druga znajdowała się pod rządami Vichy. Zgodnie z prawem wojsko nie może stać na linii demarkacyjnej - taka była umowa. A my znajdujemy się w szkole przy samej linii - druty kolczaste, granica kolczasta, normalnych przejazdów nie ma. To jest Francja wolna, a to jest Francja okupowana. My wbrew konwencji, podpisania tych paktów, konwentów, czy jak je tam nazwiesz, stoimy przy tej drodze. Mnie z tego Santawolt wiozą do Chertucher, chyba tak się nazywała ta miejscowość, na teren, gdzie teraz stoję. Na drogę dają nam jedzenie. Na pięć dni. I choć jedziemy dwa dni, to potem przez te trzy pozostałe w ogóle nam jeść nie dali. Ale to, co ja dostałem na całą drogę, w jeden dzień zjadłem, bo miałem wtedy dwadzieścia lat i ciągle głodny byłem. No i jako taki głupi Ślązok pyskuję, a tam w tej jednostce jest trochę Ślązaków z opolskiego, czyli bardziej poczuwających się do niemieckości - judaszów. I mówię.

- Przecież wiem, bo czytam, że tu nie wolno nam stać. Jeno przez te druty skocza, pójdą se na dół do tych drugich to mi jeść dadzą.

Zaraz donieśli Niemcom, samemu dowódcy. Trwają ćwiczenia w polu, bo nie jesteśmy przeszkoleni, powiedziałbym dziś, że my koty jesteśmy. W ogóle nie armia. Ja mam przeszkolenie wojskowe w PW i w Strzelcach. Ćwiczę strzelanie. A po niemiecku to tak powiem dla przykładu, jak się strzela. Musisz strzelać, chodzić za instruktorem i powtarzać słowo w słowo. Teraz to powiem, ale przedtem wcale nie umiałem tak płynnie powtórzyć za tym instruktorem. Oni sobie takie pierdoły gadali, ale to jest strzelanie. W Strzelcach bez przerwy bawiliśmy się w strzelanie, żeby była frajda. Trzask, karabin zarepetował, trzask, trzask i strzał. Wiem, bo u nas dziesiątki, a tam u nich dwadzieścia cztery - same centra. Najlepsze wyniki. A w strzelaniu nie wolno żołnierza niemieckiego denerwować. Nie wolno mu kazać ibn leben, czyli nie wolno go było opieprzać, jak strzela. Dopiero po strzale można. W trakcie musi być skoncentrowany. Ja mam najlepszy wynik, więc mnie dowódca kompanii z tego zapamiętał. Teraz jeszcze któryś pierun doniósł mu, że ja na drugą stronę niby chcę

uciec. Jakieś ćwiczenia paskudne odbywają się w polu. Wartownik na koniu wie mnie do dowódcy.

- Jak się nazywasz? -
- Kroll. -
- A twój ojciec, gdzie służył? –

Mówię:

- Wiem tyle, że pod Marną był. –
- A czy to jest Kroll eins czy Kroll zwei? –

Odpowiadam, że mój ojciec zawsze mówił, że on jest ten pierwszy, najlepszy - zawsze był.

- Ale nie o to chodzi. - mówi dowódca. - Tylko miałem w kompanii dwóch Krollów - eins und zwei. Więc ten eins to jestem ja, jak mój ojciec. –

Patrz, jakie w życiu są przypadki. Ten sam dowódca był dowódcą mojego ojca, ale tylko w ćwiczeniach. Nie był na frontowych. Stare roczniki, które szkolenia prowadzili - mówią

- No tak...czemu...co takie głupoty pleciesz? - do mnie, ale bez uprzedzeń.
- A ja jest głodny - mówię, - a jak człowiek głodny - to zły.-

- No tak, jesteś Kroll to ty jesteś honorowy. Powiesz im, że jesteś putzerem u tego unterofficera, co teraz was szkoli. I będziesz do niego chodził, u niego będziesz miał dodatkowo menażkę jedzenia, byś nie był głodny. –

Podoficer miał takiego jakby ordynansa. Ale putzer to nie jest ordynans jak adiutant oficera tylko to jest taki pomocnik, który buty czyści, przygotowuje mundur, pomaga w osprzęcie. Ja tam chodziłem. On był jakiś, jakiś - no hanyskiego pochodzenia, bo ten jego podoficer, to jego ojciec był fornałem. Oficer tu został, a ja ze służbową jednostką pojechaliśmy rowerami tę Francję zdobywać. 72 kilometry w pierwszy dzień. Siedzenie miałem obtarte, a przeważnie z góry się tam jechało. I zajechaliśmy - to był chyba ten Cheremarchere. Francuzi wszędzie przyjmowali, oddawali koszary, ani jednego strzału - nikt nigdzie nie strzelił, nic nie było. Niemcy powłazili jak świnie do wszystkich koszar, przejęli ich umundurowanie. Teraz już przykrywałem się francuskimi, niemieckimi kocami. Francuzi robili to niechętnie, ale bez specjalnego sprzeciwu. W każdym razie, jak szedłem, wszyscy się odwracali plecami, demonstrowali niechęć i okazywali pogardę. Strzelania nie było, oporu żadnego istotnego nie było. Przecież nie padł ani jeden strzał. Wtedy im się lepiej aniżeli nam działo. Oni kupowali takie duże bułki, długie na metry, a ja byłem ciągle głodny. A że byłem młody, miałem szczególny apetyt. A w wojsku, wiadomo, jak to w wojsku. Mało było żarcia i nie było kartofli. A ja byłem na kartoflach chowany, Francuzi zaś kartofli nie używają. Nie było ich

nawet gdzie kupić. Cóż, francuska kuchnia była zupełnie inna niż moja. Dojechaliśmy do tego Chermarszere, ale nie spodobaliśmy się jakiemuś wyższemu stopniem oficerowi:

- Co mi tu takich przysłali? Won z powrotem! - i zawrócił nas.

A ja od razu umówiłem się tam z takim chłopakiem, który po polsku umiał. Nazywał się Bosch, jak te narzędzia Boscha.

- Polak jestem. –

- Ja też jestem Polak - jutro przy płocie. -

Już wtedy miałem możliwość - mogłem zdezerterować, mogłem się dogadać. Słyszałem już o ruchu oporu, też przecież o tym gadali, bo oni się chyba organizowali już przeciw swojemu rządowi. Był ruch antyfaszystowski, można powiedzieć i antyrządowy, no i z gruntu... antyniemiecki. Nie pamiętam, o co tam chodziło. Lecz także plotki dochodziły rozmaite. Jednakże z powrotem nas wysłali i wróciliśmy do macierzystej jednostki. Przyszedł wtedy taki kapral z Pawonkowa z 74 Pułku Piechoty, z którym nie chciałem służyć. Nasz dowódca natomiast, który mnie już przedtem znał, mieszkał w hotelu. Jest warta honorowa, to jest wara w ogóle, ale jak idzie oficer starszy stopniem to warta staje pod broń. Mam służbę. Jeszcze tego nie przechodziliśmy w przeszkoleniu, ale ja tego na warcie zaalarmowałem. Stoję, prezentuję broń.

- No, ty tu znowu jesteś? Co? –

Mówi też, że się nie nadaję, że jeszcze za mało wyszkolony jestem. Wysłali więc z powrotem. Ale głupi byłem. Jutro jakiegoś żołnierza tu dostaną a ja będę dalej szkolony Nie wiem, może tydzień z nim byłem. Front się rwał, wsadzili nas w bydłące wagony i przez Czechy jakoś jechaliśmy transportem z terenu francuskiego. Dojechaliśmy nimi do Oławy. Tej pod Wrocławiem - Ollau Aussteiger. Wsiadamy. I tu była formowana jednostka na wschód. To była wiosna, czterdziestego drugiego albo trzeciego roku. Musiał być rok czterdziesty drugi, bo za długo potem byłem w partyzantce, więc gdzieś ten czas by się rozminął. A na froncie w armii niemieckiej, na froncie rosyjskim byłem półtora roku. Dwie zimy i jedno lato. W Brochowie - Brokau sformowali marsz kompanię i jadę dwa miesiące na front wschodni. A to znaczy, że zawalił się front na odcinku południowym. Ten cały Paulus dostał się do niewoli. Długo więc byłem we Francji, lecz nie była to kompania francuska. Tam, gdzie stacjonowałem, był jedynie teren zdemilitaryzowany przez Niemców. Była to niemiecka jednostka szkoleniowa na terenie Francji, ale to szkolenie się skończyło, jak przekroczyliśmy linię demarkacyjną, gdyż Niemcy nie dotrzymali słowa i całą Francję potem okupowali. Zajęli i część. Z tym, że tam był rząd Vichy, była tam i policja, ale Niemcy też byli. Wstępna umowa gwarantowała część wolnego terytorium francuskiego, a potem Niemcy

szybcieutko to rozwiązali wkraczając. Zajęli więc Francję w całości, a Vichy pełniło funkcję formalną i te formacje francuskie proniemieckie po prostu służyły wewnątrz. Były organizacjami jak gdyby wewnątrz całego obszaru niemieckiego, a potem stworzyli niemiecką dywizję i na front wschodni Francuzów też wysyłali. Ja z nimi byłem pod Leningradem. Ale teraz jadę dopiero na front wschodni dwa tygodnie pociągiem. W Brochowie zostałem do niego zapakowany. Do Oławy przyjechała matka moja i siostra. Tam nas koniakiem uraczyli i siostra trunkiem tym się upiła. Pożegnanie przed wyjazdem na front. Matki do żołnierzy przychodziły, żony też. Były tam takie duże wrota i za tymi wrotami ze swoimi żonami jeszcze raz się pokochać chodzili, a ja nie miałem z kim. Matka mi na drogę krzyżyk dała, siostra się popłakała, no i adieu. Na wschód.

Tymczasem Zefek jest jeszcze na robocie. Cały czas. W tej samej firmie. Firma nazywa się Hoch, Tif und Betonbau. I oni robią różne zlecenia, w różnych miejscowościach. Brat mój dostaje urlop co roku, co roku też przyjeżdża do domu. Ni stąd, ni zowąd dostaje tam w Niemczech powołanie do wojska. Ja już w tym czasie jestem na froncie wschodnim. Ale jego powołują do wojska w Niemczech na terenie Zartbruger. Tu jest w wojsku. Cały czas pracują i robią te wyroby z drzewa. A Zefek na front nie idzie. Tam, gdzie jego jednostka, szkolą żołnierzy i wysyłają prawdopodobnie do Rosji, a on robi meble dowódcy kompanii. Wciąż jest potrzebny w jednostce, to i siedzi, to na front go nie wysyłają, bo takich się nie wysyła. Ja tymczasem już jestem na froncie. Co mogę powiedzieć? Przede wszystkim pojechałem, zostałem do piekła wysłany. Jest taka miejscowość Kiriszi. Kiriszi nad Wołhowem - osiemdziesiąt tysięcy miasto. Gdzieś niedaleko jeziora Ładoga. To jest rzeka Wołhow, która wpływa do jeziora Ładoga. Takie jest prawdziwe piekło. Z tego miasta pozostaje proch. Utrzymujemy przyczółek nad Wołhowem - przyczółek Kiriszi. Most - taki zawieszony nad rzeką - wysadzony. Rzeka dwieście metrów rozlana, szeroka razem z korytem. I jest przyczółek mostowy. Na drugiej linii okopów nad rzeką jesteśmy zimą osaczeni. Chociaż to koniec zimy, rzeka nadal jest zamrznięta. Przyczółek ma dwa może trzy kilometry kwadratowe. Przechodzimy przez rzekę po lodzie. Najpierw nas sobie jeszcze dowódcy kompanii do przeglądu biorą. Jestem jako kupiec, no i na gońca mnie wybrali na froncie. Zresztą ja sam chciałem na pierwszą linię. Dowódca drużyny nazywa się Paniewski - starszy rocznik, pod emeryturę człowiek - bardzo nie lubi stać na warcie, za to chętnie nam ojcuje. Broń czyści, śledzie marnuje. I jeszcze w tej drużynie jest gefreiter - Bloch się nazywa, Warszawiak. Jego ojciec był w ambasadzie niemieckiej woźnym, ale Niemiec. Że się z dziećmi bawili, z Polakami, to i po polsku mówił ten Bloch. No i zaraz myśmy się z nim zakolegowali. Więc mówi do mnie tak :

- Ty nie umiesz ani po polsku, ani po niemiecku. –

Nie umiał zdefiniować, że ja mówią po śląsku. A że faktycznie nie lubił, że nie mówiłem po niemiecku, więc musi ktoś ten karabin maszynowy nosić. I mnie przypadło to zaszczytne zadanie. Broń ta jest ciężka. I wszyscy strzelają do tego w pierwszej kolejności, do broni maszynowej. Przeciwnik strzela, by przede wszystkim najpierw zlikwidować stanowisko broni maszynowej. I tak mnie by wyznaczył jako Ślązaka i tak, co będę kłamać. Ja się zgłosiłem na ochotnika, na tego ... emgeschitze eintz. W broni się kochałem, a przy karabinie maszynowym każdy musiał wartość spełnić.

Czołg rozbity. Podkopany jest i przychodzi pancerniak, ten umachter, który kieruje ogniem w tym czołgu. Ruskim, spalonym czołgu. Celowniczy, nie celowniczy. Ogień prowadzi - jeden na prawo, czy w inną stronę. Ja do okopu włączę, a jego tam nie ma. Włączę do czołgu, popatrzyłem. Cóż.

Było jeszcze takie stanowisko, które trzeba było rano zajmować, a w nocy było puste. Ładnie urządzone, bo mieściło się w ocalałej pakamerze, nawet było tam jedno okno. A dookoła wszystko popalone. Okopy. Strzelają od czasu do czasu. Front się przesunął bliżej, tak blisko, że do Ruskich można było granaty ciepnąć. Przy broni strzeleckiej, gdzie z reguły strzelanie odbywa się przy 150-200 metrów, granatem nie rzucisz. Jeżeli jednak rzucasz, to znaczy, że 50 metrów - a to i tak dobry zamach. Zazwyczaj rzucało się nie więcej niż 30 metrów i to obromnym granatem. Ale ruski, niemiecki ma tzw. sztilhalt, czyli rączkę. Łatwiej wziąć większy zamach. Do 50 metrów. Były i większe odległości, ale nie w tym rzecz. Chodziło o ogień artyleryjski, bo nie może kryć. Za duży rozrzut. Tam się ukrywaliśmy do momentu, kiedy się wiosna nie zrobiła. Jak przyszły roztopy to okazało się, że te wszystkie górki to trupy są i to jest jak tort. Przekładaniec. Tu leżą sami w mundurach, tu są w maszerówkach, tu się potykasz. Teraz się pokazali. I cicho na froncie. Tylko od czasu do czasu strzelają. A potem, jak nie łupną. Huczy, dymi i idzie 260 czołgów do natarcia na ten przyczółek mostowy. To nawet taką książkę Niemcy wydali, broszurę "Die grosse kampanie...", skąd ja te mądrości znam. Zaatakowało ich 260 czołgów, z czego zniszczonych zostało 140 w walce wręcz. A jak można czołg wręcz zniszczyć? Otóż, dla przykładu - jak w Powstaniu Warszawskim czołg wjeżdżał między budynki, to można było wrzucić butelkę z benzyną. A tu? Rosjanie przecież nie mieli złych czołgów, ale nie ma broni pancernej, której nie można byłoby zniszczyć. Byłem przeszkolony jako panzerknaker, czyli niszczytel czołgów. I tak. Tam jest teren błotny. Są pewne drogi, którymi mogą jechać, ale nie wszystkie są dla nich przejezdne. Po błocie, po wielkim błocie taki czołg nie przejedzie, gdyż w nim utkwie. Mam tu rów i tu rów, a tędy biegnie droga. Pomiędzy. I teraz wykopuje się dziurę,

taką na jednego. Dwóch żołnierzy później ze sobą współpracuje i żeby unieszkodliwić czołg - przygotowują listwę z minami. Jeden podaje, drugi ciągnie - na całej listwie miny pod gąsienice, żeby na nie czołg wjechał i wówczas cały wyleci w powietrze. Są też tak zwane miny magnetyczne. W czołgu, przy działie ten, co obserwuje otoczenie przez wizjer, widzi jedynie do 9 metrów. Ale poza jest tak zwane martwe pole, że on nie widzi. I teraz taką minę magnesową przyczepiało się do pancerza. Czołg obrywa ładunkiem kumulacyjnym, wkładkowym. I ten ładunek bije tak, jakby był częścią panzerfaustu, jakbyś odjął kaptur - zostaje właśnie ta mina. Panzerfaust na tej zasadzie powstał, do takiego ładunku dodali ochronę w postaci kopuły i zapalnika. Jest to broń raketowa. Najpierw była mina magnetyczna, czyli ładunek kumulacyjny do rozbijania opancerzenia, a dopiero później powstał panzerfaust. I teraz tak. Jesteś pod tym czołgiem, na 6 metrów to on ci nic nie może zrobić. Może jedynie wyrzucić granat, ale nie wyrzuca, bo przeważnie gąsienice pokaleczy. Na 9 metrów cię nie widzi. Podpuszczasz go oczywiście tak dalece, jak możesz. Często czołg podjedzie pod sam bunkier, jak w moim wypadku, i strzela, bo widzi wycofujących się. Stoi i obserwuje. I strzela. Jedna taka tafla - mina wystarczyła. Przykłada się ją do wieży, która jest mniej więcej na wysokości oczu. Jak to wybuchnie, a tam przecież jest załadowany zamek od tej haubicy, to jeszcze tamten wybuchnie. A jak tafla przyłożona - to już masakra. Krocie tych odłamków. Wszędzie. W każdym razie czołg wybuchnie. Można więc w ten sposób. Zaś jak z panzerfausta strzelasz, musisz stać w okopach, bo płomień z rury odbije się i może ciebie zabić. Były też takie wypadki, że żołnierz na czołg skoczył i łopatką w lufę karabinu maszynowego uderzał, amunicję wytrącając, albo jak walnął kolbą, to mu się lufa skrzywiła. I czołgiści wyleźli, i poddali się, bo byli bez broni i na dodatek ślepi, jak ktoś jeszcze zarzucił np. piasku na wizjery. Opisywano wiele różnych przypadków walk z czołgami, ale też historię, że z 260 czołgów idących w natarciu, 140 jest w walce wręcz zniszczonych – to wskazuje na niezwykle zażartość walk.

To barbarzyństwo wojenne, bo takie są okropieństwa wojny, gdy przez pomyłkę strzelasz do swojego partnera, żołnierza, kolegi, bo on pokazał się nie w tym miejscu, gdzie się powinien pokazać. Mamy miejscowość - ale to już odwrót, Kostolicy, Białalicy i jeszcze jakies tam „... - licy”. Mówię, jak wyglądało to według mapy, która opisana po niemiecku była. To dzieje się wtedy, gdy czołg rozwalilem właśnie tą miną magnetyczną. Przedtem. Teraz wycofuję się z tego pola, gdzie czołg jeszcze został. Mam takiego przyjaciela, z którym razem kopaliśmy okopy i doły a teraz idziemy na tył. Udajemy, że trupa niesiemy albo rannego. Przeszliśmy, no a tam aufangstellung - żandarmeria stoi - przez to do dziur, do

okopów musimy się kryć, żeby znowu nie wpakowali nas na pierwszą linię ognia. Taki odcinek... zająłem stanowisko na samym końcu z karabinem maszynowym. Strzelam, jest kotłowanina, karabin maszynowy rzuciłem aby móc dalej uciekać. Po chwili znalazłem się wśród zdeorganizowanej grupy żołnierzy. Żołnierze, nie wiem, z naszej jednostki czy innej - rozbitkowie - pytają, który umie obsługiwać karabin maszynowy. No i ja się zgłaszam - zadowolony, że znów mam flintę. Biorę broń i idę na sam koniec, tam zaś inny oficer mnie znów dalej wysyła. Jestem tam i patrzę, jak idą te Ruskie. Przechodzą, przechodzą, przechodzą, czołgają się. Brok jest ze mną. On ładuje. Cały czas pakuje taśmę do karabinu maszynowego, a ja strzelam. I nie idzie przerwać tego ognia. Ruscy ciągną i ciągną w nieskończoność, zabijam... zabijam... zabijam.

Myśmy się wtedy wycofali i tworzyliśmy linię obronną taką, która była przedtem przygotowana, taką zapasową. To się nazywało aufangstellung - pozycja zatrzymania. Bo Niemcy tak planowali w swoich sztabach i tak miało być. Wszystko było przykryte gałęziami, i gdy śnieg napadał, te gałęzie się odsłaniało i już był okop gotowy. Kontynuuję ostrzał drogi którą ciągle przechodzą Ruscy, okrążają nas, ale ja za to nic nie wiem. Jestem gefreiter taki zakichany.

- Gdzie idziesz? – wołam Broka!

Strzelam, strzelam. Już karabin maszynowy ledwo zipie, lufa się grzeje i raptem koniec amunicji. Nie mogę strzelać, przerywam więc ogień i pytam Broka :

- Masz te taśmy? Dawaj, bo nie mam czym strzelać, a karabin wysiadł - a on do mnie podchodzi – nie zdąży się odwrócić i dał ognia z automatu, bo wtedy ktoś przeskakuje przez te nasze okopy. Automat miał podoficerski. To chyba był nawet nasz gruppenführer, bo najstarszy z tej grupy i to jego niechcący Brok rozwalił, słyszałem krótkie żęzenie... Pamiętam, że zaziębiony był i tylko śnieg żarł i cytrynę miał, ale to tak na marginesie. A on ... oficer jeszcze chyba z adiutantem. Byliśmy już raczej zmęczeni, nikt nie chciał po zabitym lornetki wziąć. Miałem odpięty chlebak, by w razie czego rzucać, jeszcze będę pistolet brać albo raportówkę. W każdym razie przydałaby mi się czapka, uszatka taka ciepła, bo już nastała zima więc ją zabrałem Zostawiliśmy więc wszystko, wiejemy na tylny posterunek. No i uciekamy wzdłuż okopów. Już mieliśmy do jednego wejść. Ten swój karabin mam przygotowany do strzelania, taśmę naładowaną prawie 300-ma sztukami amunicji, jak likwidowaliśmy ten posterunek, te stanowisko - i tak wzdłuż tego okopu idziemy, rakiетnicę skierowaną mam do góry. Brok już wszedł do tego okopu, a ja miałem wejść, a że z karabinem maszynowym to ciężko więc jestem trochę w tyle. Widzę jak tam kłęczą i stoją w okopie ruscy otwieram ogień a tam hura! - i to wszystko, co w tych okopach ukryło się - w

nogi. Na mnie. I ja tak przykładowo strzelam do tych, którzy mnie przycisnęli. Sytuacja jest niezwykle dynamiczna. Równowagi nie mogłem przez ten karabin utrzymać, padam na łeb i nie dość, że karabin zgubiłem, to jeszcze i hełmem. Rusczy za Niemcami biegną przez te okopy, wrzeszczą "ura", ja też wrzeszczę "ura". Wymieszani rusczy z Niemcami, gdzieś dojdzie do walki wręcz, ale generalnie wszyscy chcą uciekać tylko czasem gubią kierunek. I biegnę z tymi Ruskimi. Wpadam na oficera, naszego dowódcę... zostają w pozycji padnij, a ja biegnę dalej, dobiegam do naszej linii.

2 dowódca myślał, że jestem podoficerem bo ja pistolet mam tylko w ręce i furazerkę na głowie - nie mam hełmu. A Rusczy zalegli. Ja coś mu tam odpowiedziałem, chwila a on już wokół siebie żołnierzy nałapał, co pouciekali. Do kontruderzenia. Ten, co ogniem sterował, przez radio coś wtedy powiedział. Pewnie podał pozycję, gdzie należy strzelać. On gada i pada salwa - no bo idziemy z powrotem w natarciu pod ostrzałem niemieckich moździerzy i Nybblewerf, podobnych do katuszy, Brok oberwał - tylko mu głowa odskoczyła kilka metrów w bok. Tak w nas ze wszystkich stron strzelali. Cóż, zamieszanie wojenne, szczególnie na pierwszej linii. Ktoś źle poda pozycję albo ktoś źle usłyszy i ogień padnie nie tam, gdzie trzeba.

Mam też takiego Mufla. To był chłopak, który w taborach pracował. A miał zdobycznego konia ruskiego, takiego małego konika i oni na takie mówili mufel. A że on takim koniem jeździł, to na niego też tak wołali. A jak się naprawdę nazywał, nie wiem. A był taki biedny i wszyscy nim pomiatali, bo był analfabetą i trochę ciamajdą. No i jak już nie było kogo na front posłać, to jego z tych taborów wysłali. Choć go znali, to nikt go poważnie nie traktował. To ja go przyjąłem do siebie jako amunicyjnego i traktowałem go z przyjaźnią. Myśmy się razem wycofywali po tym rozbiciu, co Ruskich zatrzymaliśmy przed kontratakami. I teraz jestem z Muflem, Kolejny kontratak, wtedy pogoniliśmy Ruskich prawie do tego stanowiska, gdzieśmy byli poprzednio. I choć nie doszliśmy do linii okopów, lecz do tego miejsca, gdzie mnie natarcie przewróciło i gdzie został mój karabin maszynowy. Odnalazłem moją broń przy tym kontruderzeniu. Podniosłem go, a tam obok jakiś Ruski kona, ktoś go dobił.

Ten rodzaj karabinu ma feler, błąd fabryczny, bo jak nie jest rozgrzany - nie strzela. To był raczej feler lakierowanej amunicji. Amunicja, którą otrzymywaliśmy miała stalowe łuski polakierowane i pierwszy pocisk, gdy lufa była jeszcze zimna, wchodził. Lecz gdy pocisk poszedł, zamek nie wyciągał łuski, bo ona się przylepiała do komory naboju. A jak lufa była gorąca to wszystko cofało i ładnie strzelało. Więc musiałem z niego prowadzić ten ogień ciągły, co jakiś czas strzelić, wtedy działało. Prowadzę więc taki ogień, pojedynczy.

- Mufel, nie mam już naboju, kończy się amunicja. -

Przedtem jeszcze przyszedł taki oficer i pyta.

- Co, strzelasz? No to dobrze, to tak strzelaj. –

Melduję mu, że to jest feler i nie mogę dopuścić do ostygnięcia broni.

- Rób tak dalej. –

No to puk, puk, puk. I tak puk, puk. Wraca Mufel z amunicją i mówi, że nikogo już nie ma, znaczy się Niemcy się wycofali. A ja zostałem za sztachetę w płocie i tu miałem utrzymywać ogień. No to wzięliśmy ten karabin maszynowy na plecy i idziemy. Droga w śniegu, tu taka przetarta, tu dużo śniegu. W którą stronę iść? Którą drogę wybrać? Już jasno się robi. Ruscy na szczęście nie atakują, ale tędy szli. Skoro wcześniej przechodzili, to chyba pójdę tu w lewą stronę. No i idziemy, nikogo nie ma. Pusto. Raptem zamieszanie. Auta jeżdżą, żandarmeria stoi. I mówią, że na punkt zborny tam i tam dla rozbitków. Cóż nam pozostaje, idziemy we wskazanym kierunku. Do Mufla mówię - A zjedzmy coś, ja już nie mam siły. A tam mieliśmy to żarcie, dawali, dawali i było trochę w torbie. Chlebaka nie rzuciłem, ze zmęczenia chyba jeszcze go wlokłem, no i jemy. Siedliśmy w jakiejś stodole i tam zostawiłem karabin maszynowy. Nie będę go już nigdzie taszczył, ani włókł. Versprenkty znam już cztery, znowu sami rozbitkowie, no i naturalnie ja też się zameldowałem. Jakiś oficer wrzeszczy, pełno żołnierzy z dywizji lotniczej. To była taka kultwaffe feld dywizja przyszli na front wykazać się. Każdy z tych bundów niemieckich miał aspirację, żeby mieć własną armię. Hitler miał SS, Gering sobie też zrobił FLigerwaffe Dywizjon - Lotniczą Dywizje Polową. Opuścili tamten front, co się po owej Kostolicy toczy i wyszło, że o tym właśnie rozprawiają. Ich celowniczy to był Johajtel. W całej drużynie najniższym stopniem był plutonowy. Każdy z nich wyższy rangą ode mnie - jestem przecież unterofficer. Któryś z dowódców zapytał - a Krzyż Żelazny to za co dostałeś? A odznaka ramienia? Tyś jest frontowy żołnierz. Te tchórze mają cię słuchać, a jeżeli któryś się sprzeciwi, palnij mu w łeb. Masz pistolet? Masz. Odmaszerować. I skierowali mnie do rowu przeciwczołgowego, wykopanego przez Ruskich dawno, dawno. Już porósł gałęziami i tam nas atakował batalion żeński - ruski. No i dostałem samych freiterów, oficerzyków pierońskich, podchorążych. A ten karabin maszynowy, który zostawiłem w stodole – MG 38, zamieniam na nowy – lotniczy – Fliger MG15. Ten ma podwójny bęben, amunicja jest w środku i teraz z prawego raz, potem z lewego dwa – tak, tak, tak, tak - na zmianę. Miarowo. I to był właśnie lotniczy, w samolotach były takie. On tej gilzy nie wyrzucał. Zostawała w tym bębnie. Karabin szybkostrzelny, nie gorzej strzelał jak tamten. Uberfelfeber jest przy karabinie maszynowym, a w rowie przeciwczołgowym mamy stanowisko. Mówię - Przecież oni na mapie mają te rowy swoje. Jak artyleria otworzy ogień,

to po nas pył zostanie. Po co się kryć tu w ziemi? Ziemia zmarznięta. A granatów nie masz? Cała skrzynka tu stoi, przywlekli. Zaopatrzenie też raz dwa doszło. No i kopią nową dziurę. Z naszej kompanii był taki jeden, prawdziwy Prusak - z Prus Wschodnich, więc się nawet ucieszyłem. Myślałem, że będę miał pomoc i towarzystwo.

Kopaliśmy więc to stanowisko i przychodzi do tego karabinu maszynowego, a tu drzewa. Wojna trwała dwa lata to całe przedpole porosło takimi małymi drzewkami. Nie może być chaszczy na takim przedpolu, nie da się walczyć. Musi być czyste. Wziąłem od mojego Mufla łopatkę i poobcinałem, co się dało. Mówię, teraz to będzie dobrze i jeszcze do okopów nie wlażem, już "ura". I tak się musiałem natychmiast złożyć do karabinu maszynowego. A tu niespodzianka. Karabin maszynowy załadowany jest po lotniczemu - same zapalające pociski. Od razu widać skąd padają strzały i zaraz dostanę pełny traf. Ten batalion, co przed nami zalewa ogniem cały teren, czego nie wiedziałem, to baby. Wszystko w białych płaszczach i wrzeszczy "ura". My nadal tkwimy w krzakach, bo drzewka jeszcze nie są powycinane do końca jak należy. Dalej już jest normalny las. Rusczy dali salwę z katusz po tych swoich babach, tak im pomogli, tak po tych babach - jak dali salwę z katuszy, tak zapanował względny spokój. Co mogło - uciekło, a co nie - zostało nieżywe. No i ja całą swoją drużynę przeniosłem na skraj lasu. Tam zakładam nowe stanowisko. A te skurwysyny, z drugiej drużyny, co zostali w wykopie, taką babę przynieśli poległą do tego nowego rowu, rozebrali, że piersi było widać. To niby jako dowód, że to kobiety. Tylko potem na pewno jeszcze zgwałcili tą dziewczynę. A ja tak szedłem na jakąś odprawę do szefa kompanii cały czerwony, bom szatana uwiidział. Grzech pomyśleć, ona ma cycki na wierzchu, a oni tam galoty gdzieś spuścili. Jak tak można, Propaganda robi swoje, że tu gwałcą. To było odrażające. Głupie te fliegerjegry. To byli tacy niedzielni żołnierze, którzy cały czas na tyłach siedzieli i w piłkę grali. Nie na na pierwszej linii. Rusczy szukali takich dywizji, gdzie można atakować. Taka to była armia, że mieli ze sobą lekkie spodnie do gimnastyki i sienniki, a oni myśleli, że przyjechali na front po odznaczenia. Nam z Muflem cała ta sytuacja w ogóle się nie podobała, bo każdy ciągnie, szuka swojej jednostki. Ale tu nie ma swoich, tu jest taki jeden Prusak, któremu jest dobrze. Na domiar złego przyszła odwilż, a my mieliśmy te buty - te ruskie walonki - ciągle mokre, mokre i mokre. Spaliśmy w szałasach ze świerkowych gałęzi. Położyć się mogliśmy, płótnem namiotowym przykryć, na to gałęzie, a potem jeszcze śnieg i ciepłutko nam było, ale trochę ciasno. Więc jak przewracaliśmy się - to na komendę - jak na prawym boku, to był prawy bok. Nie mogliśmy jednocześnie wiele odpoczywać, zawsze jeden z nas musiał czuwać. A jak stał - niczym ślimak - z domkiem przymarzniętym do pleców. No i te buty mokre. Trzeba je zdjąć - patrzymy - nogi odmrożone, więc biegiem

do lekarza. Jest szansa na przepustkę na tył. Poszliśmy we dwóch, Mufel i ja. Zameldowali młodemu lekarzowi, że prawdopodobnie nogi mamy odmrożone - takie białe, jak u praczki. Obejrzał i mówi.

- To żadne odmrożenie, ty umyj te nogi. -

- Ale, panie doktorze, - usiłuję protestować - jak tam mam umyć? Łzami będę mył. -
Wtem alarm - likwidować się, szybko, front przerwany. No to co, my już na ten front nie wracamy. Inni idą, magazyny opróżniają. Znaleźliśmy jedną nartę i na nią zapakowaliśmy sobie schokakole - takie okrągłe czekolady. Niemcy mieli i to dawali tylko dla tych krups, co jakiś czas. Kiedyś do domu przysyłałem mojej siostrze - raz na miesiąc. A teraz za jednym razem całą skrzynkę tych łakoci mamy. W magazynie przede wszystkim buty zmieniłem i nawet do partyzantki w nich szedłem. To były te filccoki, na dole skórą podbite. Skorzystaliśmy z Muflem i, prócz butów, zmieniliśmy też spodnie. Munduru nie, bo musiałbym odpruwać te wszystkie odznaki. No i idziemy. Uchodzi to wojsko, ta służba zdrowia, a my za nimi. Szpital polowy się przemieszcza, a my też ze szpitala. Przeszliśmy w ten sposób kilka wart, patrzymy, a tu, kurza twarz, nasz dowódca - szef kompanii. Całe nasze tabory. Pierwszy raz widziałem jak taki stary oficer sztabowy na widok gefreitra się serdecznie ucieszył, że nas jeszcze nie zabili.

- Już was nie puszcze - powiedział. -

Kuchnia nasza gotowała obiad i karmiła inne kompanie, takie były układy. To z tą kompanią pojechałem dalej. Gdzieś w okolicach jeziora, nie pamiętam Ilmen czy Ładoga, gdzie Stefan Batory idąc na Psków się zatrzymał i my też tam mieliśmy przerwę na odpoczynek. Tam uzupełnili kompanię i dostaliśmy nowego dowódcę, jakiegoś idiotę, co gęś miał za szyję uwiązaną do pasa, a na hełmie pokrwawione damskie majtki, pamiątka, gdy jego ukochana pierwszy raz mu dała. I jak ja mogłem kogoś takiego rozkazów słuchać? Już wtedy właśnie widziałem ten bandytyzm niemiecki. Jestem z Muflem i mamy zająć stanowisko za brogiem, za stogiem. Polana, lasy, Estonia i tam oficer niemiecki, który został przydzielony na miejsce naszego dowódcy kompanii każe mi zająć miejsce. Leżą tam ranni żołnierze rosyjscy. I on mówi do Mufla:

- Masz ich zastrzelić. -

Na to Mufel:

- Oni są ranni, a on rannych nie dobija. -

Wyrwał więc jego karabin i zamordował tych rannych. Myślę, ty skurwysynie. Chętnie bym mu..., ale póki co, musiałem go słuchać. Siedzimy dalej za stogiem, na przeciw pali się jakieś zabudowanie. To stamtąd idzie na nas natarcie. Rusczy wcześniej tu byli, bo automaty leżą.

Pozbieraliśmy więc parę automatów, granatów kilka znaleźliśmy i okopaliśmy się. Z Mufla spryciarz był do tego. Stanowisko więc zrobiliśmy sobie jak należy, no i obserwujemy teren. Raptem z przodu idą cywile i machają białą chorągwią. Nasz kapitan zza tego brogu rozkazuje nam sprawdzić, co chcą. Mówię:

- Mufel, to jest karabin maszynowy - pilnuj go. Jakby było gorąco, ochraniaj mnie, a ja pójdę do tych ludzi. –

Była to miejscowa ludność, wóz załadowali i okazało się, że wycofują się w tym dymie. Głównie baby, dzieci i paru starszych. Chcieli wyjechać, ale Rusczy im nie dali, podpalili zabudowania. A teraz? ... No to jedźcie... Daleko nie ujechali. Powoli jadą, dym dookoła. Któryś skurwysyn seryjkę puścił, wiaterek lekko dmuchnął, tam już nikt się nie ruszył... cisza.

- Mufel, wycofali się - pytam, - czy nie wycofali? – wszyscy zabici...

A tam leży ranny żołnierz rosyjski i błaga, by go dobić.

- Germaniec, ubij. Germaniec, ubij. -

A ja taki głupi byłem, bo rannych nie zabijam, tylko nachyliłem się nad nim. Zdjęcia ma w kieszeni. Wodoszczelny opatrunek własny przyłożyłem mu do rany, by zamknąć dopływ powietrza, by mógł oddychać ustami. Ale on miał przestrzelone płuca, chyba przeze mnie. Nie wiem. Przy takich działaniach wojennych zabija się dziesiątki ludzi.

Idziemy z tym kapitanem - idiotą i czołgi przyjechały niemieckie do kontrofensywy. Na rzece, Dźwinie czy jak się ta rzeka nazywa, Rusczy przerwali front, utworzyli przyczółek mostowy i my go idziemy likwidować. Już zmierzcha. Zapada zmrok. Tymczasem w lesie pali się jakaś leśniczówka. Z tego zabudowania uciekają Rusczy, z niego też nas atakują. My tymczasem zalegamy w szczerym polu, bez żadnych umocnień. Przyjeżdżają niemieckie czołgi. Strzelają i wycofują się. Ogień przerwany. Ruskich nie ma. Trzeba nawiązać łączność i ten idiota z gęsią na uwięzi zabiera mojego Mufla, bo on umie się posługiwać karabinem maszynowym. Dali mi nowy MG-42, najnowszy już. Jemu także i zrobili z nas dwie - jednoosobowe drużyny. Kapitan zdecydował.

- Ty jesteś w ostrzelaniu - to do mnie. Ty jesteś cały czas strzelec amunicyjny - do Mufla. Znasz się na tym? –

- No, znam się - odpowiedział i poszedł. -

I tak to zrobili Mufla strzelcem. Jestem w okopie. Nie wiem, kogo z żołnierzy jeszcze mam. Raptem z przodu ktoś wyłazi. Okazało się, że kapitan wysłał mojego Mufla na patrol, a on wrócił w niewłaściwe miejsce, bo nawiązał łączność ogniową. Rusczy do niego otworzyli

ogień, on tymczasem wycofał się na mnie, a ja nie wiedziałem, czy to już Ruscy, czy to on jeszcze. Jedna seria.

- Nichts! Nichts, nichts! -

Okazuje się, że zabiłem kumpla. Trafiłem w samo serce. Wojna jest potworna. Targała mną wściekłość, wstyd, bezsilność, żal okrutny. Chciałem mu jeszcze pomóc. Na plecach zatargałem trupa do zabudowań gdzie mieścił się jeszcze niedawno szpital polowy. Pusto, wwlókłem go do środka, otarłem pot i łzy, z wściekłości wyjąłem raketnicę i wałęnałem w środek pomieszczenia – wyprawilem pogrzeb Mufłowi . Po chwili wszystko stało w ogniu.

Tragedia z Muflem to jednak już prawie koniec mojej gehenny na froncie wschodnim

Powróćmy do wcześniejszego okresu.

Zefek w tym czasie jest już zmobilizowany. Ja natomiast jestem po tym olbrzymim uderzeniu Ruskich, które u nich spaliło na panewce. Im się nie udało likwidacja tego przyczółka „Kirisi” Wtedy im się nie udało...

W każdym razie po tym pierwszym „ślubie" chodzę cały i zdrowy. To już wiosna, spłynęły śniegi. Przenoszą nas na inne stanowisko, luzują. Przyjeżdżają wszyscy fachowcy, buty ci szyją, jest dentysta na miejscu. Wszystko jak to w niemieckim wojsku - "Ordnung muss sein". Przenieśli nas z pierwszej linii, ale wciąż jesteśmy na tym przyczółku jeszcze. Dostajemy w końcu zarcia do rozparcia i mamy dodatki. Mamy więc normalny prowiant, racje dzienne, a do tego zum zulage - błotny dodatek, bo to błotny odcinek. Oprócz tego - birkeingkop zulage - bo to przyczółek mostowy, potem groskamp zulage - normalne jedzenie, błotny dodatek, z przyczółka mostowego, z pierwszej linii i ciężkich walk, co oznacza, że w armii niemieckiej jakość jedzenia zależała od tego w jakim miejscu frontu się znalazłeś i co wykonywałeś w ramach zadań bojowych. Przy każdej "ciuladze" są papierosy, które wysyłam bratu do Francji. Dostaję takie kartki, znaczki. Mogę wówczas wysłać z frontu paczkę, ale taką, która ma nie więcej niż 200 gram - taki pakuneczek jak czekolada. Kartki mogłem nabierać od kolegów, którzy nic nie wysyłali, mogłem zarówno wysłać, jak i dostać paczkę określonego ciężaru. Tymczasem Zefek, mój brat, jest we Francji. Front się ruszył dopiero, jak się inwazja angielska zaczęła. Kiedy nastąpił atak wojsk alianckich na kontynent, wtedy brat poszedł na front i zaraz przeszedł na drugą stronę. A ten młodszy, zmobilizowany, najpierw do arbeitdienst, więc jak miał 16 lat, musiał iść do roboty u bauera, żeby wiedzieć jak gnój śmierdzi. W Niemczech był taki obowiązek, że każdy musiał na rok pójść pracować do chłopu, w gospodarstwie rolnym. On to wszystko zaliczył, mimo to do wojska go powołali. Był w niemieckiej szkole podoficerskiej. Jak Zefka na front wysłali, to nie wiem, czy on tam raz strzelił. Jak tylko na froncie się znalazł, został z zabitym, czy z rannym udając

sanitariusza. I o mało co nie dali go alianci na wymianę - za sanitariuszy. Starszy był u Sosabowskiego i on zdążył pod Arnheim. A ten młodszy brat służył u Maczka w broni pancerniej. Obaj byli dobrze wyszkoleni. A Sikorskiemu zależało na dezertkach, bo miał więcej wojska, bo skąd miał mieć pobór? Mam krewnych, którzy mieszkają niedaleko Oświęcimia. Kostowa czy Kostowy, tak to się nazywa. Mojego kuzyna żony bratanica ma dwóch braci. Jeden leży pod Monte Cassino na cmentarzu polskim, drugi rodzony brat pochowany jest na niemieckim cmentarzu. Obydwaj byli w armii niemieckiej, tylko ten jeden uciekł wcześniej, nie wiem, czy na froncie wschodnim czy gdzie, a drugi był w saperach i nie był na pierwszej linii, nie mógł więc uciec. Tak się potoczyły ich losy, nie wykluczone, że jeden musiał strzelać do drugiego, przecież nikt dla przyjemności tam nie był. Jak byłem w wojsku, pod Leningradem, był taki wrocławianin. Nazywał się Morozow. Ja myślałem, że to wielkie niemieckie nazwisko, a to przecież rosyjskie. I jak to wrocławianie, używał wtedy takiej ksywki, która określała pochodzenie. Stąd Breslauerlerger, Neuleger - mówili. Taki dialekt tutaj. Ślązak mówi - ty pieronie, a on do każdego przekleństwa - lerge. I ten Breslauerlerge mnie w wojsku pomagał. Poganiali mnie!? - zawsze zupę przynieś czy żarcie, czy po kawę idź, a to na pierwszej linii najczęściej droga pod snajperskim ostrzałem. Zawsze na te dyżury ponad, to musiał Ślązak iść. Traktowano mnie niestety jako żołnierza drugiej kategorii, jeśli chodzi o godność. Natomiast, jak chodzi o waleczność, wypychano mnie tam, gdzie było najgoręcej. Karabin maszynowy - ja. Poza tym w pewnym sensie byłem nadgorliwy, bo uważałem, że Ruskim należy w dupę dać Zresztą niejedyn tak uważał. Mnie w kościele ksiądz wmówił, że oni mordowali księży, popów, że majątki zabierali, jak się okazało - mówił szczerą prawdę. Mówił też wszystko o rewolucji. Tu "Gott mit uns", Piłsudski też walczył z nimi, to jest okazja za wszystko odplacić. To i ja częściej chodziłem na te trupy, wypady. A ten Breslauerleger chciał bardzo przydatny być, wciąż tak mu chyba zależało na krzyżu. Akcja. Musimy zdobyć języka. Tu grupa większa, nie ja sam, bez Pałeckiego, bo ten dowódca drużyny to tylko lubił kartofle gotować. Byle nie na pierwszą linię. Cóż, lepsze kartofle niż kule. Chyba nawet nie zginął, prawdopodobnie poszedł na emeryturę. Z Prus Wschodnich chłopak, trochę po polsku umiał, na przykład jedną piosenkę polską podśpiewywał: „Jak się Julik opił, wraził ciulik w popiół. Tak miele, miele ciulikiem w popiele". Morozow natomiast został ranny. Gunther na imię mu było. Zostawili go, a jak wróciliśmy to się okazało, że jego nie ma. Strzelanina. No i polazłem po niego. Niedaleko leżał. Sanitariusz nazywał się Reszke - Austriak - ubergefreiter Reszke, sanitargiofreiter. Ocuciliśmy tego Morozowa. No i oprzytomniał. Znowu ja na warcie stałem, kiedy go nieśli na punkt sanitarny. A nasz punkt sanitarny, chyba ze względu na to, że tam jedzenie

przywozili o którejś godzinie, wtedy trzeba było dostarczyć rannego i dlatego ranny leżał tam dłużej albo krócej. On się ze mną pożegnał i gdy na drugi dzień do niego poszedłem, to jeszcze leżał, ale już mu szczury uszy poobgryzały. Nie przeżył. Był też taki Hamermeizer . To na odpoczynku, z tyłu, dowódca kompanii ostrzegał mnie, żebym przy tym Haberbeizerze za dużo nie gadał, bo to żandarm. Okazało się, że to Niemiec z Bydgoszczy, który samowolnie, z zemsty zastrzelił jakąś rodzinę polską i za karę ma frontbawejgut. Potem jak nas przenosili z frontu, z tego przyczółka pod Leningrad, to z daleka ostrzeliwała nas artyleria ogniem nękającym. Nie wiem, czy to były szrapnele czy inna broń. Dość, że pociskiem dostał w szyję, a szliśmy obok siebie. W każdym razie rzucił ten karabin maszynowy, lata jak bąk i krzyczy.

- Mamo, ratuj! –

Po polsku. A dotąd udawał, że nie umie ani jednego słowa. Tylko po niemiecku. A świetnie po polsku mówił. Ja mu wówczas życie uratowałem, bo tę żyłę czy tętnicę ścisnąłem na szyi, a resztę ten nasz Reszke załatwił. Chodzi o to, że jak krew płynie, dobrze jest chlebem czy czymś plastycznym przycisnąć ranę, co by chłonęło krew i tamowało jej ujście. Sanitariusz już wiedział dalej co robić. Ważne, że Hamermeizer przeżył. Jeszcze takiego kolegę Pitrka miałem, z Gogolina. Taki Ślązok, po polsku mówił, jego matka Adelajda. Ale to był taki służbista, że jak kiedyś napisałem list do domu typu „Im słońce wyżej, tym Sikorski bliżej”, czy coś w tym stylu, nie pamiętam, to mi z powrotem przyszło z frontu już od cenzury. Ślązok musiał cofnąć, bo poinformował mnie, że jeszcze raz mnie chwyci, to zamelduje do gestapo. No i dostał Pitrek hajmat i zamiast na tył uciekać, poszedł zbierać identyfikatory zabitym, leżącym na przedpolu bo to trzeba oddać, przy okazji szukał maski, która nie wiem po co mu była potrzebna w szpitalu. A tu przyszła niemiecka pomoc i działa szturmowe. Pomoc. Jak pierwszą salwę dały to po nas. Ogień był „ za krótki” Aż dwie godziny walili, nie było co zbierać. Przyjechałem na ten urlop, mógł ja i jechać do tego Gogolina, przecież niedaleko. Ale pomyślę, jak tam ta matka dostała zawiadomienie, że dostał kopszus albo w serce go trafili i tam pochowali z honorami (tak często wypisywali w zawiadomieniach) a jego nie było w ogóle co zbierać. Buty tam gdzieś jedynie na drzewie wisały, na patyku od drzewa, bo tam nawet drzewa nie było w miejscu, gdzie przedtem był las.

Cały czas jestem strzelcem karabinu maszynowego, do samego końca. Z przyczółka mostowego jako resztkę batalionu nas zabierali. To była druga zima. Wiem, że było mi potwornie zimno, bo byłem jeszcze w letnim ubraniu. I pamiętam ten ziąb. Na jedno auto nas zmieścili, jeszcze miejsc było, tylko tyłu zostało z całej kompanii. Potem prawie do frontu dochodziliśmy, daleko maszerowaliśmy i wtedy ten Hamermeister dostał. Na przyczółku

mostowym była płaszczyna. Tylko ruiny miasta, kominów gdzieś parę stało, a tak wszystko spalone. Może i gdzieś tam na winkle ktoś mieszkał... A tutaj jak wchodzimy w las, jest artyleria. Te dougery, te niemieckie katusze, Nyjbeenferfer się nazywały. Pole, las, nic - wszędzie jest zakryte, wszystko zamaskowane lub rozwalone. Takie piekło, zionące śmiercią pobjowisko ale gotowa do dalszych razów do dalszych ciosów. Jak my przejdziemy przez to, ale nie strzelali. Dopiero jak znaleźliśmy się bliżej frontu, to ranili Hammermeistra. My zaś idziemy, idziemy zmęczeni jak cholera. I zaszliśmy na ten Leningrad już, to jest Szlissenburg prawie. Tam jesteście. Potem stamtąd przenieśli nas na taki Zinawinohyje. I to się jeszcze nazywało Greidreieke - takie piaszczyste wzgórze. Teraz jesteście za Leningradem od strony północnej. Jezioro Ładoga zamrożone i zaczynają dostawy prowadzić. Zajmujemy stanowiska po jakiejś formacji SS i tam pierwszy raz spotkałem pierwowzór Kałasznikowa. To był tak naprawdę karabinek szturmowy Shmaisera, Kałasznikow zerznął projekt, Shmaiser z nim po wojnie współpracował. Po zajęciu Czech, Niemcy rozbudowali fabryki zbrojeniowe i zaczęli produkować te sturmkarabine. Pierwsze były z nasadą na bagnet, do drugich dodawali tylko finkę, którą wkładało się do buta. Taką finkę w lesie zgubiłem. Kolegowałem się wtedy z takim żołnierzem, Kapusta się nazywał. Pochodził gdzieś spod Opoli. Bardzo dobrze po polsku mówił, po śląsku jak ja. Myśmy w jednej dziurze spali, cztery belki na krzyż położone, na tym plandeka i to śniegiem zasypane. Jak tyle kilometrów zrobiliśmy, jeden położy się, drugi pilnuje - leżąc w okopie. A tu 50 metrów od ciebie nieprzyjaciel ma bunkry. Ciężko było czuć przy takim zmęczeniu. Żeby zaś dostać urlop, jak głupi zbieram tekielung z martwych. Leży Ruski, karabin maszynowy pod nim wystaje. Ja tego żołnierza za ramię, a tam Niemiec leży. No co, guzik trzeba odciąć. Myślicie, że urlop dali? Ocyganili. Nici z urlopu. Był jednak taki koleś, który dopiero na front przyszedł, ale mu się urlop na liście należał. Ja też na niej byłem. Dostał on w głowę - z moździerza. Dwa centymetry w bok - to nic by mu nie było, dostałby nawet w hełm, to może by mu ten hełm na łeb wcisnęło, ale by go nie zabiło. A jego rozerwało. Z Katowic był. I jak liczyłem, że urlop wypadnie mi gdzieś w lutym, to szybciej - dzięki Rosjanom - dostałem.

Wracając jeszcze do przyczółku mostowego. Przebijaliśmy się wielokrotnie, odpieraliśmy ataki. Raz włokąc żarcie dostałem się pod ogień snajpera (strzelca wyborowego), osłaniałem się ruskim ciałem.

Było ciężko i po tę żywność przeważnie to ja chodziłem. A że to trzeba było z linii zejść i tam kawałek się przesmyknąć pod ruskim obstrzałem, jak zauważyli to trzeba było kryć się i przemykać okopem, półokopem czołgać się. Dalej była taka droga, gdzie czołgi (wraki) stały, na której zostało trochę bruku i tam tych Niemców i Ruskich dużo poginęło.

Wracalem wtedy z zarciem i zauwazyli mnie na tej drodze. No i za ruskiego sie schowalem. Oni strzelali takimi rozrywajacymi pociskami z piorunianem rtęci, których niby nie wolno bylo stosowac, ale ruscy stosowali. Kule dum-dum natomiast byly obcinane, zeby darly ciało. Na tej drodze snajper uwziol sie na mnie, ruski trup, który przesuwalam po kilkadziesiat centymetrów oberwal wielokrotnie.

No a kiedyś bez przerwy odpieralem ataki piechoty, bez przerwy strzelalem, az do tego stopnia, ze w którymś momencie popędzilem ruskich głosem, wołalem zeby spierdalali bo juz mialem dość tego zabijania. Kilkanaście ataków żołnierzy rosyjskich bylo, którzy tak masowo szli na mój karabin, a ja strzelalem, strzelalem, az mialem tego dość. A to bylo juz w odwrocie spod Leningradu, to wówczas nasz dowódca kompanii zginął. Ruscy przychodzili, czołgali sie a bardzo brzydtko sie czołgali, niezgodnie z regulaminem, tylko dupa sie przewracala z lewej strony na prawą. Ja tu z Kapustą jestem, bo on za mną stal, bo miał dzieci, kobiete - duzo sie za nich modlil, martwil sie o nich. Był starszy ode mnie, no i tak mnie jak syna traktowal. Mam wartę, a on poszedł wtedy po obiad i patrzę, przewracaja sie ruskie tyłki z boku na bok, kolejny atak, leza prosto na mnie. Wówczas karabin maszynowy wycelowalem, bo oni blizutko przyszli i machnalem im ręką

- przez co zostalem zauwazony. Krzyknołem i celuję, ci sie odwrócili do mnie i wycofali. Czy ten Kapusta? Jeszcze jednego mialem takiego, teraz nie wiem którego - ja mu z raketnicy wystrzelilem - niechacy czy przez pomyłkę. Zabilam chłopca. Coś mu spadło tam za wal transzei i przeszedł na tamtą stronę szukać.. Była noc, ruscy byli niezwykle aktywni, mialem w rękę raketnicę z ładunkiem fosforowym gotową do oświetlenia przedpola ale ten Kapusta wyszedł nie tam gdzie powinien, myslalem ze to kolejna fala ruskich. Strzelilem z tego co mialem w rękę. Trafilem w brzuch. Straszny krzyk, okropne jęki, potworna śmierć płonącego żywcem człowieka trafionego ładunkiem fosforowym - on z tamtej strony wylazł - jak, dlaczego, nie pamietam, noc byla. Mialem raketnicę i chcialam sobie oświetlic przedpole ładunkiem fosforowym, a oddalem strzał do niego. Tylko słyszałem, ze coś sie rusza, a tu mi postać powstaje. Wystrzelilem, odruchowo, ale to śmierć byla straszna tego palącego sie człowieka. To bylo juz likwidowanie przyczółka, juz sie wycofują nasze oddziały ja go tak zostawilem, idziemy do natarcia zeby zastopowac tempo dzialań ruskich.

Druga zima. Po nieszczęśliwym zabiciu Mufla i wyprawieniu mu ognistego pogrzebu znowu my ruszamy do ataku, bo to Ruscy nawiązali kontakt ogniowy, wyskoczyli, ale to też tylko jakiś patrol ruski i oni też szybko uciekli, też sie wycofali. Idę teraz w kontrataku pierwszy. Ten zwiendfyrciger miał taką wadę, ze iglice sie ulamywaly i to właśnie mi sie przytrafilo, bo on za szybko strzelal. Do niego byly więc zapasowe iglice, które trzeba bylo

zmienić, ale w natarciu zmieniać nie będę. Powiesiłem ten karabin maszynowy, wziąłem sobie granat w rękę i idę razem z falą. Raptem dostaję z tyłu, w rękę od kolegi, który źle wycelował. Albo Pan Bóg za tego Mufla chciał mnie ukarać. I nagle czuję ból, jakby mi kto sztachetą przyłożył. Wypadł mi ten granat, bo w prawej miałem pistolet, a karabin odwieszony. I w nogi, do tyłu do punktu opatrunkowego. tego co płonie z Muflem. Minołem stos pogrzebowy. Zalażłem następny punkt sanitarny, a tu wszystko w ruchu.. Tam przygotowane stoły do operacji, wszystko. Lekarze już gotowi. Wzięli jakąś pęsetę, napudrowaną ,gumkę wsadzili, wyciągnęli z drugiej strony, opatrunek mi zrobili. Od razu mi dają taką kartę, jak karta rowerowa - bilet do domu. Jak się jest ciężko rannym - to ona jest cała, jak lekko - to połowę odrywają, żeby w rejestracji i sprawozdawczości pozostał ślad. Już mnie zapisują, tu mi dają zastrzyk przeciwtężcowy, wszystko co potrzeba i wtedy przywożą transport ciężko rannych. A tu przyjeżdża po tych rannych samochód i mnie też ładują na nosze. Protestuję i mówię, że jestem tylko lekko ranny. Na to sanitariusz, gdzie tam - zszokowany, ciężko ranny. I nogę mi podstawił i buch na te nosze, do karetki. Zawieźli nas na miejsce. Tam już czekał samolot, do którego nas wsadzili i już jestem w Wilnie. Zbliżał się już koniec mojej służby w armii niemieckiej. Przez błąd lekarza na punkcie opatrunkowym zostałem ciężko rannym pacjentem i odesłano mnie z frontu. Nie oderwano w zamieszaniu części karty.

Powracając do wspólnych działań z Muflem. Jak myśmy się wycofywali po kolejnym strasznym ataku Rosjan, w rozsypce , zdziesiątkowani, ledwo żywi, a na pewno u kresu wytrzymałości., wpadliśmy w łapy żandarmerii - zatrzymał nas żandarm. Chcieli sformować grupę do kolejnego kontruderzenia.

- Halt! – Halt!

A Mufel :

- Ja ci dam halt, pieronie! Na spust, prrr! – prr! . Zlikwidowaliśmy posterunek żandarmerii – nikt nas nie wrzuci z powrotem do piekła, żeby muc to ocenić trzeba samemu odbyć wielomiesięczny taniec ze śmiercią...

Ale cóż, front i wojna składa się z takich czynów. Wojna z natury, z zasady i z założenia nie jest czynem szlachetnym, to jest potworność i ludzie, którzy są powodem wojny, nie to że są godni potępienia, ale powinni być jeśli nie wbijani na pal to przynajmniej wykastrowani, żeby można było ich poznać ... żeby cienko śpiewali.

A co mają zrobić państwa ujarzmione? My byliśmy przez 120 lat w niewoli, a weźmy takich Czeczenów, Kaukaz. Tam jest dwadzieścia kilka narodów, z których większość już została wymordowana, gdzie walczą dwieście lat o wolność, a praktycznie ostatnią wolność

stracili 60 lat temu, gdzie deportowano cały naród, dokonano eksterminacji ogromnej rzeszy ludności większej proporcjonalnie niż Żydów, gdzie masowo gwałcono kobiety, gdzie dokonano największych okrucieństw, jakie sobie można wyobrazić. Na takie miasto jak Grozny spadło więcej bomb niż na jakiegokolwiek inne miasto w czasie II Wojny Światowej, no a jak ci ludzie mają walczyć o wolność? Przy pomocy krzyża, modlitwy, koranu? Jak tę wolność uzyskać bez prowadzenia wojny, bez tego barbarzyństwa, takiego właśnie skrajnego, jak zdobyć wolność w imperium? Poddać się, uciec, emigrować, co oni mają zrobić? Czy Czeczeni mają prawo walczyć wszystkimi metodami o swoją wolność czy nie? Według mnie mają. Ale muszą się zdobyć na straszne barbarzyństwo, bo przeciw komu mogą strzelać? W walce z dobrze uzbrojoną armią rosyjską, wyposażoną w nowoczesną broń nie mają żadnych szans. Bieganie z karabinem po górach to czysty absurd przy nowoczesnych środkach rażenia. Jak walczyć? Czeczeni muszą pokonać Rosję, między innymi latając z karabinem po górach, ale to jest tylko dla podtrzymania ducha bojowego, a działania wojenne muszą prowadzić na terenie wroga a nie własnego wyniszczzonego kraju, przeciwko ludności cywilnej, bo z armią nie są w stanie walczyć. Wyprowadzenie wojny z własnego kraju na teren wroga jest absolutną koniecznością. Czyli broń muszą skierować w najsłabsze punkty wroga, tam gdzie nie ma wojska ani specnazu, to musi być wojna totalna, bez skrupułów, bez litości czy wyrzutów sumienia a więc w swej najokrutniejszej formie. Nie przeciwko armii. Tak robili alianci w drugiej wojnie światowej, w nalocie dywanowym na Tokio zginęło ponad sto tysięcy osób – nie żołnierzy, nie mężczyzn zdolnych do noszenia broni lecz głównie kobiet dzieci i starców. To samo z dziesiątkami nalotów dywanowych na miasta niemieckie. Celem było wyłącznie złamanie ducha walki wroga, ducha oporu a nie likwidacja sił zbrojnych czy sił specjalnych i to przy jak najmniejszych stratach własnych. A zrzuć głowic nuklearnych na Nagasaki czy Hiroszymę? To nie był terroryzm w swej czystej postaci? Ludzkość nie wykształciła żadnych realnych form bezkrwawego rozstrzygnięcia takich problemów jak wolność dla Kaukazu, Tybetu czy prawa do własnej państwowości dla Kurdów, Nakładają się na to jeszcze takie sprawy jak odszkodowania, zadośćuczynienie od dotychczasowych oprawców nie mówiąc już o słusznym acz wielce niehumanitarnym prawie do zwykłego odwetu. Uznanie czy coś jest terroryzmem czy słuszną walką narodowyzwolenczą jest oceną polityczną i wielce subiektywną. Czy Polskie Powstanie Styczniowe to był akt terroryzmu? Czy Piłsudzki – jego napady z bronią w ręku to akty terroryzmu? Najgorsze w tym, że największy wpływ na definiowanie co jest słusne a co nie mają państwa zbrodnicze takie jak Rosja, Chiny no nie winem czy Amerykanie mają czyste ręce? Wszystkie chwytaki są dozwolone, ale w tym układzie wszelkie działania będą i są

wymierzone przeciwko najbardziej bezbronnym. A środki rażenia? Przecież karabin jest już przestarzały. Metody i środki walki, żeby były skuteczne, musiałyby być niezwykle okrutne, bo wymierzone tak naprawdę w bezbronnych. W Rosję można uderzyć wymierzając ciosy w jej tętnice, czyli w środki przekazu ropy naftowej i gazu, albo w ludność cywilną. Klasyczne środki są nieaktualne, zostaje broń chemiczna, bakteriologiczna, biologiczna, ewentualnie nuklearna. Po ostatnim pozostałby opad nuklearny, który jest środkiem rażenia o wielkiej skali i skutkach. Jaka jest proporcja rażenia? Niemcy, w klasycznym ataku zbrojnym nie pokonały Rosji - tak wielka potęga, Czeczeni są pestką, muchą, czym więc mają walczyć, jaką metodę mają obrać? Rosję przede wszystkim powinni potępić - cały świat. Ale cały świat ma Czeczenów "w pięcie". Amerykanie mają określone korzyści z sojuszu z Rosją i występują przeciwko Czeczenom. Unia Europejska ma określone korzyści, bo potrzebuje ropy i gazu, czyli woli sojusz z Rosją i nie będzie się plątała w sprawy Czeczenów. Najchętniej napiętnują ich jako terrorystów. Ale to nie jest jedynie problem Czeczenów. A Kurdowie, Tybetańczycy? Jakie metody walki mają zastosować? Przestrzegając konwencji międzynarodowych nigdy nie zdobędą wolności. To wymyślili sobie wolni, bogaci i syci by potępić walczących o słuszną sprawę – czy istnieje jakaś konwencja której nie złamali Niemcy, Rosjanie – a Amerykanie w Wietnamie to co? –byli święci? Nie mówię tu już o wspomnianych nalotach dywanowych czy zrzuconych głowicach. Kulturalne narody powinny mieć jeden język, jeden międzynarodowy język, żeby mogli sobie powiedzieć - oni potrafią formułować swoje problemy w każdym języku. Lecz to nie jest jedynie sprawa wypowiedzi, ale przede wszystkim słuchania i świadomego zrozumienia ich problemu, potępienie walczących o wolność? ... tak jest wygodne. Tak jak działo się przez wiele długich lat, kiedy mocarstwa europejskie udawały, że problem Polski rozbiorowej nie istnieje, bo taka taktyka była dla nich wygodna. Nasze powstania narodowe były potępiane, nasze zrywy wolnościowe były wrogo widziane nawet w Rzymie. Nasza sprawa od czasu do czasu wpływała, kiedy była na rękę Anglikom czy Francuzom, w ich rozgrywkach dyplomatycznych. I stąd się biorą okrucieństwa walki. Nie wierzę jednak, że żołnierz frontowy lubuje się w okrucieństwach walki, to jest absolutnie nie prawda. Wszyscy ci, którzy coś popełniali, to na ogół byli z wojsk siłowych, specjalnego przeznaczenia, głównie tych które miały trzymać innych w szachu. Wehrmacht też popełniał zbrodnie wojenne, a zabijanie rannych? Ale nie można utożsamiać całej formacji, jako zbrodniczą, to byli ludzie z poboru, ludzie, którzy się nie pchali na wojnę, a że wśród nich wpychano takich, którzy na rozkaz, bez zastanowienia się, dla samej przyjemności mordowania, popełniali zbrodnie wojenne...

Były różne sytuacje na froncie i popełniano zbrodnie, ale nie byłem świadkiem wielu. Pamiętam taką sytuację. Nasz dowódca poległ, myśmy go wieźli aż do Rygi, żeby nie został pogrzebany byle gdzie - bo to był człowiek honoru. Oficer-rycerz. Potem przejął dowództwo Austriak Stibet. To był żołnierz stutysięcznego korpusu oficerskiego armii niemieckiej, był niepewny politycznie, należał wcześniej do Komunistycznej Partii Niemiec i był jej sympatykiem. Dość na tym, że on nie awansował nawet o jeden stopień. Na froncie dostał jednostopniowy awans z gefreiter na ubergefreiter. Pięknie śpiewał - śpiewak operowy o przepięknym głosie. Jak wszyscy wyginęli to on przejął dowództwo. Myśmy się cofali, oderwali się gdzieś od frontu. Mówi patrzcie ... jedzie mnóstwo gelenderkampfwagen, to jak te studebakery angielskie, połowe auta pancerne. I zjechało ich mnóstwo, powyżej 100. I tak stoją przy drodze. I ja tak mówię do niego:

- To my z tego piekła wychodzimy, a te SS-y teraz idą w to piekło. -

A on mówi:

- Oj, Ewald, tyś to głupi jest. To wszystkie Ślązaki są takie głupie? -

Pytam więc:

- Czemu ja głupi? -

- Oni idą do piekła? - mówi. - To poczekaj, jak pierwsze strzały padną. Tam się obróć, co to jest? -

Tak mi dowódca powiedział:

- Popatrz, co te SS-y będą teraz robić? -

Zarządził odpoczynek, jak padły te strzały. A to jest wtedy, cośmy z Białalicy czy Kostolicy uciekli i spotkaliśmy tę jednostkę. To on przyjął naszą drużynę. Cofamy się, ubezpieczając sztab. Każe nam siadać, a do mnie mówi:

- No to teraz patrz!

A tam te wioski, cośmy minęli, już się palą. Okrążyli to wkoło i wybili do nogi, a potem jeszcze przyjechali ci, co zaczęli uciekać, ci rozbitkowie z frontu. Auto pancerne, tego wana z żołnierzami zepchnięto z drogi, a kierowca coś tam gadał, to ten z SS wziął pistolet i zastrzelił go. Ten z SS-u. Różne było też podejście do ataku wojsk niemieckich. Dla jednych państw i jednych narodów armia niemiecka była armią wyzwolenczą, tak ją nawet Ukraińcy w pierwszym okresie przyjmowali, np. we Lwowie gorąco witano wkraczających Niemców. Ale dotyczy to państw - Litwy, Łotwy i Estonii. Przynajmniej w okresie początkowym były różnice w podejściu do żołnierzy niemieckich. Łotysze i Estończycy byli proniemieccy ze swej natury, dlatego że byli w okrutnej niewoli rosyjskiej, traktowali wojska niemieckie jako wyzwolicieli. W Rydze - tam była matka, żona ... kapitana marynarza estońskiej marynarki,

która nas pielęgnowała rannych - żołnierzy niemieckich - jak matka. Ona nam kartofle gotowała, placki kartoflane smażyła, bo dla Niemców placki ziemniaczane to było coś nadzwyczajnego, a jak odchodziliśmy to płakała, błogosławiła nas, modliła się za nas. Mówiła.

- Teraz dopiero dostaniemy od Ruskich jak tu wkroczą -

Dla nich Ruscy to było nieszczęście, z tym że Niemcy ich też inaczej traktowali niżeli Słowian. Zaraz potworzyli te SS-dywizjon. Była i litewska i łotewska, i estońska. I ukraińska - Galicjan-SS oraz dwie rosyjskie. Były też dywizje SS utworzone z francuzów, norwegów, belgów, holendrów – ba, mało kto wie że próbowano stworzyć dywizję SS z Brytyjczyków! .

Jak wybuchła II Wojna Światowa w 1939 roku, Rosja zajęła Litwę, Łotwę i Estonię. A wcześniej były to państwa niezależne i wolne, nie leżały w strefie wpływów rosyjskich. Edward Śmigły-Rydz jest bohaterem estońskim. Czerwona Armia chciała zająć Estonię i Estończycy zwrócili się do Litwinów, którzy zażądali w zamian jakiś ustępstw terytorialnych. Wtedy Rydz-Śmigły, który walczył z Czerwonymi, dał Estończykom pomoc i tych Ruskich przepędził. Na Litwie na początku chcieli osadzić załogę, a później przeprowadzali głosowanie w tych wszystkich państwach - Litwa, Łotwa i Estonia - równocześnie z Finlandią. Z tym, że Finlandia nie zgodziła się na stacjonowanie, a pozostali dostali dyktat. Lecz jak się nie zgodzili, przeprowadzili przymusowe wybory. Wprowadzili swój rząd, a wszystkie te kraje poprosiły o przyjęcie do wielkiej rodziny rosyjskiej. Ale najpierw zostały tam wprowadzone siły, potem rząd prokomunistyczny pod dyktatem, a potem można było przeprowadzać wybory do wielkiej rodziny. I zaczęła się okupacja rosyjska tych państw. I dlatego Litwa przyjęła atak niemiecki jako wyzwolenie spod okupacji rosyjskiej. Tak samo Niemcy wyzwolili Łotwę i Estonię, lecz nie Finlandię, bo Ruscy Finlandii wojnę wydali, gdyż ona się nie zgodziła. Walczyła zwycięsko do końca. A Czerwoni opowiadali głupoty, że w Finlandii na linii obrony mają jakieś bunkry z gumy, że się pociski odbijają, bo każde uzasadnienie klęski jest dobre. A ja tych Finów, za Leningradem, przez linię frontu przepuszczałem, w zadymie śnieżnej. W tamtych czasach znałem takiego Kuskę z Wrocławia, który się ożenił z córką komisarza ruskiego z czasów rewolucji. Jak on nie lubił Ruskich! Myśmy najpierw pracowali w PPB, a potem pracowałem z nim w zabytkach. U niego w domu, w niedziele były majster..taka nasiadówka. i tam się rozliczało wszystkie roboty, czasem też i wódkę ktoś postawił. To był porządny człowiek, a jak się jego teść nazywał, nie wiem. W każdym razie to był godny poszanowania człowiek, pochodził gdzieś z Krymu. I ona - jego żona, za Niemców kończyła szkołę, i tu - na wolnej Ukrainie - była nostryfikowana jako lekarz. Witek Strzałkowski, niestety już nie żyje, napisał

książkę "Rysunki". To litewski partyzant, który i po rozbrojeniu działał, walczył jeszcze z Ruskimi. Ja też, z tym że ja byłem w ochronie jego biura legalizacyjnego. I tam głównym fałszerzem był Hansen, a to rodzina architektów. Nie chciałbym o tym mówić, bo się będą wypierać, gdyż nie tylko dla państwa robili, ale dla siebie też. Cóż, takie czasy były, a przecież trzeba z czegoś żyć. Przyszli Ruscy, Hansenów wywłaszczyli pierwszy raz. Zabrali im willę, ich przenieśli do czynszówki. Nie wiem, czy ojca zamordowali czy nie. Jeden z nich jest artystą, drugi skończył szkołę morską przed wojną na "Darze Pomorza", dwóch lekarzy, zięć Kucharski - wielki działacz na niwie służby zdrowia - tamtej okupacyjnej. Wszyscy w ruchu oporu - jest u "Tomki" - dwóch Hansenów i Wicia Strzałkowski. Aresztowali go, wywieźli do Workuty, która leży na kole podbiegunowym. To wszyscy koledzy - Zacharzewski, Wicja Strzałkowski, Gulbinowicz, ja - kolegujemy się tu, we Wrocławiu, jesteśmy taką zgraną paczką. Jeszcze wielu innych. Jak pijemy wódkę, to za szczęśliwy powrót Witji Strzałkowskiego, kolegi, który jeszcze pracował w Workucie w kopalni uranu. Wrócił w 1946 r. Wróć jeszcze do Hansenów. Jest holendernia - taka dzielnica willowa, a na tej holenderni - garbarnia. Oni garbowali skóry. Dostają talon dla jakiejś tam załogi pracujących - związki zawodowe i garbarnia ma wydać mi skóry do butów - gemza - a to jest fałszywe. Mam w kieszeni pistolet i idę po tę skórę. A tamten mówi.

- Gemza się skończyła, tylko bukat jest. -

A ja:

- No, nie wiem, pójde się zapytać, czy to może być, bo przecież jestem tylko posłańcem. -

Połąziłem po mieście, wróciłem.

- Może być. -

On gdzieś tam dzwoni, ja odbezpieczam pistolet, ale załatwił, że dostałem z magazynu ten bukat, który był gatunkowo gorszy - surowa skóra na buty robocze. Gelza to na przykład nadawała się na rękawiczki - już szlachetniejsza. I tak dokonywano podmian i zarabiano na życie pod okupacją rosyjską. Albo idę sobie z dziedzicem do jego majątku po świnie. Fornal pana dziedzica wystraszony mówi.

- Ale panie Franku, Ruscy przysłali tu ozdrowieńców. Całą kompanię, więc jak my tę świnie...? Co zrobić?

Można było zrezygnować albo pod osłoną nocy ocenić sytuację - ozdrowieńcy ozdrowieńcami, choć z samymi pistoletami ciężko. Trzeba było się wycofać i spaliśmy w rowie. Musieliśmy czekać do ranka, bo przecież po drodze były roгатki. Ale to jeszcze nic,

kiedyś poszliśmy, a tam zarządca za bat .. no i przecież nie będziemy strzelać do niego.. Ale chodziliśmy - przywiozło się worek kartofli, mąki.

Opowiem trochę o szkole, tej podoficerskiej, gdyż ciekawe jest, jak NKWD funkcjonowało, wyłapywało ludzi i wysyłało pod gruszę, pod pretekstem wysyłania do szpitala na leczenie weneryczne. Albo temat funkcjonowania organów bezpieczeństwa w wojsku, a szczególnie w szkole oficerskiej. Szkoła ta jest w Gryfowie – Greinfenberg. Góral Góralski, Sosna Sarna - dwa piękne polskie szlacheckie nazwiska. Jeden nie umie po polsku, drugi nie umie po polsku. W NKWD było można dostać najbardziej szlacheckie nazwisko. Ale on jest w stopniu tylko podporucznika, a dowódca szkoły - pułkownik, - dowódca jednostki boi się porucznika NKW-udzisty. To przecież zupełnie inna formacja, a poza tym to, że on miał oficjalnie stopień porucznika, to nie wiadomo, jaki on miał tam stopień w Informacji Wojskowej. W tej chwili w Czeczenii, jak żołnierz jedzie, dostaje inny stopień, inne nazwisko - wszystkie dokumenty na innego człowieka, bo stosują takie zasady jak kiedyś a UB . To jest przecież wojna polityczna, jak zresztą każda. Był tam jeszcze sierżant Radziejewicz - oficer dochodzeniowy. On mnie wybawił, bo by mnie już dawno pod gruszkę wysłali. No bo jak miałem się zachować? Kiedyś ten Rodziejewicz mówi:

- Słuchaj, sierżant, ty mnie skażi. Karlik to miano czy to przezwisko? -

Specjalnie zapytał, gdyż ktoś mnie już sypnął. I wtedy zdecydowałem się uciec właśnie z Gulbinowiczem. On był Kazimierz Zawadzki, a ja byłem Bolesław Hebrowski, a że z Wilna to musiałem jeszcze trochę po litewsku zaciągać więc Bolukas byłem. Bolukas Hebraukas. Kazik niesie pieczętkę - dowódca pułku zażyczył sobie pieczętki od adiutanta, bo w szkole oficerskiej nie ma sztabu - jest adiutantura. On niesie tę pieczętkę, a że do tego jest pisarzem, i papiery podbiliśmy sobie in blanco. Ale nie bardzo się to nam przydało, bardziej przydatne okazały się oryginały. On - małolat, ma prawo być zdemobilizowany, ale Zawadzki - na innych papierach i z inną datą urodzenia. A ja się nazywam Hebrowski. Do dwudziestego rocznika obejmował rozkaz demobilizacyjny, a ja jestem dwudziesty drugi i napisałem sobie Kroll Ewald, rocznik 1920 (tak jak w rozkazie demobilizacyjnym) wszystko i cały ten plik do podpisu z tymi charakterystykami, wszystko przygotowane - na demobilizację. I podsunąłem swoje papiery i pamiątkowe medale dostawałem stamtąd na Kroll, ale nie mogłem tu sobie zamieszkać, bo rocznik nie odpowiadał. W szkole tej dużo było przypadków, że NKWD ludzi likwidowała, wyprowadzała. Jak to podchorąży - jedni naprawdę byli chorzy, inni po prostu podejrzani, czasem sam chciałem być chory żeby zwolnić się z ćwiczeń... A jak już mieli na niego haka, to papiery wyrabiali. Ja tak uważam, bo wszyscy ci, którzy mieli do wenerologa skierowanie, a było tam dużo przypadków, nawet niektórzy mówili, że to tryper, to nie

wracali. NKWD miała na nich papiery , bo nie byli chorzy wenerycznie, znałem niektórych, a już nie wracali. Był taki dowódca batalionu i przyszli do mnie do z „informacji” szukać niby jego akt. Ja wiedziałem, kim on jest, a że oficer to jego ewidencji przecież u nas nie było, czyli nie mogła być u mnie jego ewidencja. On mnie o niego pyta, a ja idę z głupia frant jego pytać. Przecież nie mogłem pójść do batalionu i powiedzieć - Słuchaj, uciekaj. Mówię więc do sekretarki - Żydówki w stopniu sierżanta, było tam przecież trochę kobiet - że pytają o takie nazwisko, czy jest w ewidencji, że „informacja” chce o nim wszystko wiedzieć. Nie ma go. Pytam głośno żeby inni też słyszeli. Dotarło to do zainteresowanego i po prostu uciekł. Prawdopodobnie informacja nie przesłuchiwała, nie aresztowała, lecz zbierała informacje, a jak doszła do wniosku, że ktoś do zlikwidowania, to wybierali go i likwidowali. Tak żeby to było jawnie, żeby kogoś aresztowali to się nie zdarzyło. Wyprowadzali pod pretekstem, że nie jest aresztowany lecz chory wenerycznie i ślad po nim ginoł. Do dziś pamiętam nazwiska Góral Góralski i Sosna Sarna, to była informacja wojskowa - Rosjanie, którzy udawali Polaków. Nawet w polskich mundurach chodzili.

Kazimierza Gulbinowicza poznałem w Wilnie na dworcu, jak wyjeżdżaliśmy do wojska - do II Armii Wojska Polskiego. Tu w Wilnie byłem spalony, już musiałem uciekać. On też do wojska. Jeden z jego braci siedział już w więzieniu w Saratowie - przeżył, drugi był lotnikiem w Anglii. Kazimierz był w domu najmłodszy, jego rodzice z Wilna - to go wyekspediowali na dworzec - odprowadzają. Pociąg stoi, ja stoję w drzwiach i przychodzi taki młodszy chłopaczek, prawie dziecko, bo dwudziesty szósty rocznik. I matka się do mnie zwraca:

- A pan, panie starszy, dokąd pan jedzie? Do wojska? -

Odpowiedziałem twierdząco.

- A może pan by się tak zaopiekował naszym synem, my go musimy chronić. Bo jeden poszedł na wojnę, w lotnictwie był. Rzekomo w Anglii jest, ale czy my to wiemy. Drugiego syna Ruscy aresztowali, zostało nam to dziecko, żeby je ocalić... Pan się nim zaopiekuje, prosimy. Ale on się nie dał za bardzo opiekować.

Będąc w wojsku w drugiej armii dostałem urlop, bo puściłem bajkę, że od 1939 roku w Warszawie byłem na obronie, a potem Śląsk do Niemiec przypadł, to ja wyjechałem do Wilna. Myślałem, że te Wilno jak przed wojną, a tu się okazuje też okupacja, no ale już powrotu nie było. Nie wiem, co się tam dzieje w rodzinnym domu. Teraz z gazet wiem, że tam już front przeszedł, przez Śląsk, ale czy żyją moi... Trochę wiedziałem, bo mi Cyganka wywróżyła. A tam w wojsku był podpułkownik Frycki, jak dziś pamiętam, bo się potem z nim przyjaźniłem, Rusek, kulturalny człowiek. Miał założyć szkołę sztabu generalnego przy polskim sztabie. Mówi więc:

- A to urlop dostaniesz. Koniec wojny bliski.

Wojna jeszcze w toku i urlop, kto by w to uwierzył. A mnie koniec wojny zastał właśnie jak wracałem z urlopu. I o mało mnie wileńscy partyzanci nie rozstrzelali pod Częstochową, za "wronę". Oni uciekli tu, na teren Polski. Jakiś kapral mianował siebie majorem, i nie myślał o złożeniu broni (min. Dziewiątego maja 1945 roku, za Częstochową pociąg zatrzymali. Wszystkich w mundurach odrodzonego Wojska Polskiego z pociągu powysadzali. Tak się zdenerwowałem, że zacząłem kłać.

- Będziesz braci rozstrzeliwał? Za co? Że "wronę" ma, że chce żyć?

Nie wiem, z jakiego byli oddziału, byli na pewno zdezorientowani politycznie i popełniali głupstwa. Strzelali nie do tych, co trzeba, ale raczej to wynikało z dezorganizacji i niewiedzy, przecież nie była to działalność przestępcza sensu stricto. Dzisiaj z Ruskimi nikt nie może wygrać wojny, a oni chcieli, żeby wileńskie AK albo ośrodek mobilizacyjny wileński wygrał wojnę?

Fakt, zmieniły się środki rażenia, jak i sposoby walki i trudno je porównywać do metod państwa podziemnego i polskiej partyzantki, tak jak i jugosłowiańskiej - partyzantki w II Wojnie Światowej. To już jest archaizm. W taki sposób działań wojennych nie można prowadzić, bo prowadzi to do eksterminacji narodu. Przy nowoczesnych środkach rażenia i rozpoznania jakimi np. dysponują Rosjanie czy Amerykanie to jest w ogóle wykluczone. A poza tym sprowadza się na własny naród ogromne koszty, w postaci na przykład tego, co mają Czeczeni obecnie. Wojna tam trwa, ale na zasadzie czyszczenia ludzi. Młodych mężczyzn się kastruje tylko dlatego, żeby ograniczyć populację. Innym podcina się ścięgna, żeby nie mogli biegać po górach, żeby nie byli partyzantami, bo już po takim "zabiegu" jest się do końca kaleką. Albo odbija się nerki, bo to jest skuteczny sposób, żeby on nie mógł prowadzić walki ofensywnej, no bo przecież kaleka czy ciężko chory walczyć nie może. Amerykanie też chcieli Niemców kastrować, ale Niemcy sobie ciężko na to zapracowali.

Teraz Ziobro chce pozbawić uprawnień kadre oficerów politycznych, bo co do żołnierzy, którzy przyszli spoza gór i rzek, nikt nie ma wątpliwości. Są godni szacunku. Natomiast niektórzy politycy byli, oficerowie polityczni byli autentycznie, byli dlatego żeby po prostu być Polakami, a niektórzy dlatego, że byli zdrajcami. I tam pozbawienie uprawnień dotyczy tylko tych, którzy w sposób czynny przyczyniali się do zdrady. Oficerów politycznych kontrwywiadu wojskowego, którzy katowali Polaków i nie tylko. Trudno oficerów i żołnierzy kontrwywiadu wojskowego nazwać po wojnie patriotami.

Po wojnie spotykam Michała Nowosielskiego, z którym byłem w partyzantce. Przez niego do partii się dostałem. Jestem bowiem zastępcą komendanta straży przemysłowej przy Polskiej Żegludze na Odrze we Wrocławiu. Ta żegluga to jest spółka rządowa, podnoszą podtopione barki. Tam czasami są na przykład elektrody do spawania czy inne rzeczy. Jest też kapitan Romanowski, który siebie, z kaprała mianował kapitanem i jest pracownikiem prawdopodobnie UB. Jestem jego zastępcą, ale jestem też sierżantem i znam się na wojsku. Powołali mnie, byłem sekretarzem wydziału w Zarządzie Miejskim, nie żaden polityczny. Dali mi godziwą pensję, stanowisko i teraz mnie ten Romanowski cały czas agituje, żebym wstąpił do PPR-u i wciska mi te deklaracje. Oficerem inspekcyjnym jest natomiast Nowosielski Michał, przedwojenny dwójkarz. Był w partyzantce i ja go znam. Plutonowy, weterynarz od koni, felczer weterynarii. Ale ten Romanowski namolnie wciska mi tę deklarację.

- Podpisz, podpisz - tak dla draki. –

I ja ją podpisałem, ale jak myślałem, że mogę ją sobie zachować i na przykład, że gdzieś z tym pójdę, okazało się, że nigdzie mnie nie przyjmą. Bo gdzie chcę? Do PPR-u? Przecież nie uznają. I jak w wojsku byłem, też ich nie uznawali, tych wszystkich Osóbek Morawskich. No i wziąłem mu to wydarłem i podarłem.

- Tak? No, to ja pana nauczę - zabrał się i poszedł. -

Nowosielski się do mnie odzywa.

- Słuchaj, ale będziesz miał za to drakę. Podarłeś, znaczy oponowałeś. –

- Ja, przecież wiesz, w PPS-ie. Byłem w ochronie PPS-u, więc jestem pepeesiak. –

- Wiesz co? Ty powiedz, że do PPS-u należysz, a ja polecę i przyniosę ci tymczasową legitymację, antydatowaną. –

No i faktycznie. Niedługo potem przyjechało dwóch panów, a ja.

- O co chodzi? -

- A! Profanacja! –

Na to pytam, zirytowany.

- Ale o co chodzi? Ja jestem pepeesiak, a przed wojną byłem Strzelcem, to była formacja Piłsudskiego, to gdzie miałem należeć? Należę do PPS-u. O to się bez przerwy Romanowski, kapitan, przyczepia, bo do PPR-u przechodzi. To mam w dwóch partiach być?-

- Kto to jest Romanowski? –

- Kto to? - pytam. –

- A ja nie wiedziałem - odpowiada. -

- A jak nie wiedziałeś, to się lepiej dowiedzcie, a później nie przychodźcie tu nam głowę zawracać.-

I to on ich przyprowadził. Ten, który był moim dowódcą, przełożonym, a ja jego zastępcą. To był jakiś kapral przed wojną, ale należał do UB - to mu dali kapitana. Potem się dowiedziałem, przecież skąd mogłem wiedzieć, że on w UB jest. Miał więc dwie funkcje - tu pełnił funkcję komendanta, a tam jakąś w UB. I tak zostałem w PPS-ie. Potem, gdy Nowosielski mnie wybawił, okazało się, że jest w grupie mobilizacyjnej wileńskiej i stąd zaczęły się moje dalsze perypetie we Wrocławiu.

Jeszcze przed wstąpieniem Polski do UE, niemiecka stacja telewizyjna zrobiła program o polakach w niemieckiej armii z moim między innymi udziałem - bojte kameraden Polnische soldaten in der Wehrmacht, eine dokumentation von achte Ende er Deutschland zwei thousand drei jahre Auhtachtung Mittwoch ... Ja z nimi umowy żadnej nie podpisywałem, takie tylko dokumenty otrzymałem - zaproszenie na spotkanie. Tam była zaprogramowana konferencja prasowa, a nie mogłem na nią dojechać, bo nie miałem paszportu. Po nagraniu miała być konferencja prasowa i ten film pokazany po raz pierwszy. Najprawdopodobniej tego paszportu nie załatwili mi celowo, żebym nie dotarł na spotkanie, gdyż miałem obiekcje co do nie pominięcia pewnych fragmentów nagrania. Moja wypowiedź została całkowicie zmieniona a sporej części usunięta, bo miałem apel o odszkodowanie i prawdopodobnie aspekt, że Hitlera sami sobie "wychodowali", bo użyłem zwrotu "ogłupiały naród niemiecki sam sobie wybrał fűehra". To było bardzo skromnie powiedziane, bo narodowy socjalizm jest wykwitem romantycznej duszy niemieckiej, kontynuacją niemieckich marzeń o wolności, niezależności i urojonej potędze. Tego w nagraniu opublikowanego w telewizji niemieckiej nie było. Natomiast Polska Telewizja program 2 zaprosiła mnie do programu "Kolumbowie - żołnierze Festgrau". Telewizja Polska, Polonia - nie wiem, którego dnia ten program poszedł ale był później powtarzany. "W czasie wojny nie było łatwo być Polakiem w Polsce, ale być nim w III Rzeszy było czasem jeszcze trudniej - stwierdził jeden z bohaterów filmu Pawła Wolzana o Polakach w Wehrmachcie. - Ten film ani nie oskarża, ani nie broni, ale ma chylić czoło przed człowiekiem, mówi Wolzan. Chodziło nam o to, żeby przedstawić dziś przeżycia, emocje, doznania ludzi, którzy podczas wojny wcieleni byli przymusowo do niemieckiego wojska. Jako wspomnienia reżyser - dosyć trudno było przekonać ludzi do wystąpienia w tym filmie, do opowiadania o bolesnych, czasami wstydliwych sprawach. Dziewięciu bohaterów dokumentu, łączy ich przymusowa służba w Wehrmachcie, wspominają jednak bardzo różne jej aspekty. Jeden mówi o fascynacji karabinem maszynowym, inny o błocie na froncie

wschodnim - opowiada reżyser. -Bohaterowie filmu nie ponoszą odpowiedzialności za tamte tragiczne wydarzenia. A z drugiej strony to unikalny archiwalny materiał filmowy.

Nagrałem też w TP program "W moim sercu Śląsk i Wilno". Dramatyczne losy Polaków w latach II Wojny Światowej doświadczonych tragedią Katynia, hitlerowskich obozów śmierci i sowieckich łagrów, żołnierzy Podziemia prześladowanych po wojnie za wierność przysiędze, żołnierzy Wojska Polskiego na wszystkich frontach wojny od września ubiegłego roku w telewizyjnej "Jedynce" gości program dokumentalny - "Żołnierz nieznan". Tym razem Jacek Sawicki przedstawił niezwykle losy Ewalda Krolla. Bohater programu urodzony na Śląsku we wrześniu 1939 roku, jako ochotnik wziął udział w walkach m.in. w obronie Warszawy. Później po krótkim pobycie na robotach w Niemczech, wcielony przymusowo do Wehrmahtu, walczył na pierwszej linii pod Leningradem. Ranny. W czasie rekonwalescencji zbiegł i dołączył do partyzantów wileńskich, do brygady AK porucznika "Wilhelma". Po rozbiciu polskiej konspiracji przez NKWD działał jeszcze na tym terenie przez kilka miesięcy, by wreszcie, zagrożony aresztowaniem, wstąpić do II Armii Wojska Polskiego. Jeszcze jeden los w śląskiej panoramie. "Żołnierz nieznan - w moim sercu Śląsk i Wilno" - program dokumentalny telewizji pierwszego programu

Po wojnie odbyłem wiele spotkań z różnymi środowiskami kombatanckimi Z tych wszystkich spotkań, których byłem uczestnikiem na przestrzeni mojego długiego życia została taka otoczka - zostali bohaterowie, którzy cztery dni byli w partyzantce i już doszli do wysokich stopni, a ci prawdziwi partyzanci to przeważnie są już pochowani, bo oni brali udział w działaniach bojowych i najczęściej ginęli. Chyba że mieli dobrego Anioła Stróża, takiego jak ja miałem. On, jak ci taka kula leciała na mnie, to ją cabas, popłuł i wyrzucił. Najgorzej to miał z bombą, bo z mojego stanowiska ogniowego - to było na froncie wschodnim - nic nie zostało, ale dzięki temu mam trochę młodego ciała, bo mi odrosło w miejscu, gdzie cały miesiąc wyrwało.

Powracając jeszcze do akcji pod Wielkopolem...

..

Przechodzimy przez rzekę wplaw. Tak, żołnierz ma trudną misję do spełnienia. Czyż nie lepiej było rozebrać ich, a już koniecznie przesłać jednego na drugą stronę, żeby ubezpieczał przeprawę – czy dwóch, bo przecież nie wiadomo, co czeka po drugiej stronie, a pozostałych rozebrać, żeby mieli suchą odzież i broń przed sobą przenieść, Panie – przecież ta woda była powyżej jajec. No, ale przecież masz w butach mokro, człapiasz tak osiemnaście kilometrów – mlaska błoto w butach – i wszyscy umęczeni, urąbani.

Teraz, proszę ja Ciebie, zachodzimy za wcześniej pod Landwarów, jest tam Czarny Bór – miejscowość i tam ma być pociąg opanowany.

Leżymy w zasadzce, żołnierz chrapie, dowódca ciągle mówi, żeby cicho się zachowywać, bo to przy samych torach leżymy, a patrole niemieckie chodzą co jakiś czas, no i może być słychać. To ja tak łązę i szturcham, żeby nie spali chrapiący – żeby nie hałasowali, no i tego, i ten pociąg dojeżdża, czas mija, żołnierza rozspanego, zmęczonego choć umundurowanego nie można podnieść komendą jak w wojsku niemieckim – bo tam, jak zacząłby wrzeszczeć, to cały oddział stanąłby na nogi. Panie, tego, no i Panie, ten pociąg trąbi, i dowódca Waław mówi: „Panie, nie udało się”- strach go paraliżuje - i jak stanąłem, krzyknąłem po niemiecku i do tego pociągu: „Halt” – do tego maszynisty i zobaczyli te niemieckie wojsko i zatrzymali pociąg. Dzięki szybkiej mojej reakcji akcja mogła być kontynuowana.

Teraz trzeba było zlikwidować połączenie, żeby Niemcy nie mogli telefonować. Wyznaczeni żołnierze zaczynają to rozpinąć, to jest wojna, tu nie ma czasu, pociąg stoi, proszę Ciebie, Waław wskoczył do lokomotywy i tam pistolet im przystawił. Ja teraz, proszę Ciebie, w wagonie są litewscy policjanci. Co mam z nimi robić, lecę do dowódcy. Ci jeszcze nie rozmontowali linii telefonicznej, przypieprzyłem karabinem w aparat telefoniczny – rozpiardoliłem go na ziemi. Tu nie o to chodzi, żeby połączenie się im nie uszkodziło, lecz żeby natychmiast nie działało. Wracam, chłopaki pertraktują z babami w wagonach, żeby wysiadły. Po niemiecku nie umieją, coś tam pieprzą trzy po trzy, udają Niemców – te baby patrzą na nich i jedna do drugiej: „ty patrz, a ten to taki podobny do ... (wymienia nazwisko rodowe), a tamten do (i tu jakieś nazwisko) – sąsiadka oponuje, że to niemożliwe, bo są na robotach w Niemczech. Jak wpadłem, jak się tego wystraszyłem, tak w te babskie tobołki i koszyki – kopa i kolbą. Przecież jeszcze trochę, a zdekonspirują moich chłopaków. Furiacki atak na bagaże zrobił swoje – dysputa zamieniła się w popłoch i ucieczkę. Raus! – wrzeszczę do nich – litewscy policjanci też chcą uciekać. Ja „nain” – mówię po niemiecku – my przecież koledzy – siedzicie, jedziemy dalej – oni zadowoleni. Zostają.

Hasłem do kontynuowania akcji jest, że na drogę wyjdzie dziewczyna machająca chusteczką i pociąg się zatrzyma – wtedy wsiądzie reszta oddziału do tej akcji wystawionego, do drugiego wagonu. To wszystko się udaje. Litwinów w drodze robimy – już mamy dodatkowe dwa karabiny i cztery granaty. Maszynista wystraszony, ale palacz się cieszy, że to polska partyzantka – woła: nasi, nasi! No, ale ja nie wiem dlaczego, przychodzę do

pierwszego wagonu – siedzą w nim partyzanci przebrani za niemieckich żołnierzy, my mamy udać, że jedziemy jako zmiana niemieckiej ochrony mostu.

Lokomotywa, zamiast dokładnie stanąć, gdzie należy, przeciąga. Przejeżdżamy obok tego bunkra – była to taka koszarówka „cekchauzm” – naziemna budowla zadaszona – jak stodoła.

Może nie będę będę mówił o szczegółach, kto miał jakie zadania – były one podzielone, ale jak widzę że ten drugi wagon stanie naprzeciw bunkra, to jeszcze w biegu wrzeszczę i wyskakuję wpadając prawie na tego Niemca, co wyszedł z bunkra – jakiś z obszytym kołnierzykiem – nie wiem, czy to był oficer, czy podoficer – wyszedł zrobić siusiu, bo na froncie przecież nie ma ustępów. Panie, może mieli tam z tyłu latrynę, ale nie chciało mu się dalej chodzić. Dowódca plutonu – Szczęsny, wygarnął do niego z pistoletu ale w zdenerwowaniu chybił – a ten w nogi. Żeby poprawił, miał czym, mógł go jeszcze bez problemu zlikwidować ...

Tamci w bunkrze zaryglowali drzwi i otworzyli ogień. Błędem był przedwczesny strzał, a przede wszystkim Waclaw nie powinien „przeciągnąć pociągu”. To zaważyło decydująco na dalszych losach akcji. Bo jakby nie przeciągnął, to my, jako Niemcy w niemieckich mundurach, weszlibyśmy do bunkra, a tak, wszyscy nieumundurowani z bronią wyleźli – a to chłopaki niezdyscyplinowane, nie ostrzelane – jeden strzela „panu Bogu w okno”, drugi ma trzy naboje, robi się chaos bojowy i niekontrolowane zamieszanie. Karabin maszynowy w rękach niedoświadczonego zacina się, ten nie umie sobie z tym poradzić – okazuje się później, że ten, co go wziął, ze zdenerwowania nie zarepetował broni. Podniosłem pokrywę, załadowałem i km otworzył ogień. Część Niemców uciekła pod pobliski most i też rozpoczęła ostrzał z ukrycia.

W akcji miały miejsce błędy. Mam pretensje o to, że głównodowodzący jest nie w mundurze niemieckim – on w razie wpadki nie odpowie – przecież konwencja genewska nie pozwala w mundurach nieprzyjacielskich prowadzić akcji bojowej. W razie czego żołnierze w pierwszej kolejności pójdą w rozwałkę, a dowódca ma szansę wyjść z opresji – to nie w porządku. Jeśli partyzanta dopadną w mundurze niemieckim, to kara śmierci jest gwarantowana. Mało tego, ta kara może być jeszcze dzisiaj wymierzona. Z tym, że ja miałem rozkaz, a rozkazodawcą był Waclaw. Ponadto, niepotrzebnie żołnierzy w błoto wprowadził. I trzeci błąd to przeciągnięcie pociągu co zdekspiowało siedzących w drugim wagonie będących bez przebrania partyzantów

Mogliśmy się na tej akcji obłowić w broń i amunicję, a myśmy ten bunkier podpalili, bo nie było innego wyjścia. Jedyne pożytkiem z akcji to narobienie hałasu na całą Wileńszczyznę, i to takiego, że nawet prasa podziemna wzmiankowała o tym.

Po tej akcji, wycofując się, znowu ten karabin maszynowy zaciął się – znowu musiałem go uruchomić. Potem na rozkaz Wilhelma – dowódcy brygady – musiałem zrobić pokaz, jak taki km się obsługuje, jak on funkcjonuje i jak usuwa się ewentualne zacięcia. Zrobiłem pokaz i Wilhelm udzielił mi pochwały i obiecał publicznie, że „krzyż walecznych mnie nie minie” – dobrze, że kawałek żelaza w krzyż mnie nie trafił – nigdy obiecanego się nie doczekałem. Wszyscy tę akcję opisują, pomijając jej jeszcze jeden, wielce paskudny element. Trzeba było przecież coś zrobić z litewskimi policjantami. Byli świadkami. Mogli zidentyfikować partyzantów – byli przecież praktycznie ich sąsiadami – mieszkali tuż obok. To jeden z elementów trudnej walki partyzanckiej – musieli zginąć. Rozwaliliśmy ich. Sposób likwidacji był skrajnie niehumanitarny. Nawet nie pochowano zwłok – a to niegodziwe. Rozebrano ich do kalesonów, zabrano im wszystko, łącznie z obrączką i pierścionkiem i z tyłu strzelono im w łeb – i to jednemu strzelono, drugi zaczął uciekać i cała brygada za nim strzelała. Po zabiciu – jak opowiada partyzant „Wilk” – jeszcze jak wyzionął ducha, to fujara mu stała. A najgorsze to, że kiedy później uciekłem z transportu do Rosji, to droga ucieczki szła tamtędy – znalazłem ich gołe kości – ich widok dotąd mnie prześladowuje.

Widok kości ludzi rozstrzelanych. To niegodziwe, winni być przecież chociaż pogrzebani, a nie pozostawieni na pastwę psów i lisów. Nie było komu pochować – to nie jest ładne – jest to jedno z paskudnych obliczy wojny.

Kiedyś wzięliśmy jeńców pod Hajbeżowicami – ja ich nie poszedłem bronić. To byli żołnierze niemieccy – Ślązacy spod Opola. Zasadą w brygadzie u Wilhelma było puszczać żołnierzy niemieckich po ich rozbrojeniu, ale nie zawsze była przestrzegana.

Wziąłem kiedyś do niewoli samochód i dowódcę kompanii piekarni polowej wraz z jego kierowcą. Samochód został zabrany, zabraliśmy karabiny i pistolety tym dwóm żołnierzom – ubrano ich w cywilne ubranie i puszczono.

Jak natomiast była wcześniejsza akcja pod Hajbeżowicami – tam się ci Ślązacy poddali. Tam ja cały pluton poprowadziłem do natarcia na drodze do Wilna – stamtąd mnie wycofali. Z 395 dywizji poszła kompania odbić wcześniej zdobyty przez nas samochód – szli taką wielką, wzorcową tyralierą. Rzadko, od zachodniej strony, równoległe do samochodu, już zaczęli nas ostrzeliwać. Wycofałem żołnierzy i cały pluton, który został ze mną -drużyna Warchoła, Strzały i moja. Podciągnąłem ludzi nad Wakę. Nad Waką komendant przez sanitariuszkę, która przyjechała na koniu, odwołał mnie. Nie wykonałem rozkazu. Przegrupowałem oddział. Nie wykonałem rozkazu nie z próżności lecz ze strachu, ja się bałem o jedno – jak oddział dostanie rozkaz: „wycofać się” i pójdzie w popłoch, w rozsypkę, to ci Niemcy idący tyralierą wystrzelają ich jak kaczki. Niemcy wstrzelali się już

moździerzem wzdłuż Waki – ostrzał trwał. Sanitariuszka Teo przywiozła rozkaz wycofania się (potem we wspomnieniach opisywała, że ją ostrzeliwały samoloty – a to był zwykły moździerz i to zaledwie chyba ósemka).

Ludzi pojedynczo wysyłam na polną drogę między płachetkami żyta z rozkazem: „Padnij!” – tak jak na manewrach – każdego wyciągnąłem pojedynczo spod ostrzału nad rzeki i kazałem zalec na tej śródpolnej drodze. Wszyscy żywi, pojedynczo dobiegli do drogi mimo ognia ze strony niemieckiej tyraliery. Droga polna parę metrów dalej przechodziła w wąwóz. Uspokoilem podwładnych. Wy tłumaczyłem im, że Niemców jest dużo, że muszą przejść ten wąwóz. Każdy ma spokojnie leżeć w życie i jednego wziąć na cel. Poczekajcie, aż podejda i się wystawia – mają tak blisko podejść, aż będą dobrze widoczne ich odznaki – jak już je rozróżniasz, to trzymaj takiego na muszce. I każdy wybrał jednego – ja też. Na jedną komendę otworzyliśmy ogień. Dostali jedną salwę i cały niemiecki oddział poszedł w rozsypkę. Nasz partyzancki, konny zwiad zajechał ich z boku i wszyscy się poddali. Niemcy poddając się – każdy z nich wyrzucił z broni zamek. Ich broń stała się dla nas bezużyteczna. Okazuje się, że tam pełno Ślązaków i ja nie poszedłem za nimi optować. Ich żeśmy rozpierdolili – Kaczka zginął, Marchoń ciężko raniony umarł – paru naszych zostało zabitych w poprzedniej akcji i ci jeszcze zepsuli broń.

Był to oddział z dywizji Gilberta – ja tylko mam satysfakcję, że gefrajter wpierdolił Gilbertowi – całą kompanię mu rozpieprzyliśmy (ta kompania w tyralierze).

To jest jeden z nielicznych wypadków, kiedy rozwaliliśmy jeńców – ale trzeba było zebrać chociaż medaliony, chociaż jakiś grób zostawić.

Drugi przypadek miał miejsce wtedy, kiedy zdobyliśmy już Wilno. Trafiliśmy na wycofujące się czołgi – jeden z nich się uszkodził, to załoga zaskoczona przez nas – oficer popełnił samobójstwo, żołnierzy wziętych do niewoli rozstrzelaliśmy. Partyzanci, widząc trupie czaszki, uznali pancerników za SS – manów – dlatego zostali rozstrzelani.

Pistolet zdobyty na pancernikach zamieniłem na buty. Ja osobiście nikogo nie rozstrzelałem. Jeżeli używam liczby mnogiej to chodzi o oddział, w którym tym zajmowała się żandarmeria.

Zastrzeliliśmy kiedyś Żydka, który szedł do wrogiej nam, ruskiej partyzantki. Trudno mi o tym mówić. Tamte oddziały trudniły się bandytyzmem, rabunkiem i tępieniem polskiej partyzantki, rzadko można spotkać tak bestialskie mordy jakich dopuścili się w Puszczy Nalibockiej – same Naliboki były wyrzynane chyba ze trzy razy.

Za tę akcję – za zdobycie samochodu, za sformowanie z odpoczywających – zluzowanych drużyn jednego oddziału, który wbrew rozkazowi nie został wycofany, lecz

rozbił całą kompanię niemiecką z dywizji Gilberta – właściwie ją unicestwił, miałem przyrzeczone po raz kolejny Virtuti Militari – ale na przyrzeczeniu kolejnym się obeszło.

Wracając do rozstrzelanego chłopaka – amatora bolszewickiej partyzantki.... Szedł do wroga, szedł do Ruskich. Jego rodzice – wilnianie wyposażyli go w nowe ubranie, w nowe buty . Miałem wtedy trochę zimne układy z moim dowódcą. Ten „kot w butach” – bratanek Feliksa Dzierżyńskiego – podchorąży z folwarcznej drużyny, musiał awansować i zostać dowódcą drużyny. Musiałem ustąpić. Potem został dowódcą plutonu – chodził w takich butach.... Potem nazwali go „kotem w butach”. On nie potrafił komendy podać, ja nie wiem, jak on tą podchorążówkę ukończył. Zamiast „na pas broń”, to on mówił: „za pas broń” i żołnierze się z niego wyśmiewali, a on myślał, że to ja judzę, a ja faktycznie w tym udziale nie brałem – rozkaz to rozkaz, choćby był kulawy, to go wykonam. W Taboryszkach jest przegląd broni. Broń w partyzantce.... Taki „Lew” miał karabin, który kiedyś ukrywany długo leżał w błocie – miał wżery i ślady korozji... wyciągnięty z rzeki – jak to doczyścić taką broń ? Teraz jest przegląd broni i na takim przeglądzie w Taboryszkach – to przecież tam była Rzeczpospolita Wolna – komendant Wilhelm i „kot w butach” przeglądają tę broń, a ten Dzierżyński judzi na mnie – że nienależycie się staram. Wszystko dlatego, że do brygady przyszedł tam jego jakiś protegowany, pseudonim „Pilot” – sanitariusz Wojska Polskiego i tak mi było nieprzyjemnie, że komendant miał do mnie pretensje. Celem szykan Dzierżyńskiego było obsadzenie funkcji dowódcy mojej drużyny przez jego protegowanego.

Wy tłumaczyłem Wilhelmowi, że tej broni z wżerami nie da się wyczyścić – wżery – ja się na tym znam, nie mam po raz pierwszy karabinu w ręku. Powiedziałem, że nie chcę być drużynowym, skoro tak mnie oceniają. Niech pilnuje czyszczenia broni taki, co się na tym zna. Dali tego protegowanego na moje miejsce, na dowódcę drużyny.

Teraz o tym Żydziaku młodym. Jestem poza dowódcą, jestem w drużynie, wszystko wykonuję, żołnierze do mnie się zwracają jako do doświadczonego dowódcy, ignorując nieco faktycznego dowódcę, niezwykle niedoświadczonego i nieostrzelanego. Mamy iść na te Sołeczniki. Wilhelm nakazuje objąć mi z powrotem drużynę. Wzywa mnie w Szkorbucianach....więc idę.

Od czasu, kiedy komendant Wiesław zginął, przy komendzie jest żandarm – dyżurny. Wilhelm mnie wzywa i każe przejąć drużynę. Przychodzi Żydek. Dyżurny żandarm po mordzie go bije, że czapki nie zdjął przed komendantem. Ja to widzę – dzieciaka gówniarzem nazywa i w mordę wali. Oburzyło mnie to – powiedziałem, że wolę wykonywać wszystkie rozkazy, ale rezygnuję z dowództwa – to nie dla mnie – nie chcę dowodzić, zaszczyty są mi niepotrzebne i nie przejąłem tej drużyny. Potem ten Żydziak wyszedł z komendantury i jemu

kazali uciekać.... Strzelono mu w plecy. W partyzantce tak jest – z reguły, jak się ktoś napatoczy i dostanie do komendantury, to się go wpuszcza, ale z reguły już się go nie wypuszcza – rozumiesz – za dużo widzi, za dużo wie. Żydka przyprowadzili, bo kręcił się w pobliżu, a on szedł do ruskiego oddziału – miał tam nagrane i on o tym powiedział, no to już wydał na siebie wyrok. Jak mu żandarm przypierdolił w plecy, to się nogami nakrył. Zaraz mu te buty zdjęli – buty dali Tosi, bo to mała nóżka – chłopak miał 15, może 16 lat – też drobny, a ona miała małą nogę – ona mi do dziś dnia wypomina, że dałem jej buty z trupa. Te buty były nowe, więc ją bardzo mocno pocierały – długo kurowała nogi. Twierdzi, że jakby wiedziała, że buty są po zabitym Żydziaku, to by ich nie nosiła.

Ta wiedza mogłaby być wykorzystana przeciwko Polsce i jej dobremu imieniu – lepiej o tym nie mówić.

Tak jak lepiej nie mówić o tej zasłyszanej w brygadzie sprawie o likwidacji rosyjskiej łączniczki wraz z dzieciakiem. To miało miejsce, zanim trafiłem do brygady.

Żydowska łączniczka z jakiegoś rosyjskiego, komunistycznego oddziału partyzanckiego. To słyszałem. Została zatrzymana baba z rannym wyrostkiem, doprowadzono ją do komendantury. Nie można jej było puścić wolno, więc była niby w areszcie. Wszystko widziała, wszystkiemu się przysłuchiwała. Trwało to jakiś czas. Wszyscy ją wykorzystywali seksualnie, każdemu dawała, bo musiała. Potem komendant musiał coś z tym zrobić. Była przez swoją wiedzę groźna dla oddziału. Rozwalono ją – dzieciaka też. Namiętnie się kochała w zamian za życie dziecka – nie dotrzymano słowa, a przyrzekali, że nie zabiją. Takie świństwo było w brygadzie. Baba była w oddziale rosyjskiej partyzantki.

W ruskiej partyzantce było sporo Żydów. W polskiej ich się nie spotykało. Paskudnie zachowywali się w 1939 roku – wskazywali Polaków ruskiemu NKWD – kogo wybrać. Żydzi wydawali ruskim Polaków. Strzałkowskiego ojca wydali, że to był oficer legionowy i miał *Virtuti Militari*. Miał z tego tytułu jakieś pieniądze – stały dochód. Żyd mu w sklepie dawał na kredyt pod te pieniądze pewne za legiony i krzyż. Tyle, ile pieniędzy dostawał za *Virtuti* – taki miał kredyt. Żyd o tym wiedział – że to odznaczony legionista – wydał go ruskim. Oficer z Krzyżem – zamordowali go. To podobna sytuacja jak w Jedwabnem. Trudno się czasem dziwić chęci odwetu, a jak jeszcze Niemcy chytrze podbechtali to wiadome skutki, tak się stało w Jedwabnem. Przyszli Ruscy, to Żydzi zaraz utworzyli „Komsomol” – młodzieżową organizację stalinowską i wydawali Polaków, a potem Polacy się mścili – to takie paskudztwo wojny i zawiłych stosunków narodowościowych i – podsycanych przez Niemców – rasowych.

Jak się nasz oddział partyzancki zwiększył, to musieli zatrzymaną łączniczkę komunistycznej partyzantki, Żydówkę zlikwidować, bo zaczęła być groźna – nie wiadomo komu i w jakim celu przekazałaby pozyskaną wiedzę. Świadek musiał być zlikwidowany. Syn jej był ranny – leżał na wozie u Żemajtisa – on miał dwa pseudonimy – był znachorem. Chłopaka też zlikwidowano.

To są odrażające strony wojny i partyzantki. Wojna to trudne decyzje, demoralizacja – potworność. W partyzantce byli młodzi ludzie, którym dano karabin, zdeorientowani politycznie i moralnie, odcięci od godziwego świata wartości, przelewający krew cudzą i własną – złożony temat.

Był taki Michał Boski z hrabiowskiego rodu – na pewno herbowy, i on był też w pierwszym okresie dowódcą drużyny. On mi opowiadał, jak był pouczony, jak miał tam kogoś zabić – miał wykonać wyrok wydany przez sąd podziemny. Był autentyczny prokurator, adwokat i sędzia – sądy funkcjonowały według cywilizowanych reguł. Ktoś musiał wykonywać wyroki sądów. Zabijano konfidentów. Michał Boski – „Jasieńczyk” – był pouczony, jak ma to wykonać – zrobić. Białorusin, skazany na rozwałkę, modlił się i tego „amen” nie chce powiedzieć, bo padnie strzał, a ksiądz Praisner uczył, że należy strzelić dopiero, jak skazany powie: „amen”. Tak chłopak, 18 czy 19 lat, wykonujący wyroki, ma charakter spaprany do końca życia. Zastrzelił skazańca, mimo braku „amen” – on tej śmierci nie mógł zapomnieć. Inne wyroki też wykonywał. Chłop trzydzieści lat po wojnie powiesił się – całe życie miał depresję i nie mógł darować sobie zabicia skazanego, zanim ten nie skończył modlitwy.

Trudno jest sprawować władzę na terenie, gdzie nie ma innego prawa jak karabin. Sprawiedliwość trzeba było wymierzać czasem bardziej formalnie, czasem mniej, z poszanowaniem reguł wiary, czasem bez – to wojna.

Jeden z najbardziej ponurych obrazów wojny, który tkwi mi w głowie, to smród trupi – tak gęsty, że można go „kroić nożem”. To potworny okres na przyczółku Kirisi. Tam były takie zwały trupów, że często trupia maź wciekała do okopów. W czasie upału niewyobrażalny smród. Nic tak strasznie nie śmierdzi jak masy ludzkich gnijących zwłok.

Wielkie wrażenie zrobił na mnie widok śmierci zadanej przez komary – uduszenie rannego przez komary. W historii wojny jest taka postać znana „Własow” i formacja własowców. Własow i jego dywizja – armia. Ja, będąc w wojsku niemieckim, nie szedłem na przód – ja broniłem się i cofałem – to taki etap wojny. Po własowcach przechodziłem przez ich teren. Było tam mnóstwo trupów. Byli też tacy, którzy oberwali w płuca, takim też krew wydostaje się przez nos i usta. Widziałem zakneblowanych – uduszonych przez komary –

kneble z setką tysięcy komarów chcących się opić wydobywającą się krwią. Rannych własowców nie zbierano z pola walki. Konali w błocie, w tym uduszeni przez komary. Krew jest tak natleniona, że się pieni, a tą pianę obsiadały komary – to było pod Wałchowem. Kłęby komarów dusiły rannych żołnierzy.

Sposób zastrzelenia, który utkwiał mi szczególnie w pamięci – to było w partyzantce. Przy akcji „Burza” dostaliśmy broń, która cały czas była w magazynach – był to doskonały sprzęt bojowy. Trzymano go na nie wiem, jaki czas, każąc nam walczyć bronią dużo gorszą. To jest taka potworność. My musieliśmy, jako partyzanci, broń zdobywać, a tu były pełne magazyny.

Jak Rusczy przyszli – akcja Burza – to całą broń doskonałej jakości wydano. Dostałem z tych magazynów karabin z lunetką – snajperski – strzelców górskich. Nie miałem możliwości jej wypróbowania. Ta załoga z czołgu, który się zepsuł – ten, który wpadł nam w ręce – pisałem....

Czarny Jan wysłał nas na sprawdzenie moich wiadomości – nie było kandydatów na niższe stopnie oficerskie. Dla mnie to jak pokazówka. Jest wioska Sorok Tatarzy, a w niej łaźnia. W Łażni zatrzymała się załoga czołgowa. Ludność powiadomiła nas, że tam są właśnie Niemcy. Teren generalnie jest już zajęty przez Ruskich. Wilhelm wysłał mnie z trzema drużynami – idziemy przesieką – mamy wziąć Niemców do niewoli. Okrążam tą łaźnię w Sorok Tatarach, za górką robię zasadzkę, a sam idę rozbroić tych Niemców. Ostrzeliwujemy łaźnię i Niemcy w nogi. Jest dwóch oficerów i trzech szeregowych. Uciekają. Ja za nimi wrzeszczę po niemiecku, żeby się poddali, że są okrążeni. Wrzeszczę, a oni nie reagują. Przedostatniego wziąłem na muszkę, przycelowałem i pachał w serce, tak, jak mnie uczono. Pada, drugi kładzie się koło niego i unosi na kolanach z podniesionymi rękami. Podchodzę, odwracam zabitego, a on ma całą głowę rozniesioną. Straszny, makabryczny widok. Okazało się, że ten Niemiec miał pistolet, trafiony w serce padł, a pistolet wypalił mu w taki sposób, że rozniosło mu głowę. Kazałem wziąć temu, który poddał się, klęcząc obok: identyfikator, portfel i obrączkę i poprosiłem, aby zawiadomił rodzinę poległego – sam zabrałem pistolet i lornetkę – reszta żołnierzy ucieka. Czarny Jan stoi z dala i całą akcją obserwuje jak na ćwiczeniach – na poligonie. Uciekający Niemcy zostają zlikwidowani. Zaraz po akcji doliczył się, że brakuje jednego, zdobycznego pistoletu, a ja go miałem za bluzą – musiałem go oddać.

Ponary – wzgórze sportów wojskowych i cywilnych dla młodzieży w okresie przedwojennym. Jak weszli Sowieci, zamienili to na tereny państwowe – zrobili kołchoz, były

tam magazyny i koszary rosyjskie. Po wkroczeniu Niemców była to ziemia niczyja. Były tam pagórki, doły. Nikogo nie trzeba było wywłaszczać. Była tam idealna możliwość popelnienia mordów niekontrolowanych. Jak Litwa poszła na współpracę z Niemcami, to najpierw tam na rozwałkę prowadzono Żydów, i to tych najbogatszych, często robiono to w celach rabunkowych. Całe oddziały litewskie Strzelców Ponarskich – to były najpierw wydzielone oddziały litewskie, które zajmowały się rozwałkami. Pod płaszczykiem przysługi Niemcom i przy tych żydowskich sprawach prowadzono też etniczne rozgrywki. Między innymi w czasie okupacji litewsko – niemieckiej, niektórzy tak to nazywają, młodzież się buntowała, szczególnie ta gimnazjalna. Do buntujących się należał Wicia Strzałkowski. Za Niemców Litwini wprowadzili policję litewską – wyrosnięte chłopcy z pióropuszcami jak ma indyk – młodzież litewska nazywała ich „kałakutasami”, albo przedrzeźniali tych wileńskich policjantów, na wszystkie sposoby im dokuczali. Z drugiej strony śpiewali pieśni patriotyczne na zakończenie mszy – „ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie” – tak kończono każde nabożeństwo. Litwini to prześladowali. Wicia Strzałkowski – taki wyrostek, głośno śpiewał i się im naraził. Oni go upolowali i odstawili na rozwałkę do Ponar. Przed Ponarami jest stacja „Ponary” i tam z pociągu go wyładowali wraz z innymi do likwidacji. Na stacji był jakiś stacyjny oficer niemiecki – jakiś SS – man. Wicia miał taką aryjską urodę, blondyn – więc ten Niemiec wypytał go, o co tu chodzi a mówił po śląsku i z tej kolumny na rozstrzelanie wyciągnął – oddzielił go niemieckim rozkazem (Litwini nie mieli nic do gadania) i pomógł mu uciec do domu.

Wicia od tego czasu kombinował, jak najszybciej zniknąć z oczu policji litewskiej i poszedł do Tońki – to był pierwszy oddział partyzancki. W tym oddziale wielce się zasłużył – może o tym zaświadczyć wielu wilniaków. On w oddziale Tońka staczał boje – zapłacił za to Workutą i Kaługą. Wrócił do Polski w 1946 roku – pierwsze kroki we Wrocławiu i tu osiadł na stałe. Z Witkiem o mało co nie rozbroiliśmy wrocławskiego UB – tam na Podwalu. Mówię oczywiście półżartem.

Jeśli chodzi o Ponary – o Murowaną Oszmiankę, oprócz Strzelców Ponarskich Niemcy powołali oddział do zwalczania ruchów partyzanckich – tak ruskich, jak i polskich. Litwini wykorzystywali to przede wszystkim do likwidacji polskiego ruchu oporu. To był oddział podporządkowany formacjom Plechowiczusa. Do zwalczania tego oddziału polskie władze podziemne podeszły z determinacją i surowością. Przygotowano zasadzkę. Cały ten oddział wpadł – tam został rozbrojony i rozebrany do kalesonów i ponizono tych żołnierzy. Prowadzono ich w kolumnie, pod eskortą, w kalesonach – w bieliźnie, do

samego Wilna. Musieli w tej bieliźnie wejść do samego miasta, aż pod komendanturę niemiecką. Do dziś dnia mają o to pretensje – za to poniżenie.

Polska zyskała na tej akcji broń – dużo broni i umundurowanie – partyzantka została poważnie zasilona. Niemcy te oddziały pro-niemieckie, skompromitowane akcją polskiego podziemia – rozwiązali, bo nie mogli uwierzyć, że cała jednostka mogła się dostać do niewoli. To tyle o akcji pod Murowaną Oszmianką.

Jak wyglądały stosunki litewsko – żydowskie i litewsko – rosyjskie, cały konglomerat tych stosunków? Układ: Litwini – Żydzi – Rosjanie – Polacy?

Jako obserwator mogę powiedzieć tyle: Wilno to dla mnie Ziemia Święta. Jak tam żyli przed 1939 rokiem, jest świadectwem, że może żyć wiele narodowości razem i obok siebie – wiele kultur wzajemnie przenikających się nie musi być negatywem, a na pewno pozytywem. Te kultury: Tatarów, Litwinów, Białorusinów, innych – wszystko razem z Żydostwem się mieszało. Przed wojną wcale tam nie było istotnych antagonizmów. Ci ludzie w tej kulturze – ta kultura była ubogacona ze wszystkich stron. Dopiero okupanci podsycili niesnaski i wywołali antagonizmy. Najpierw, jak tam przyszła Rosja, pierwsza okupacja zrobiła swoje. Potem doszło do takich antagonizmów, że wzajemnie siebie zabijano. Ja, patrząc jako obserwator, do końca nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak jest – a któż wśród nas nie jest bez winy? Między innymi jest taka akcja naszej 7 brygady – jeden z oddziałów poszedł do jednej miejscowości, gdzie żandarmeria kąpiel sobie wyznaczyła – całą tę żandarmerię oddział fizycznie zlikwidował. Mnie się to nie podobało, ale czy ja mogłem na ten temat coś... Ale ja nie byłem w tym oddziale likwidującym, ale niektórzy mają to sobie za zaszczyt. To – jakby nie było - była wojna bratobójcza. Była to obca żandarmeria, ale czy trzeba ją było wybić do nogi?

Rosyjska partyzantka, rosyjsko – żydowska – wszystko to było traktowane jak bandy. Wiadomo od samego początku, że najpierw powstała polska partyzantka – Oddział Kmicica szedł – chodził – razem z Markowem. Były to oddziały wspólnie działające. W wyniku zdrady oddział Kmicica został zlikwidowany – zresztą są to historyczne fakty, tak szeroko opisywane. Ja ich bezpośrednio nie obserwowałem, bo mnie przy tym nie było. Wiem z bezpośredniego przekazu, że ruska partyzantka tak Polakom dała... – spowodowała, że do tej krwawej rozgrywki doszło.

Jest znana uchwała Związku Białoruskiej Republiki, która kazała likwidować białą, czyli polską partyzantkę. Markow wykonywał tę uchwałę, podstępnie wymordował sztab i prawie cały oddział Kmicica.

Nieraz uczestniczyłem w rozprawkach i krwawych walkach z ruską partyzantką. Pod Kaniowem. Ja miałem szczęście – przeważnie z miejsca im w dupę dawałem – zawsze paru padło, a reszta uciekała. Na wielu patrolach się z nimi spotykałem. Powiedzmy nad jeziorem Pupiszki. Ptak został ranny, Baniewicz – no, ale ja im dałem w dupę tak, że tę miejscowość omijali szerokim łukiem.

Drużyna była ciągle służbowo – wiele miałem tam walk, bo tu nawet Sorok Tatarów]były 2 razy odwiedzone – pierwszy raz przeze mnie, gdzie obłowiliśmy się w broń, którą sami Niemcy pomagali nam zdobywać, a drugi raz, jak była akcja Burza – a tak 7 brygada Wilhelma tam dalej nie dochodziła.

Moje pierwsze kroki w Polsce po repatriacji. KG – bista „nostryfikował” mi dokumenty”. Nie, to nie był KG – bista, tylko Polak ze Związku Patriotów Polskich. W historii Wileńskiego AK są wielkie luki – szczególnie z okresu po rozbrojeniu. Wiele ludzi wypowiada się na ten temat. Według mnie większość nie zna faktów, a spekuluje i konfabuluje.

Poza tym w czasie drugiej okupacji – tej bolszewickiej, nie wszystkie działania były godne pochwały czy szacunku – czasem naprawdę trudno się nimi chwalić. Każdy robak chce żyć - tym bardziej partyzant porzucony na łaskę władz sowieckich. Przyszła ruska władza, prasa pisze, jak partyzantka mogła zdobyć Wilno – to i owo – a w rezultacie chleba trzeba. Żołnierze wyszli z lasu „na golasa” i każdy musi gdzieś się zaczepić, jeść, ubrać się...

Uciekłem z marszu do Miednik – miejscowi poszli, a ja, jak ktoś mnie prowadzi pod bronią, pod bagnetem i mówi: krok w lewo, krok w prawo, „budu strielać”, to ja nie wierzyłem, że oni mnie chcieli przemundurować. Uciekłem. Skorbuciany były „stolicą” naszego oddziału, doszedłem do Skorbucian z (Strzała pseudonim) Brylem.

Tak się złożyło, że poszedłem do pracy, dostałem „bronierówkę”, pracowałem w Instytucie Geologicznym. Tam spotkałem tego oficera, który ode mnie przysięgę odbierał – dowiedziałem się wtedy, że on się nazywa dr Wendaker, że jest inżynier, geolog. A że mieliśmy wspólnych znajomych – państwa Leszczyńskich, tośmy się dogadali – on mnie zatrudnił u siebie jako „zabojszczyka” – miałem być wiertacz, uczył mnie – po drodze szliśmy zakładać drużynę poszukującą kredy. Odebrałem od niego instrukcje. Byłem grupowym odwiertu. Nauczyłem się, co to jest „zabojszczyk”, co to jest korektor, zbierania

skrzynek, pobierania próbek itd. Na spacerze dostałem krótkie, ustne przeszkolenie – no, a myśmy przecież tylko mieli pozorować prowadzenie prac – wiercenia. Praktycznie Instytut to była komórka legalizacyjna. Tyle się o tym pisze, tylu znawców tematu jest, ale większość to konfabulacje i półprawdy wypisuje.

Ja cały ten okres, od rozbrojenia do lutego następnego roku, byłem w obronie tej komórki legalizacyjnej – ochraniałem ją. Jako zdyscyplinowany konspirator – nie obchodziły mnie nazwiska i te inne sprawy. To, co kazano, to robiłem. Ten dr Wendeker pracował w Instytucie Geologicznym na Mickiewicza, a dyrektorem był prof. Pasendorfer (jak reżyser filmowy). Ten Pasendorfer organizował prace komórki legalizacyjnej. Prace tak daleko posunięte, żeśmy przygotowywali doskonały dokument – Hauseny tam byli – najlepszym fałszerzem był Oskar Hausen – on tak dokumenty odpierdzielił, że nikt nie mógł się zorientować, że to fałszywki. Oni tam piszą o Kiałce, o Bóg wie kim, a tu najlepszym był Oskar Hausen. Piszą o Kucharskim – ale ja się dokładnie nie mogę wypowiadać – nie byłem szczegółowo wtajemniczony. W tym Instytucie pracując, chodziliśmy po żywność dla punktów sanitarnych, a poza tym żyć trzeba było. Taka Lila Dobrzycka przywoziła kartofle i mąkę, do tego trzeba było i słoniny – trzeba było i świnię zdobyć. Nie będę o tym wszystkim mówił, bo to wiele spraw wstydliwych i krępujących. Dość na tym, że się przeżyło – przeżyło się do momentu, kiedy zmieniono dyrektora Instytutu Geologicznego – Pasendorfera aresztowali, czy Wendekera aresztowali, to nie wiem.

Byłem młody, miałem wszystkie włosy, była tam w Instytucie taka Żydówka z ramienia rosyjskiej władzy, ona była kierownikiem robót. Ja jej podlegałem w jakiś tam sposób.

Ona była ładna, a ja też ją trochę podszczypywałem – smałem cholewki. To ona w pewnym momencie mówi mi: „słuchaj ... wsypa jest – nie przychodź tu już więcej - znikaj!” Ostrzegła mnie – więcej nie przyszedłem – nie dopadło mnie NKWD.

Prawdopodobnie ocaliła mi życie. Związek Patriotów Polskich działa – werbuje do ruskiej armii – wszyscy muszą iść – dla wyboru mogłem iść do armii polskiej – poszedłem więc do polskiej.

Przede wszystkim ja tam w Instytucie pracowałem jako Bolesław Hebrowski, mam litewskie dokumenty tożsamości. Miałem tam bronierówkę – do tego dokumentu (bronierówka – dokument zwalniający od służby wojskowej) – bardzo potrzebną do przeżycia. Jak wierciliśmy w Czernic – daleko, zatrzymał nas konny, ruski patrol, zobaczyli zegarek na ręce i chcieli mnie zakatrupić. Dwóch ich na koniu jest, automaty na piersi mają, zażądali dokumentów – to ja im daję dokumenty, a on do tego drugiego mówi:

„smotri – czasy”. Ten drugi z pleców przekłada pepeszatkę na przód. Droga jest mi dobrze znana – dzieje się to na skraju lasu. Ja między te drzewa i w nogi. Oni postrzelali, ale uszedłem z życiem, z tym, że bez dokumentów. Zegarek zachowałem, ale papierów brak – do Wilna wejść nie mogę, bo obstawione roгатki i mobilne patrole. Znając Wilno, lażłem wzdłuż Wilejki – bokami w miasto wlażłem.

Dokument w Instytucie przygotowali mi od ręki – w komórce legalizacyjnej. Teraz dowiaduję się, że jest wsypa. Ja z tym dokumentem idę do Związku Patriotów na ul. Artyleryjską. Przedstawiam dokument. Siedzi podpułkownik polski i jakiś ruski. Ruski wychodzi, zostaje tylko polski, moja kolejka dochodzi. Ja daję papiery, „którym transportem?” – ja mówię: „pierwszym najbliższym”. On się ogląda i mówi: „ja tak i myślałem, no i ty, ty głupcze, cztery lata okupacji, a ty paszport masz z pod sztancy, jak wydany wczoraj. Chociaż byś go na ziemię położył i pobrudził. Cicho. Ja te dokumenty już wkładam do kieszeni, a on je wziął, otworzył, splunął, położył na podłogę, obcasem przycisnął i przekreślił, podniósł – „teraz są w porządku, możesz do polskiej armii”.

Dostałem kwitek i już mam skierowanie. Jadę do Rzeszowa. Prawie cały swój osobisty dobytek pozostawiłem w Wilnie. W Rzeszowie oczyścili mnie do reszty z wszystkiego i jeszcze w dupę dostałem. Zabrali zegarek. Tak mnie przyjęła odrodzona Armia Polska. Dostałem piękny płaszcz komisarza bolszewickiego – szary z wypchanymi ramionami, żeby wszyscy wiedzieli, że ja jestem zdrajca – to takie układy na tym świecie....

Jedno zdjęcie mi zostało – dziewczyny, u której się ukrywałem – to szef kompanii myślał, że to foto jakiejś artystki i to mi zabrał i do swojej szafki wsadził.

Przyszedłem do wojska komunistycznego jako szeregowy Bolesław Hebrowski. No i pierwsze ćwiczenia, jak zawsze – na ramię broń, do nogi broń. A jak zacznasz, to od gimnastyki z rozkrokiem: „w podskoku, skłony tułowia w prawo, w lewo itd..... jak w wojsku... a potem broń dali, naturalnie do ćwiczeń tylko. Przygotowanie do defilady, do przysięgi, a tu żołnierz dupa, proszę ciebie. Chłopa kupa, zaraz mnie tam wyłowił dowódca – Stanisław Wolański. Dość na tym, że robimy: „na ramię broń”. Nazwisko – Hebrowski – wystąp – na trzy kroki na przód, jak to tam się robi w wojsku, spocznij. Wlecze mnie na bok – tam jest dowódca kompanii. Gdzieście służyli. Ja tam przed wojną musztrę ze Strzelca znam. No nie gadajcie, nikt was nie tego.... My nie z NKWD, pomóżcie wychowywać – wykształcić tego rekruta.... ja wiem, że te wasze chwyty bronią to dobrze wyćwiczone – zdradzają was, ja mówię – no cholera jasna, nie można ukryć – no, byłem w partyzantce (Stanisław Wolański - dowódca). Ten

oficer – dowódca kompanii, Polak z Żytomierza – patriota, jakich teraz mało jest. No i pomagałem, szkoliłem żołnierza – dobrze wyszkoliłem kompanię. Oddelegowali mnie do komendanta wojennego Rzeszowa. Wracamy z komendantury, a tu jednostka poszła na front, a my – przyprowadzili jakichś nowych żołnierzy do pułku, ale pułku nie ma – poszedł na front. Jakieś przyszły rozkazy. Trzeba jechać na banderowców. Tak wszyscy, cośmy byli odkomenderowani do komendanta wojennego miasta Rzeszowa, mieliśmy jechać na banderowców. Oleszyce, Cieszanów, Łubieniec – niedawno w telewizji ten Łubieniec pokazywali – on jest po stronie chyba białoruskiej. Tomsy, Bachury. Jedziemy sztudebakerem. Wszyscy mamy pepeszatki, jedziemy przez taką wioskę, która się pali. Zatrzymujemy się dopiero chyba w mieście powiatowym Cieszanów. Popłoch w Cieszanowie. Ukraińcy przesyłają wiadomości – gestem ręki, że nas wszystkich wyróżną w tym mieście (to chyba było gdzieś koło Wielkanocy). Pospolite ruszenie tam się robi – późniejsza milicja (czy rezerwa Milicji Obywatelskiej). Kto może, broń nosi. To się wszystko w kupy jednoczy. No i warty wystawiają. Jedziemy przywozić dobytek tych, co uciekli z pożogi wywołanej przez UPA, tych, co z życiem uszli. Tam główka od maszyny, tam ubranie itp. To wszystko pakujemy i zwozimy.

Mamy wyjeżdżać. Zostajemy ostrzelani. Strzelają do nas i uciekają. My mamy automaty tak rozkalibrowane, że nasz ogień jest nieskuteczny – pociski koziołkują. Oni na górcę dupę wypinają i krzyczą: „lachu, lachu, pocałuj mnie w sraku!” i poszli, a my byliśmy bezradni.

W tej właśnie wiosce ściągałem dzieci wbite na sztachety – jest taka wioska Bachury. Wchodzimy. Tadeusz Kołyszko, ja, jeszcze trzeci – myśmy naszyli sobie na kołnierzyki znaki piechoty – żółto niebieskie. Takie proporczyki strzelca z cenzusem. Wchodzimy do chaty. Cała wioska pusta, a w jednej chacie dwóch staruchów. Wchodzimy. Ach! Nasi przyszli, tego. Ten się rwie – ja wam dam nasi. Rugam go: przecież widzisz, że to starzy ludzie. A wody przynieście, chłopaki – idziemy do tej studni, a ta studnia pełna trupów, nie ma skąd wody wziąć wydobywaliśmy tych potopionych i tych co jak wody nie stało to ukamienowano. Patrzymy, a na sztachetach dzieci. Nie takie niemowlęta. Jak jest sztacheta – dwie boczne ułamane poza tą i na tą środkową dziecko nadziane, jak na pal męczeństwa i naturalnie trupy rozkładające się – oni strzelali do nich – uczyli się celować do Lachów, do dzieciaków wbitych na sztachety!! Dzisiaj mówią, że ileś ich tam tysięcy wyginęło w akcji przesiedlenia – w akcji Wisła. Ale ileż naszych przedtem wyginęło! Jak wpadliśmy w

zasadzkę, to z tego mojego plutonu dwudziestu sześciu leży w Rzeszowie na cmentarzu. Wysłany z Rzeszowa do Oleszyc oddział – miał zabezpieczyć pozostałe mienie i udzielić pomocy tym, którzy uciekli przed wymordowaniem pozostawiając cały swój dobytek. Jeździliśmy po okolicznych wioskach i różnie bywało. Albo cała wieś spalona, albo bezludna. Zastawaliśmy czasem studnie pełne trupów lub te dzieciaczki niewinne na sztachetach, okopności, które mnie do dziś prześladują (wzrok nawala, a serce – zapomnieć nie pozwala).

Wysłano z Rzeszowa pomocny nam oddział, który kilku oddelegowanych wprowadzał na nasz teren działania. Ta właśnie przysłana nam pomoc wpadła w zasadzkę a nas oddelegowanych nie mogliśmy ochronić. Żołnierze byli niewyszkoleni, nieostrzelani. Obrzucili nas granatami, rannych dobili bagnetem, rozebrali ich ze wszystkiego. Została tylko jakaś sanitariuszka – jakiś Ukrainiec z litości wpiął jej tryzub w piersi, w bluzę – nie zabili jej, sądząc, że to „swoja”. Nawet butów jej nie zdjęli. Ja ją potem stamtąd odprowadzałem. Ci żołnierze leżą na cmentarzu w Rzeszowie jako NN – ale jak to może być, że NN. To moi koledzy z jednostki. Przecież wszyscy byli wcieleni do wojska, przecież była dokumentacja osobowa. NN – żart, przecież matki powinny wiedzieć, gdzie są pochowani ich synowie. To jest niegodziwe. Był program w TV, że to NN – przecież to nie prawda. Cmentarz jest za miastem i tam jest grób – słynny grób – nie tam, gdzie Lisa – Kuli – tam wyżej jest grób 26 NN – naszych kolegów. To ten oddział, co z Rzeszowa wyjechał i wybity jak wpadliśmy w zasadzkę – z zasadzki wyszedłem żywy ja – jeden ruski też frontowy podoficer, dowódca i ta sanitariuszka, co jej nie dobili. Cały samochód trupów z tej zasadzki przywieźli do Rzeszowa – to w tym miejscu, gdzie stał nasz pułk – już byli nowi żołnierze – nie było komu nawet z honorem ich pogrzebać. Rękę miałem przestrzeloną. UPA polowało na nasz oddział. Jak myśmy wracali do Cieszanowa, to oni uszykowali zasadzkę. Tam zresztą wszystkie wsie były przygotowane do zasadzek. Były pokopane okopy strzeleckie, przygotowane wnęki – wsie były puste, ale uszykowane do ekstra – działań. Przejechaliśmy przez Lasek Zapalowski – zawsze przechodziliśmy tam marszem ubezpieczonym, ale dowódcą był – nie pamiętam – był, służył w Legii Cudzoziemskiej – miał zasadę: jeśli dostaniemy ognia z prawej, to pozycja obronna z lewej, lub odwrotnie – kazał jechać, zlekceważył zasady bezpieczeństwa. Powinniśmy posuwać się marszem ubezpieczonym, a on tego zaniedbał – dojechaliśmy do lasu, ktoś rzucił granat, padły strzały, ja mam zdobyczny km, otwieram ogień, UPA przerwało ogień, nasi zeskoczyli z samochodu i wskoczyli do rowu jak barany, a oni obrzucili to granatami

– ich wytłukli. Jak wyszliśmy w trójkę z tej zasadzki, to schroniliśmy się u księdza w jakiejś parafii, a ten ruski – ja się z nim całowałem, bo myślałem, że to już ostatnia godzina. Doszliśmy do wioski, gdzie było pospolite ruszenie. Dzwon dzwoni, żelastwa jakieś, ktoś wyskoczył, ludność się ubezpieczała i od jednych i od drugich. Byli ofiarami rozgrywek polsko – ukraińskich. Często pomagała – wskazując właściwą drogę – tak, żeby iść i nie oberwać.

Przyjechaliśmy z powrotem do Rzeszowa. Właśnie wtedy ten Brajter wpakował mnie do Oficerskiej Szkoły Piechoty. Najpierw chciał mnie wysłać do Łodzi – do Szkoły Politruków, a? – ty nie chcesz? – ale oficer to z ciebie, musi być, i tak poszedłem, jako Chebrowski do drugiej Armii Wojska Polskiego – najpierw na miejsce zapasowego pułku piechoty, który w Lublinie na Majdanku stał. W tym okresie zamek lubelski był katownią UB i NKWD. Najpierw, jak weszli, to w Lublinie była procesja Bożego Ciała – Ruscy pod pachą prowadzili księdza! A potem bez litości mordowali. Nie ma co tu opisywać – to sprawy szeroko znane.

Pozwolę sobie dołączyć w tym miejscu relację towarzysza broni wraz z listem do władz Rzeszowa oraz relację pisemną nie znanego mi autora i z nie znanego mi publikatora. Różnimy się nieco w faktach dotyczących liczby i osób ocalałych pod Oleszycami ale pozostałe informacje są zgodne z moją wiedzą i uzupełniają moją narrację. Pozwoli to lepiej zrozumieć okres walk z bandami UPA.

„Oleszyce”

Krótki opis sytuacji w powiatach: lubaczowskim, jarosławskim i częściowo przemyskim znajdujący się w nie zidentyfikowanej publikacji, ale odpowiadający znanemu mi stanowi faktycznemu w czasie mojego epizodu z walk z UPA.

W miejscowościach i wsiach przeznaczonych do pacyfikacji przez oddziały „Żeleźniaka” budynki drewniane miały być spalone, a murowane zburzone, załoga posterunków natomiast – zlikwidowana. W toku akcji upowcy podpalili nie tylko posterunki, ale także prywatne domy, strzelali nie tylko do milicjantów, ale i do cywilów. Bandy UPA zlikwidowały tej nocy posterunki Milicji Obywatelskiej: w Łówczy, Puchaczach, w Nowym Siole, w Chotylibiu, w

Wólce Horynieckiej, w Zalesiu, w Zapałowie, w Laszkach, w Nowej Grobli, Krowicy, Płazowie, Cewkowie i wielu innych. Ogółem zamordowano 30 milicjantów, 9 zostało rannych, 10 natomiast uprowadzono do lasu i tam prawdopodobnie pozbawiono życia. Ponadto zamordowano 43 osoby cywilne, a setki zabudowań spalono.

23 kwietnia 1945 roku pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa spotkali przy ulicy 9 Maja w Lubaczowie – dwóch ludzi w mundurach radzieckich. Ponieważ wydali im się podejrzani, podeszli do nich i nawiązali rozmowę, w toku której zapytali, z jakiej są jednostki. Dwaj rzekomi oficerowie momentalnie wycofali się do tyłu, wyciągnęli pistolety z kieszeni i wymierzili je do funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wywiązała się strzelanina. W zamieszaniu upowcy – ponieważ właśnie to oni byli – wycofali się za budynki i zbiegli. W boju został śmiertelnie ranny funkcjonariusz MO Henryk Ciećkiewicz (urodzony w 1921 roku), który zgłosił się do pracy w Milicji na początku marca 1945 r. W pół godziny później zakończył życie.

Po kilku dniach, 28 kwietnia 1945 roku, do Komendy Powiatowej MO w Lubaczowie wpłynął kolejny meldunek: „... rano o godzinie 8 w lesie, niedaleko wsi Łukowiec, został zastrzelony komendant Posterunku MO Wielkie Oczy, kpr. Tadeusz Szechiński, który jechał furmanką z gospodarzem Józefem Ingrutem. Na tej samej furmance jechała nauczycielka z Wielkich Oczu do Lubaczowa – Wilhelmina Wilczyńska, która została śmiertelnie ranna; zmarła po półgodzinie. Woźnica również otrzymał postrzał, lecz rana nie była groźna. Bandyci zabrali broń i inne przedmioty znajdujące się na furmance i wycofali się w pobliskie lasy”.

Podobne meldunki o napadach na milicjantów lub żołnierzy WP napływały w tym czasie prawie codziennie.

Po marcowych napadach oddziałów UPA na posterunki MO w powiecie lubaczowskim, dzięki staraniom władz powiatowych oraz wojewódzkich w Rzeszowie, do powiatu przybyło w kwietniu 1945 roku kilka niedużych pododdziałów Wojska Polskiego z Rzeszowa. Między innymi do Oleszyc skierowany został pluton żołnierzy pod dowództwem podporucznika. Pluton zakwaterował w szkole w Oleszycach i wraz z załogą posterunku Milicji Obywatelskiej patrolował, zwłaszcza nocą, okoliczne tereny. Istniała bowiem obawa, że upowcy zamierzają spalić wieś Oleszyce Stare.

Pluton zaopatrywał się w żywność, amunicję itp. w Rzeszowie w swojej jednostce macierzystej. Do dyspozycji miał 2 samochody ciężarowe, które w razie potrzeby wysyłano do Rzeszowa. Każdorazowo w taką podróż jechało przynajmniej dwudziestu paru żołnierzy.

Pewnego razu, gdzieś w pierwszych dniach maja 1945 roku, podporucznik z 25 żołnierzami jak zwykle wyjechał po zaopatrzenie do Rzeszowa. W drodze powrotnej zabrał się z nimi milicjant Józef Wojtowicz z Posterunku MO Oleszyce. Pierwszy jechał samochód załadowany amunicją i żywnością, drugim zaś jechała ochrona, a oficer siedział w szoferce. W lesie zapałowskim, niedaleko przysiółka Tomse, upowcy zaatakowali samochód z ochroną, przepuściwszy pierwszy z zaopatrzeniem, jadący kilkanaście metrów przed drugim. Samochód z żołnierzami został obrzucony granatami i ostrzelany seriami z broni maszynowej. Kierowca i siedzący obok niego porucznik zginęli. Ci, co siedzieli na platformie i nie polegali od pierwszych pocisków, próbowali zeskakiwać i ostrzeliwać się, ale ulegli przeważającym siłom przeciwnika: padali martwi jeden po drugim, ginąc w ogniu broni maszynowej.

Kierowca pierwszego samochodu, usłyszawszy strzelaninę, od razu się zorientował, co to oznacza. Nacisnął więc gaz i pędził z możliwie największą szybkością. Banderowcy, widząc, że ucieka, próbowali go zatrzymać strzałami. Na szczęście kierowca zdołał umknąć. Przybywszy do Oleszyc, zaalarmował pozostałych żołnierzy oraz posterunek MO.

Gdy wpadł zadyszany i przerażony do budynku, już w drzwiach wołał:

„Banda UPA ostrzelała nasz samochód! W lesie zapałowskim! Strzelali i do mnie, ale jakoś udało mi się uciec. Słyszałem tylko wybuchy granatów i ostrą strzelaninę z broni maszynowej; co tam się dzieje, nie wiem”.

Jak stwierdził obecny tam wówczas Józef Witwicki, natychmiast zatelefonowano do Komendy Powiatowej w Lubaczowie, meldując o wydarzeniu. Szybko zorganizowana 30-osobowa grupa – 23 milicjantów i 7 żołnierzy – samochodem wojskowym udała się niezwłocznie na miejsce wydarzenia. Było już późne popołudnie i nawet zaczęło się trochę ściemniać. Po drodze w odległości około 3 kilometrów od lasu już z daleka zauważono wlokącego się rowem koło szosy żołnierza. Dostrzegłszy swoich, wyszedł na szosę i machając ręką, zatrzymał samochód.

Okazało się, że żołnierz był ranny i jako jeden jedyny uratował się z całej grupy.

„Ostrzelano nas silnym ogniem – opowiadał mi później. – Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, samochód momentalnie zjechał do rowu i silnik zgasł. Kierowca został na pewno zabity, my ze skrzyni zaczęliśmy zeskakiwać, strzelano do nas i nie wiadomo nawet było, z której strony. Żołnierze padali jak muchy na ziemię, jedni od razu ginęli, drudzy byli ranni. Próbowaliśmy strzelać, ale nic to nie dało. Nie mogliśmy się zorientować, z której strony bandyci nacierają. Było ich wszędzie pełno. W pewnym momencie dostałem postrzał w nogę; zapiekło tylko. Co tchu biegłem więc w gęsty las, jak najdalej od samochodu. Gdy dopadłem krzaków,

znalazłem w nich schronienie i siedziałem jakiś czas zupełnie cicho. Słyszałem jeszcze długo strzelaninę, a później jęki i krzyki kolegów, których chyba żywcem i mordowano.

Po jakimś czasie, gdy już wszystko ucichło, wyszedłem z krzaków i ostrożnie przemykałem się pomiędzy drzewami i tak dotarłem do drogi, nie napotkawszy nikogo. Banderowcy chyba już odeszli ...”

Samochód ruszył dalej. Mniej więcej pół kilometra przed lasem milicjanci i żołnierze wysiedli. Posuwali się dalej tyralierą w odległości około 5 metrów jeden od drugiego, trzymając broń w rękę gotową do strzału. W przodzie szło czterech milicjantów jako zwiad, ubezpieczając czoło. Po chwili grupa była już na miejscu wydarzenia. Oczom przybyłych ukazał się straszny widok. Trupy rozrzucone po lesie, rozebrane z płaszczy, a czasem nawet i z mundurów. Buty ściągnięte z nóg. Nie wszyscy zginęli od kul, niektórzy zostali zakłuci bagnietami. Nad rowem przy szosie stał wrak spalonego samochodu. Na drzwiach szoferki wisiał kierowca, podporucznik leżał na szosie obok samochodu, w bieliźnie.

Żołnierze zaczęli zbierać zabitych i badać, czy może jeszcze ktoś żyje. Naliczyli 23 zamordowanych.

Uzupełnieniem relacji „oleszyckich” jest list Henryka Dulskiego z 23 września 1997 roku oraz jego krótkie, spisane wspomnienia.

Bulski Henryk
53-341 Wrocław
ul. Wielka 20 m 15

Wrocław dn. 23.IX.1997 r

Urząd Miejski
miasta Rzeszowa

Ja, były uczestnik walk z bandami banderowskimi w obronie ziemi lubaczowskiej zwracam się z paru zapytaniami i z prośbą o odwrotną odpowiedź.

W końcu kwietnia 1945 r. pluton wojska składający się z AK-owców ziemi wileńskiej, którzy ratując się przed represjami Sowieckimi w wcieleniu do Armii Czerwonej, zasilili szeregi Ludowego Wojska Polskiego, zwani berlingowcami, znaleźli się na terenie Rzeszowa i skierowani zostali do walk z Ukraińcami, którzy w tym czasie mordowali ludność ziemi

lubaczowskiej, pałac wsie i osiedla. W plutonie tym, składającym się z AK-owców byłem i ja, biorąc udział w walkach z nimi.

Miejscem postoju były Oleszyce. Pod koniec kwietnia 1945 roku część naszego plutonu została skierowana do Rzeszowa po odbiór broni i uzupełnienie żołnierzy, skąd wracali do Oleszyc z tym uzupełnieniem. W lesie zapałowskim pod Oleszycami zostali zaatakowani w zasadzce przez Ukraińców i wszyscy polegli w nierównej walce. Ranni dobiti zostali bagnetami. Jedynym z ocalałych był Ślżak Bolesław Hebrowski vel Kroll Ewald, który z tej masakry wyszedł jedynie ranny w rękę. Poległo wówczas około 27 żołnierzy, a wśród nich wspaniali AK-owcy, którzy wiele krwi wylali na ziemi wileńskiej w jej obronie i wyzwoleniu, a następnie w obronie ziemi lubaczowskiej. Wśród nich pamiętam parę nazwisk moich serdecznych towarzyszy broni, takich jak Kołyszko Tadeusz, Stankiewicz i inni. Reszta zatarła się w pamięci po 50-ciu latach. I ci, którzy nie szczędzili swojej krwi, aby ochronić Waszą Ziemię i Was przed mordami i zniszczeniem nie mają nawet nagrobku – płyty, na której byłyby wymienione ich nazwiska i imiona.

W związku z powyższym proszę uprzejmie o wskazanie miejsca ich pochówku i podanie nazwisk tych żołnierzy, którzy zostali tam pochowani.

Mam nadzieję, że prośba moja i moich ocalałych towarzyszy broni, którzy nie pojechali po uzupełnienie do Rzeszowa, a zostali na placówce w Oleszycach, zostanie załatwiona pozytywnie, za co z góry dziękuję i może po 50-ciu latach pochowani doczekają się umieszczenia ich nazwisk na grobach czy wspólnym grobie.

Nulski Henryk

Wspomnienia oleszyckie

Bo wolność nie tylko krzyżami się mierzy, lecz w naszym kraju dodatkowo jeszcze łałagami sowieckimi i niemieckimi obozami koncentracyjnymi.

Niedobitki Armii Krajowej, które zdołały jeszcze przetrwać po jej rozbrojeniu i wywiezieniu do Kaługi, starały się przedostać za Bug do Polski Centralnej.

Aby uniknąć wcielenia do Armii Czerwonej, czwórka tutaj siedzących i wspominających chwile, gdy nasza krew wsiąkała w leśny wileński mech tj. „Karlik” – Kroll Ewald vel Hebrowski Bolesław, „Grot” – Smogorzewski Jerzy, „Ściopka” – Szczepan vel Henryk Bulski i „Fok” – Wiktor Strzałkowski wywieziony do Workuty, do pracy ku chwale czerwonej rodziny i reedukacji, z której pozostało tylko jemu j.i.m.

W grudniu 1944 roku wstąpiliśmy do Armii Berlinga. [Eszalonami] niczym nie ogrzewanymi, bez jedzenia i wody, zostaliśmy zawiezieni do Białegostoku, skąd tzw. Kupcy z Lublina po odpowiednim wyselekcjonowaniu zabrali nas do Rzeszowa na szkołę podoficerską.

Po krótkim przeszkoleniu którejs nocy poderwali nas z prycz i po apelu część skierowali na Wał Pomorski, z którego niektórzy tylko przeżyli, a w kilka tygodni później sformowano grupę operacyjną do walki z Ukraińcami.

Grupę tę liczącą 27 osób (pluton) przerzucono [studebeckarami] do Oleszyc k/Lubaczowa i zakwaterowano w starej szkole. Tam patrolowaliśmy zwłaszcza nocą okoliczne tereny będące w tym czasie pod kontrolą „Żeleźniaka”, który dokonywał pacyfikacji polskich wsi, mordując, zabijając i paląc polskie wsie. „Żeleźniak” miał miejsce postoju wraz ze swoim sztabem (o czym my, zwykli żołnierze nic nie wiedzieliśmy) we wsi Gorajec w lubaczowskim.

Którejs nocy poderwano nas z prycz, załadowano na samochody i dowieziono pod Gorajec, który zdobyliśmy, a wieś na rozkaz dowódcy spacyfikowaliśmy, nie ujawszy „Żeleźniaka” z jego sztabem, bowiem jak po wielu latach pojechałem w to miejsce, to dowiedziałem się, że wszyscy uciekli wykopanym tunelem, do którego zeszli specjalnym otworem w piecu do wykopanego tunelu prowadzącego kilkaset metrów do Kapliczki stojącej za lasem przy szosie mającej pod podłoga mały bunkier.

Po akcji na Gorajec dostałem zapalenia płuc, a tymczasem podporucznik, którego nazywaliśmy „Dzidziuś”, wraz z 25 żołnierzami wyjechał po zaopatrzenie i uzupełnienie do Rzeszowa. W drodze powrotnej w lesie zapałowskim niedaleko przysiółka Tomse upowcy zaatakowali samochód z żołnierzami, przepuszczając samochód z zaopatrzeniem i bronią. Samochód z żołnierzami został obrzucony granatami i ostrzelany seriami z broni maszynowej. Ci, co siedzieli na burcie samochodu i nie polegali od pierwszych pocisków, próbowali zeskakiwać i ostrzeliwać się, ale ulegli przeważającym siłom przeciwnika. Jedyne uratowany z naszej grupy, ranny w rękę, był siedzący wśród nas „Karlik” – stary frontowiec i partyzant VII Brygady Wileńskiej AK „Wilhelma”.

W kilka godzin później, jako jedyny z całej grupy oleszyckiej, zbierałem trupy kolegów i z dwoma Sowiecami ładowałem (wrzucałem) na burtę samochodu, skąd samochód ruszył do jednostki macierzystej w Rzeszowie, a Sowietci podrzucili mnie po drodze do szpitala w Jarosławiu, a sami pojechali dalej.

W Rzeszowie pochowano ich w mogile zbiorowej, gdzie żegnał ich jedyny uratowany ranny, siedzący wśród nas „Karlik”.

I w tym czasie nasze drogi rozeszły się. W innym już wcieleniu, po wielu perypetiach znaleźliśmy się na Ziemiach Zachodnich we Wrocławiu. Ale to już dalsza, osobna historia.

Jedynym jeszcze wspomnieniem z tamtych czasów (a minęło już pół wieku) to głód, wszy, brak koców, opatrunków i brak amunicji.

Kończąc te nasze krótkie wspomnienia, nagrane bardziej szczegółowo na taśmę magnetofonową, należy stwierdzić z całą pewnością, że wysyłając nas bez właściwego uzbrojenia (tylko karabiny i rozkalibrowane pepeszki – także bez zapasowych magazynków) wysłano na pewną śmierć. Nie mieliśmy opatrunków ani koców do przykrycia się. Przykrywaliśmy się mokrymi [szynelami] z butami mokrymi pod głową, na gołej ziemi czy bierwionach sękatych, z których były zrobione prycze. Jedynym plusem było to, że przestaliśmy głodować, zaopatrując się we własnym zakresie w żywność i czekając końca wojny, który dla nas nie był jeszcze końcem, a przy tym nie wiedząc, co się dzieje z naszymi najbliższymi i gdzie oni są.

„Ściopka”

Henryk Bulski

W partyzantce często bywało, że coś się zrobiło nie tak, że kogoś się zabiło, a nie powinno – to cały kompleks spraw wojenno – partyzanckich. Brud moralny, jakim jest wojna i przelew krwi wszędzie dawał znać o sobie. Nie było kryształowych spraw i kryształowych ludzi. Partyzantka to nie jest instytucja oparta na wszystkich elementach prawa. Główny trzon partyzantki wileńskiej to młodzież polska. Żydzi nie wchodzili w skład Wileńskiego AK. Oni byli raczej skłonni brać udział w partyzantce rosyjskiej. Był układ na wileńszczyźnie. W pierwszym okresie, jak Niemcy przyszli – w pierwszym okresie, jak prowadzili rozgrywki z Żydami, to polska partyzantka udzielała prześladowanym wydatnej pomocy. Jeśli chodzi o podziemie wileńskie, to bardzo dużo Żydów poukrywano. Poukrywano, Żydom pomagano – byli po różnych domach rozsyłani, otrzymywali aryjskie papiery. Później Litwini, niektórzy to mówią, że to była okupacja litewska – Litwini jak zeszedli z Niemcami na to porozumienie, to przecież były te Wzgórza Ponarskie.

Opowiadałem już jak Wicia Strzałkowski został wyciągnięty z transportu na rozstrzelanie – na rozwałkę. To już później zaczęły się te rozgrywki między Litwinami a pozostałymi. Litwini, korzystając z możliwości selekcji narodowej – z możliwości czystek etnicznych i narodowych, to tam mocno sobie palce pobrudzili. W partyzantce – u nas w 7 brygadzie Żydów nie było, Litwinów też nie było – chociaż pochodzenia litewskiego był taki Mazur – byli Polacy, którzy od pokoleń byli na Litwie i poszli do partyzantki. Trzon osobowy, I oddziały składały się z polskiej młodzieży, nie tyle akademickiej, co z liceów, gimnazjów – wszystko to miało 17 – 18 lat.

Będąc rannym żołnierzem Wehrmachtu, leżałem w szpitalu Zygmunta Augusta – ja, jak później się tak przedstawiali – „a ja z Zygmunta jestem.... a to ja też z Zygmunta Augusta” – tylko że oni ze szkół średnich, a ja ze szpitala. Wygrywałem nawet zakłady o tego „Zygmunta” – takie wiesz, zakłady np. o jeden nabój np. do „szóstki”, bo było trudno dostać itp.

W czasie okupacji gimnazjum i liceum były nieczynne – tam Niemcy zrobili szpital. Niektórzy byli „z Mickiewicza” – młodzież – ta I kadrowa, to była ze szkół średnich, a potem dołączyli inni miejscowi – „tutejsi”. Byli i Białorusini. Tu nie było żadnych rozdźwięków. Mnie – Ślązaka z Wehrmachtu przyjęto jak swojego i od samego początku do końca nie miałem żadnej rozgrywki z powodu pochodzenia czy narodowości – te sprawy były w partyzantce absolutnie niedopuszczalne.

Miejscowi to byli zwykli chłopci – mój karabinowy był z gospodarstwa mającego dwie krowy w domu – z małego gospodarstwa. „Lew” – pseudonim – to mieszkał u sióstr na gospodarstwie – on zawsze gdzieś kombinował spirytus – to popijaliśmy. Nie mogłem tolerować pijaństwa, ale czasem przymykałem oko i sam się napiłem. Pijaństwa jako takiego nie było – to było surowo karane. Pamiętam, że „warszawiaków” wydalili z Brygady za opilstwo. Pomocy partyzantom udzielali drobni ziemianie, Rosjanie większe gospodarstwa „rozkułaczyli” – część ziemi zamienili na sowchozy. Ludność miejscowa z miejsca nawiązywała łączność z partyzantką. Drobno ziemiaństwo było ostoją materialną partyzantki. Niektóre większe gospodarstwa przejęli Niemcy – tam robiliśmy rekwizycje. Na przykład zabrano krowy – rozmieszczano je potem wśród znajomych na wsiach i pożyczowano w zależności od potrzeby. Chłop przechowywał, miał mleko, a potem, jak przyszła konieczność, to była kompania gospodarcza – szef zajmował się ubojem, rozliczaniem, rozprowadzaniem, zamianą – całą gospodarką żywnościową. Głównym dostawcą żywności była ludność miejscowa. Patrol żywnościowy wyglądał w następujący

sposób: był pluton służbowy złożony z trzech drużyn. Jedna drużyna stanowiła ochronę, druga zaopatrzenie, a trzecia była w pogotowiu ogniowym. Patrol żywnościowy dostał marszrutę do jakiejś tam wioski – szedł tam marszem ubezpieczonym. Miejscowi wiedzieli. Sołtys dawał podwodę – były wsie współpracujące z partyzantką i chronione przez nią. W wiosce, gdzie sołtys był przez Niemców nadany, to partyzantka nadawała swojego. Podwoda jechała od chaty do chaty i każdy dawał, ile co mógł – dla partyzantów. Na wozie były bańki na mleko, kosz z sieczką na jaja, kosze na chleb. Patrol wracał na miejsce postoju i produkty rozdzielano w sposób odpowiedni do stanów osobowych. Partyzant sam nie mógł łązić od chaty do chaty i żebrać czy rabować. Był w brygadzie pluton żandarmerii, który służył do utrzymywania dyscypliny i porządku. Jaskrawe naruszenie prawa było tępione – był urzędujący prokurator, sędzia i (zawodowi!) adwokat. Procesy odbywały się niezwłocznie i wyroki wykonywano natychmiast – ale wszystko z poszanowaniem elementarnych zasad praworządności. Miałem w swojej drużynie syna prokuratora. Jak było w Wilnie niebezpiecznie, to skierowali go do partyzantki – miał 16 lat. On ciągle był urlopowany. Kiedyś prosiłem go, żeby do mojej dziewczyny z Wilna, tam gdzie się ukrywałem – żeby tam zajrzał, to się dowiedziałem, że ona już mnie zdradziła i znalazła sobie kogoś innego – nie chciała rozmawiać o byłym chłopaku w lesie.

Partyzanci nie spali po ziemiankach czy w lesie – spaliśmy po domach, w zagrodach, po dworach. Na Wileńszczyźnie nie było bunkrów. Na Śląsku partyzanci mieli bunkry w lesie, to mnie jakoś tam dziwi – to dziwna partyzantka. Ludzie niewiele wiedzą – mieszają okop z bunkrem – bunkrem nazywają ziemiankę, zwykłą koszarówkę... Magazyny były zakonspirowane, przeważnie po chłopach – ja sobie nie wyobrażam – ja się nie spotkałem na Wileńszczyźnie, żeby jakaś nacja była negatywnie do partyzantów nastawiona. Wszędzie witano nas jako najbliższych, dotyczy to oczywiście AK.

Odróżniano nas od partyzantki sowieckiej, która trudniła się rabunkiem, rozbojem – dopuszczała się licznych nieprawości – gwałtów.

Pamiętam, że kiedyś odbiłem krowę i dobytek – za zwrócone mienie te babcie chciały po rękach całować. To była największa dla mnie satysfakcja – uratowałem wieś przed głodem, chroniąc ją przed rabunkiem ze strony rosyjskiego oddziału. Czasami nachodzą mnie czarne myśli, że to wszystko nie było warte funta kłaków, to sam ten obraz wdzięcznych kobiet – to największa satysfakcja krzepi mnie i przekonuje po raz nie wiem który, że warto było. Ten sam obraz był wartego tego, że tam byłem i tam przelewałem krew.

Skoro takim autorytetem była partyzantka polska, cieszyła się takim szacunkiem, to dlaczego Żydzi stronili od niej? Dlaczego kierowali swoje oczy na partyzantkę rosyjską – bolszewicką?

Myślę, że to trochę z polskiej winy. Ich do partyzantki nie przyjmowali. Jak z lasu wychodziły bandy, to często mówiono, że to żydowskie – chodzi o to, że jak Rusczy przyszedli jako pierwsi okupanci, to Żydzi zaczęli kolaborować. Każdy Żydek miał sklepik – ul. Niemiecka była cała Żydowska. Tam językiem ulicy był jidysz. W Wilnie były różne nacje – i Tatarzy i Ruskie Starowiery i wszyscy jakoś przed wojną żyli w zgodzie. Przyszedł ruski okupant i poróżnił wszystkich. Nasi nie mogli zapomnieć, że Żydzi witali Ruskich bramą triumfalną. Każdy kupował u Żyda i Żyd wiedział, kto w wojsku był, kto jest lub był oficerem, ile zarabia lub emerytury dostaje, kto ma polskie odznaczenia bojowe czy państwowe. Żydzi wielu ludzi wystawili NKW – dzistom. Ojciec Wici Strzałkowskiego został zdradzony przez żydowskiego sklepikarza. Wywieziono go do Rosji i tam zginął. Żydzi mieli tendencje probolszewickie. W komunizmie widzieli jakiś swój interes. Ja ich tam nie chcę sądzić. Każdy ratuje swoją skórę wszelkimi możliwymi sposobami. Żydzi uciekali do lasu. W Rosji bogaci Żydzi też nie mieli dobrze. Komunizowała biedota żydowska. Tworzyli bandy, żeby przeżyć. Rusczy uciekali przed Niemcami, zostało trochę broni – bandy powstały samoistnie – niedobitki ruskie też się do nich przyłączyły – potem żyć z czegoś trzeba było, więc chodzili rabować – no bo jak inaczej? – nie było wyboru, nikt darmo nie chciał im dać. Bolszewizm budził odrazę – ich sympatie prosowieckie zraziły większość ludzi. W polskiej i litewskiej mentalności, w przekonaniu większości zakodowane było, że Żyd ma złoto – a to przecież nieprawda, Żyd miał taką samą biedę, jak przeciętny Polak. Zresztą, nie wiem. Polacy czuli do nich głęboką niechęć za czynną i efektywną kolaborację z Sowietami. Między Polakami, a Żydami na Litwie powstała bariera nie do przezwyciężenia – dlatego Żydów nie było w AK – w 7 Brygadzie.

We Wrocławiu, na jakimś spotkaniu kombatanckim wspominałem czasy wileńskie. W ośrodku wileńskim byłem do dyspozycji konspiracyjnego kierownictwa AK w czasie II okupacji rosyjskiej – już jak powstała Litewska ZSRR. To był ośrodek legalizacyjny. Ja – koledzy mają do mnie pretensje – że w filmie tym, co był ostatnio kręcony – „Żołnierz nieznan” – ja go kończę zdaniem „że przeżyłem dzięki temu, że nikt nie mógł mnie zdradzić, bo mnie nie znali” – nie znali mojej przeszłości, moich korzeni, mojego nazwiska. W partyzantce nosiłem pseudonim „Karlik”. Potem dali mi papiery na

Bolesława Hebrowskiego – nikt nie mógł mnie zdradzić – byłem trudny do zidentyfikowania. Użyłem w filmie określenia: „nie znali mnie i mnie nie zdradzili”. Koledzy wilniuki obrazili się na to, że zasugerowałem, że to donosiciele. Dobrze zrozumieli – wśród wilniuków byli nie tylko sami anieli. Byli zdrajcy, byli tacy, którzy nie wytrzymali bicia i tortur, i gadali. Czasem była to zwykła gadatliwość połączona z łatwowiernością i naiwnością, czasem poalkoholowa wylewność.... Dzierżyński Feliks też był z Wileńszczyzny. Nasz komendant na odprawie też mówił, że było pełno zdrajców. Mnie po prostu nie można było zdradzić, bo niezwykle mało było o mnie wiadomo – to był mój atut, moja lepsza pozycja do przetrwania.

Wszyscy wiedzą, że po wkroczeniu Ruskich AK zostało rozwiązane, akcje się skończyły. Pracowałem w Instytucie Geologicznym – tam mnie właśnie Żydówka ocaliła – ostrzegła. Nie mam w stosunku do Żydów uprzedzeń. Ona mi największą w życiu przysługę oddała – uratowała mi życie, ocaliła przed straszną śmiercią w rękach NKWD – poszedłbym do dołu albo na Syberię. Przez Związek Patriotów Polskich jako Bolesław Hebrowski – innych dokumentów nie miałem. I tak mnie do WP przyjęli – w Białym Stoku – był tam taki pułk zbiorczy czy punkt zbiorczy. Jestem w Białym Stoku. Przychodzą kupcy. Jest nabór do piechoty, do artylerii, do broni pancernej – każdy mógł sobie wybrać. Ja, jako doświadczony piechur, nie pójdę do kawalerii. Konia nie będę karmił sam przymierając głodem. Poszedłem do piechoty – chcieli mnie do broni pancernej, ale poszedłem do piechoty.

Przyszliliśmy do Jarosławia, a potem do Rzeszowa. Skierowali nas do szkoły podoficerskiej – tam zostałem elewem. Naturalnie w tej szkole to sama ciemna masa, nikt się na wojsku nie znał. Ćwiczą nas. Jest to luty albo marzec – zimno. Jesteśmy ubrani jeszcze bez tych kufajek, mamy płaszcze. Ćwiczenia prowadzi Stanisław Wolański – dowódca plutonu i jakiś ruski kapitan – pochodził z Żytomierza, ledwo mówił po polsku, ale był przyzwoitym człowiekiem. Nikt nie znał zasad musztry, więc jak się zorientowali, że jestem w tym biegły, to ciężar szkolenia musztry spoczął na mnie. Dali nam [libele] – te długie, ruskie karabiny z bagnetami. [s.41] Jak wysyłali na patrole, to dawali pepesze i amunicję. Uczyliśmy się na karabinach, które się do strzelania nie nadawały. Musztra ta sama, jak niemiecka czy w [P.O.W.]. Wolański zorientował się, że jestem po „dobrej szkole” –

- gdzie żeście w wojsku byli?
- nigdzie nie byłem.

W ogóle u Ślązaka to jedno wielkie kłamstwo, bo jak tu komuś wytłumaczyć złożoność spraw.... Do dziś dnia nie można prawdy powiedzieć.

W tej szkole Wolański robi mnie instruktorem i każe szkolenia prowadzić. Najpierw plutonu, potem do przysięgi całą kompanię. Do przysięgi zmienili nam [piki] na te krótsze karabiny – [KBK].

Kiedyś kazali nam okrążyć targowisko, żeby wyłapać złodziei. Odkomenderowali mnie do Komendanta Wojennego Rzeszowa, a pułk poszedł na front. Jak wróciłem do jednostki, to była pusta – robiono nowy nabór i nowe szkolenie. Sami zieloni poborowi.

Przychodzi rozkaz wraz z podstawioną ciężarówką. Porucznik Brajter – zastępca dowódcy pułku. Na banderowców – kto chce? Nie ma ochotników; to wyznaczył – mnie też.... Poszedł ze mną Kołyszko Tadeusz i [Skaszkiewicz] i Kazik Gulbinowicz (bratanek przyszłego arcybiskupa) [s.42] i jeszcze Mruk – pseudonim (nazwiska nie pamiętam). Pojechaliśmy jednym ciężarowym samochodem na Oleszyce. Przejeżdżamy przez taką wioskę Bahury. Ta wioska się pali, jedziemy w tej łunie pożarów, dojeżdżamy do tych Oleszyc – taka powiatowa miejscowość. Tam zakwaterowali nas w szkole i rano jedziemy z powrotem na te Bahury.

Spalone Bahury, okazuje się, że pospolite ruszenie uciekło do lasu, wszystkich ludzi wymordowali – trochę uciekło Polaków, dzieci na sztachecie – na tych dzieciach uczyli się strzelać – zrobili sobie rozrywkową strzelnicę. Nie chcę o tych potwornościach mówić. Wyjeżdżając stamtąd, zostaliśmy ostrzelani. Mieliśmy wszyscy rozkalibrowane pepesze – pociski z nich [.....], nie sprawiając realnego zagrożenia ostrzeliwanym. Wszyscy strzelali do Ukrainca, który na górcie wypiął się tyłkiem i krzyczał: „lachu, lachu! Pocałuj mnie w sraku!”. On się odwrócił, pokiwał nam ręką i poszedł – te pociski chyba nie doleciały do niego – wcześniej Ukrainiec strzelił do nas dwa razy i samochód nam stanął.

Wywoziliśmy z tych palonych wiosek dosyć dużo dobytku, oddając go uciekinierom w Oleszycach. Bahury, [Wleniec] – dosyć dużo tych wiosek było pacyfikowanych przez UPA.

Akcja Wisła była jak najbardziej słuszna. Dopiero ta akcja okiełznała ukraińskie barbarzyństwo. UPA straciło wsparcie ludności i skala mordów gwałtownie spadła. To było mniejsze zło. Nie można było pozwolić na tak ogromną skalę okrucieństwa, na taką skalę mordów ludności polskiej. Tu się potwierdziło to, co zawsze mówię – partyzantka

prawdziwa, bez wsparcia ludności, nie może funkcjonować. Zostają bandyci, których łatwo zlokalizować i zlikwidować.

Nie brałem nigdy udziału, będąc w WP, w akcjach przeciwko polskiemu podziemiu – np. przeciwko Ogniewi czy Ponuremu.

Nasza – druga szkoła oficerska piechoty została utworzona w Lublinie i z Rzeszowa do Lublina jest blisko. Jak z tych banderowców wróciłem, to znowu pułku nie było – chłopaków przeszkolili w międzyczasie i wysłali na front – dwa tygodnie szkolenia i na front!

Jestem w szkole jako Hebrowski razem z Kaziem Gulbinowiczem. W tej szkole była „Informacja Wojskowa” – ja się dopiero po raz pierwszy spotkałem z tą formacją. Nazwiska: Góral, Góralski i Sosna Sarna – NKWD – ziści.

Z oficerskiej szkoły nas na żadne akcje nie brano. W Lublinie uciekli chłopcy – cała kompania uciekła – nie wiem, czy nie do Ognia. Poszła na ćwiczenia i już nie wróciła. Poszła do podziemia. Zaostrzyły się rygory. Wojna się skończyła. Połączyli I Oficerską Szkołę Piechoty z drugą i przenieśli nas do Greifenbergu – do Gryfic. Tam miałem wyspę. W pierwszych planach miałem iść do Łupaszki, ale uciekłem na sfałszowanych papierach z wojska – sami się zdemobilizowaliśmy i pojechaliśmy z Gulbinowiczem do Wrocławia. W szkole były wcześniej ucieczki do oddziału Łupaszki.

Zdemobilizowałem się we wrześniu 1945 roku – sam. Przygotowaliśmy lewe papiery, ja byłem szefem. Podsuwałem dokumenty wraz z innymi komendantowi do podpisu i tak mieliśmy z Kaziem drogę otwartą do cywila.

Z Kazikiem najpierw przyjechałem do Kośmidrów – myślałem, że tu nareszcie wrócę jako Króll. Poszedłem się zameldować – komenda była nie tu, lecz w Tarnowskich Górach. Tam zaraz wyszukali moje papiery, tu AK – owiec był bardziej niebezpieczny niż ten, co z wojska uciekł. Ja, że bym to wiedział, to bym w domu ten wojskowy mundur spalił w piecu i poszedł się zameldować jako imigrant z Rosji i wszystkiego bym uniknął. Nie mogłem się tu zameldować. Pojechałem do Wrocławia – tu zaraz położył na mnie łapę Nowosielski Michał – to był przedwojenny dwójkarz. W partyzantce miał przydomek „Berlińczyk” – on który był członkiem Wileńskiego Ośrodka Mobilizacyjnego. Zaraz były zadania i to bardzo brzydkie zadania. Trudno pisać i mówić.

Na działalność konspiracyjną potrzebne były pieniądze, a skąd je wziąć? Żyd je ma – zwłaszcza jeśli jest jubilerem – trzeba obrobić jubilera. Ja się na to nie zgodziłem, bo

przecież nie jestem bandytą. Spotkałem się z sarkazmem – bo ty jesteś taki Ślązak nietykalny – nie chcesz pobrudzić sobie rąk! (i podobne przytyki).

Myśmy się wszyscy partyzanci szukali we Wrocławiu. Kto żyje. Nici znajomości były różne. Ukrywałem się w Wilnie u Hansenów – tam też sporo ludzi się przewinęło. Karusia Hansen wróciła z Kaługi. Kontakty i znajomości były coraz szersze. Byłem w żegludze na Odrze – w ochronie. Pierwszą robotę to dostałem u sąsiada – mieszkałem na Nowowiejskiej na czwartym piętrze – naprzeciw, piętro niżej, mieszkał Warszawiak PPS-osiak. On mnie namawiał do PPS. Do PPS wciągnął mnie później Nowosielski. Ten Warszawiak dał mi robotę w Urzędzie Miasta Wrocławia na stanowisko sekretarza wydziału mieszkaniowego. (miał córkę Krysię – trochę z nią romansowałem). Panna Krysia była ciepłą dziewczyną. Ludzie jak swojego znajomego, czy krajana spotkali, to byli niezwykle gościnni i uczynni – to tradycyjnie polska gościnność! Głodny przeważnie chodziłem. Dostałem robotę w Zarządzie Miejskim jako sekretarz wydziału. Każdy, kto przyjeżdżał, to potrzebował mieszkanie. Nie?

Jestem sekretarzem wydziału. Mam robotę we Wrocławiu. Mam dziennik podawczy, przyjmuję te podania na mieszkania. Petenci różni – i tacy, co z Ameryki wrócili, i tacy, co z Francji oraz mnóstwo ze Wschodu, dużo wilniuków wracających z Syberii albo Workuty czy Kaługi. Każdy to mieszkanie potrzebuje, no więc miałem rozległą możliwość kontaktów z różnymi ludźmi i środowiskami. Okazało się, że wśród tych, co wrócili z Kaługi był Nowosielski – ten dwójkarz. Nie wiem, kim on był – dla mnie to on był taki ciemny typ – przez niego mało co nie siedziałem. On zawiązał Socjalistyczny Ośrodek Szkolenia Zawodowego we Wrocławiu na (chyba) Dyrekcyjnej. Ja skorzystałem z jego protekcji i tam umieściłem swojego brata, który wrócił od generała Maczka – za Niemców był w szkole podoficerskiej, a wcześniej w ekskluzywnej szkole sztygarów.

Tam było Hitlerjugend – i on tam musiał należeć, żeby chodzić do szkoły. On tam więcej węgla fedrował, niż się uczył. Nie było tego węgla i rąk do pracy, to i uczniowie więcej czasu spędzali pod ziemią, niż przy książce – w klasie. Nie miał świadectwa siódmej klasy – miał, ale niemieckie. Nowosielski po protekcji go przyjął do Ośrodka Szkolenia – miałem więc wobec niego dług wdzięczności. Ten ośrodek zlikwidowali – zamienili na coś dla sierot partyzanckich – Hufce Robocze – Batalion Świt – coś takiego. Nowosielski potrzebował kogoś do pisania – mnie tam zrobiono szefem batalionu. Coś w rodzaju OHP – dla sierot powojennych po AK.... z Kieleckiego. Poszedłem tam na szefa batalionu – prowadziłem całą kancelarię, musiałem to uruchomić. Wtedy wszystko było na kartki.

Podpisałem dokumenty na przydział, na odzież i to byli pracownicy tego byłego Socjalistycznego Ośrodka Szkolenia Zawodowego. Im się należały te kartki na odzież – ja to podpisałem. Nowosielski przeniósł się do Wałbrzycha, do ośrodka przemysłu węglowego – też tam na jakieś stanowisko. Tu jest jakaś rozprawa, jego nie ma. Ja jestem podejrzany o przestępstwo urzędnicze z paragrafu takiego to a takiego – poświadczenie nieprawdy. Pracownicy byli na wypowiedzeniu, nie pracowali, a im poświadczyłem. Ja tam też już nie pracowałem. Przyszła nowa władza i to zamienili na IV Ośrodek Kształcenia Zawodowego. Przyszedł nowy dyrektor. Zrezygnowałem. Poszedłem na studia. Teraz mnie sądzą – ciągną po sądach. Ja nie mogę udowodnić faktu, że wszystko było w porządku, a Nowosielski, mogąc dać świadectwo, nie stawia się na rozprawę – przysłał do sądu zaświadczenie, że jest ciężko chory na gruźlicę. On podpisał i ja podpisałem ten przydział. Zapłaciłem adwokata za te sądy, miałem duszę na ramieniu, że pójdę siedzieć – potem taki znajomy mojej żony ze szpitala został prokuratorem – takim po kilkumiesięcznym kursie. On tę sprawę umorzył. Spotkałem się z nim w tramwaju. On pyta: „Panie, powiedz mi, o co tu chodzi?”. Wszystko mu wyjaśniłem. Pracownikom przydział się należał i tyle. Podpisałem. No i jakież to ja przestępstwo popełniłem? On tą sprawę umorzył. Pracując jako sekretarz, mam dość tych moich przyjaciół, którzy przychodzą do mnie w sprawach mieszkaniowych, żeby im załatwić to, czego załatwić nie mogę – po polsku – po znajomości to można załatwić, nie?

Mam się stawić u Nowosielskiego. On żyje z jakąś babą. Na zsyłce przystąpił do Berlinga – to było plamą, jak przyjechał do Polski, to mu koledze wpierdol dali.

Jak w szpitalu byłem – to był taki Szymczak – to był taki, co miał wyrok śmierci w Niemczech i w Szpandau w celi śmierci całą wojnę przesiedział. To był też dwójkarz. Siedział w pojedynce z wyrokiem śmierci za szpiegostwo. Nazywał się Michał Szymczak.

Pracując w żegludze, chodziłem na patrole mieszane z Ruskimi, z komendantury wojennej. Opowiadałem Ci, jak lejtnanda, gwałcącego Niemkę sierżant zabił – stwierdził, że u nas lejtnandów mnogo i nie ma sprawy (był z NKWD) zastrzelił go natychmiast, tam gdzie miał miejsce gwałt.

Przyjechali rusczy czołgiem sklep obrabować, wyrwali nim kraty, otworzyli ogień do patrolu i po nodze dostałem – tak trafiłem do szpitala. Leżałem w szpitalu – tam poznałem Anusię – moją przyszłą żonę. Tam też, w szpitalu, poznałem tego Szymczaka. Szymczak z Nowosielskim znali się z PPS – tam działali. Jakie oni mieli inne powiązania, to ja nie wiem. Przyjąłem Szymczaka na mieszkanie – on mi tłumaczył pracę magisterską z prawa

napisaną przez Niemca. Asystent prowadzący zajęcia dał mi tę pracę do tłumaczenia. Jak mu przyniosłem przetłumaczoną, to po przeczytaniu pierwszych pięciu kartek wrzucił ją do pieca – ja się napracowałem jak głupi.

Grupa wrocławska. Mieszkamy na piątym piętrze na Nowowiejskiej. Zacharzewski, Gulbinowicz, jeszcze inni. Wiecznie ktoś zaglądał, wpadał na kielicha. Pożyczałem mieszkanie na zabawy – bo ja przecież do roboty idę, a ono stoi puste. Okazuje się, że trzeba iść i dla młodzieży zdobyć pieniądze. Ośrodka Mobilizacyjnego – działalność dywersyjna - Tak – po kielichu – ale broni nie ma. Na co to, Panie – przecież milicja nosi pistolety – czyści. Poszedłem na miasto głupi, z tym Kazikiem Gulbinowiczem, ten miał pistolet, a ja zapalarkę do gazu. Rozbroiliśmy takiego – Kazik mnie osłaniał, ale ze strachu magazynek mu prawie wypadł z broni i praktycznie jakby co, to nie miał z czego strzelać.

Szykowaliśmy napad na pocztę – tą na Podwalu, przy PDT. Był tam nasz wtajemniczony kasjer główny poczty Noworyto Marian., miał pilnować, czy kasa jest pełna – czy jest po co robić skok. Jeśli pełna forsy, to miał wystawić linijkę w oknie. Do tego napadu nie doszło. Wszystkich chłopaków, którzy mieli wykonywać tę robotę, aresztowano po wcześniejszym napadzie na Monopol – restauracja i hotel Monopol – tam gdzie Hitler lubił się zatrzymywać, przyjeżdżając do Wrocławia. W akcji na Monopol nie brałem udziału. Miałem przygotować napad na pocztę i wykonać go z chłopakami, którzy brali udział w napadzie na Monopol.

Napady w celu zorganizowania pieniędzy dla Ośrodka Mobilizacyjnego zlecali i strategicznie przygotowywali Nowosielski i Szymczak – może tam jeszcze ktoś był, ale ja tego nie wiem. Byłem do dyspozycji Ośrodka Mobilizacyjnego, wykonywałem rozkazy. Były kilka takie akcje – napad na Żyda, na Monopol, na pocztę (ten nie doszedł do skutku). Grupa inicjatywna tych dwójkarzy lub ich zwierzchnicy organizowała pieniądze na podziemiu – innej możliwości jak napad nie było. Uważam, że Szymczak i Nowosielski mieli mocodawców.

Wszyscy chłopcy, biorący udział w napadzie na Monopol, poszli do piachu. Sama bezpośrednia akcja udała się. Brało w niej udział ośmiu. Zdobyli pieniądze. Wychodząc, jeden z chłopaków, nie chcąc zostać w pamięci jako zwykły bandzior, palnął: „Nie żałujcie, to na zbożny cel – na wileńskich studentów...”. UB wygarnęło wileńskich studentów, dali w dupę i któryś sypnął. Nikt już więcej tej ósemki nie widział – nikogo z nich. Poszli do piachu. Pochowano ich na Osobowicach jako NN – chyba w jakiejś zbiorowej mogile. Tam na Osobowicach, gdzie ta kwatery z kamiennymi krzyżami – chyba

tam ich zakopali. Do mojej akcji na pocztę nie doszło. Nie miał jej kto wykonać. Ci na monopolu popełnili straszny błąd, przy konfiskacie pieniędzy nikt nie zginął, tylko dali namiar UB – owcom. Wszystkich studentów z Wilna aresztowali – na Uniwersytecie i po domach. Kazika nie aresztowali, Zacharzewskiego nie aresztowali, mnie nie aresztowali, bo ja nie byłem z Wilna. Tych dwóch dwójkarzy też nie aresztowali – oni uciekli. Jeden uciekł do Wałbrzycha, a Szymczak ulotnił się gdzieś – nie wiem, jak to z nim było, on w tym PPS zbierał na dom partyjny, był bardzo sławny, a potem zaginął – jak i co? Nie wiem. To było w 1946 albo w 1947 roku (chyba gdzieś na przełomie). Tych zabitych pochowano gdzieś przy cmentarzu – tam gdzieś przy płocie, w pobliżu poligonu wojskowego. Myśmy we własnym gronie całą tą sprawę chcieli rozwikłać – niewielki był tego efekt.

Ośrodek Mobilizacyjny jakoś sam się rozsypał – unicestwił – przestał działać. To był koniec aktywnej konspiracji, której zresztą miałem i tak już serdecznie dosyć.

Miałem przebrany w mundur WP z kolegami napaść na pocztę w momencie, gdy szykowany był transport pieniędzy furgonetką na dworzec.

Uważam, że w naszym środowisku była wtyka. Dam Ci taki przykład. Były imieniny u Rajka Paszkiewicza. Na tych urodzinach popiliśmy. Następnego dnia przychodzi dwóch UB – owców. Szukają jakiejś pozostawionej po pijaku legitymacji – któryś zgubił legitymację. Te UB – owskie – takie bez zdjęcia, tylko z jakimś tam numerem identyfikacyjnym. Ktoś z nas musiał być wtyką – do dziś nie wiem. Może to któraś ze sprowadzonych dziewczyn – tego dotychczas nie brałem w całym rozumowaniu pod uwagę. UB tak głęboko infiltrowało to środowisko, zwłaszcza wileńskie.

Wicia Strzałkowski dostał po raz któryś wezwanie na UB. Co jakieś święto państwowe, to cała moja paczka aresztowana. Czasami mnie aresztowali. Okazało się, że ten pistolet, co go zdobyłem zapalniczką do gazu, miał Rajka. Poszedł nim nastraszyć jakiegoś Niemca. Okazało się, że Niemiec pracował w UB. Rajka aresztowali, dali mu w dupę, pistolet zabrali. Wybronił Rajkę Kazio Gulbinowicz – zeznał, że to jest jego pistolet z wojska. Wyszło na to, że Rajka pożyczył broń od kolegi, z którym razem w wojsku był.

Wicia Strzałkowski ma kolejne wezwanie na UB. Na dole jest portiernia, potem po schodkach na półpiętrze stoi żołnierz z KM – stojącym na podłodze. Po schodkach się wchodziło do pokoi – tam urzędowali poszczególni śledczy, czy jak ich tam nazywali. Wicia był już żonaty. Chciał jakoś żyć normalnie, nie dawali mu. Co jakaś uroczystość,

jakieś święto, to on do więzienia – brali go na przetrzymanie. Zawalił przez to egzaminy na studia. Idzie taki zdenerwowany i zdesperowany – złapał za ten KM, przeładował, żołnierza postawił pod ścianą i pognął go do śledczego. Wartownik na dole w budce niczego nie zauważył, a Witia sterroryzował całe piętro (no, może część). Poszli do dochodzeniowego – tego, który zawsze go przesłuchiwał. Rozbroił go też i posadził na stołku:

– k. mać, czego ode mnie chcecie, Kaługę zaliczyłem, za wszystko odpokutowałem, jakbym chciał walczyć, to bym was tu kurwa rozpierdolił wszystkich, ja nie chcę walczyć, ja chcę żyć normalnie – dajcie żyć, jak nie dacie żyć, to was wybiję, bo nie mam wyboru i sam się zabiję, bo mam tego dość – niech będzie koniec.

Oni wtedy, żeby im broń oddał, bo jak będą wyglądać przed przełożonymi.... Zawarli umowę: ten pistolet, co ja go zdobyłem, to mogą oddać

– a na co nam, a czego tego Karlika nie ciągniecie?

– Bo on ma taką dobrą opinię z wojska, takie dobre papiery ma.

Te papiery, to ja sobie sam napisałem i opinię też, to jasne, że musiała być dobra – prawie doskonała, byłem przecież w tej jednostce pisarzem. – szefem adjutantury.

Ten eksces na UB skończył się dla nas tym, że żona tego UB – ka zapraszała nas na obiady – dożywiała nas żona tego dochodzeniowego. Żeby UB – owcy nie musieli się tłumaczyć przed przełożonym, zatuszowali sprawę i dali nam spokój.

Ośrodek Mobilizacyjny rozplynął się we mgle czasu – skończyły się polecenia, rozkazy.

Pamiętam jedną z amnestii – ujawniał się wtedy Zabłocki. Pracowałem w tym Zarządzie Miejskim. Jednym z inspektorów był Leszczyński – rano w pracy zawsze była dyskusja o babach (to neutralny politycznie temat) albo o wódce – ile się wypilo – to też bezpieczne gadanie. Mówiło się, kto z kim ile wypił. Ten Leszczyński mieszkał niedaleko Nowowiejskiej – ja chodziłem tam czasami – on miał tam parę koleżanek, tam były organizowane takie prywatki – popijawa, trochę potańczyć... dziewczyny. Idę do pracy – tramwaje rano nabite – wiszą na stopniach te winogrona. Z Nowowiejskiej miałem niedaleko do Zarządu Miasta. Często chodziłem piechotą. Idę i spotykam Zabłockiego: – A co ty, dziś nie w pracy? – A! Mam dzisiaj usprawiedliwienie, byłem ujawnić się na UB (amnestia) – ale razem z kolegą. Zabłocki rozbierał posterunki milicji. Jeden z komendantów posterunku poszedł z nim i był w oddziale. Amnestia nie objęła tych, którzy

uciekli z milicji. Po ujawnieniu się tego kolegę – eks komendanta rozwalili. Dostał wyrok śmierci i wykonany został we Wrocławiu.

Anusia pracowała jako pielęgniarka PCK – pracowała na ul. Księcia Józefa Poniatowskiego. Tam ją poznałem. Anusia chodziła na wstępny rok studiów medycznych, a ja chodziłem na pierwszy rok prawa. W szpitalu jak byłem, to dostawałem od kolegów książki do czytania, Anusia pożyczyła ode mnie jedną książkę i nie oddała mi – poszedłem do niej do domu i tak ją poznałem.

Anusia studiuje, a profesor na Poniatowskiego nie pozwala jej pracować, tylko na nocną zmianę. Jest problem. Jak on jej nie pozwalał, to ona poszukała sobie innej pracy – dostała pracę w KBW na Obornickiej. Według Anusi – tam przy jednostce był wydzielony domek, gdzie była Informacja Wojskowa. Tam też gdzieś mieściła się komendantura rosyjska. Anusia musiała wypełnić ankietę na PPR – owca. Przyczepili się do niej, że ona ze mną chodzi – wiedzieli wszystko na mój temat – ale tylko o działalności w A.K. – owcem. Był nabór na AM, na medycynę. Ania poszła. Przyczepili się, że musi tam być konfidentem – dostanie się na medycynę, jeśli zostanie konfidentem i będzie donosić. Ona się nie zgodziła i ze studiów nici.

Zmieniła pracę i poszła pracować do browaru – jako higienistka w przykładowym przedszkolu. Jej dali wilczy bilet za to, że nie chciała współpracować. Mnie się nie czepiali – byłem w PPS – a oni uznali AK – owców jako patriotów, no i miałem przez siebie sfabrykowaną doskonałą opinię z wojska. PPS brał w ochronę AK – owców. Jak się PPS z PPR złął, to mnie posłali na pracę społeczną do porządkowania akt w byłym Komitecie PPR. Tam znalazłem Anusi akta. Tą deklarację wstąpienia do PPR – u i kopię tymczasowej legitymacji partyjnej. To wszystko ukradłem i spaliłem.

Hitler i faszyzm był popularny w Niemczech. W fazie sukcesów 80 – 90% Niemców żarliwie popierało Hitlera. Sukcesy militarne i gospodarcze nie byłyby możliwe bez twórczego i entuzjastycznego poparcia większości narodu. Niemcy nie byli zwolennikami Hitlera – on był wytworem ich romantycznej duszy, ukształtowanej przez Mozarta, Heinego, Goethego. Niewolnik nie jest wydajny ani twórczy. Całe Niemcy z entuzjazmem, z heroizmem pracowały dla nazizmu. Hitler przywrócił Niemcom dumę po ubzduranym dyshonorze, jakim był Traktat Wersalski. Dziesiątki tysięcy kobiet rodziły dla wodza! Nie jest też możliwy taki bezmiar zbrodni i podłości bez aktywnego i fanatycznego uczestnictwa całego narodu. To miało miejsce w rzekomo cywilizowanym państwie

europęjskim, w kraju, który dał światu tyle wielkich nazwisk, a w głębi nie wyzbył się potwornej, średniowiecznej duszy – duszy obłąkanego zbrodniarza.

Hitler doskonale wyczuł duszę niemiecką. Niemieckie pragnienie dominacji w Europie, urojona butę wyższości, wyrosła chyba na duchu permanentnych wojen między księstwami niemieckimi (państwami). Znał podłość niemiecką historycznie ukształtowaną przez wojny religijne, inkwizycję – to na terenie państw niemieckich proceder inkwizycji zbierał największe żniwo. Niemcy odczuwali ogromny niedosyt prestiżu – przecież jako państwo zjednoczone powstały dopiero w 1871 roku, po łupieżczej napaści na Francję. To najpóźniej ukształtowane mocarstwo mające obfity dorobek kulturalny, ale pozbawione przestrzeni imperialnej. Pierwsza wojna światowa miała być sukcesem niemieckim – znowu liczyli na góry złota (jak po 1871 roku reparaacje – 5 mld franków) – jak wcześniej byłoby co kraść przy budowie kolejnych szpitali, szkół i koszar. Obłowić się na wojnie to niezła rzecz – można też dać ludziom pracę, a przemysłowcom zamówienia wojenne. Krótka, zwycięska wojna oznacza super koniunkturę gospodarczą, rozwiązanie licznych problemów wewnętrznych – konsoliduje państwo.

Skończyło się inaczej – kapitulacja w Compiègne, reparaacje, ale nie dla Niemców, lecz nałożone na Niemcy. Traktat Wersalski ze wszystkimi ograniczeniami – utrata Alzacji i Lotaryngii oraz części ziem na wschodzie – przecież powstała II Rzeczpospolita i trzeba było zwrócić część zagrabionych ziem słowiańskich, a już traktowane były przecież jak swoje! Rozbrojenie Niemiec, ograniczenia w stanach uzbrojenia i zakaz militaryzacji traktowano jako ujmę na honorze, na bucie niemieckiej – to było upokorzenie! Niemcy jako naród (wszystkie klasy społeczne) nie traktowały Wersalu jako słusznej riposty na zaborcze i chciwe ich poczynania, lecz jako podłość losu – jako obrzydliwe czyny aliantów wymierzone w ich jestestwo narodowe. Dostali łupnia przy pomocy jakichś tam przygłupich Amerykanów, i to niezasłużonego, gorzej – nabawili się „kiły społecznej”, choroby wenerycznej, jaką był komunizm i bezrobocie wymieszane razem z katastrofą ekonomiczną. Uważali, że to jest sprawka podłej Europy, a nie wynik ich bandytyzmu. Subiektywne spojrzenie Niemców – świat zaprzysiągł się przeciwko nim, upokorzył ich, a byli tacy dobrotliwi i niewinni – popatrz! Tacy kryształowi duchem i szlachetni politycznie – tych parę milionów trupów? Ba! to bez znaczenia. Hitler, jako doskonały mówca, wytłumaczył im wszystko, co należy – wyartykułował to, co i tak od wieków czuli – że są

rasą panów, że należy im się przestrzeń życiowa, że powinni być dominującym mocarstwem, jeśli nie na świecie, to przynajmniej w Europie. On im serwował to, co chcieli słyszeć – wierzyli mu, ufali i żarliwie wspierali w każdej dziedzinie. Dał im pracę, chleb i mit wielkości – i to do zrealizowania natychmiast! Zdobył władzę legalnie, utwierdził ją w trzech plebiscytach, a wiara, pycha i buta wciąż rosły – jak balon. Szybko doszły ekstrapozytki – możliwość mniej lub bardziej zakamuflowanego rabunku mienia żydowskiego. Iluż się na tym obłowiło! Każda kolejna zdobycz militarna to były kolejne profity. Niemcy byli urzeczeni Hitlerem – byli jak zahipnotyzowani. Oczywiście zdarzali się tu i ówdzie malkontenci, ale były to głosy i odruchy bez znaczenia. Hitler i naród niemiecki stali się faktyczną, a nie propagandową jednością – szczerą, autentyczną, prawdziwą. Późniejsze zwalanie odpowiedzialności tylko na Hitlera i garstkę faszystów jest obłudą. Zapewne jest to obłuda historycznie konieczna, bo żadne państwo, żaden naród nie wytrzymałby takiego garba. Ta obłuda była również konieczna, aby po wojnie Niemcy mogły się wykpić z odszkodowań, reparacji, nie mówiąc o zadośćuczynieniu ofiarom i ich rodzinom. Mówią, że Niemcy nie miały czym płacić. To bzdura. Dawno były znane renty wykupne – niemieckie zakony praktykowały ją od wieków. Każda piędź ziemi, każdy kamień powinny być obłożone taką rentą na rzecz konkretnych ofiar. Nie! Stworzyli ochronną strukturę prawną i wypięli się na ofiary własnego barbarzyństwa – za to, co im się należało, wybudowali nowe miasta, fabryki, zbudowali autostrady – to za pieniądze, które winni byli światu – za Oświęcim, Gros Rrozen, Sztutchof, Dachau, Matchausen – i tysiące podobnych miejsc. Ile są winni za Warszawę? 300 – 500 mld. euro? A za 200 tysięcy trupów w samej Warszawie? Dwa, trzy, cztery biliony euro? Ile? Oni wolą wsadzić „mordę w kubek” i udawać, że nie było i nie ma sprawy. Za każdego zamordowanego w procesie sądowym obrońcą Poczty Gdańskiej w 1939 roku – wypłacili rodzinom, po prawie 50 latach - aż! - po 10 000 marek! Rewelacja! Kadafi zapłacił za każdą ofiarę w terrorystycznym zamachu lotniczym pod Lakerbi, po milionie dolarów – Niemcy z łaski po prawie pół wieku aż 10 000 marek (5000 dolarów)! – To prawdziwe dzieło etyki i honoru niemieckiego.

Zrzucili się do kupy – w sumie 10 miliardów marek na odszkodowania dla robotników przymusowych. Przy kwocie przydzielonej Polsce – przeliczyli kurs waluty, wykorzystali okazję spadku kursów - ekstra nisko. Był to przecież niemiecki dług honorowy (nie zwykły) wobec pokrzywdzonych. Nawet nie próbowali pomyśleć – nawet nie przyszło im do głowy, że należało postępować „jak dobry gospodarz” – nie z myślą o własnej kabzie,

ale z myślą o tych, którym krzywdę wyrządzili. To jest właśnie niemiecka godność, niemiecki honor.

Zrabowane pieniądze, ulokowane w bankach szwajcarskich, pozwoliły odbudować gospodarkę Niemiec (pieniądze należy tu rozumieć szerzej – to walory, złoto, kamienie, dzieła sztuki itp.). Niemcy, tak jak wielu innych na świecie, uważali, że np. Żyd „coś” ma w banku. Niejeden, zanim umarł, wypruł wszystko z majątek, podał dane bankowe, podpisał czeki – ba – często wyłudził to od innych, bo mu torturowali żonę czy dzieci. To był dochodowy interes dla wielu przyzwoitych Niemców. Uważam, że całe mienie ruchome i nieruchome rodzin SS – manów, członków NSDAP, funkcjonariuszy gestapo czy abwery powinno być skonfiskowane na rzecz ofiar. Reszta nieruchomości powinna mieć obciążenia hipoteczne – rentami wykupnymi na rzecz ofiar, które należy uregulować w przyszłości, nawet w przyszłych pokoleniach. Rozumiem – morduje się szybko i łatwo – płacić czasem trzeba i przez wiele pokoleń! Za dzieła dziadów czy ojców popełnione na taką skalę należało i należy zapłacić – no! Oni mają oczywiście inne zdanie na ten temat. Gdzie tam pokora!

Mieszkańcy Śląska – myślę tu o rejonie Lublińca – uważali, że „Hitler to jest antychryst” – to taka odmiana w wizji narodowej. W „Mein Kampf” Hitler wszystko napisał wcześniej, co będzie robił i to pasowało Niemcom. Do Stalingradu Hitler był balsamem dla duszy niemieckiej.

Wiem, że cały niemiecki majątek pokryłby zaledwie może 10 czy 20% roszczeń, wiem, że to niewiele, ale resztę zobowiązań należało rozłożyć na 10 czy 20 pokoleń. Pokrzywdzonych i ofiary nie obchodzi stan duszy niemieckiej i ich możliwości płatnicze! Obelgą dla świata i ludzi jest to, że sprytnie, przy pomocy Amerykanów wypięli się na wszystko. Tak się stało po I wojnie światowej, tak i po II! Niemcy to wielobilionowi dłużnicy Europy (licząc w aktualnych euro)! Ich autostrady powstały z sierocego grosza, ich fabryki z wdowiego – i tu i tu ukradzonego przy pomocy sztuczek i wybiegów prawnych. Niemcy na zawsze tą postawą pogrzebali swój honor, swoją godność narodową. Faszyzm był na swój sposób urzekający, urzekający był też komunizm. Sześciu ministrów w rządzie Pol Pota to absolwenci Sorbony – chyba najbardziej komunizującej uczelni po II wojnie światowej w państwach alianckich – a wiedzieli już, czym jest gułag, czym jest bolszewicka Rosja, czym był Katyń. Weź takiego Bernarda Shaw’a czy setki mu podobnych! Nawet żona Roosevelta – Eleonora sympatyzowała z bolszewizmem.

Był okres, kiedy ja dałem się uwieść socjalizmowi. Znałem kapitalizm, o czym już pisałem, z jego najobrzydliwszej strony. Wiem, że nie ma nic lepszego od gospodarki wolnorynkowej – konkurującej. Dalej jestem jednak socjalista – nie krypto – komunista – zwolennikiem takiego systemu socjalistycznego, jaki panuje aktualnie w Szwecji czy Finlandii, gdzie indziej pewnie też. Kapitalizm amerykański mi się nie podoba – dla własnego, drobnokapitalistycznego interesu popełnili i popełniają tyle niegodziwości! Może ja na nich patrzę przez pryzmat Teheranu i Jałty – dla mnie to niegodziwcy i tyle. Uważam, że środki są nieprawidłowo dzielone, że jawny wyzysk człowieka przez człowieka powinien być tępiony. Nierówność w handlu międzynarodowym, nierówność międzybankowa – kapitałowa państw – powinny ją łagodzić międzynarodowe przepisy. Uważam, że przyszłością świata jest socjalizm – nie komunizm z Moskwy, ale socjalizm z Paryża, choć samych Francuzów nie lubię i nie szanuję. Nie mam uprzedzeń narodowych – idzie o rządzących.

Polskie Państwo Podziemne upadło, upadł też ruch oporu z wielu przyczyn. Część społeczeństwa została urzeczona komunistycznymi hasłami i partyzantka straciła oparcie społeczne i materialne. Ludzie chcieli pokoju i spokoju za wszelką cenę. W Jałcie dopuszczono się zbrodni. Oddano nas w imię interesów USA i Anglii Stalinowi. Kolejną zbrodnią było szczucie nas – zachęcanie do walki i oporu. Nasi „sojusznicy” spisali nas na rzeź. Chcieli, abyśmy długo i mocno krwawili, bo mieli w tym interes – niestabilność na zapleczu imperium rosyjskiego. Kierował nimi partykularny interes. Skoro i tak „poszliśmy na stracenie”, to można nam krwi upuszczać do woli. Takie napuszczanie nas na układ pojałtański było wyjątkową perfidią. Oni tylko chwalili nas, za głupotę, w eterze, i szczuli, szczuli, szczuli. Przeplącało to życiem wielu młodych patriotów polskich. Czy taki Ośrodek Mobilizacyjny we Wrocławiu – i ośrodki gdzie indziej – miał sens? Opór trzeba było stawiać na innej płaszczyźnie – intelektualnej, duchowej, a nie przez wciskanie pistoletu do ręki. Nasi sojusznicy z pełną premedytacją czynili z nas „kamikadze” w walce, w ich zupełnie nie polskich interesach. Nasze głupie AK – owskie działanie po wojnie było bez sensu – ale do tej wiedzy trzeba było czasu i dojrzałości. Zdradę i perfidię przyjaciół często widzi się bardzo późno. Winą za to, że Rosja jest, jaka jest, należy obciążyć Stany Zjednoczone. Czy konieczne były aż dwie bomby na Japonię? Czy jedna nie mogła spaść na Moskwę – to był strategiczny błąd USA. Co do bomb dwóch – to przenośnia. Był okres, kiedy Amerykanie, mając około trzystu bomb, rozważali uderzenie na Rosję. Brali pod uwagę uderzenie jedynie na źródła energetyczne i doszli do wniosku, że ta liczba bomb to

zbyt mało. Zgoda – na zniszczenie energetyki to mało, ale wystarczyło na zniszczenie 150 czy 200 rosyjskich miast – to było jedyne, racjonalne działanie. Zginęliby tylko Rosjanie – mnóstwo ludzi z Europy środkowej ocaliłoby życie, a narody uzyskałyby wolność.

Moje pierwsze kroki z Kaziem Gulbinowiczem we Wrocławiu. Zamieszkaliśmy na Nowowiejskiej, w podwórzu była piekarnia. Zabezpieczałem mieszkanie granatem przed szabrownikami – dwa razy oczyścili mnie z mojego skromnego dobytku. Zakładałem linę za oko zawleczeni i tak rozciągałem, że przy niekontrolowanym otwarciu drzwi musiała zostać wyciągnięta. Raz mocno podpity wracałem środkiem ulicy – ścieżką między gruzami. Dobrze pod drzwi mieszkania na czwartym piętrze. Woda mocno szumiała w głowie – zapomniałem o granacie. Otworzyłem – słyszę złowrogi syk – a ja go znam z walk okopowych. Oprzytomniałem w ułamku sekundy. Rzuciłem się na granat – chwyciłem i cisnąłem przez zamknięte okno. Spadł na dach piekarni i eksplodował. Wszystkim wybiło szyby do środka – tylko moje były wywalone na zewnątrz. Nikt się nie zorientował, że to moje dzieło. Od tego czasu przestałem posługiwać się granatami. Na Nowowiejskiej było część domów niezniszczonych. Spotkaliśmy Karusię od Hansenów – mieszkała obok – na przeciwnej stronie niż my. Z Kaziem zajęliśmy mieszkanie na górze – bo bezpieczniej. Na dole był już fryzjer, w podwórzu piekarnia. Fryzjer – Lwowiak. Po jakimś czasie był obowiązek meldowania się. Wypełniliśmy stosowną ankietę. Administracja się umocniła. Z piwnicy wylazła Niemka – tam się ukrywała – dwie Niemki z dzieckiem. Był też ktoś z powstania warszawskiego. Naprzeciwko rozpoczął pracę cukiernik. Dostałem pracę w Urzędzie Miejskim. Kazik potrzebował ściągnąć rodziców z Litwy, z Wilna. Kazio zajął domek w dzielnicy willowej, podwrocławskiej. Miał on większość dachówek postrzelanych – zająłem się remontem tego domu. Jego siostra jeść nam dawała.

Na piętrze niżej, na Nowowiejskiej mieszkał Zacharzewski – kolega Gulbinowicza. Co młodemu, byłemu żołnierzowi, głupiemu chłopakowi może przyjść do głowy, aby zabezpieczyć mieszkanie?! Jako nastolatek dostałem karabin i granat do ręki – były to codzienne narzędzia przez kilka lat – tak jak dla innych portfel, kosmetyczka, czy klucze do samochodu. Nie tyle narzędzia, co przedmioty codziennego użytku, do powszechnego stosowania. Stąd w tej głupiej głowie taki obscurny pomysł. Mnóstwo problemów przez kilka lat rozstrzygałem karabinem lub rzuceniem granatu. Byłem dobrym i skutecznym żołnierzem. Zawsze dbałem o karabin i amunicję. Nie z szacunku do regulaminu, lecz ze strachu. Gdy zawiedzie broń lub braknie amunicji, często śmierć za gardło chwytiała. Jej

oddech czułem miesiącami tuż, tuż. Były dni, że po kilka razy prawie umierałem ze strachu lub przerażenia. Prawie zawsze nosiłem łopatkę starannie wyostrzoną i parę granatów. Przeżyłem 26 szturmów, jedenaście zakończonych walką wręcz, w tym trzy z czołgami. Bóg nade mną czuwał. Tylu kolegów legło – ich kości porozrzucane w tylu miejscach. Przeżyłem niezliczoną liczbę nawałnic ogniowych. Jako dobry strzelec starałem się panować nad własnym ogniem. Szanowałem amunicję, strzelałem krótkimi seriami, starając się o traf przy każdym przyłożeniu, choć nie zawsze był możliwy, a czasem nieprawdopodobny. Zabiłem wielu ludzi, były dni, kiedy kilkakrotnie zmieniałem lufę karabinu z przegrzania. Wystrzelałem chyba więcej niż wagon amunicji. Były sytuacje, kiedy zabijałem, choć nie powinienem tego czynić. Były i odwrotne – nie zabiłem, a należało to zrobić. Na froncie marzyłem, że jak wrócę do domu, to znajdę sobie takie miejsce, np. po żwirowni – nawet myślałem konkretnie o jednej, ustawię zasieki na drodze – na wjeździe do niej, wewnątrz się okopię, postawię ckm i wtedy już nikt nie będzie wydawał mi rozkazów. Będę sobie sam panem – to będzie moja prywatność. Nikt nie będzie mi dyktował, za kogo mam walczyć i ginąć. Będę siedział za zasiekami i to będzie mój raj. Na froncie, jak ktoś podchodził, to zawsze po moją głowę. To ja go raz ... Nigdy nie puściłem żywego – no raz, ale to nie z litości, ale miałem wrażenie, że moja luneta, jest niedobra i tak mu się udało. Przez trzy tygodnie byłem w armii rosyjskiej. Jak w Wilnie zgłosiłem się do poboru – do Wojska Polskiego, to najpierw przez trzy tygodnie byłem w ruskiej jednostce szkolno – treningowej, musiałem nauczyć się ruskiej musztry – a komendy brzmią dziwacznie – na opak, jak w wojsku niemieckim czy polskim. Tam po rusku nas musztrowali.

Później dostałem we Wrocławiu robotę w zabytkach. W poprzednim miejscu pracy zbyt dokładnie zaczęło mi się przyglądać UB. Dobrze było wyjechać z miasta – zniknąć im z oczu. Dostałem robotę przy remoncie kościoła w Sobótce pod Wrocławiem. Piękne miasteczko. Pracowałem w Wojewódzkim Urzędzie Konserwatorskim. Prowadziłem odbudowę kościoła, chyba świętego Marcina. Była tam też niemiecka kircha i tam był polski proboszcz – Ślązak gruby, który przejął probostwo poniemieckie, bo pastora nie było, została gospodyni pastora czy jego żona i jego córka. Grupa remontowa stołowała się na probostwie, ksiądz był trochę taki.... „A co? czy myślicie, że jo taki gruby z przejedzenia? jo jest chory” – takie farmazony plótna na kazaniu – „to z choroby mam ten brzuch”. Kiedyś jedliśmy śniadanie na parafii – przyjechał ten proboszcz z Wrocławia,

a my słyszymy, jak baby go opieprzają: „ty kurewniku, skąd ta szminka na twojej koszuli?” I tam takie inne wyzwiska. Potem biskup zdjął go z parafii.

Odnawiałem również Lwówek Śląski. Według mnie najpiękniejsze w świecie dwie miejscowości to moje rodzinne Kośmidry i Lwówek Śląski, no może jeszcze Wilno, choć kocham i Wrocław. Lwówek Śląski to jest małe miasto pełne uroku. Wkoło góry i jest to miasto takie, że czujesz średniowiecze. Tak, jakbyś znalazł się w XV – XVI wieku. Mury obronne, tu płynie rzeczka, do browaru krystalicznie czysta woda doprowadzona jest akweduktem – woda szemrze. Jak ja tam byłem, to Lwówek był prawie pusty. Trochę rozwiedzionych małżeństw, albo gdzieś tam porzucona żona, albo mąż zawiedziony. Reszta gdzieś tam w terenie – po dziurach. Jaworski – przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej – jego brat jest adwokatem czy prokuratorem, tam się ludzie powoli osiedlają, dużo lwowiaków, ruszył browar lwówecki – bardzo dobre piwo. Całe to koryto sprowadzające wodę do browaru reperowaliśmy. Te deski porośle zielenią, glonami, a woda czyściutka jak kryształ. Tam jest rynek. Na rynku jest orzeł piastowski, do dziś dnia Polacy nie wiedzą, jakie barwy śląskie są i jaki je zdobi polski orzeł. Tam był ten śląski – piastowski orzeł czarny. Śląskie barwy to białe i żółte, tak jak Najświętszej Marii Panny. Na tej wieży ratusza był Piastowski Orzeł Śląski – czarny. Drugi czy trzeci rok niepodległości..... ustawiła ta milicja ludowa karabiny – ckm – y i zestrzelili tego orła. Byli po kielichu, ale z nich gównu, nie strzelcy. Chociaż matolem każdy być ma prawo. Postrzelali całą wieżę ratuszową sądząc że strzelają do orła niemieckiego. Wieża ratuszowa postrzelana, przecieka tam do środka, rajcy nie mają gdzie radzić, obiekt zabytkowy. Już jedną renowację w 1900 którymś roku miał – tam nad drzwiami wykuta jest data. Konserwator zabytków uznał, że trzeba tą postrzelaną wieżę i zamakające sale zabezpieczyć i przeprowadzić renowację. Wysłał tam Kuzkę – kolegę, a on ściągnął mnie – byłem u niego technikiem. Szelregowski był kierownikiem tej grupy robót – on lubił nogi trzymać w miednicy i chwalić komunizm – mówił: „nigdzie kierownik by tak nie miał jak ja – siedzę w ciepłym, nogi moczę i mogę przez telefon opierdolić Wojtka, że za mało zasuwa przy robocie”. Później przez tego frajera musiałem z tych zabytków zrezygnować. Wagon drzewa, całą wieżę żeśmy odbudowali, na dole targowisko, a tam można było kupić wszystko. Centrum handlowe. Żeby już nie było pretekstu do zestrzelenia orła, to żeśmy tą kulę zdjęli z kirchy niemieckiej i przenieśli na ratusz. Wewnątrz znaleźliśmy akt erekcyjny kirchy. Lwówek – stare, urzekające miasto wśród gór, piękny ratusz, piękny stary browar, park piękny, mury obronne, a brama chyba Świdnicka, Kościół wbudowany

w mury obronne, a te kamieniczki.... Radzę pojechać kiedyś również do Siedlęcina. Tam są domki łużyckie – Łużyce różnią się budownictwem od Śląska, w architekturze specyficznymi podcieniami. Siedlęcin – miasteczko na Dolnych Łużycach. Takie (czy nie Górnych?) domy z podcieniami – to jest charakterystyczne dla architektury łużyckiej. W Legnicy domki śledziowe. W zamku legnickim urzędował ostatni książę śląski – bił monetę, własną sprawował władzę.

Kto zwiedza Lwówek powinien koniecznie Wleń zobaczyć. Często zaglądałem do kaplicy na górze, tuż nad rynkiem, teraz słyszę, że większość zabytków i obiektów jest tam zdewastowana. Można się zorientować, że to piękne, zabytkowe miejsce, ale co to za miejsce, co tam jest – ani tablicy, ani informacji, ani swobodnego dostępu. Tam jest Jadwiga – Sienna Śląska – to jest kościółek świętej Jadwigi. Jest cmentarz. Na tym cmentarzu masz polskie groby, Polskich Piastów, o których świat i Polacy dawno zapomnieli. Piastowie byli tak liczni, tak dzielili swoją ziemię, że im czasem po dwie morgi zostało – ale to polska historia. W tym Wleniu, jak z góry popatrzysz – do tego kościółka trzeba iść, iść bardzo stromą ścieżką (z drugiej strony można dojechać). Tam od góry był jakiś pieruński PGR. Z góry patrzysz. Na środku Wlenia jest ratusz, tak jak w średniowieczu – za moich czasów był tam jeszcze hejnał grany. W kaplicy na górze – tam jest pustelnia – pustelnik kiedyś był – to miejsce jest zakratowane. Popatrzysz na te groby, na to, kto gdzie leży, to historia Śląska i Polski. Teraz Wleń jest w tragicznym stanie, ja widziałem Wleń nad Bobrem jeszcze w pełnej krasie – jak tam przyjechałem z Lwówka, zastała mnie powódź – ten Bóbr wylał – musiałem się we Wleniu zatrzymać. Poszedłem na plebanie, był tam ksiądz, który mnie jednego na mszy miewał i on to miasto ukochał. Przypomina mi się to trudne powojenne osadnictwo. Polskie interesy i polska dusza nie są tylko w Warszawie i Krakowie, ale w takich małych śląskich i łużyckich miasteczkach też. Cmentarz we Wleniu – tam pochowany jest ostatni z Piastowiczów Wleńskich – tam jest jego sarkofag. A kościółek pod wezwaniem świętej Jadwigi – księżny śląskiej. Grobów jest dużo. Któryś z tamtejszych władców ustanowił, że syn może dziedziczyć tylko wtedy, kiedy nauczy się po polsku pisać, czytać i mówić – nie znasz języka polskiego – nie dziedziczysz. Cenna rzecz wśród Piastów. Mój ojciec czuł się Niemcem, matka stanowiła o porządku w domu, czuła się Polką, a przede wszystkim Polskę kochała za katolicyzm. Była kiedyś zakonnicą. Polska to katolicyzm. Tam gdzie Niemcy, to protestantyzm.

Do Wehrmachtu szli na Śląsku ludzie z poboru. Nie wszyscy Ślązacy czuli się Polakami. Zdarzali się i ochotnicy do SS. Niemcy mieli różnorodne środki nacisku – od pozbawienia nieruchomości, źródła utrzymania do wysłania do Oświęcimia. Potrafili wymusić pokorę, ale zdarzali się ochotnicy. Byli i tacy, którzy po prostu nie wiedzieli, gdzie idą – to niezwykle prości ludzie, nieświadomi, nie znający spraw Europy, stosunków polsko – niemieckich – polityka dla nich to często coś tak odległego jak obca planeta – ludzie bez ukształtowanego kręgosłupa politycznego czy narodowego. Czym się taki Świątek (znajomy Ślązak) mógł kierować – ojciec jego był Niemcem, matka Polką, siostra wstąpiła do NSDAP, a on poszedł do SS – ale czy on wiedział, gdzie idzie, to ja wątpię. Sprawa formacji SS to złożony temat. Trzeba by sięgnąć do historii. Tylko w nielicznych dywizjach – legionach SS Niemcy stanowili większość! Tak! Dla większości zjadaczy chleba to szok informacyjny, ale to prawda. Formacje SS to czterdzieści kilka dywizji międzynarodowych, w tym w większości rdzenni Niemcy stanowili skromny odsetek! (uproszczone zestawienie). Tylko nieco ponad dziesięć dywizji było sformowanych z żołnierzy czysto niemieckich. Wobec takiego umiędzynarodowienia narzędzia zbrodni, jakim było SS, trudno się dziwić biernemu oporowi w ściganiu SS – manów. W ich karaniu, a broń boże przy okazji pozyskiwania środków na odszkodowania, zadośćuczynienia czy renty dla ofiar. Ponadto w samym SS – u podstaw ich powstania i naboru żołnierzy leżały inne przesłanki narodowe i polityczne. W pełni zrozumiałe i usprawiedliwione są dywizje: Litewska, Łotewska, Estońska czy Galicyjska. Po tym, co Rosjanie tam uczynili, szerząc bolszewizm, każda forma odwetu czy rewanżu była słuszna i sprawiedliwa – ideą naczelną było przelać jak najwięcej rosyjskiej krwi, aby ten czerwony potwór nigdy się nie odrodził. Prawdą jest, że taka nienawiść Niemcom pasowała, ale to inna sprawa. Mało kto wie, że ok. 40% żołnierzy, walczących po stronie niemieckiej, pod Stalingradem mówiło po rosyjsku! Wiele narodów zniewolonych przez imperium sowieckie pragnęło wziąć odwet i mieli do tego wszelkie moralne prawa.

Niepojęta jest natomiast mnogość wśród SS – manów Francuzów, Belgów, Norwegów, ba, była przecież formowana angielska dywizja SS, chociaż nigdy nie weszła do walki – jak to interpretować – nie wiem – budzi to moją odrazę.

Władze Polski mało troszczą się o pamięć swoich synów – bohaterów. Weźmy Kośmidry – w 1939 roku czterech poległo – zostali rozstrzelani w odwet za śmierć pierwszego niemieckiego oficera, który padł na ziemi polskiej. Nawet ksiądz za ich dusze się nie pomodli. Nikt nawet nie wie, gdzie oni leżą. Niemcy tak perfidnie postępowali jak NKWD – tak ich pogrzebali, żeby nikt nie znał miejsca – aby nie było miejsca pamięci, pomnika, gdzie można złożyć wieniec, kwiaty – gdzie można się pomodlić, czy przeżyć chwile zadumy. Tu w szkole, w Kośmidrach, tu był punkt obronny, tu pierwszy Niemiec zginął.

Śląski język nigdy nie był gwara. Język polski wywodzi się – jego bazą jest język śląski. Śląsk był rdzeniem powstającego państwa Piastów – tu też są najgęściej rozsiane mogiły piastowskie. Pierwsze znane zdanie zapisane po polsku w „dey it ja [pobrusa] a ti poczywaj” odnalezione w księgach henrykowskich ... – to Ślązacy do dziś używają „bruska” to nie czeskie, to śląskie pojęcie.

Artykuły Wiślickie – tu we wstępie – z historii ustroju – przed sądami w Piotrkowie Trybunalskim – można zeznawać w języku polskim, czeskim i śląskim. Śląski był samodzielnie ukształtowanym historycznie językiem. To uznał i określił Kazimierz Wielki. Nie można mówić, że język śląski to jest gwara – jest to język równoległy do polskiego i czeskiego.

Na Śląsku są środowiska jątrzące, antypolskie – to serdeczni wrogowie Rzeczypospolitej. Wydają nawet broszurę – jakiś periodyk – „Jaskółkę”. W tekście są bzdury mające uzasadnić potrzebę autonomii. Jak było teraz świętego Czesława – patrona Śląska, to w całej Polsce nikt nie przypominał, że jest to patron Śląska. – A leży Odrowąż, przedstawiciel rodu śląskiej „nobiletowanej szlachty” – Czesław Odrowąż w kościele u Dominikanów, na Placu Dominikańskim we Wrocławiu. Kaplica i sarkofag cudem ocalone z pożogi wojennej. W stolicy Dolnego Śląska prawie każdy wie, gdzie jest Galeria Dominikańska, ale gdzie spoczywają prochy patrona, już bardzo, ale to bardzo niewiele. Błogosławiony Czesław – kaplica cudem ocalała.

Ortodoksyjne, germanofilskie środowisko wydaje czasopismo „Jaskółka” – tam jątrzą przeciwko Polsce. Śląsk i Polska to jedno i to samo – tu na Śląsku są najsilniejsze piastowskie korzenie. Prawda, że po zrzeczeniu się praw do Śląska przez Kazimierza Jagiellończyka, był on bardzo mocno czechizowany, a później germanizowany – nie zmienia to faktu, że był i jest polski i stanowi historyczne centrum państwowotwórcze.

Nacjonalistyczne, germanofilskie środowiska śląskie rozgrywają swoją kartę szkodząc Polsce jako całości, jak i Śląskowi jako jej integralnej części. Śląsk z Niemcami nie ma nic wspólnego – jest to zupełnie oddzielna rasa słowiańska, nie mająca nic wspólnego z germańską. Może być tu powinowactwo do Słowian Łużyckich wcześniej zgermanizowanych – ogniem, żelazem, podstępem, pieniądzem i ofertą cywilizacyjną wciągniętych w obszar niemiecki – w wielu wypadkach pozostał po nich jedynie ślad w toponomastyce. Jedną z postaci łączących Śląsk jest święta Jadwiga – księżna.

Edyta Stein – nie jest to osoba wzbudzająca u mnie entuzjazm. Jest to patronka Lublińca. Myślę, że niezbyt fortunna z uwagi na swoją antypolską i anty słowiańską postawę w licznych deklaracjach. Była aż tak proniemiecka, że aż anty śląska. Dziadek jej – to taka rodzina kupców w Lublińcu. Edyta w okresie, kiedy był plebiscyt, należała do „Spartakusa” – organizacji niemieckiej młodzieży komunistycznej i ona zwracała się do Ślązaków z pretensją – czegoż oni chcą, przy Niemcach mają jak u Pana Boga za piecem, a optują za Polską. Po plebiscycie jej żydowska rodzina wyprowadziła się do Wrocławia – kością w gardle była im polskość. Tylu jest Polaków zamordowanych w obozach koncentracyjnych – tylu prawdziwych świętych, że niekoniecznie powinna być patronką Lublińca, duszą i sercem należąca do Niemiec Żydówka. Wielu Ślązaków zostało męczennikami na różnorodnych frontach drugiej wojny światowej – w tym na wschodnim – wzięci siłą „zakuci w niemieckie kajdany” – wsadzeni w kamasze pod groźbą Auschwitz i wysyłani do wojennego piekła.

Tuż po wkroczeniu Niemców w 1939 roku na mojej rodzinnej ziemi miały miejsce różnorodne rozgrywki narodowościowe i polityczne – to samo w innych konfiguracjach nastąpiło po wyzwoleniu w 1945 roku.

Te regionalne rozgrywki miały charakter porachunków w 1939 roku – przed wybuchem wojny w Polsce była bieda – tuż przed samym wybuchem wojny trochę się ruszyło – poprawiło. Od czasu pierwszej wojny światowej tu na moim Śląsku było bardzo duże bezrobocie. W Kośmidrach był krótki okres prosperity, kiedy tu spółka „Las” przystąpiła i do wycinki i wstępnej obróbki starodrzewia. Zjechali się robotnicy leśni z wielu rejonów Polski. Wprowadzono wyręby – trzebili wszystkie lasy naokoło. Były duże potrzeby w związku z industrializacją Polski – budowano COP, elektryfikowano duże obszary kraju. Popyt na drewno był ogromny, a w Niemczech popyt na kapitał – te lasy były w rękach

niemieckich – sprzedane dobrze w formie kapitału przysłużyły się gospodarce niemieckiej i Hitlerowi.

Robiono tu słupy telefoniczne i energetyczne. Osiedliły się tu takie rodziny Wołyńskich, Myślińskich, Jędrychowskich, Polińskich i innych. Jak wytrzebili lasy, pozostało część przyjezdnych mimo, że w Kośmidrach i w okolicy nastąpiła bieda i bezrobocie.

Mój ojciec w wyniku tego zbankrutował. Robotnicy zatrudnieni przy drzewie brali towar w jego sklepie na zeszyt. A on kupował towar na weksle. Robotnicy rozjechali się, nie regulując długów, a ojciec został z weksłami nie do spłacenia. Weksle wykupił jego serdeczny kolega i doprowadził go do bankructwa. Po 1920 roku wśród młodzieży krzewiona była polskość przez szkoły i organizacje. Był Związek Strzelca, Orłąt, Towarzystwo Matek Polek, bogate życie świetlicowe, kółka samokształceniowe, funkcjonowało towarzystwo Czytelni Ludowych. Siostra prowadziła publiczną czytelnię ludową, ja się doksztalcałem dużo. Wzrastał patriotyzm. Cała młodzież była bardzo patriotyczna, nie było tu proniemieckich ciągót. Oczywiście były i stare „nie kastrowane byki” – oni zajmowali się szmuglem i mieli kontakt z niemiecką propagandą.

Próbowali krzewić hitlerowską myśl na Śląsku. Jak przyszli Niemcy, to oni chcieli się czymś wykazać, aby chapnąć coś dla siebie.

Wróciliśmy z bratem po kampanii wrześniowej, tośmy się musieli co tydzień u sołtysa meldować.

Jak później, po 1945 roku mój brat wrócił od Andersa, to też musiał się na milicji meldować. Niemcy jak przyszli, to wszystkich powstańców śląskich aresztowali i wsadzili do Oświęcimia. Jak przyszła polska władza, to wszystkich, co byli związani z Niemcami, wsadzili do obozów – do Michałkowic – Jaworzna, do Łambinowic i innych. Byłem w odwiedzinach w takim obozie – ludzie byli tam traktowani jak niewolnicy – pajda chleba i do roboty. Nie było tylko krematoriów, ale mnóstwo ludzi poszło do piachu. Prowadzono ich do kopalni – przymus pracy w najcięższych kopalniach. Po wejściu Niemców były prowokacje – moich czterech kolegów, którzy się nie wycofali za Wojskiem Polskim tylko zostali, zaraz rozstrzelano, wezwano ich niby do robót publicznych – stawili się – później były strzały w lesie. Żandarmi tych czterech moich kolegów właśnie tak zamordowali. To był odwet za zastrzelenie pierwszego oficera niemieckiego w tej wojnie.

Jeden na drugiego donosił – takie tam słabości ludzkie. Jeden się dobrze ubezpieczył, a potem mienie podpalił – policja, żandarmeria stwierdziła podpalenie (w zмовie z

pogorzalcem) – a kto mógł podpalić ? Tylko Polak. Padło na Gieńka Wołyńskiego – mojego kolegę, on nie dostał wcześniej niemieckiego obywatelstwa. Chłopak by zginął, gdyby nie moja ciotka uważająca się za wielką Niemkę nie zrobiła boruty na cały powiat. Wyciszyli sprawę, ale pogorzelec dostał pieniądze i przydział na materiały budowlane – mógł się odkuć jak należy. Przy granicach tak jest – panują skomplikowane układy rodzinne – czy to na wschodzie, czy na zachodzie. Szczególnie to widać tam, gdzie były często „gorące” granice. Tu w Lublinie jak kogo pytano kim jest – czy Polak czy Niemiec – to z reguły odpowiadał „nie – ja Ślązak”. Na wschodzie Polski jak pytano o narodowość, to najczęstszą odpowiedzią było – „ja tutejszy”. Jak się chciało poznać, kto kim jest, trzeba było pytać o religię – to była prawdziwa linia podziału.

Po 1920 roku np. tu u nas, Kubiś Kazimierz ożeniony z moją siostrą nauczył się szewstwa i trochę szmuglował. Szmuglował zapalniczki, kamienie do zapalniczek, spirytus. Zbliżała się wojna, Kubiś uciekł na niemiecką stronę, dużo uciekało. Z drugiej strony też uciekali do Polski. To są problemy pogranicza. Przyszedł za wojskiem niemieckim. Przechwalał się w knajpie, że zna niemiecki i uważa się za Niemca – była to fanfaronada z głupoty. Jest tu kupiec, działacz – przed wojną przy Strzelcach, ma sklep – to jak przyszli Niemcy, to zaraz z nimi pojechał do Częstochowy Żydów grabić. Tam się dorobił. Miał pełną piwnicę i pełną szopę zrabowanego towaru, miał auto – założył „SA”. Kubiś też zapisał się do SA. Chodzili na różne capstrzyki i spotkania w niedzielę. Niemcy tej komórki SA nie zarejestrowali. Było kilku S.A. – manów – np. aktualnego wójta dziadek, dziadek przewodniczącego rady – Ci byli zarejestrowani, należeli do wrocławskiej lub opolskiej sztafety SA.

Wszyscy ci, którzy aspirowali do SA zaraz poszli w kamasze – w nagrodę. Wzięli i Kubisia, mojego szwagra. Poszedł do Czech. W Czechach przeszkolenie i do lotnictwa, do obsługi. Ponieważ był szewcem, tak też wegetował w tym fachu przy wojsku. Jako szewc pojechał na front wschodni. Pod rosyjskimi nalotami okazało się, że jest w jednostce lotniczej, a nie podpisał jeszcze folks listy. Zwolnili go z wojska. Wrócił tu jako szewc. Praktykował w Dobrodzieniu. Później miał tu swój warsztat. Lubił popić. Przyszła władza niemiecka – stare ramole jeszcze z przed okresu hitlerowskiego. Ta stara władza była znośna. Kubiś, szewc, robił bimber – toteż starzy Niemcy u niego przesiadywali i popijali. Robił wódkę z cukru. Przyszła polska władza i za dupę go – do obozu. Przeżył obóz tylko dlatego, że był szewcem – to uniwersalny zawód – tam też był potrzebny jako szewc. Wyrzucili go z niemieckiego wojska jako Polaka, płacił 15 procentowy dodatek do

podatku za to, że był Polakiem, a Polacy po przyjeździe potraktowali go jako Niemca. Mojego ojca też aresztowali. Gienek Wołyński był w milicji, a jego szwagier w UB. Wyciągnął ojca z niedoli. W Michałkowicach komendantem obozu był Żyd – sadysta i złodziej, zagłodził setki ludzi, (okresowo był tam taki głód, że ludzie własne ekskrementy zjadali – jak w najcięższych obozach gułagu) to zwykły ludobójca. Izrael obronił, ochronił go przed odpowiedzialnością. Jeśli Żyd mordował gojów, to wszystko w porządku, to taka ich zasada (jeśli Arab zabije Żyda, to terrorysta, jeśli Żyd Araba, to bohater). Siostra była też kierowana do robót przy kolei – przymus robót dla podejrzanych o proniemieckość (tak po rusku). Tu znamy takiego (w Kośmidrach) człowieka, którego dziad był SA – manem, ojciec I sekretarzem PZPR w gminie, a on sam teraz jest wójtem. Ten człowiek publicznie twierdził, że AK mordowało ludzi na Wołyniu – jak można być takim zakłamanym? Gdzie ten człowiek ma kręgosłup? Żeby szerzyć publicznie takie oszczerstwa ...

Kiedy są polskie święta narodowe, to polskiej flagi nie uświadczy w Kośmidrach – u wójta też. To tacy Polacy.

W Niemczech eksterminację chorych publicznie wykonał biały personel. Nie SS – mani, ale lekarze i pielęgniarki niemieckie. W Klinice Uniwersyteckiej we Wrocławiu prowadzono doświadczenia z eksterminacją dzieci poprzez zagłodzenie na śmierć – sukcesywne zmniejszanie kaloryczności jedzenia. Mordowano w Lubiążu – aby z chorych uzyskać preparaty. Mordowano również w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu. Czy mogli to robić normalni ludzie? A czy mogli być później nie karani! Okazuje się, że tak. Profesor medycyny – Niemiec wywodzący się ze Szczecina – został laureatem Nagrody Nobla, nie pamiętam jego nazwiska – a to kolega Eichmana z Oświęcimia – wymieniali się ludzkimi preparatami i wiedzą zdobytą w najbardziej barbarzyński sposób. Niemiec miał na tyle buty i pychy, aby przyjąć nagrodę – tak potrafi tylko prawdziwy Niemiec, oni mają odwrócone pojęcie honoru. Zresztą Kurt Waldheim (sekretarz ONZ) był też SS – manem – ukrył to i przyjął tak godne stanowisko, przewidziane dla ludzi o czystych rękach. Przecież SS nie służyło do łapania pcheł – ale Niemiec (Austriak to też Niemiec) miał swoiste poczucie honoru i przyzwoitości. Autor „Błaszanego Bębenka” to też SS – man. Ukrył tą zaszczytną kartę w swoim życiorysie i bez żenady przyjmował splendory. Ani trochę strachu, ani trochę pokory, ani trochę skromności – a przede wszystkim typowo Niemieckie poczucie „przyzwoitości”. Jeśli ma się aż taki brud za paznokciami, to trzeba umieć stanąć dyskretnie w cieniu – skoro się za przeszłość nie zostało powieszonym.

Problemy z tożsamością narodową ludzi pogranicza. Otrzymałem Krzyż Żelazny za poniewierkę wojenną, za całokształt działalności bojowej. Dostałem jeszcze kilka niemieckich odznaczeń. Przyrzeczony, miałem również trzykrotnie – za trzy różne akcje bojowe na Wileńszczyźnie Krzyż Virtuti Militari. Oczywiście nigdy go nie otrzymałem.

W szkole miałem obniżany stopień z historii nie za brak wiedzy lecz za to, że mój ojciec czytał i prenumerował pismo niemieckie.

Przeżyłem 26 szturmów, 11 walk wręcz, w tym trzy z czołgami. Walczyłem karabinem, granatem, bagnetem, łopatką saperską, minami, pancerfaustami. Byłem dobrym żołnierzem. Znałem doskonale rzemiosło wojenne. Trzykrotnie byłem ranny jako żołnierz w mundurze niemieckim, raz niechcący postrzeliłem siebie sam stopą, wyciągając pistolet zza pasa, po wojnie otrzymałem rykoszetującą kulę od ruskiego, który z kilkoma kompaniami przyjechał czołgiem pod okratowany sklep we Wrocławiu, aby dokonać włamania.

Byłem z rodziny ludzi dumnych. Przed nikim się nie płaszczyłem. Jak mieli mnie wysyłać rozkazem na najgorsze miejsce, bo byłem Ślązakiem, to zgłaszałem się sam na ochotnika – aby mnie nie upokarzano. Poza kolejką nawet po kawę, po żarcie, po inne gówno ... To zawsze Ślązak. Km ma 16 kg wagi ,to komu go dać? – Ślązakowi. Dbałem o ten km, żeby on się nie zacinał, żeby lufę w każdej chwili można było wymienić, żeby mnie nie zawiódł, bo to decydowało o moim życiu lub śmierci. Chodziłem często po przedpolu, zbierałem znaczki poległych – nie dla zabawy, miałem dostać za to urlop, ale się nigdy nie doczekałem, mimo że było to przyrzeczone. Nie byłem żołnierzem dekownikiem. Uważałem Ruskich za nieprzyjaciela. Tak byłem wychowany. To samo robił Piłsudski. Szedł z Austriakami przeciwko moskalom. Ja tych moskali – bandytów, co księży zabijali, co Polskę najechali nie lubiłem. Zabiłem ich mnóstwo. Dopiero później przejrzałem na oczy i wszystko nie było takie jednoznaczne. Nienawiści i pogardy do rosyjskiego bolszewizmu i moskali nigdy się nie pozbyłem – „kremlin” był, jest i będzie zawsze będzie potworem.

Miałem przełożonego oficera, który był w tym stutysięcznym niemieckim korpusie oficerskim. Był to austriacki komunista. On w Wehrmachcie nigdy nie awansował, nazywał się Sztil, był śpiewakiem operowym. Mimo swoich przekonań politycznych, nie

poleciał do ruskich, on walczył. Wycofywaliśmy się pod jego komendą. Zarządził postój na tyłach, żeby nam pokazać, co robi SS. Pancerne auta – kilkadziesiąt sztuk – mnóstwo (dwa koła z przodu, z tyłu gaśienice). Nie rzucili ich na front, żeby zatkać dziurę po naszym wycofaniu. Otoczyli duże wsie, wybili wszystko, co się ruszało, spalili doszczętnie, aby nie został kamień na kamieniu. To były wioski Biała i jeszcze jakaś ... Kostolicy, ja ich tam nie mogłem spamiętać, tyle co na mapie wyczytałem – trudno to z niemieckiego na ruski przetłumaczyć. Wtedy podjąłem ostateczną decyzję, aby z tego wojennego piekła uciekać. Za takiego bydlaka jak Hitler walczyć nie będę.

Do okresu wileńskiego

Litwa. Front się zbliża, ruskie oddziały przechodzą przez ten teren, gdzie my jesteśmy, ruska partyzantka z lasu wychodzi, już się wzajemnie salutujemy i nie wiadomo, co będzie. Komendant rozwiązuje oddział. Moi żołnierze rozchodzą się – niektórzy oferują, że ukryją mnie we własnych domach. No, ale jest Lila Dobrzycka w pałacu – we dworze. Przycupnąłem u niej. Karabin maszynowy ukryłem w skrytce w dziupli, w starej lipie. Za trzy dni znowu nas powołali – połączyli z 7 brygadą – z brygadą Gozdawy. Gozdawa zaginął, na akcję burza się nie zgłosił. Idziemy na Wilno. Nie ma rozkazów, nie wiadomo jak. Konny zwiad penetruje teren. Jesteśmy w takiej wiosce – Wojdaty – z tyłu są Hazbejowicze. Z Wojdat pochodził mój karabinowy. Oddziały, które szły na Wilno, napatrzyły się na pociąg – mówili: pancerny. To tak mówili, bo to sami Niemcy nieco go „opancerzyli”. Na torach podkładali worki z piaskiem i zrobili stanowiska ogniowe.

U nas zmienili dowódcę plutonu. Został nim Benek. Jest wzgórze, a w środku jest wąwóz – nazywał się traktem królewskim. Pod Landwarowem jest pociąg – ten opancerzony dywizji osłonowej 391 – generała majora fon Montenton. W tej dywizji jest mnóstwo Ślązaków. Zalegamy na wzgórzu, na polu tego mojego karabinowego Kaczki. Zalegamy, nikt nie informuje po co i dlaczego. Żołnierz zmęczony marszem. To wszystko śpi. Na dole jest wąwóz, z tego wąwozu na prawo wychodzi taka droga zakolem na wzgórze w stronę Wilna. Zwą ją traktem królewskim. Za drogą jest dolina, którą płynie rzeka Waka. Mamy iść na Wilno, forsując tą Wakę, tak wnioskowałem. W Hazberowicach byli Niemcy. Drużyny są rozstawione. W nocy jedzie traktem auto. Marchał ze swoją drużyną ostrzelał

to auto. Auto się zatrzymało. Z tego wąwozu wychodzi na mnie żołnierz. Ja mu zagradzam drogę pistoletem. Okazuje się, że jest to kierowca tego samochodu. Deklaruje się, że jest Czechem. Ma aparat fotograficzny i piękny pistolet, to mu konfiskuję, dwa granaty za cholewą, automat to też mu odbieram. W rejonie samochodu wybucha strzelanina. Po chwili wszystko ucicha. Strzała odwiózł samochód w naszą stronę. Benek – dowódca naszego plutonu – wlaź w dziurę w terenie, tak trochę z tyłu i siedzi, robi wrażenie dekownika. Strzała wsiadł w samochód i pojechał do tyłu, zostawiając w polu drużynę. Mój karabinowy ma km z czołgu wyciągnięty – Dziekcierowa. Przed tym miał niemiecki, zdobyty na Wielkopolu. Nie zdążyłem go obeznac z bronią. Rozciągnąłem patrole, rozciągnąłem drużyny i czekamy – nocne czuwanie. Robi się świt. Jedzie samochód. Wzdłuż wąwozu rozstawiłem czujki. Padł strzał – żołnierz przysnął – i obudziwszy się, w ostatniej chwili zobaczył jadący samochód – strzelił, żeby dać sygnał. Samochód ciężarowy wypełniony żołnierzami. Po tym strzale samochód pociągnął nieco do przodu i wojsko się wysypało. Marchoła będący najbliżej, poderwał drużynę do ataku, karząc Niemcom podnosić ręce do góry. Jak mu przypierdzielili, to prawie miał odcięte nogi. Dwóch poległo. Reszta drużyny Marchoła przyłączyła się do mojej. Zasadzony żołnierz (partyzant) na czujce przysnął. Przegapił nadjeżdżający samochód. Nie zdążyłby dobiec i ostrzec słowem, więc wystrzelił – dał sygnał strzałem. Auto ciężarowe wypełnione po brzegi załogą, po tym strzale, podciągnęło trochę do przodu i wysypało się wojsko – niemieckie komendy – rozciągnięta tyraliera do przeczesania terenu i ewentualnego ataku lub obrony. Strzelają już w naszą stronę. Dwóch tam poległo, dostali ognia i się wycofali na moją stronę. Mój karabinowy zgłupiał – broń nie przeładowana, zamek w tylnej pozycji, ale nie strzela. Podniósł się i oberwał w pierś. Niemcy, jak załatwili ludzi Marchoła, to w naszą stronę, ale my jesteśmy na skarpie nieco wyżej – oni mają pod górkę – muszą z wąwozu wejść na górkę po sporej stromiźnie. Nie mogę się zajmować moim karabinowym – krew z niego wypływa jak ze źródła. Wyrwałem karabin, którego się kurczowo jeszcze trzymał, sanitariusza wołam, ale ten to taka jakaś dupa – zamiast ciąć rannemu marynarkę to mu ją ściąga. Skoczyłem w bok z karabinem. Uderzyłem w zacięty zamek, nastąpiło przeładowanie, na nowo zarepetowałem, no i te granaty mam od tego Czecha. Walę jeden granat, walę drugi granat i otwieram ogień. Odskoczyłem do dziury obok, a tam leżał Benek i on podaje mi granat – sam nie rzucił tego granatu tak był sparaliżowany strachem, tylko wciska mi, żebym to zrobił. Jeszcze ten granat pierdyknąłem i ogniem z tego karabinu, z góry czyszcę wąwóz. Podbiegam do stojącej na drodze ciężarówce, karabin opieram na masce, widzę za samochodem dwóch Niemców,

którzy wymieniają lufę w swoim karabinie – strzelali wcześniej ogniem ciągłym i ta lufa im się zagrzała. Podciągnąłem po nich – obaj padli jak żaby – Boliński i Gołyński, poszli na ochotnika do Wehrmachtu (wyczytałem to później na znalezionych przy nich dokumentach) – nie było mi ich żal. Nie mam wyrzutów sumienia, że ich kropnąłem.

Ten wcześniej wzięty przez nas Czech do niewoli łąził z nami jakiś czas, później poszedł do ruskiej niewoli, jak nas rozbroili.

Za tą akcją miałem przyręczone Virtuti Militari – obiecał mi Czarny Jan – dowódca zgrupowania.

Wracając do samej akcji... tego już rozpierdzielonego samochodu, jeszcze wskoczyłem na pakę i tam dostałem w prezencie ... znalazłem taką niemiecką teczkę z brezentu, był tam ruski nagan i spora paczka słodczy (cukierki, czekoladki). Tak sobie później ironizowałem – Niemcy, dali mi słodczy, a Polacy jak zwykle obiecali tylko nagrodę – krzyż.

Drugą taką akcją – ale w chronologii wcześniejszą – za którą miałem otrzymać Krzyż Virtuti Militari, było zlikwidowanie oddziału rosyjskiej partyzantki, rabującej wieś będącą pod naszą ochroną.

Mam wielką satysfakcję po tej akcji – „baby mnie obcałowali”. To były Rykonty albo Zwierzyniec – gdzieś głęboki skraj Puszczy Nalibockiej. Prawdę powiedziawszy, to był oddział bandytów, a nie partyzantów. Przyszli rabować wieś, robiąc również „użytek z rozporków”. Przyszli do wsi i zabrali ostatnią krowę. To była taka bieda, że ludzie żyli prawie jak w komunie. Ostatnia krowa dawała mleko na odkarmienie dzieci w wiosce. Cała akcja zaczęła się od tego, że przybiegł ktoś ze wsi z błaganiem o pomoc. Mój oddział był zluzowany – był po służbie – odpoczywał. Mój pluton był plutonem służbowym. Jedna drużyna plutonu ubezpieczała miejsce postoju, druga drużyna była na patrolu żywnościowym, a trzecia odpoczywa – bo w nocy zajmie pozycje osłonowe. Przybiega pastuch z lamentem „Panowie pośledniu krowu zabierajo]” – pasterz. Alarm w plutonie służbowym. Ja jestem pierwszy gotowy, przyszła również akurat druga drużyna z patrolu żywnościowego.

Miejscowi mówią, że pod tą wioską są dwie kłody przerzucone przez rzeczkę jako kładki. Bandyci będą musieli tamtędy uciekać do puszczy. To była wioska prawie że w samej puszczy, myśmy tam prawie nie chodzili. Ja nie miałem tam rozpoznania. Ktoś mi podsunął koncepcję, jak się rozprawić z bandytami. Podzieliliśmy się robotą. Jedna

drużyna zasadziła się wraz ze mną w pobliżu tych kłód przez rzekę, a druga poszła skrajem lasu, aby rabusiów popędzić w naszą stronę. Ustawiłem ckm. Popędzili spod lasu ogniem tych pseudo partyzantów. Zaczęli się wycofywać z łupami – mieli już wcześniej zrabowane dobra z innej wioski. Z całym tym dobytkiem, z majdanami, z pierzynami, z byle gównem, co pokradli... Szli z powrotem na puszcę. Droga prowadziła przez kłody nad rzeką. Wszyscy obładowani ruszyli na kładkę. Ktoś od nas przedwcześnie nacisnął spust broni – padło kilka strzałów. Bandyci zaczęli skakać do rzeki – wszyscy do wody. Pociągnąłem serią przed nimi to oni z powrotem włązą na tą kładkę. Otworzyłem ogień mając już pełne rozpoznanie. Wyflukłem wszystkich. Rzeczka zrobiła się czerwona. Mało prawdopodobne, że któryś z tej grupy wyszedł z tego żywy. Był to oddział żydowsko – rosyjskich bandytów – rabusiów. Baby, którym zwróciliśmy zrabowane, tak skromne mienie, całowały mnie po rękach. Największą radość sprawiło oddanie tej jedynej krowy. Wioska organizowała się jak mogła, żeby przeżyć – żeby przetrwać, a ta krowa była absolutnym ogniwem do przeżycia niemowląt i dzieci. Bandyci zabrali wszystko, co było do żarcia, co było do zgwałcenia, to też zgwałcili.

Mieliśmy w sumie sporo kontaktów ogniowych z bandami rosyjskimi z puszczy. Na samym początku działaliśmy wspólnie z nimi z Markowem. Ale to oni zabili pierwszych naszych partyzantów. Mieli w głowie bandytyzm, a nie patriotyzm. Wymordowali cały sztab partyzancki Kmicica – to robota Markowa.

Akcja zdobycia pociągu. Błędy partyzanckie wynikające z nieprzygotowania żołnierza.

Wiele osób o tej akcji pisze czasem nieco mijając się z prawdą, jest to najczęściej wynik braku znajomości rzemiosła wojennego lub niedostatecznego obycia w walce. Akcja ta się nie udała z powodu błędów podstawowych popełnionych przez zawodowych oficerów – oni na wojnie popełniają najwięcej błędów.

Negatywy tej akcji:

Idziemy 19 km od miejsca postoju na miejsce akcji, jest to duży i forsowny przemarsz. Mamy przekroczyć Wakę (tam są trzy Waki) – rzekę. Dowódca źle organizuje przeprawę – nie fachowo. Przemoczone buty, przemoczona odzież nie służy dalszemu marszowi. Uflażenie żołnierzy nie było konieczne ani celowe. Nie forsowaliśmy rzeki w walce, pod ostrzałem czy w sytuacji wymagającej takiego postępowania. W pobliżu jest wioska Wielkopole. Tam jest most na tej rzece, na tej Wace, Ten most jest strzeżony przez

Niemców. Nasz dowódca „Wiesław”, – on się tam ciągle przewija – ginie później w takim buncie (co to było zdarzył się w brygadzie).

Trudno żeby gefrajter krytykował porucznika ...

Jest wybrana drużyna udająca Niemców, odpowiednio umundurowana i uzbrojona. Dowódcą tej drużyny jestem ja, autentyczny gefrajter, który ma prawo dowodzić, który zna się na niemieckiej musztrze, niemieckich komendach (w tym przekleństwach), zna mentalność i sposób zachowania wroga oraz sposób jego wyszkolenia, który jest ostrzelanym i doświadczonym żołnierzem. Przewodnikiem jest porucznik „Wiesław”. On idzie w cywilu. Pistolet ma pod kurtką. Niby my mundurowi prowadzimy cywilnego jeńca, ale on jest dowódcą. Takie zachowanie wynikało nie z potrzeby, a z asekurantwa. Gdybyśmy wpadli, to zgodnie z prawem genewskim – on jest chroniony, a my dostajemy kulę w łeb.

Komenda należy do Wiesława. Dochodzimy do rzeki i na jego rozkaz przechodzimy ją w pław. Można było przy ubezpieczeniu przeprowić się tak, aby mieć suche buty i odzież – to ważne przed dalszym marszem i wielogodzinnym wykonywaniem zadań związanych z akcją. Zawsze lepiej, gdy żołnierz jest wypoczęty, nie sforsowany nadmiernymi i nieuzasadnionymi trudnościami. Taki stan odbija się na efektywności walki. To nie były poligonowe manewry, którymi dowodził porucznik, lecz ryzykowna akcja bojowa, gdzie oprócz wysiłku fizycznego trzeba pokonać stres i napięcie nerwowe.

Cała ta akcja była już wcześniej opisana

Lancet udziela się w zarządzie „Światowego Związku Żołnierzy AK”. Kłóca się i żrą w tym związku. Starzy działacze przypisują sobie zasługi, których nigdy nie oddali. Koloryzują życiorysy, wspomnienia i relacje.

Jest to mój komentarz do „Pamiętnika Żołnierzy AK Okręgu Wileńskiego” , komisja historyczna wypowiada się o wszystkich sprawach partyzanckich. Lancet, który jest lekarzem i prawie wszystko zna, ale z „drugiej ręki”. On był przy chorych i nie wykonywał akcji bojowych – on w nich bezpośrednio nie uczestniczył, a wypowiada się w tych sprawach autorytatywnie i jak naoczny świadek. Lancet skończył Akademię Medyczną

przed samą wojną. Świeżo upieczony lekarz, który będąc w partyzantce, w punktach medycznych zdobywał wiedzę zasłyszana. Te punkty medyczne były szczególnie chronione. Kontakt Lanceta z bezpośrednią walką zbrojną był znikomy. To nie był jego cel ani jego funkcja.

Ja wchodzę do partyzantki przed „Akcją Burza”- w okresie „republiki partyzanckiej”. Lancet winien wykazać nieco pokory w relacjonowaniu wydarzeń bojowych.

Niezaprzeczalną, wielką zasługą Lanceta jest utrwalanie pamięci historycznej tamtych czasów, mimo uchybień merytorycznych przy relacjonowaniu poszczególnych epizodów czy wydarzeń o znaczeniu taktycznym.

Czortek jest w ścisłym kontakcie z wileńską młodzieżą. On organizuje im materialną pomoc, organizuje konkursy na wiedzę, pomaga otoczyć opieką wszystkie znane mogiły partyzanckie. Więcej się opiekuje o groby tamta – Wileńska młodzież niż nasi w Polsce, którzy mają obowiązek wynikający z ustawy.

Weźmy Kośmidry. Czterech poległo w 1939 roku – rozstrzelani w odwecie za pierwszego niemieckiego oficera. Oni – ci, którzy mają obowiązek ustawowy, o nich nie pamiętają. Ba, nawet ksiądz za ich dusze się nie pomodli. Gdzie oni leżą, to nawet nikt nie wie, ale to perfidia Niemców. Nie znaczy to, że nie można postawić kawałka tablicy czy z ambony przywołać ich pamięć. Forma może być różna, chodzi o pamięć narodową.

Niemcy tak ich pochowali, żeby nie było wiadomo gdzie. Żeby nie można było tam „kamienia” postawić, złożyć kwiatów czy świeczki zapalić. To nie znaczy że nie można symbolicznie takiego miejsca stworzyć. Niemcy rozstrzelali ich w lesie i doraźnie zakopali. Później wykopali i wywieźli w nieznanym kierunku. Tu w Kośmidrach, tu na tej szkole był punkt obronny. Tu zginął pierwszy Niemiec - oficer w II wojnie światowej, ale tu się o tym niw mówi ... nic. Tu niektórzy tylko kombinują, jak uzyskać z powrotem autonomię. Wypisują takie głupoty o tej autonomii. Na przykład, że Śląsk miał autonomię od 1919 do 1939 roku, a to jest nieprawda – autonomia została zlikwidowana w 1936 roku. Jak Hitler doszedł do władzy w Niemczech (pisze o tym Osmańczyk). Niemcy chcieli pokazać światu, że są państwem jednonarodowościowym i zlikwidowali prawa mniejszości – zerwali Układ Wersalski w tym zakresie. W związku z tym wszyscy optanci, ci, którzy nie przyjęli obywatelstwa niemieckiego, musieli wyjechać do Polski i to samo

zrobiono w Polsce. Ci, którzy optowali za Niemcami, musieli wyjechać do Niemiec. Zakończyła się tak śląska autonomia po obu stronach granicy.

Dzisiejsza „Jaskółka Śląska” – periodyk podjudzający do niesnasek narodowościowych na Śląsku w sposób fałszywy przedstawia historię. Jaskółka. Przecież autonomia została ustanowiona po obu stronach granicy po to, aby złagodzić napięcia narodowościowe, po to, aby nie były potrzebne czystki etniczne, po to, aby nie trzeba było odzierać ziemi z kurzu czasu i zaszłości historycznych ostatnich wieków – to jest bezprzedmiotowe.

Polska Podziemna Na Wileńszczyźnie w Walce o Wolność

Opisywanie czasów konspiracyjnych nie jest rzeczą łatwą, ponieważ akcja podziemna wymagała, o ile ktoś chciał być dobrym konspiratorem, nie interesowania się sprawami, które do niego nie należały. Zajmując się konspiracją, wiedzieliśmy, że wcześniej czy później wpadniemy w ręce nieprzyjaciela. To nas jednak nie przstraszyło. Obawialiśmy się raczej tortur, bo nikt z nas nie wiedział, jaka jest nasza odporność na męczarnie. A przecież chodziło nam ponad wszystko, by nie wydać naszych kolegów i by nie wydać naszej Sprawy.

By zacząć od początku nasze opowiadanie, należy cofnąć się do tych pamiętnych dni września 1939 roku, gdy nasza państwowość rozlatywała się pod uderzeniem uzbrojonego po zęby najeźdźcy z zachodu, a potem ze wschodu; gdy nawet przyroda sprzyjała wrogom, dając im suchą i piękną jesień.

Pierwsza okupacja Sowiecka

Na rozkaz dowódcy DOK III Grodno, garnizon wileński nie walczył z oddziałami sowieckimi, gdy wkraczały one do Wilna 18 września. Duża część wojska i policji polskiej pomaszerowała ku granicy litewskiej, by złożyć tam broń i przejść do obozów jenieckich.

Rozgoryczenie było wielkie wśród społeczeństwa wileńskiego i brak wiary w poprawę sytuacji. Rozpoczął się ciężki okres niewoli i próby charakterów. Jednak wśród ogólnego załamania młodzież wileńska nie kapitulowała. Pod dowództwem młodego plutonowego powitała z Góry Trzech Krzyży ogniem armatnim wkraczające czołgi sowieckie. Jej dalsze zachowanie potwierdziło ten pierwszy odruch.

Wkrótce do Wilna zaczęli powracać ci, którzy wyszli na front w pierwszym rzucie. Razem z nimi, na skutek opowiadań o przeżyciach wojennych, zaczęła się leczyć ponizona duma narodowa i zaczęła wracać prężność i chęć do dalszej walki. A jeszcze więcej zrobiła wnikliwa

obserwacja okupanta, areszty i wywózki. Choć wkraczające wojska sowieckie zachowywały się karnie, dawały poznać po sobie nędzę sowieckiego życia, które nieśli na swych barkach.

Wileńska ludność widząc to wszystko, otrząsnęła się z apatii i z kryzysu psychicznego i wzięła się do organizowania pomocy materialnej, szczególnie tym, którzy szukali schronienia w Wilnie z innych stron Polski.

Okupacja Litewska

28 października 1939 roku, Wilno z częścią Wileńszczyzny przechodzi pod okupację Litewską, na skutek porozumienia pomiędzy Związkiem Sowieckim a Litwą. Reszta ziem wileńskich i cała Nowogródzczyzna pozostają w bezpośrednim zarządzie sowieckim.

Litwini opanowują całą administrację polityczną – gospodarczą, gwałtem narzucają ludności nieznaną jej język litewski i nawet nie oszczędzają kościołów, bijąc i rozpędzając modlących się po polsku Wilnian. Również nastąpiło szereg aresztowań wśród przywódców polskich.

Najbardziej jednak dawała się nam we znaki ciężka sytuacja gospodarcza, na skutek trudności w otrzymaniu pracy. Ten tylko mógł otrzymać książeczkę bezrobotnego i prawo do pracy, kto był w Wilnie 5 lat przed wojną. Natomiast pełne prawo do zatrudnienia mógł mieć tylko obywatel litewski. Mało kto chciał nim zostać, a poza tym, niewielu z pośród chętnych odpowiadało stawianym warunkom. Niektórzy nie mogli podjąć swoich dokumentów obywatelstwa, ponieważ Litwini mieli zwyczaj zmieniania nazwisk, czasami przez dosłowne tłumaczenie ich z polskiego na litewski. By zapobiec zaburzeniom, Litwini tworzą dorywcze prace. Dużo Polaków, szczególnie tych, którzy nie mieli prawa do książeczki bezrobotnego, zostało zatrudnionych przy budowie kolei Stare Troki – Nowe Troki.

W okresie okupacji litewskiej utworzyło się szereg konspiracyjnych organizacji. Liczebność tych organizacji była wynikiem pędu do gotowości na wypadek załamania się Niemców we Francji. Bardzo ruchliwą organizacją był „Komisariat Rządu”, który wchłonął poważną ilość innych pomniejszych grup konspiracyjnych. Wpływową organizacją wśród młodzieży był „Związek Młodzieży Chrześcijańskiej”. „Oficjalnym” przedstawicielem Polaków w Wilnie wobec władz litewskich był utworzony prywatnie i starający się o legalizację „Komitet Polski”. Pomoc materialną Polakom niosła „Polska Sekcja Pomocy Ofiarom Wojny” urzędująca przy ulicy Ofiarnej nr 2. Drugą ważną pomocą była stołówka jezuicka przy ul. Wielkiej, pod kierownictwem ks. Kucharskiego.

W zasadzie życiem politycznym kierowało szereg „szarych eminencyj”, a życiem wojskowym – tworząca się organizacja wojska podziemnego, która zajęła się odtworzeniem jednostek wojskowych, będących przed wojną na terenie Wilna. Szereg osób starało się scalić wysiłki polityczne, a między innymi przybyły z Londynu poprzez Kowno prof. Żółtkowski, delegat Rządu R.P. na Kraje Bałtyckie. Interesowali się losem Polaków na Wileńszczyźnie i obcy przedstawiciele. Norweg Finn Hov, przedstawiciel Czerwonego Krzyża w Genewie, obiecywał pomoc, o ile uda się zorganizować polską Y.N.C.A.. Zdobycie Norwegii przez Niemców przerwało ten kontakt. Wielką rolę odegrali w Wilnie i w terenie ci, którzy choć nie mając tytułów konspiracyjnych do działania, osobistymi wpływami oddziaływali na otoczenie i podtrzymywali go na duchu. Dużą rolę odegrali tu profesorowie Uniwersytetu St. Batorego.

Druga okupacja sowiecka

Kończy się radość Litwinów 15 czerwca 1940 roku. Wojska sowieckie zajmują całą Litwę. Tak się zaczęła druga okupacja sowiecka, która przetrwała do 22 czerwca 1941 roku.

Dotychczasowe kłopoty spowodowane tępotą administracji litewskiej zbladły w porównaniu z nieszczęściem, jakie wniósł czerwony reżim. Zwiększyła się kasta uprzywilejowanych. Poza Litwinami, Żydzi również dorwali się do władzy i na placówki gospodarcze. Litwinów było w Wilnie około 2.000, a Żydów aż 80.000 na około 250. 000 mieszkańców.

W czasie tej okupacji nastąpiło wzajemne zrozumienie i zespolenie wszystkich warstw polskich. Chłop się przekonał, że ziemię daje mu się tylko w użytkowanie, a nie na własność i po to, by dawał większe świadczenia, że jego władzą są największe lenie wioskowe i że za nieposłuszeństwo idzie się do więzienia, a potem jedzie się w głąb Rosji. Robotnik stwierdził naocznie bałagan sowiecki, brak żywności, zakłamanie na wiecach, brak wolności słowa i rozbieżność między teorią i praktyką sowiecką. Sowieckie normy pracy uprzytomniły mu, że odtąd ma być niewolnikiem swego żołdaka.

Okupant sowiecki podsycił antagonizmy narodowościowe, stworzone przez niepoczytalnych nacjonalistów: NKWD przedłużało w ten sposób swoje ręce. Była w Wilnie garstka inteligencji białoruskiej, przeważnie wychowankowie uniwersytetu w Pradze. Ci szybko rozczarowali się do władzy sowieckiej, gdy się przekonali, że interesy narodu białoruskiego nie idą w parze z rosyjskim czerwonym imperializmem. Taki sam los

spotkał pro – rosyjskość wielu Litwinów, gdy się okazało, że w „wolnych i nieprzymuszonych” wyborach stali się litewską republiką sowiecką. Musieli uciekać patrioci, którzy zasłużyli się dla państwa litewskiego. Kto nie uciekł – szedł do więzienia. Do władzy doszli nowi ludzie, nasłani przez Moskwę. Ci Litwini, którzy zjechali do Wilna niestety nie byli najlepszymi przedstawicielami swego narodu. Niektórzy przybyli na nowy dla nich teren, byli żądni łupów i władzy. Poza tym, zdawało im się, że spełniają pewną misję – niszczenia elementu polskiego, choćby za pośrednictwem wspólnego wroga.

Z chwilą objęcia władzy przez bolszewików – znikły wszystkie oficjalne i półoficjalne przedstawicielstwa polskie. Działacze ich znaleźli się w więzieniach albo zeszli w podziemie. Konspiracyjne organizacje wojskowe, scalone początkowo w „Służbie Walki Zbrojnej” (Z.W.Z). Pierwszy komendant, ppłk. Nikodem Sulik, późniejszy generał i dowódca 5 Kresowej Dywizji Piechoty, 2 Korpusu został aresztowany i wysłany do Rosji. Komendę Okręgu Wilno objął po nim ppłk. Aleksander Krzyżanowski, pod pseudonimem „Dziemido”. Tak o nim pisze Józef Garliński w „Między Londynem i Warszawą”² na stronie 57 :”...wokoło ginęli i przepadali ludzie, a on trwał. Miał wiele szczęścia, dobrze się konspirował, pomagała mu niezbyt rzucająca się w oczy powierzchowność. Niewysoki, szczupły, w binoklach, mógł łatwo uchodzić za księgowego czy urzędnika. W cywilnym ubraniu nie robił wrażenia wyższego zawodowego oficera...” Z.W.Z. krzepł w swych ramach szkieletowych. Stanowił już poważną siłę zbrojną, przygotowywał się do przyszłej akcji. Pomimo zwycięstw niemieckich, nadzieję budził wyczuwany i narastający konflikt między Związkiem Sowieckim i Niemcami, chociaż jedna i druga strona robiły wszystko, by osłabić tę nadzieję. Zwiększyły się również masowe branki i znane już światu wywózki w głąb Rosji. Wywiezieni zostali Polacy, znajdujący się w litewskich obozach jenieckich. Gdy przejeżdżali przez Wilno, kolejarze polscy podnieśli wyrzucone z pociągów kartki i zanieśli zbolałym rodzinom. Zapełniły się kościoły. Kapłani wzywali do modłów i wiary w sprawiedliwość Boską.

I wtedy, gdy zdawało się, że znikąd nie ma ratunku, gdy już każdy przygotowywał się do wywózki, zdając sobie sprawę, że jeżeli nie pojechał 13 czerwca 1941 roku, to pojedzie w drugim terminie 28 – wtedy nastąpił pamiętny dzień 22 czerwca. Na ten dzień wyznaczone były ćwiczenia obrony przeciwlotniczej. Mołotow, przemawiając tego dnia przez radio, zapewniał o dobrych stosunkach z Niemcami. Tuż po południu zniknęli funkcyjni obrony przeciwlotniczej, a właśnie wtedy powinni byli być obecni, ponieważ zjawyły się

² Józef Garliński „Między Londynem i Warszawą” Gryf Publ. Londyn 1966.

niemieckie samoloty nad Wilnem i Nową Wilejką. Padły bomby w rejonie mostu „zielonego” w Wilnie, a w Nowej Wilejce zniszczyły fabrykę lniarską.

Wojna wybuchła, oczekiwana z wiarą, wbrew wszelkim oświadczeniom oficjalnym i wbrew takim faktom, jak sowieckie transporty, wiozące naftę i zboże do Niemiec. Zapełniły się dworce uciekającymi okupantami i współpracującymi z nimi agentami. Wyrywano sobie ciężarówki. Do niedawna władcy, pewni siebie i butni, zebrali o pomoc, o wskazanie drogi, o ukrycie. W nocy z 22 na 23-go polscy kolejarze odczepili kilkadziesiąt wagonów z transportu NKWD (gmach sądów przy ul. Mickiewicza) znaleziono storturowanych i pomordowanych tych, których nie zdążono wywieźć. Akta policyjne pozostały na miejscu, by służyć nowemu okupantowi.

Wbrew temu, co bolszewicy zrobili, polska ludność nie mściła się na uciekających. Natomiast rzucili się na nich Litwini, do niedawna współuczestnicy we władzy. Powstała pseudo partyzantka litewska, która używała sobie na rodzinach pozostałych po bolszewikach. Cała wyborowa armia sowiecka, przygotowana do ofensywy za zachód, poszła w rozsypkę. Niemcy wkroczyli do Wilna już na drugi dzień po rozpoczęciu akcji wojennej.

Druza okupacja sowiecka była okresem dużych doświadczeń społecznych. Robotnik i inteligent, pracując razem na robotach fizycznych, przekonali się, że nie ma podstawy do poprzednich animozji, że w systemie sowieckim, pod pięknymi hasłami, kryje się straszliwa niewola i wyzysk pracy ludzkiej. Robotnik wileński poprzez doświadczenie ciężkie, ale tym głębsze i pewniejsze, zrozumiał, że dolegliwości życia w państwie polskim były znikome, choć dokuczliwe, w porównaniu z tym co przynosiło ze sobą wielkie zakłamanie sowieckie. Inteligent zaś odkrył nowych współbraci – robotników, nabrał szacunku do pracy fizycznej i do odważnych zapatrywań swych współtowarzyszy pracy. Z tego wzajemnego zrozumienia wyrosły zręby organizacyjne polskiego podziemia na Wileńszczyźnie.

W okresie późniejszym, w czasie już okupacji niemieckiej, takie poznanie i zrozumienie nastąpiło pomiędzy inteligencją i włościanami, gdy inteligencja weszła w teren, czy to w poszukiwaniu chleba, czy też w walkach partyzanckich. Inteligent stwierdzał, że odsuwanie potężnej masy chłopskiej od udziału w życiu publicznym było błędem kolosalnym³.

³ Więcej wiadomości na ten temat w Londyńskim „Robotniku” nr 10 z października 1950 roku w artykule „Rozważania Wileńskie” J. Mrówki .

Okupacja Niemiecka

23 czerwca 1941 roku rozpoczęła się okupacja niemiecka, która trwała do połowy lipca 1944 roku. Był to jeden z najważniejszych okresów w życiu podziemia polskiego. Okres największych nadziei i zawodu. Okres największych wyczynów i klęski.

Wielka radość zapanowała wśród Litwinów, po wkroczeniu wojsk niemieckich. Polacy też się cieszyli, ale z innych powodów. Widzieli bijących się dwóch największych wrogów; a poza tym, nie był do pogardzenia okres ulgi, jaki powstał na skutek zmiany okupanta.

Gestapo musiało mieć czas na przestudiowanie pozostawionych aktów, musiało zainstalować się i zorganizować sieć konfidentów. Jeżeli chodzi o tych ostatnich, to nie było z nimi kłopotu; angażowani byli po prostu ci wszyscy, którzy wysługiwali się poprzednikom. Te same „miłe buzie” agentów widziane były poprzez wszystkie okupacje. Byłaby to najstarsza „posada”, gdyby nie strzelający konspiratorzy, którzy szerzyli spustoszenie wśród bardziej szkodliwych szpiclów. Byli nawet tacy, którzy wysługiwali się już polskiemu wydziałowi śledczemu i ci naturalnie byli na wagę srebrników, które pobierali za zdradę swych rodaków.

Historia powtórzyła się: Litwini wywiesili trójkolorowe flagi państwowe i cieszyli się, że już mają własne państwo; aż się okazało, że obok litewskich, należy wywiesić flagi hitlerowskie i że te ostatnie są ważniejsze oraz, że kraj ich nie nazywa się Litwą, lecz wchodzi, z dwoma innymi krajami bałtyckimi do tzw. Ostlandu, którego szefem jest Herr Rosenberg urzędujący w Rydze. Poza tym, okazało się, że należy wystawić wojska do walki z bolszewikami i że to wojsko nie może stacjonować na terenie b. Litwy, lecz musi odejść na front i to w czasie zimy. Ponadto, trzeba było walczyć z polskimi i sowieckimi partyzantami.

Sytuacja stała się jasna. Większość narodu litewskiego zdała sobie sprawę, że ani Rosja, ani Niemcy nie myślą o zachowaniu niepodległości małej Litwy. Pozostało więc tylko jedno: ocalić naród litewski poprzez współpracę z narodem polskim, zapomnieć o niesnaskach, które już miały teraz znaczenie tylko historyczne i myśleć raczej o przyszłości, która i tak nie przedstawiała się różowo. Do tego jednak wniosku doszli Litwini dość późno. Dopiero w 1943 roku rozpoczęły się gwałtowne szukania kontaktów ze stroną polską i z jej władzą podziemną.

Zdecydowaną większość litewską reprezentowały zakonspirowane partie: Litewska Chrześcijańska Demokracja i Stronnictwo Ludowe. Stały one na stanowisku, że naród litewski może istnieć tylko we współpracy z narodem polskim. W tej grupie ścierały się zapatrywania na dalsze losy Wilna. Tak ta sprawa była rozdmuchana propagandowo, że żaden z przywódców litewskich nie miał odwagi podejść do niej otwarcie i śmiało. Poza tym, powyższe dwa stronnictwa, choć miały dużo dobrej woli, nie miały sprężystej egzekutywy, ani też tajnej siły zbrojnej, by ewentualnie przyszłe zobowiązania wprowadzić w życie. Jednym słowem nie były równym partnerem w negocjacjach ze stroną polską.

Lepiej zorganizowana część Litwinów – to grupki prawicowe, nacjonalistyczne, szowinistyczne, antypolskie. Litwini o takich przekonaniach weszli do Gestapo, byli konfidentami, obsadzili komisariaty policji, weszli do oddziałów egzekucyjnych i objęli w posiadanie wszystkie wcześniejsze instytucje w Wilnie i na Wileńszczyźnie. Nadawali oni ton wszystkim innym Litwinom, a cała ich myśl polityczna to „musu Valnūs” (nasze Wilno) i zniszczenie elementu polskiego przy pomocy okupantów.

Pierwsza masowa zbrodnia zainicjowana i przeprowadzona przez szowinistów litewskich, to wymordowanie 100 Polaków. W tym kilku księży, w Święcianach w 1942 roku. Egzekucja została poprzedzona torturami. Choć Polacy zdawali sobie sprawę, że większość narodu litewskiego była przeciwna takim niepoczytalnym wybrykom, nie mogli wybaczyć tej większości jej bierności i braku głośnego potępienia zbrodni popełnianych na Polakach. W 1944 roku utworzyli Niemcy litewskie oddziały gen. Plechaviciusa do walki z polską partyzantką. Dopuszczały się one wielkich gwałtów i rabunków na ludności bezbronnej, aż przebrała się miarka i partyzanci przystąpili do likwidacji rabusiów w mundurach. Niemcy widząc klęskę po klęsce oddziałów Plechaviciusa, których uzbrojenie przechodziło w ręce Polaków – rozwiązyali oddziały litewskie, a opornych aresztowali. Tak się skończył sen o własnej armii pod niemiecką opieką. Wielu szowinistów znalazło się za granicą, uciekając z Niemcami. W tej grupie znalazł się gen. Plechavicius. Należy raczej wątpić, czy się czegoś nauczyli w przeszłości. Większość narodu litewskiego, która została w kraju i która była za współpracą z narodem polskim, cierpi poważnie od najeźdźcy moskiewskiego. W Bogu tylko nadzieja, że doczekają się Litwini niepodległości. Niepodległość Polski nigdy nie będzie pełna, gdy Litwini nie odzyskają jej lub gdy ulegną wyniszczeniu.

Naród białoruski na Wileńszczyźnie wydał mniej zbrodniarzy w czasie okupacji niemieckiej, niż litewski i w większości swej stanął po stronie polskiej. Mniejszość, która poprzednio wierzyła w Stalina, skierowała swe nadzieje ku Hitlerowi. Wynik był ten sam,

bowiem w Mińsku rządził Niemiec. Najlepszą ilustracją nastrojów Białorusinów był spis ludności w 1941 roku przeprowadzony przez okupantów. W powiatach lidzkim i oszmiańskim niemal 100 % ludności podało się za Polaków, chociaż nie było to wygodne lub bezpieczne, pociągało za sobą większe świadczenia rzeczowe i powodowało niekiedy aresztowania. W 1943 roku Białorusini postanowili nawiązać kontakt z Aliantami poprzez polskie podziemie. W memoriale swym, w języku francuskim, skierowanym do prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, starali się przedstawić swą ciężką sytuację i konieczność ratowania ich przed zagładą. Większa część memoriału poświęcona była historii i dominującej pozycji narodu białoruskiego w Wielkim Księstwie Litewskim.

Pomimo początkowych wahań i rozgoryczeń, narody zamieszkujące Wileńszczyznę i Nowogródzczyznę doszły do wniosku, że muszą wypracować taką formę państwową, na wypadek odzyskania wolności, która zapewniłaby równe prawa i poszanowanie, jak również siłę, by oprzeć się parciu ze wschodu.

Ciężkim problemem na Wileńszczyźnie był ruch komunistyczny, choć nie w osobach, lub okolicznościach opisanych w książkach Jędrychowskiej i Putramenta⁴, bo znaczenie ich ruchu było znikome i te dwie książki nie zmieniają sytuacji. Na wielu ich stronach zabrakło uczciwości i prawdy historycznej. Zresztą w tym braku uczciwości, pisarze komunistyczni nie są odosobnieni. Zabrakło jej również Aleksandrowi Werth w jego grubej książce po angielsku: „Rosja w wojnie, 1941 – 1945”⁵, choć na stronie 720 wspomniał o Markowie, który walczył z polską partyzantką. Nie wspomniał on o Polsce Podziemnej na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie, choć widać ze spisu książek, który umieścił, że miał dostęp do polskich książek, wydanych za granicą.

Na pozór wyglądało, że po podpisaniu Paktu Stalin – Sikorski, byliśmy sprzymierzeńcami Związku Sowieckiego. A jednak już w grudniu 1941 roku zjawili się sowieccy spadochroniarze, byli oficerowie polscy, którzy porzucili w Kozielsku swych kolegów, by zdradą sprawy polskiej zapewnić sobie lepszy los. Nie spodziewali się, że los ich w Wilnie będzie zależeć od kolegów tych, których oni zdradzili i wyrzekli się Rosji. Zadaniem ich było rozszyfrować polską akcję podziemną⁶.

W zimie 1952 roku partyzantki sowieckie otrzymały rozkaz z Moskwy niszczenia ludności, sprzyjającej państwowości polskiej. Głosząc, że niszczą żywność przeznaczoną dla

⁴ A, Jędrychowska „Zygzakiem i Po Prostu” Czytelnik 1965.

J. Putrament „Pół Wieku – Wojna” Czytelnik 1963.

⁵ A. Werth „Russia at War 1941 – 1945 ” E.P. Dutton & Co. , Inc. New York 1964.

⁶ Więcej ciekawych szczegółów o zdrajcach – szpiegach w „ Cross the Continents ...” J. Carrer’a Chicago A.K. 1970.

Niemców – rozpoczęły one palenie wiosek i majątków i niszczenie ukrywającej się ludności. W obronie przed „czerwonym kurem”, na prośbę ludności polskiej i białoruskiej, powstała polska partyzantka, by bronić ludność przed wyniszczeniem. Była ona przedwczesna z wojskowego punktu widzenia, ale nie można było pozostawić ludności bez obrony. Polacy nie prowadzili walki z partyzantami sowieckimi, którzy ograniczali się do wystąpień przeciwko okupantowi, natomiast niszczyli bandy, niepokojące ludność miejscową.

Pomimo ugodowego stanowiska partyzantki polskiej, w końcu 1943 roku generał sowiecki Markow, wspomniany już uprzednio, zaprosił do siebie w rejonie puszczy Nalibockiej, sztab polskiej partyzantki z dowódcą „Kmicicem” (rtm. Antonim Burzyńskim) na czele. W tym czasie, gdy sztab został otoczony i uwięziony, oddziały Markowa uderzyły na pozbawionych dowódców i zdeorientowanych polskich partyzantów. Ocalili tylko nieliczni. Reszta zginęła na miejscu, lub została rozstrzelana później.

To podstępne barbarzyństwo, poprzednie ujawnienie rozkazów sowieckich spadochroniarzy w 1941 roku i palenie zagród chłopskich już w 1942 roku i inne objawy wrogości – wyraźnie wskazywały, co czeka naród polski w przyszłości. Mimo tej wiedzy, jeszcze wiele błędów zostało popełnionych przez stronę polską z powodu jakiegoś uporczywego złudzenia, że Rosja Sowiecka zmieni swój stosunek do nas, gdy okazemy jeszcze raz dobrą wolę i damy jej okazję do zmiany stanowiska. Możliwe również, że nasza złudna nadzieja była wynikiem rozpaczliwego położenia geopolitycznego, które nie dawało możliwości manewru, pozostawiając wybór pomiędzy złudną nadzieją i śmiercią.

Żydów, w niedługim czasie po przyjsciu Niemców, zaczęto zamykać do getta. Likwidacja ich zaczęła się od małych miejscowości. Przed śmiercią ograbiano ich, kazano im wykopywać groby i tam uśmiercano. Okrutny los Żydów jest znany całemu światu. Dla informacji, wydaje się konieczne odtworzenie pewnych faktów z Wilna i jego okolic.

W Wilnie getto było w starej dzielnicy, pomiędzy ulicą Zawalną i Niemiecką. Na tej małej przestrzeni zgęszczono tysiące Żydów. Rozstrzeliwania rozpoczęto od starców. Najpierw prowadzono ich do Wołokumpi, miejscowości letniskowej pod Wilnem, gdzie ich fotografowano na tle will i ogrodów, karząc się uśmiechać. Stamtąd wywożono na Ponary, inna miejscowość letniskową, zamienioną na miejsce egzekucji i masowych grobów, gdzie do tej pory leży około 100.000 męczenników różnych narodowości. Fotografie starców ukazywały się w niemieckich pismach, gdzie miały świadczyć jak „kulturalni” Niemcy opiekują się Żydami. Pod różnymi pozorami, wyłudzano od Żydów ogromne pieniądze biżuterię i złoto. W ten sposób Herr Hingst, Gebietskomisser na miasto Wilno wyłudził od Żydów szczerozłoty, potężny kielich.

W tym ciężkim czasie dla siebie, otrzymywali Żydzi dużą pomoc ze strony Polaków. Nie było oficjalnych dostaw żywności do getta. Dostarczali ją Wilnianie, pomimo nieuczciwego zachowania się niektórych Żydów w czasie okupacji sowieckiej. Żydom już wtedy groziłaby śmierć głodowa, bo nie pomogłyby żadne pieniądze, ponieważ za dostawy groziły poważne kary.

W tej beznadziejnej sytuacji cofali się niektórzy Żydzi do niedawnej przeszłości. W jednym ze swych tajnych spotkań z Polakiem, tak Żyd opowiadał o swym przyjemnym śnie: „Dzisiaj w nocy śniłem – mówił on – że byłem w swoim sklepie i widziałem pochod wileńskich studentów wołających: nie kupuj u Żyda, precz z Żydami. Och, jaki ja byłem szczęśliwy; myślałem, że nasza kochana Polska wróciła.” Wybryki studenckie, choć bez sensu, były żakowskim wybrykiem w porównaniu z rzeczywistością.

Polska prasa podziemna z „Niepodległością”, oficjalnym organem na czele, wzywała do roztoczenia opieki nad Żydami. Dzięki tym wezwaniom wielu Żydów zostało przyjętych bezinteresownie do polskich domów, mimo, że za to groziła kara śmierci. Wielu innych Żydów, szczególnie na wsi, otrzymało przytułek na podstawie dobrowolnych umów o wynagrodzenie za dostarczoną żywność i opiekę. Nie zawsze te umowy kończyły się szczęśliwie dla chlebobawców. Zdarzało się, że niektórzy Żydzi, ukrywający się na wsi, przyłączyli się do band sowieckich i naprowadzali je na swoich opiekunów, ograbiając ich doszczętnie i często pozbawiając życia. Byli i tacy, pośród ukrywających się w mieście i na wsi, którzy naprowadzali milicjantów na domy, w których się ukrywali, po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich. Całe szczęście, że tylko wyjątki w narodzie żydowskim zachowały się w tak niewdzięczny sposób. Część z nich wydostała się za granice i kontynuuje swą kampanię nienawiści przeciwko Narodowi Polskiemu, który cierpiał razem z Narodem Żydowskim.

Wileńskie getto przestało istnieć w 1943 roku. Zachowano przy życiu tylko fachowców, zatrudnionych przy różnych pracach wojskowych. W 1944 roku, po wkroczeniu do Wilna wojsk sowieckich, pojawiło się w mieście około 600 Żydów, przeważnie byłych partyzantów. Wprost nie do pomyślenia, że tylu ludzi mogło zginąć w tak krótkim czasie. Czy Niemcy potrafią kiedykolwiek oczyścić się z takiej zbrodni ludobójstwa ludzi niewinnych? A może znali świat lepiej niż my i wiedzieli, że znajdują się ludzie, którzy dla świętego spokoju wybaczą zbrodnię potężnemu narodowi.

Wilnianie chyba pamiętają mały naród Karaimski, liczący około 800 osób i zamieszkały w rejonie Trok. Ocalał ten naród dzięki polskiemu profesorowi, Marianowi Morelowskiemu, który wykazał w swojej książce: „Przewodnik po Wileńszczyźnie”, wydanej w 1939 roku, że

Karaimi nie są Żydami i że pochodzą oni z Chazarów Krymskich. Książka ta, przedstawiona Gestapo, zmieniła decyzję eksterminacji Karaimów. Na rzecz tego profesora Karaimi odprawiali albo może jeszcze odprawiają, modły za swe ocalenie i uważali go za swego „świętego”.

W maju 1942 roku Wilno miało pierwsze ofiary barbarzyństwa niemieckiego, na skutek aresztowania przez Gestapo polskiej młodzieży, przeważnie studenckiej, w wieku od 18 do 25 lat, rzekomo zaangażowanej w pracy konspiracyjnej. W grupie 125 osób były dwie studentki. Jedna osoba zginęła w więzieniu, zatłuczona przez Gestapo. Reszta została wywieziona do Ponar na rozstrzelanie. Z grupy tej, tylko jeden mężczyzna się wydostał. Był nim student medycyny Orłowski. Zanim skonał z utraty krwi, pomimo opieki najlepszych lekarzy, opowiedział o przebiegu egzekucji: „Rozstrzeliwano nas w pięciu kolejnościach. W pierwszym szeregu zostały stracone nasze koleżanki. A potem poszedł szereg za szeregiem. Po salwie spadali do rowów, gdzie przysypywano ich wapnem. Przed rozstrzelaniem wznosili okrzyk: „Niech żyje Polska”. Byłem w ostatniej kolejności. Przysypany zostałem cienką warstwą piasku. Nad ranem oprzytomniałem, wygrzebałem się z rowu i poczołgałem się do szosy. Wieśniacy, jadący do Wilna, wzięli mnie na wóz i przywieźli do krewnych.”

Po rozstrzelaniu młodzieży, przyszła kolejka na zlikwidowanie przez konspirację Padaby, agenta litewsko – niemieckiego. W zamian Niemcy aresztowali 100 zakładników. Z tych 10–ciu zostało rozstrzelanych, a między innymi profesor Gutkowski, adw. Engel i prof. Pelczar, kierownik szpitala rakowego, a w roku 1940 kierownik Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny.

Czym większa opresja, tym większy opór Polaków, tym większa i lepsza organizacja podziemia, tym większa konieczność akcji zbrojnej w postaci partyzantek.

Losy 6 Brygady Partyzanckiej opisane są przez jej organizatora i pierwszego dowódcę „Bronę” („Tońko”, kpt. Adam Boryczko) w „Sitwie”, przez J. Rolanda w „Zeszytach Historycznych”⁷ i przez J. Garlińskiego w poprzednio wspomnianej książce. Brygada przeprowadziła szereg akcji zbrojnych, pomimo, że zasadniczo powinna była unikać walk, mając specjalne zadanie: przerwanie linii kolejowej Grodno – Wilno na specjalny sygnał i utrzymanie jej pod kontrolą przez 24 godziny. Po ciężko rannym „Bronie” dowództwo Brygady obejmuje mjr. „Konar” (Franciszek Koprowski). Spotkania z nim opisuje mjr. „Sztremer” – Truszkowski w „Partyzanckich Wspomnieniach”⁸. Wydzielenie Brygady do specjalnych zadań miało prawdopodobnie łączność z ofertą przedłożoną przez Polski Rząd w

⁷ „Sitwa” 5 Kres. Dyw. Veritas Londyn 1949; Zesz. 7 „Zeszyty Historyczne” Paryż.

⁸ PAX, Warszawa 1968.

Londynie. Tadeusz Romer, b. ambasador RP w Związku Sowieckim 1942 – 1943, miał zaproponować Stalinowi akcję polskich partyzantek przeciwko niemieckim liniom transportowym i wstrzymanie ruchu na określony czas⁹. Chodziło w tej ofercie, by Stalin uznał istnienie Polski podziemnej i jej możliwości działania. Stalin jednak nie przyjął oferty.

Władza Polski Podziemnej na Wileńszczyźnie dzieliła się na cywilną i wojskową. Cywilną reprezentował Konwent Partii Politycznych oraz Delegat RP; Organizacja Wojskowa podlegała Komendantowi Okręgu, którym był, już uprzednio wspomniany ppłk. Krzyżanowski, w tym czasie znany pod pseudonimem „Generał Wilk”.

Komendantowi Okręgu podlegała Komenda Garnizonu m. Wilna, Komendanci Rejonów m. Wilna, Komendanci pułków itd. Cała Wileńszczyzna podzielona została na 4 inspektoraty: północ, południe, wschód i zachód z inspektorami na czele. Im znów podlegali komendanci powiatów, kompanii, plutonów, drużyn i sekcji.

Poza tym, Komendantowi Okręgu AK podlegały komórki specjalne, jak:

„BIP” (Biuro Informacji i Propagandy) czuwające nad postawą moralną narodu (polityczną i cywilną) poprzez prasę podziemną z „Niepodległością” na czele;

„Kuźnia”, która dostarczała potrzebnych dokumentów; „Gospoda” dająca paszporty; „Chrusty” – legalizacja; „Farba” – drukarnia;

Żandarmeria, wojskowy sąd apelacyjny, egzekucja, wywiad, kontrwywiad czuwające nad bezpieczeństwem i dające informację;

Kwatermistrzostwo z magazynami mundurów, butów itd.

Wytwórnice środków wybuchowych (np. granatów) ;

Duchowieństwo wojskowe z dziekanem na czele;

„Kedyw” (Komenda dywersyjna) ;

Łączność. Oddział kurierów i kurierek.

W czerwcu 1944 roku Sztab Okręgu AK Wilno przechodzi w pole i ulokowuje się w miasteczku Dziewieniszki, 80 km na południe od Wilna. Trzeba zaznaczyć, że Komenda Okręgu Nowogródek była zorganizowana podobnie do Wileńskiej. Podporządkowane jej były nowogródzkie bataliony partyzanckie. W tym to czasie, wileńskie brygady i nowogródzkie bataliony partyzanckie zmieniają swój charakter i stają się regularnym wojskiem polskim, wprowadzając w życie wojskowe regulaminy obowiązujące przed wojną 1939 roku.

⁹ T. Romer „Sylwetki mężów stanu ... przemów” 1968.

Sztab umieścił się w nowym budynku gminy i w szkole. Za sypialnie służyły pokoiki na górze. Pobudka była dość wczesna, po której następowała gimnastyka na podwórzu, albo właściwie obijanie sobie pleców na kamieniach i szyszkach. Zdaje się, że tylko jeden członek Sztabu miał coś na nogach, co przypominało pantofle gimnastyczne. Po gimnastyce i umyciu się pod kranem zimnej wody, następowało wspólne śniadanie. Zawsze było dużą zagadką jak kucharz potrafił dostać prowianty na codzienne posiłki. Sztab był pod ochroną 8 Brygady Partyzanckiej pod dowództwem „Tura” (por. Witold Turonka), który ulokował się w centrum miasteczka, prawie że wymarłego po wywiezieniu Żydów przez Niemców.

Wkrótce, zaczęło wychodzić pismo polowe „Pobudka”, pod kierownictwem oficera oświatowego „Rena”. Niezmiernie wzruszające były niedzielne nabożeństwa, podczas których brać partyzancka odrywała się od codziennych zajęć i pogłębiona w myślach, rozważała o swoim życiu. Trzeba było być wielkim optymistą, lub mieć głęboką wiarę, by nie załamać się w polskiej sytuacji. Po twarzach modlących się widoczne było, że każdy myślał o rodzinie, o Polsce i o swojej misji w życiu i jakie miała ona znaczenie dla ogółu.

A tymczasem, wypadki o znaczeniu światowym zaczęły się rozwijać w błyskawicznym tempie. Dnia 23 czerwca 1944 roku Armia Sowiecka rozpoczęła ofensywę na Białorusi. Wkrótce wojska generała Iwana Czernichowskiego wkroczyły na terytorium Polski sprzed 1939 roku. Pośpieszyły im na spotkanie partyzantki sowieckie. Pewnego dnia polski dziewieniski garnizon został zaalarmowany wiadomością, że zbliża się oddział sowieckiej partyzantki i prosi o prawo przemarszu. Oddział ten, liczący około 200 ludzi, maszerował pod opieką polskiego plutonu, jako że przechodził przez tereny pod polską kontrolą. Broń maszynowa złożona była na wozach posuwających się za oddziałem. Twierdzenia sowieckie o polskiej wrogości, w stosunku do ich regularnych oddziałów, nie wytrzymuje krytyki w świetle losu tego oddziału; gdyby Polacy mieli opinię niszczycieli sowieckich partyzantek, oddział ten nigdy by się nie odważył wejść na teren Polski, a gdyby wszedł przez pomyłkę – to by był zniszczony. A tymczasem, dowódca sowiecki nie okazywał żadnej obawy, a gdy się zorientował, że na rynku stoją oficerowie polscy i przyglądają się przemarszowi, wydał rozkaz do defilady. I tak się odbyła defilada, która ścisnęła serca polskie. Każdy z jej uczestników myślał o lepszym jutrze, przyglądając się wyborowym żołnierzom sowieckim. Nogi ich słabo obute uderzały o bruk, a twarze skupione patrzyły w prawo na nas. Żołnierskie uczucia są wszędzie jednakowe: wykonać swój obowiązek i powrócić cało do rodziny. Gdyby

od nich zależały losy narodów, a nie od ich przewrotnych polityków, inaczej świat by wyglądał¹⁰.

Wielka radość zapanowała wśród wojska w Dziewieniszkach po przyjściu „Wilka”. W mundurze generalskim¹¹ wyglądał imponująco, choć i bez munduru wyczuwało się w nim urodzonego przywódcę. W obejściu osobistym był niezmiernie przyjemny dla podwładnych. O dużym szczęściu i odwadze, stawiał sprawę Polski ponad wszystko i tę zasadę wpałał komendantom brygad, których ambicje i krew młoda czasami ponosiły i stawiały w konflikcie z regulaminem wojskowym.

W pierwszej połowie czerwca 1944 roku był „Wilk” na odprawie w Warszawie. Tam to przedłożył plan uderzenia na Wilno połączonymi siłami okręgów: Wileńskiego i Nowogródzkiego. Tamże powierzono „Wilkowi” dowództwo nad całością operacji. Z końcem czerwca, ppłk dypl. „Poleszuk” (Adam Szydłowski) objął komendę Okręgu Nowogródzkiego po ppłk Januszu „Prawdzie” – Szlaskim, który odszedł do jednego ze zgrupowań partyzanckich¹².

W ostatnich dniach czerwca zostaje zarządzona przez „Wilka” ograniczona i częściowa akcja powstaniowa „Burza”. W tym też czasie „Wilk” ze Sztabem przenosi się z Dziewienieszek do majątku Wołkorabiszki, 18 km na południe od Wilna. Drugi rzut Sztabu ulokował się we wsi Orklany, niedaleko Wołkorabiszek. Praca Sztabu w pełni wrzała w nowym miejscu postoju. Choć ochrona jego wymagała zwiększenia bezpieczeństwa, tylko kilka wyroków śmierci zostało wydanych. Komendant „Wilk” unikał, jak tylko mógł, podpisywania wyroków śmierci, wyczuwając instynktownie, że wyroki mogą być zbyt surowe w ogólnym podnieceniu. Wielu zgadzało się z nim, że wyroki należy wydawać z zawieszeniem wykonania, do czasu rozpatrzenia ich przez pokojowe sądy.

Majątek Wołkorabiszki, wieś Orklany i okolica wypełnione były partyzantami, już w tym czasie żołnierzami Wojska Polskiego. Niektórzy mieli mundury i odznaczenia. Reszta chodziła w swoich poprzednich „strojach” partyzanckich. Choć ubranie i obuwie były raczej skromne, broń była liczna i dobra, a zapał żołnierzy nie do porównania. Czy jednak broń ręczna, trochę artylerii i dużo zapalał mogły wystarczyć w ataku na ufortyfikowane Wilno, bronione przez żołnierzy regularnej armii, zaopatrzonej we wszystkie środki walki? Na czym ma się opierać poprawna taktyka partyzancka: na wyprzedzaniu regularnej armii w ataku, czy

¹⁰ Więcej szczegółów na str. 79 wspomnianej „Sitwy” w artykule Rolanda.

¹¹ Ppłk art. A. Krzyżanowski, PS. „Wilk”, ur. W Brańsku 18.II.1895 roku. Został mianowany pułkownikiem 28.IX.1944 roku, w 3 miesiące po opisywanych wpadkach. Stopień generała przyjął po ujawnieniu się wojsku i w celu ułatwienia sobie negocjacji z dowództwem sowieckim. Krok ten został zaaprobowany później przez gen. „Bora” – Komorowskiego, choć nie oznaczało to automatycznego awansu.

¹² Ppłk Szydłowski zmarł w Gdańsku w 1960 roku, ppłk Szlaski przebywa obecnie w Londynie.

też na współdziałaniu z nią i raczej trzymaniu się w jej odwodzie? Czy sytuacja polityczna usprawiedliwiała dalsze poświęcenie krwi polskiej i co prze to miało się osiągnąć? Te i inne pytania nasuwały się niektórym partyzantom, sięgającym myślami naprzód. Były one prawdopodobnie codzienną troską „Wilka” w Wołkorabiszkach. Wygląd jego, zachowanie i uwagi wyrażały dużą troskę o losy podległych mu żołnierzy.

Na wieść o zbliżaniu się frontu wschodniego, zakomunikował „Wilk” dowódcom partyzanckim o przygotowaniu oddziałów do walki na dzień 10 lipca.

Jakie były siły „Wilka”, z którym miał się pokusić zdobyć Wilno? Na północ od Wilna, w odległości 20 kilometrów, znajdowało się zgrupowanie majora Mieczysława Potockiego (ps. „Węgielny”). W jego skład wchodziły brygady: 1-sza pod dowództwem por. „Juranda – Wilka”, 4-ta pod dowództwem por. „Nacza”, brygada Raclawska i oddział mob. „B” razem około 1200 żołnierzy. Do zgrupowania miała jeszcze dołączyć 5-ta brygada rtm Zygmunta Szendzielorza (ps. „Łopaszko”), ale nieznane jeszcze powody nie pozwoliły jej na wzięcie udziału w walkach o Wilno.

Na wschód od Wilna, skąd należało spodziewać się Wojsk Sowieckich, znajdowało się zgrupowanie majora Antoniego Olechowicza (ps. „Pohorecki”), również w odległości około 20 km. To zgrupowanie obejmowało brygady: 3-cią pod dowództwem kpt. Gracjana Froga (ps. „Szczerbiec”), 8-mą pod dowództwem por. Witolda Turonka (ps. „Tur”), która nadeszła z Dziewieniszek, 9-tą pod dowództwem chorążego Wiktora Stosuja (ps. „Mały”), 23-cią pod dowództwem por. „Norda”. Ponadto, należały do zgrupowania dwa baony 77 p.p. AK. Razem ponad 200 żołnierzy.

Na południowy – wschód od Wilna, również w odległości nie przekraczającej 20 kilometrów, uplasował się mjr Czesław Dębicki (ps. „Jarema”) na czele zgrupowania, które obejmowało 13 brygadę por. Adama Walczaka (ps. „Nietoperz”), trzy baony 77 p.p. AK, dowodzone przez kpt. „Zycha”, por. Jana Borysewicza (ps. „Krysią”) i kpt. Stanisława Dedelisa (ps. „Pal”) i szwadronu kawalerii. Razem ponad 2000 żołnierzy. Baony 77 p.p. AK, które weszły w skład zgrupowań „Pohoreckiego” i „Jaremy”. Pochodziły z okręgu nowogródzkiego i z tamtejszego zgrupowania, noszącego kryptonim „Nadniemeńskie”. Nieco dalej na południe znajdowała się 12 brygada por. Hieronima Romanowskiego (ps. „Cerber”), która miała dołączyć do zgrupowania „Jaremy” i 6 brygada mjr Franciszka Koprowskiego (ps. „Konar”), której „Wilk” wyznaczył rolę odwodu. Jej miejsce postoju było odległe od Wilna o 80 kilometrów.

Całość tych oddziałów wynosiła 9000 żołnierzy; jednak jak już wspomniano, nie wszystkie brygady wzięły udział w walce o miasto. Na ogół przyjmuje się, że do akcji

przystąpiło 6000 partyzantów. Cyfrę tę należy powiększyć o tych żołnierzy AK, którzy w ramach 2 baonu 85 p.p. podjęli walkę wewnątrz miasta. Było ich około pięciuset.

Początkowo akcję na Wilno przewidywano na 10 lipca. Szybkość posuwania się Armii Sowieckiej zmieniła jednak początkowe plany. Wieczorem 5 lipca czołgi 5 armii pancerniej zajęły Smorgonie, położone 30 km na wschód od Wilna. W świetle tych faktów, „Wilk” zdecydował się na akcję w nocy z 6 na 7 lipca.

A tymczasem w Wilnie Niemcy przygotowywali się do obrony i by osłabić zagrożenie ze strony Polaków, zarządzili wysiedlenie ludności z niektórych dzielnic Wilna. W ten sposób poszarпали wewnętrzną siatkę konspiracyjną i opóźnili czynności mobilizacyjne. Ponadto wzmocnili garnizon kilkoma większymi jednostkami z grupy armii „Północna Ukraina” i 4 dywizją pancerną. Linia bunkrów została wzmocniona od wschodniej strony.

W piękną wileńską noc z 6 na 7 lipca 1944 roku, o godzinie 2-giej rozpoczął się marsz na Wilno. „Wilk” szedł w skupieniu, w towarzystwie Sztabu, pod ochroną szwadronu rozpoznawczego i plutonu żandarmerii, nad którym czuwał „Roland”, dowódca Żandarmerii Okręgu Wileńskiego i były oficer do specjalnych zleceń „Wilka”.

„Chyba nie było nikogo” – pisze J. Mrówka¹³ - „kto by nie brał z radością udziału w tej wielkiej akcji, do której żołnierz wileński przygotowywał się od samego początku swego wyjścia w pole. Maszerował on, by przywrócić wolność rodakom i swoim najbliższym, by zemścić się za zbrodnie niemieckie, za krzywdy innych i osobiste, by zadokumentować, że Wilno jest polskim sercem kresowym i że on – polski partyzant, mimo różnej narodowości i stanu – wchodzi w ślady swych wielkich poprzedników, maszerowały bowiem, ramię przy ramieniu, spojone wspólnym patriotyzmem, wszystkie narodowości kresowe i wszystkie warstwy społeczne. Było to może najbardziej ochotnicze i demokratyczne wojsko”.

A w samym mieście Wilnie, żołnierze AK również czuwali zorganizowani w 85 p.p. Niestety, wspomniane już przesiedlenia ludności zdeorganizowały mobilizację tego pułku, tak że tylko 2 baon, podzielony na małe oddziały, wszedł do walki pod dowództwem ppłk. Lubosława Krzeszowskiego (ps. „Ludwik”), który został komendantem Okręgu Wileńskiego, po objęciu przez „Wilka” dowództwa nad połączonymi oddziałami Wilna i Nowogródka. Pomimo trudności, działania baonu wspomagały akcję z zewnątrz.

A tymczasem, na przedpolach Wilna było jeszcze dość ciemno, gdy odezwały się pierwsze strzały. Niemcy nie dali się zaskoczyć i odpowiedzieli silnym ogniem broni

¹³ J. Mrówka : „Jedna ze zrad sowieckich” , „Polska Walcząca” nr 33 z 1948 roku.
„Jedna z wielu zrad sowieckich”, „Czas” Kanada 15.IX.1948 roku.
„ W piątą rocznicę bitwy o Wilno”, „wiadomości” 24.VII. 1949 roku.

maszynowej i artylerii. Na jednym z odcinków, ppłk. Strychański (ps. „Blumski”) i „Roland” wysunęli się do pierwszej linii, by zbadać sytuację. Były już pierwsze ofiary. Jeden z ciężko rannych kaprali odtransportowany był do tyłu. Los jego był przesądzony, z powodu braku szpitala w pobliżu do natychmiastowej operacji. Nie osłabiało to jednak ducha żołnierzy, którzy w dalszym ciągu byli gotowi do największych poświęceń, pomimo przewagi wroga, który bronił się w umocnieniach, dysponując ciężką artylerią i bronią pancerną, jak również lotnictwem.

„Jarema” i „Pohorecki” kierowali atakiem od południa i wschodu. Ich natarcie zaczęło się o 3-ciej nad ranem. „Jarema” kierował się na Rossę i po kilku godzinach krwawych walk, przekroczył tor kolejowy i osiągnął ulicę Subocz.

„Węgielny” atakował z północy, spod Mejszagoły. W nocy natknął się jednak na Niemców, z którymi przyjął walkę. To opóźniło marsz jego oddziałów na Wilno. Gdy zbliżył się do miasta, natknął się na oddziały sowieckie, które atakowały ze wschodu, od południa i północy. W ten sposób nawiązała się „Węgielnego” współpraca z Czerwoną Armią, przy pomocy której zdobył dzielnicę Kalwaryjską. Niektóre jego patrole przeszły nawet na południowy (lewy) brzeg rzeki Willi i dotarły do centrum Miasta.

Po południu, pierwszego dnia walki „Wilk” postanowił powrócić do majątku Wołkorabiszki, swojej kwatery polowej. Odjeżdżając, zabrał ze sobą „Sławka” i „Rolanda”, jak również ciężko rannego szeregowca. Zawsze pamiętał o innych, nawet gdy spoczywała na nim odpowiedzialność za całe wojsko i za losy bitwy. Trudnością było przekroczenie szosy ostrzeliwanej przez przejeżdżające czołgi niemieckie. „Sław” (kpt. Cetys – szef Sztabu „Wilka”) i „Rolad”, po zbadaniu sytuacji na szosie, dali sygnał do przekroczenia jej. Dalsza podróż odbywała się bez większych przeszkód. Poza tym, dobroczynna noc lipcowa objęła w posiadanie pole bitwy, dając wyczerpanym żołnierzom należne wytchnienie.

Depeszą wysłaną do dowódcy Armii Krajowej, tak sumował „Wilk” przebieg wypadków:

„W nocy 7 lipca większość sił AK samodzielnie uderzała na Wilno. O godzinie 16:00 nadeszły wojska sowieckie. Walki trwają. Straty duże. Nawiązałem kontakt z dowódcą frontu. Stosunki chwilowo dobre.”

Walki trwały jeszcze przez 6 dni. Nie było „Wilkowi” lekko na sercu. Oto, gdy żołnierze jego giną od kul niemieckich w krwawych walkach, on sam nie wie, czy nie otworzą się przed nimi więzienia sowieckie, gdy walki ustaną. Liniowi dowódcy sowieccy nie oszczędzili słów uznania. Jeden z nich przesłał wniosek o odznaczenie żołnierzy kapitana „Jana”, którzy

zdobyli najsilniejszy bunkier niemiecki przy ul. Subocz, o zdobycie którego walczyły na próżno siły radzieckie. Inny znów pisał do majora „Węgielnego”: „Za współpracę przy wykonaniu zadania bojowego – wyrażam uznanie Panu i jego oddziałom.”

Jednakże słowa te nie uspokajają „Wilk”. Od uznania sowieckich dowódców liniowych wyraźnie odbija się nieszczerość oficerów politycznych. W związku z tym depezuje on 12 lipca:

„Wzrastające napięcie wymaga niezwłocznego przysłania drogą samolotową do mojego dowództwa międzynarodowej komisji alianckiej lub co najmniej anglo – amerykańskich oficerów łącznikowych. Istnieje niebezpieczeństwo zmarnowania nie tylko oddziałów naszych, lecz całego naszego dorobku walki z Niemcami na ziemiach północno – wschodnich.”

A w drugiej depeszy z tego samego dnia dodał:

„Oceniam, że w ostatecznych zamiarach Rosji leży likwidacja naszych oddziałów. Moment przystąpienia do tego oddalają jedynie trudności armii rosyjskiej, związane z niezwykle szybkim marszem naprzód.”

„Wilk” przejęty rozwojem sytuacji, nie skąpi meldunków:

„13 lipca. Niemcy bronią w Wilnie kilku punktów oporu. Są zaopatrywani z powietrza. Lotnictwo niemieckie bombarduje płonące miasto.”

Siedmiodniowa walka ma się jednak ku końcowi. Nad Wilnem zaległa cisza i „Wilk” depezuje 14 lipca:

„Niemcy wysadzili między innymi elektrownię, wodociągi, radiostację, hotel George’a i Bristol. Mordowali ludność cywilną. Najbardziej ucierpiała dzielnica kolejowa. Większość pomników ocalała, z okopconą od pożarów Ostrą Bramą na czele. Polskość miasta bije w oczy. Pełno naszych żołnierzy. Służba OPL – polska. Szpitale przepełnione, wszystkie w rękach polskich. W fabrykach i warsztatach tworzą się komitety i zarządy polskie. Litwinów nie ma.”

I tego samego dnia donosi „Wilk”: „Wyczuwa się niechęć wyższych władz sowieckich. Chorągiew polska, dwukrotnie zawieszana na Górze Zamkowej – została zdjęta mimo interwencji. Nadto nie pozwolono na przemarsz przez miasto zwycięskich oddziałów polskich.”

A w następnej depeszy „Wilk” zawiadamia: „15 lipca, jako dowódca oddziałów Armii Krajowej zostałem zaproszony do dowódcy 3 frontu białoruskiego, gen. Czerniachowskiego. Rozmowy odbywały się w atmosferze dobrej. Polityki i Berlinga nie poruszono. Przyjęto bez

zastrzeżeń naszą propozycję wystawienia dywizji piechoty i brygady kawalerii w pierwszym rzucie z szybkim odejściem na front ...”

Na dzień 17 lipca wyznaczone zostało następne spotkanie „Wilka” z gen. Czerniachowskim. Miano ustalić ostateczne szczegóły współpracy. Odprawa miała mieć miejsce przy ul. Kościuszki nr 16. Tak ją opisuje J. Garliński na str. 89 w: ”Między Londynem i Warszawą”:

„Wszystko było dokładnie przygotowane, bo na polskich oficerów czekali już sowieccy wyżsi dowódcy. Wśród nich znajdowało się, jakoby, siedmiu generałów. Spotkanie miało na wstępie wszelkie pozory fachowej dyskusji. Roztrząsano techniczne problemy sformowania dwóch dywizji piechoty i brygady kawalerii, zastanawiano się nad szczegółami uzbrojenia, dyskutowano termin odejścia nowych jednostek na front. Niespodziewanie, gdy wszystko już było uzgodnione, jeden z najstarszych rangą bolszewików powiedział: „pozostaje tylko rzecz ściśle formalna: należy ustalić kiedy pan, generale, zamelduje się u dowódcy wojsk generała Berlinga.”

„Wilk” porwał się z krzesła, ale w tej samej chwili i na niego i na towarzyszących mu oficerów rzucili się oficerowie sowieccy. Major Cetys (ps. „Sław”) sięgnął do kabury, natychmiast wykręcono mu ręce i odebrano pistolet. Powstało zamieszanie, rozpoczęła się krótka walka wręcz, która nie trwała jednak długo. Podczas, gdy polskim oficerom odbierano boczną broń i zdzierano dystynkcje, jeden z bolszewików walił pięścią w stół i krzyczał : - Tutaj nasz kraj, tutaj nasza ziemia !

„Rozbrojonych popędzono do piwnicy i kazano ustawić się twarzą do ściany. Później, pod silną eskortą, przeprowadzono ich do budynku NKWD przy ulicy Mickiewicza (dawny sąd).”

Prawdopodobnie zostali aresztowani wówczas poza „Wilkiem”: ppłk dypl. Adam Szydłowski (ps. „Poleszuk”) zastępca „Wilka” i komendant Okręgu Nowogródek, ppłk. Lubosław Krzeszowski (ps. „Ludwik”), szef sztabu okręgu, później komendant Okręgu Wilno, mjr Teodor Cetys (ps. „Sław”) szef sztabu „Wilka”, mjr dypl. Mieczysław Potocki (ps. „Węgielny”) dowódca zgrupowania północnego, mjr dypl. Zbigniew Brodzikowski (ps. „Rańcza”) szef oddziału I sztabu „Wilka”, mjr Radzikowski (ps. „Dąbek”) szef oddziału IV. Kpt. Ludwik Fortuna (ps. „Siła”) oficer sztabu „Poleszuka”, ks. Józef Suwało i Władysław Kwieciński (ps. „Fox”) szef kancelarii „Wilka”.

Tego samego dnia, kiedy „Wilk” ze sztabem został aresztowany, o godzinie 16-tej odbywał się przegląd brygad przez generalicję sowiecką, a o godzinie 19-tej odbyła się odprawa wyższych oficerów oddziałów polskich w wiosce Bogusze. W trzy godziny później,

na wiadomość, że oficerowie zostali otoczeni, rozbrojeni i aresztowani na odprawie w Boguszewie – ppłk Strychański (ps. „Blumski”) szef oddziału III komendy Okręgu Wilno, który nie pojechał na odprawę, rozkazał oddziałom wymarsz w kierunku na Puszcę Rudnicką.

Noc była piękna. Pomimo groźnej sytuacji, żołnierze nie upadali na duchu. Już nad ranem oddziały weszły do puszczy od strony Góry Kościelnej. Tu też zostały wytropione przez sowieckie samoloty rozpoznawcze, które niskimi lotami i okazjnymi strzałami sprawiały wrażenie przygotowywania się do ataku. Wkrótce jeden mały samolot, zwany kukuruźnikiem, osiadł na ściernisku przed lasem. Wskoczył z niego pilot, by doręczyć rozkaz sowieckiego dowództwa, nakazujący polskim oddziałom skoncentrowanie się w rejonie m. Gudełki i złożenie tam broni pod groźbą całkowitego zniszczenia.

W obliczu tej groźby, braku żywności i w ogóle ciężkiej sytuacji, ppłk Strychański zarządził częściową demobilizację. Wszyscy ci, którzy z tych czy innych powodów nie chcieli zostać, mogli odejść. Reszta, w ciemną noc, pomaszerowała na zachód. W niektórych miejscach trzeba było siłą ludzką przeciągać wozy poprzez grząską łąkę, albo pozostawiać je w bagnie. Całe szczęście, że lipiec był suchy, inaczej przemarsz w niektórych miejscach nie byłby możliwy.

Cały jednak wysiłek nie przydał się na nic, ponieważ po drugiej stronie puszczy, już nad ranem, czekały oddziały sowieckie. Wówczas to nastąpiła całkowita demobilizacja w obliczu wroga. Tylko niektórym udało się uniknąć internowania, najpierw w m. Rudniki, a potem w Miednikach.

Por. „Tońko” zdołał się wymknąć z grupką żołnierzy i połączyć się z oddziałem majora „Kotwicza”. „Kotwiczowi” nie udało się jednak przedostać na zachód. Zginął on w walce z bolszewikami, koło leśniczówki Surkonty 21 sierpnia 1944 roku. Jego los podzielił również por. „Kryśia”. Major Zygmunt Szendzielorz (ps. „Łopaszko”), dowódca 5-tej Brygady, przedwojenny rotmistrz 4 pułku ułanów zaniemeńskich, który nie brał udziału w Bitwie o Wilno, zdołał wycofać się do Polski Centralnej. Tam został złapany i zlikwidowany przez reżim warszawski wraz z innymi wilnianami, po procesie pokazowym.

Około 7000 szeregowych i oficerów zostało wywiezionych do Kaługi, do której przybyli 5 sierpnia 1944 roku. Los ich opisany jest przez uczestnika tego wywiezienia w artykule: „Na zesłaniu w Kałudze”, który ukazał się w biuletynie nr 40 Związku Ziemi Wschodnich w Londynie.

„Wilk” powrócił do Kraju z Workuty w 1947 roku. Ponownie aresztowany 1 1948 roku, zmarł w więzieniu na Mokotowie 29 września 1951 roku.

Tak zakończyła się trzyletnia walka z Niemcami. Okres ogromnego wysiłku organizacyjnego, okupionego dużymi ofiarami; okres bitew, hartowania się morale narodu; okres współdziałania narodów Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny w walce ze wspólnym wrogiem. Polskie oddziały i organizacje za dużo wykazały patriotyzmu i demokratyzmu, by bolszewicy mogli tolerować je na swoich tyłach. Rozkaz ujawniania się nie był wyrazem mądrości politycznej. Dał on możliwość NKWD zidentyfikowania i aresztowania najbardziej zaangażowanej i patriotycznej części ludności, czego nawet Gestapo, przy pomocy Litwinów, nie mogło dokonać.

Trzecia okupacja sowiecka

Ponownie rozpoczęła się okupacja sowiecka, która trwa do tej pory. Zniszczenie w Wilnie było bardzo poważne. Do zniszczeń spowodowanych bitwą o miasto i w mieście, doszło ciężkie zbombardowanie miasta przez liczne samoloty niemieckie. W kilka miesięcy potem silny wybuch wstrząsnął całym miastem. Na dworcu wileńskim, koło mostu raduńskiego wybuchło 42 bomb w transporcie kolejowym, na który najechał rozpędzony parowóz. Nawet w połowie ulicy Słowackiego rozpadły się domy. Jednakże ocalała przy ul. Mickiewicza była siedziba Gestapo, co spowodowało przekazanie nie uszkodzonych dokumentów nowemu okupantowi. Kontynuacja więc pracy władz bezpieczeństwa i szpiclów nie została przerwana. W ciągu kilku miesięcy 27 tysięcy Wilnian zostało aresztowanych, z tego 90 % nie zaangażowanych politycznie. Patrole sowieckie łapały ludzi w domach i na ulicy. Rwały dokumenty na oczach aresztowanych, nawet pełniących ważną funkcję w administracji sowieckiej, i pędziły ich do wyznaczonych dziedzińców wśród spalonych domów. Tam czekali po kilka dni na mrozie, by dostać się do wnętrza więzienia, który był przepełniony. W celach więźniowie mogli tylko stać lub przykucnąć. Jedzenie było fatalne: 200 – 300 gramów chleba na cały dzień. Ludzie jedli ze wspólnych blaszanek, w których grzebano brudnymi palcami, by wyłapać swój kartofelek i odliczyć swoją część krup. Gdy brakło blaszanek, dawano jedzenie w spluwaczkach. Niektórzy nie mogli się powstrzymać i wymiotowali patrząc na jedzących ze spluwaczek. Były oddzielne sale dla chorujących na tyfus. Jednak chorzy jedli z tych samych blaszanek co i zdrowi. Nie dawano wody do picia. Czasami strażnik dawał się przekupić i wtedy więzień wyskakiwał z kiblem, służącym do wiadomych celów, by opłukać go tylko raz i przynieść wody do celi.

Terror powodował szukanie środków zapobiegawczych i obronnych. Mężczyźni wychodzili z domów i swoich kryjówek pod osłoną starszych kobiet i dzieci, by wykryć czyhające niebezpieczeństwo w postaci patroli sowieckich, kryjących się po bramach kamienic.

Nie tylko ten terror, ale i poprzednie wysunęły na czoło rolę kobiety. Na nią spadł główny ciężar utrzymania rodziny. Ona ochraniała mężczyznę przed nieszczęściami, ona również pracowała w konspiracji na różnych funkcjach. Gdyby nie wysokie morale i patriotyzm wieśniaczki, robotnicy lub inteligentki – los mężczyzny byłby o wiele gorszy.

Za przykładem ojca i matki szło dziecko. Z natury ufne i nie znające przebiegłości – przestało mówić i stało się czujne. Wiele polskich dzieci poniosło śmierć za Ojczyznę, której nie znali i która nie mogła zapewnić im ani wolności, ani codziennego chleba.

Podziemie Wilna, choć pozbawione w dużym stopniu przywództwa, nie kapitulowało. Wprost przeciwnie, podjęło walkę od nowa. Komendantem Okręgu zostaje ppłk M. Kulikowski (ps. „Ryngraf”, „Michał”, etc.); jego pierwszym zastępcą – mjr „Wileńczyk”, a drugim – mjr dypl. Antoni Olechnowicz (ps. „Pohorecki”). Prasa podziemna wszczyna akcję w takim stopniu jak za czasów okupacji niemieckiej. Ppłk „Ryngraf” zarządza przedstawienie oficerów, podoficerów i szeregowych do awansów i odznaczeń na dzień 11 listopada 1944 roku.

Jednak terror robi swoje. Zostają aresztowani Delegat Rządu Fedorowicz; Rektor Ehrenkreutz, dr Dobrzański, znany socjalista i redaktor „Niepodległości” i wielu innych przywódców politycznych. Mocno poszukiwany ppłk „Ryngraf”, pomimo zapuszczenia brody, wpada w ręce sowieckie (zmarł w Polsce, po powrocie z Rosji). Wpadają prawie wszyscy szefowie Komendy. Komendantem Okręgu zostaje „Wileńczyk”, a jego zastępcą „Pohorecki”.

Pod koniec stycznia 1945 roku przyjeżdża do Wilna mjr Krzemień (przed wojną podporucznik), delegat Zarządu Głównego Polskiego Związku Patriotów w Moskwie, w celu nawiązania kontaktu z polskim podziemiem. Po losowaniu, mjr „Wileńczyk” wyznacza dwóch oficerów. Jednym z nich jest „Roland”. Rozmowa odbywa się 28 stycznia 1945 r. od godz. 12-tej do 17-tej w lokalu rekrutacyjnym, przy ul. Zygmuntowskiej. Gospodarzem lokalu i uczestnikiem na początku był ppłk Szymański (b. por. rez. Sherman lub Szerman, lekarz – specjalista od płuc, por. Legionowy) były dowódca sowiecko – żydowskiej partyzantki, a w czasie rozmów – kierownik oddziału wileńskiego Związku Patriotów, komunistycznej organizacji.

Wynik rozmowy był negatywny. Według Krzemienia, aresztowanie tysięcy Polaków, prawdziwych patriotów, było drobiazgiem, które nie powinno było stać na przeszkodzie naszemu podporządkowaniu się bolszewikom na łaskę i nie łaskę i to bez żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Krzemień dotrzymał jednak słowa, bo odwiózł oficerów AK na wskazane miejsce i to amerykańskim jeep'em. Tam już czekał mjr „Wileńczyk”, by wysłuchać sprawozdania. Była to niebezpieczna misja i po dłuższym czekaniu zwątpił on nawet czy zobaczy swoich delegatów.

W dalszym terrorze został aresztowany „Wileńczyk”. Komendantem Okręgu został mjr „Pohorecki”, jeden z pierwszych działaczy podziemia, bo już od 1940 r. (został aresztowany we Wrocławiu 25/26 czerwca 1948 r. i rozstrzelany przez PRL'owski reżim, po procesie pokazowym Wilnian w latach 1950/51.

Początkowo ludność wileńska wstrzymywała się z wyjazdem za linię Curzona, chociaż został utworzony tzw. Polski konsul, pod kierownictwem Stanisława Ochockiego. Ludzie czuli się jak żołnierze na posterunku i chcieli pozostać w Wilnie. Jednak szalony terror, masowa wywózka do Rosji i straszne warunki ekonomiczne zrobiły swoje. Pierwszy transport został sformowany 28 stycznia 1945 r. Do ostatniej chwili uciekinierzy z terroru nie wiedzieli czy parowóz zostanie doczepiony ze wschodniej, czy zachodniej strony pociągu. Po jego odjeździe do Lublina, drugi transport odszedł 12 lutego, a potem zaczęły odchodzić inne, aż tysiące mieszkańców Wileńszczyzny znalazło się w Centralnej Polsce, a potem i na Ziemiach Odzyskanych. Podróż do Lublina trwała około 16 dni. Ze sobą można było wziąć tylko najpotrzebniejsze rzeczy. W drodze, co pewien czas parowóz się „psuł”, co oznaczało zbieranie łapówki dla komendanta transportu i innych szakali. Tak samo musiano zbierać haracz dla komendanta sowieckiego na tzw. Granicy Curzona.

Masowy wyjazd Wilnian zakończył epopcję walki o polskość i wolność Wileńszczyzny w naszym pokoleniu. Do przyszłych pokoleń należy kontynuacja tej walki. Oby tylko dorównali odchodzącemu pokoleniu w patriotyzmie i poświęceniu.

.....

Zarys historii oddziałów Armii Krajowej „Żuka”, „Gozdawy” i 7-mej Brygady „Wilhelma”.

Na południowy zachód od Wilna znajdowały się duże kompleksy leśne, zwane Puszcza Rudnicką i na ten teren według struktury organizacyjnej Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej, w roku 1942, powołany był kpt. Jerzy Bronikowski, ps. „Czarny Jan”. Teren działania określono – od północy szosą łączącą Wilno z Nowymi Trokami, od południa Puszcza Rudnicką po rzekę Mereczankę, od zachodu linią kolejową Wilno – Grodno i od wschodu szosą Wilno - Wielkie Soleczniki. Nie były to sztywne granice, lecz podstawowy teren tworzenia siatki konspiracyjnej, przygotowany dla późniejszych działań zbrojnych. Na tym obszarze mieszkała ludność narodowości polskiej z nielicznymi przypadkami osób nasiedlonych już po roku 1939 przez okupantów. Teren ten przecięty był z północy na południe ważnym traktem kołowym łączącym Wilno z Grodnem. Siatka konspiracyjna składała się z ludności miejscowej, której zadaniem było przygotowanie terenu, gromadzenie z zasobów miejscowych lub przechowywanie dostarczanej do tego rejonu broni, przygotowanie miejsc postoju przyszłego oddziału, miejsc dla punktów sanitarnych wraz z ich wyposażeniem oraz zapewnienie bezpieczeństwa przyszłym oddziałom zbrojnym.

Do tego czasu rejon ten był bardzo często penetrowany przez różne bandy rabunkowe, składające się z elementu nie uznającego żadnego dowództwa, a tkwiący w tamtym okresie w ostępach Puszczy Rudnickiej. Dla przetrwania rabowali miejscową ludność z wszelkiego dobytku. Grupy te nie przejawiały żadnej działalności bojowej z powodu braku rozeznania terenu, braku odpowiedniego uzbrojenia i zorganizowanego dowództwa.

Celem ochrony ludności miejscowej oraz podjęcia czynnej walki z okupantem niemieckim i współpracujących z nim oddziałów policji litewskiej, oddziałów nacjonalistów ukraińskich powołany została w miesiącu lipcu 1943 roku stały oddział partyzancki, którego dowódcą mianowany został Jan Czerwiński, ps. „Żuk”. Był to oddział operacyjny o małym składzie osobowym, w zasadzie nie przekraczającym 18 osób. Natomiast dla przeprowadzenia akcji bojowych powoływano dodatkowo ludzi z siatki, którzy po odpowiednim przeszkoleniu teoretycznym i praktycznym w zakresie taktyki i znajomości uzbrojenia, stanowili skład oddziału w poszczególnych akcjach. W ten sposób prowadzona działalność pozwalała na bardzo dużą ruchliwość oddziału, bardzo dobre ponowne zakonspirowanie się i prowadzenie

działalności bojowej bez większych strat własnych. Dyspozycje działalności tak w szkoleniu teoretycznym, jak i akcji bojowych wychodziły ze sztabu Podinspektora, natomiast dowódcą akcji bezpośrednich był „Żuk”. Bardzo liczna i dobrze zakonspirowana, a i dobrze zorganizowana siatka wywiadowczo-łącznikowa pod dowództwem podchor. Plut. Stanisława Orłowskiego, ps. „Kruk”, dawała możliwość szczegółowej penetracji podległego terenu, jak i szybkie obustronne przekazywanie rozkazów ze Sztabu Okręgu i do Sztabu.

Bardzo trudno obecnie odtworzyć wszystkie akcje bojowe przeprowadzone przez ten oddział, do najważniejszych należy zaliczyć:

- w sierpniu 1943 roku spalenie mostu na rzece Mereczance pod Madziunami, przecięto tym ruch kołowy na szosie Wilno – Grodno. Akcję przeprowadzono przez oddział w składzie 20 żołnierzy, w tym 12 powołanych z siatki; bez strat własnych. Unieruchomiono ruch kołowy na tej drodze na kilka tygodni.
- w październiku 1943 roku oddział w sile 25 żołnierzy spalił drewnianą wieżę ciśnięć wraz ze zniszczeniem zbiornika na stacji kolejowej Rudziszki na linii kolejowej Wilno – Landwarowo – Rudziszki – Grodno, utrudniając w sposób znaczący eksploatację tam używanego taboru kolejowego. Akcja bez strat własnych.
- w listopadzie 1943 roku przeprowadzono dobrze zorganizowaną akcję, głównie siłami powołanymi na nią z siatki, a było to zniszczenie napowietrznej linii telefonicznej wzdłuż szosy Wilno – Grodno na długości około 2,5 km, pomiędzy wsią Świątniki a wsią Chazbiejowicze. Spiłowano wszystkie drewniane słupy, rozbito izolatory i przecięto przewody. Była to ważniejsza linia łączności pomiędzy Wilnem a Grodnem i Białymstokiem. Miała ona duże znaczenie strategiczne, a odbudowa jej trwała ok. 6 dni. Akcja bez strat własnych.
- Pierwsza połowa grudnia 1943 roku – ponowne zniszczenie linii telefonicznej na długości ok. 3 km przy tej samej szosie, lecz w kierunku południowym - od Świątnik do wsi Ropieje. Podczas wycofywania się w kierunku południowym nad rzeczką Cyrwią, w okolicy wsi Inklaryszki, przypadkowo napotkano bandę rabunkową wiozącą na zrabowanych powodach łup z okolicznych wsi. Bandę rozbito, a mienie zwrócono prawowitym właścicielom z Madziun i Mamowa. W walce zginął żołnierz o pseudonimie „Kostek”.
- Druga połowa grudnia 1943 roku – na rozkaz Podinspektora „Czarnego Jana” oddział w sile 12 żołnierzy uzbrojonych w karabiny oraz pistolety maszynowe stanowił osłonę grupy dywersyjno-minerskiej, wysadzającej tory wraz z pociągiem na linii Landwarów – Rudziszki w okolicy wsi Szylin.

Po tej akcji oddziały żandarmerii niemieckiej wraz z policją litewską i oddziałami Ukraińców zaczęły penetrować teren działania oddziału i dlatego rozkazem Podinspektora oddział zawiesił działalność bojową. Żołnierze będący stale w oddziale zostali podzieleni na kilkusobowe grupy i ulokowani w poszczególnych majątkach lub większych gospodarstwach. Głównym ich celem było gromadzenie broni i amunicji oraz oczyszczanie terenu z kolaborantów współpracujących z Niemcami lub policją litewską. Stan taki trwał do połowy stycznia 1944 roku.

Rozkazem Dowództwa Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej w drugiej połowie stycznia 1944 roku, na bazie oddziału „Żuka” i skierowanych z siatki konspiracyjnej ochotników, powołana zostaje 7-ma Brygada Armii Krajowej. Dowódcą mianowany zostaje por. Wilhelm Tupikowski, ps. „Wilhelm”, uczestnik wojny obronnej 1939 roku jako dowódca 3 kompanii 6 Pułku Piechoty Legionów, który ze swą jednostką przeszedł cały szlak bojowy pułku. Nie idzie do niewoli, wraca do Wilna i włącza się do działalności konspiracyjnej. Powołanie Brygady jako stałego oddziału bojowego powoduje wzrost zdekonspirowanych ludzi pod bronią. Podinspektorat skierowuje do Brygady zdekonspirowanych członków siatki wiejskiej oraz tych z Landwarowa, Czarnego Boru i Wilna. Stan osobowy Brygady wraz z siatką dyspozycyjną wzrasta do ok. 50 żołnierzy. Zostaje sformowany I pluton w składzie trzech drużyn po 10 osób, którego dowódcą zostaje por. „Poraj”. Powołane zostają służby sztabowe, sanitarne, kwatermistrzowskie. Brygada przybiera nazwę „7-ki Wilhelma”. Miejscami kwaterowania stają się wsie Terniany, Skorbuciany, Sorok Tatarsy, Świątniki i mająteczki położone na tym terenie. Z magazynów Podinspektoratu Brygada otrzymuje przechowywane tam uzbrojenie, pochodzące jeszcze z wojen 1939 i 1941 roku, oraz od ludności, która przeczuwając, że przyjdzie czas walki, taka broń przechowywała lub wiedziała, gdzie jest ukryta. Pomimo tego, stan uzbrojenia Brygady był bardzo słaby. Szczególnie odczuwało się brak amunicji przy tak różnorodnym uzbrojeniu. Brygada zaczyna przekształcać się w ujęty regulaminami wojskowymi oddział. Przeprowadza się ćwiczenia taktyczne, zajęcia regulaminowe, formowanie w miarę napływu ochotników drużyn, mianowania dowódców niższych szczebli z ochotników mających już bądź staż wojskowy lub przeszkolonych w konspiracji. Konsolidacja Brygady wraz z koniecznymi ćwiczeniami i przemarszami budzącymi entuzjazm miejscowej ludności trwa przez miesiąc luty do połowy marca. W połowie marca stan Brygady wzrasta do ok. 70-ciu żołnierzy. Są już formowane wszystkie służby wewnętrzne, sprawdzona sieć łącznikowa i wywiadowcza. Brygada staje się pełnosprawnym oddziałem bojowym. W dalszym ciągu zgłaszanie się ochotników jest dużo większe niż można wchłonąć i uzbroić, przeciwzyć i sformować w drużyny. W tym czasie

powstaje stała służba sanitarna, której kierownictwo przejmuje dr Władysław Żemojtel, ps. „Brodacz”, „Znachor”, „Biały Jan”, powstaje stały punkt sanitarny, który następnie przekształcony zostaje w szpital polowy Brygady w folwarku Czernickich w Bolesławowie koło Rudziszek, zaopatrzone w podstawowe środki medyczne. Powstaje duszpasterstwo Brygady, które obejmują obaj bracie, księża Antoni i Józef Prejsserowie, ps. „Gerwazy” i „Protazy”. Okres bardzo ciężki, przednówek na wsiach i pierwsza wiosna dla regularnych żołnierzy mających już broń w ręku.

Represje okupanta niemieckiego i ściśle współpracujących z nimi - policji litewskiej oraz tworzonych oddziałów specjalnych do walk z partyzantami, dyktują działania Brygady, której głównym celem była osłona podległego terenu przed penetracją niemiecko-litewską.

- Pierwszą znaczącą akcją bojową miało być zatrzymanie pociągu na trasie Wilno- Lida na odcinku Czarny Bór – Mereszłany, a jej celem było zdobycie broni i amunicji na jadących na tej linii Niemcach i Litwinach. Akcja odbyła się 25 marca 1944 roku. Wynik bardzo mierny – zdobyto kilka sztuk broni ręcznej z małą ilością amunicji. Zginął partyzant „Wicher” i ranny został „Wacek”. Akcja z wojskowego punktu widzenia raczej nieudana - za dużo zapłała, za mało wyszkolenia. Natomiast miała bardzo duże znaczenie. Okupanci czują się coraz niepewnie, nawet nie przeprowadzają odwetowych akcji represyjnych.
- W drugiej dekadzie 1944 roku po dokładnym rozeznaniu przez siatkę wywiadowczą małych zakładów torfowych w miejscowości Biała Waka, nadzorowanej przez Holendrów będących w służbie niemieckiej, zorganizowano akcję bojową na ten zakład. Pełne zaskoczenie Holendrów, których posterunki rozbrojono bez walki, umożliwiło zajęcie budynków z pozostałą załogą. Zdobyto kilkanaście karabinów, sporo amunicji oraz umundurowanie. Zniszczono i spalono urządzenie torfowni i zwolniono przymusowych robotników Polaków, Rosjan i Żydów. Torfowni do stanu sprzed akcji nigdy nie przywrócono. Akcja bez strat własnych.
- W dniu 30 marca 1944 roku Brygada w sile pięciu drużyn bierze udział we wspólnej akcji bojowej wraz z 3-cią Brygadą „Szczerbca” na miejscowość Nowe Troki. Zadaniem naszej Brygady było stworzenie osłony akcji głównej, zdobycie miasteczka od strony Landwarowa. Pozycje zajęte przez Brygadę obejmowały szosę Landwarowo - Nowe Troki do linii kolejowej Wilno – Landwarowo – Rudziszki – Grodno. Akcja w pełni udana.
- Czerwiec 1944 rok – po otrzymaniu wiadomości z siatki wywiadowczej, że we wsi Kiewliszki koło Połukni do łaźni przyszło siedmiu policjantów litewskich z bronią,

wysłana z miejsca postoju drużyna w sile 12-tu żołnierzy przez zaskoczenie rozbija policjantów. Po stwierdzeniu, że są to bardzo gorliwi wykonawcy poleceń niemieckich i znęcający się nad ludnością polską, osobnicy ci zostają zlikwidowani. Akcja bez strat własnych, Zdobyto 7 karabinów i kilkaset sztuk amunicji.

Napływ ochotników w końcu marca i w pierwszej połowie kwietnia powoduje wzrost stanu liczbowego żołnierzy w Brygadzie. Zostaje zakończone formowanie drugiego plutonu, którego dowódcą zostaje por. „Wicher”. Zaczyna się formowanie trzeciego plutonu, którego dowódcą zostaje mianowany podchorąży Jerzy Dzierżyński, ps. „Szczęsny”. Uzbrojenie pierwszego plutonu ulega znacznej poprawie. Stanowi on pluton szturmowy erkaemami i sporą ilością pistoletów maszynowych. Sztab Brygady powiększa się o oficera specjalistę -sopera, por. Adolfa Polońskiego, ps. „Benek”

W kwietniu 1944 roku na miejsce postoju większej części Brygady w Skorbucianach, na samochodach od strony Ternian nadjeżdżał duży oddział wojsk niemieckich. Dowództwo Brygady, oceniając sytuację jako uniemożliwiającą podjęcie bezpośredniej walki, wycofało żołnierzy pod ogniem broni maszynowej Niemców w kierunku południowym. Penetracja okolicy przez wojska niemieckie spowodowała śmierć dwóch żołnierzy – ps. „Zięby” i „Jarosława”, którzy otrzymali przepustki do odwiedzenia swoich rodzin mieszkających w pobliżu Skorbucian.

W połowie kwietnia 1944 roku Brygada została w Ternianach i Sorok Tatarach powiadomiona przez łączników o wypadzie bandy rabunkowej z głębi Puszczy Rudnickiej. Zostaje zorganizowana zasadzka w okolicy wsi Popiszki, odbicie zrabowanych rzeczy, rozbicie bandy i zwrot zrabowanego mienia ludności. Była to jedna z ostatnich band rabunkowych na terenie działania Brygady. Teren zostaje całkowicie opanowany przez oddziały Armii Krajowej. Niemcy, Litwini i Ukraińcy utrzymują się tylko w większych grupach, w obunkrowanych posterunkach, szosami przyjeżdżają tylko kolumny z ochroną. Zostają całkowicie sparaliżowane jakiekolwiek dostawy kontyngentów żywnościowych dla okupanta.

III dekada kwietnia – wypad na majątek Landwarowo – zdobycie koni pociągowych i pod wierzch.

Brygada stanowi dobrze zorganizowany oddział, którego poszczególne plutony mogą i prowadzą samodzielne akcje bojowe.

W dniu 30 maja 1944 roku Brygada większością stanu osobowego przeprowadziła brawurową akcję zdobycia bunkrów ochrony mostu kolejowego na rzece Rudominka, dopływie Waki, w miejscowości Wielkie Pole. Wydzielona drużyna, przebrana w niemieckie

mundury, dowodzona przez Ewalda Krolla, ps. „Konieczny”, na stacji Czarny Bór opanowuje pociąg. Dalej koło miejscowości Wołczuny wsiadają do pociągu pozostali żołnierze wyznaczeni do akcji i mają wjechać na most pozorując, że są zmiana obstawy mostu. Na skutek nieprzewidzianych wypadków zaskoczenie nie udaje się. Niemcy zamykają się w bunkrach, otwierając zmasowany ogień w kierunku atakujących partyzantów. Część załogi ochrony mostu zostaje wybita, bunkier wraz z załogą podpalony i wysadzony. Akcja, której zadaniem było zdobycie broni i amunicji nie udaje się. Straty własne to dwóch zabitych i kilku rannych.

Pierwsza dekada czerwca 1944 roku - w miejscowości Gaj w czasie postoju ginie od skrytobójczej kuli por. Waław makowski, ps. „Waław”, i następuje jedyny wypadek dezercji. Dezerterują „Judycki” i „Lech”.

Miesiąc czerwiec - wobec zbliżającego się frontu, a coraz bardziej wzmacniających się działań naszych oddziałów i napływu ochotników do Brygady, stan osobowy znacznie wzrasta i są już sformowane pełne 3 plutony po 3 drużyny i zaczyna formować się czwarty.

Są już w pełni sformowane służby pomocnicze, akcje nasilają się i następują już bardzo często.

Akcja na szosie Wilno- Grodno pod Chazbiejowiczami, zdobycie kilkunastu sztuk broni wraz z amunicją i innym zaopatrzeniem, zabicie kilkunastu Niemców.

Na bazie kadrowej 7-mej Brygady powstaje samodzielny oddział partyzancki dowodzony przez por. Jerzego Rożnałowskiego, ps. „Gozdawa” i do którego za zgodą „Wilhelma” odchodzi kilkunastu żołnierzy, przeważnie mieszkańców Landwarowa. Oddział podejmuje samodzielną działalność, z której należy wymienić walkę pod Połuknią, w której zdobyto kilka samochodów z kolumny lotników niemieckich. Na pograniczu Puszczy Rudnickiej przy smolarni zlikwidowano natomiast kilkunastu Niemców z kolumny już wycofujących się wojsk niemieckich.

Brygada w końcu czerwca robi zasadzkę na szosie grodzieńskiej na kolumnę samochodową. Akcja udana. Kolumna rozbita, kilkunastu Niemców zabitych, lecz okupiono to śmiercią „Marchołta – Eugeniusza Ihnatowicza oraz kilkoma rannymi.

Sytuacja Brygady staje się kłopotliwa i niepewna. Zbliżający się front, nieustabilizowana sytuacja polityczna, nie docieranie w określonym czasie rozkazów z Dowództwa Zgrupowania, wycofanie Brygady z akcji mającej na celu zdobycie Wilna doprowadzają do okresowego zdemobilizowania i przejścia do konspiracji. Następuje to w Puszczy Rudnickiej w dniu 4 lub 5 lipca 1944 roku.

Po jednym dniu za pośrednictwem sieci łączników następuje powrót do wyznaczonych punktów zbiorczych. Były nimi Skorbcuciany, Sorok Tatory, Terniany. Powracają wszyscy, łącznie z oddziałem „Gozdawy”, lecz już bez dowódcy, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Następuje ponowne formowanie Brygady, już w bardzo zwiększonym składzie, z nową obsadą kadrową składającą się z oficerów i podoficerów zawodowych, którzy dołączyli z siatki konspiracyjnej. Niepewna sytuacja polityczna, brak porozumienia z jednostkami frontowymi Armii Radzieckiej powodują niemożliwość przeprowadzania akcji zbrojnych.

Ostatnią akcją Brygady była ochrona spotkania dowódców wileńsko – nowogródzkich Brygad, które miało miejsce dnia 17 lipca 1944 r. w miejscowości Bogusze. Oddział osłonowy składał się z 4 drużyn wybranych z różnych plutonów. Przybył na wyznaczone miejsce w nocy z 16 na 17 lipca, zajmując pozycję wyjściową w młodym lesie sosnowym w odległości około 100 metrów od budynków wyznaczonych na spotkanie. Przedstawiciele poszczególnych Brygad zaczęli przybywać w godzinach od 8 do 10. w tym samym czasie od strony szosy nadjechały samochody ciężarowe z wojskiem sowieckim i ciężką bronią maszynową. Sygnałem ewentualnego rozpoczęcia akcji miał być strzał pistoletowy. Sygnału takiego nie było. Około godziny 12-tej zauważono wyprowadzanie przybyłych na odprawę oficerów w kierunku stojących samochodów. Komendant poderwał oddział w tyralierę i w szyku rozwiniętym zaczął on schodzić w kierunku budynków. Od strony szosy w szyku rozwiniętym w naszym kierunku ruszył oddział wojsk sowieckich w liczbie dużo większej niż nasze siły. Doszło do spotkania na odległość kilku metrów. Nie mając żadnej możliwości przebicia się i dopomożenia naszym oficerom, Komendant wydał rozkaz wycofania się, tym bardziej, że już aresztowani oficerowie zostali załadowani na podstawione samochody, które następnie odjechały. Po wycofaniu się, forsownym marszem, kilka razy zawracani przez wojska sowieckie przeszliśmy w kierunku Puszczy Rudnickiej i 17 lipca 1944 roku rano zostaliśmy rozbrojeni przez wojska sowieckie.

Tak zakończyła się droga ochotników Armii Krajowej, którzy swój szlak bojowy rozpoczynali przez działalność konspiracyjną, oddział „Żuka”, Brygadę „Wilhelma”, oddział „Gozdawy” i ponownie Brygadę „Wilhelma”.

Wszyscy z honorem spełnili swój podstawowy obowiązek Polaka, wymagany od nich w tamtych czasach.

Z podniesionym czołem możemy oświadczać, że z bronią u nogi nie staliśmy, a w miarę możliwości i sił byliśmy walczącymi żołnierzami polskimi tamtych terenów.

Opracował: Janusz Bohdanowicz „Czortek”

ZARYS HISTORII 7-MEJ BRYGADY ARMII KRAJOWEJ „WILHELMA”

Słowo wstępne

Zamiar opisanie historii brygady „Wilhelma” zainicjował po raz pierwszy śp. Stanisław Kiałka ps. „Bolesław”, „Jelonek”, „Szarotka”, który po powrocie z wieloletniego zesłania do Workuty nawiązał kontakt z partyzantami mieszkającymi we Wrocławiu: „Ursusem” – Stanisławem Straussem - kustoszem Ossolineum, „Lolkiem” – Longinem Jarmolkiewiczem – pracownikiem naukowym Politechniki Wrocławskiej, „Szpakiem” – Wiktorem Iwanowskim – pracownikiem naukowym AWF. Niestety efekty podjętych zamierzeń były wówczas nikłe, zaś przedwczesna śmierć St. Kiałka pozostawiła niewypełnioną lukę w zapisach Wileńskiej AK.

Po kilku latach wznowił tę akcję Janusz Grzesik ps. „Leszek”. Doprowadził do zintegrowania „Wilhelmiaków” poprzez prężnie działający przy Zarządzie Wojewódzkim ZBOWiD w Szczecinie, Klub Żołnierzy Kresowych Armii Krajowej. W wyniku corocznych spotkań na wyspie Wełtyń powstała aktywna grupa na czele z Januszem Bohdanowiczem ps. „Czortek” i Hipolitem Alesionkiem ps. „Andź”, „Piorun”, która zajęła się odtworzeniem zapisów historii. Ich zasługą jest ożywienie korespondencji, uporządkowanie bezcennych informacji o akcjach i osobistych przeżyciach partyzantów oraz opracowanie z pewnością niepełnej jeszcze i nie pozbawionej subiektywizmu historii siódmej Wileńskiej Brygady Armii Krajowej „Wilhelma”.

Gorzów, dnia 24.11.1986 r.

Ps. „Szpak”

Szeregowy 7-mej drużyny III plutonu

Okręg Wileński w okresie okupacji hitlerowskiej nie był odosobniony w działalności Polski Walczącej. Życie okupacyjne, pełne grozy i okrucieństwa faszystowskiego, przyczyniło się do ożywionej działalności Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Zgodnie ze strukturą organizacyjną na terenie okręgu Wileńskiego obowiązywał podział terytorialny, obejmujący cztery Inspektoraty. Inspektorat „A” pokrywał się z terenem powiatu Wileńsko-Trockiego i kierowany był przez mjr Antoniego Olechnowicza, ps. „Pohoroeki”, a od 7 lipca 1944 r. przez mjr Aleksandra Wasilewskiego, ps. „Olesiński”. Inspektorat „A” dzielił się na dwa podinspektoraty, przy czym południowy obejmował tereny Puszczy Rudnickiej i kierowany był przez kpt. artylerii Jerzego Bronikowskiego, ps. „Czarny Jan”.

Terenem działania podinspektoratu był zachodni skraj Puszczy Rudnickiej, o powierzchni ok. 20 000 ha, zamknięty od zachodu linią kolejową Wilno – Grodno, a od południa przez dopływ Mereczanki rzeczką Solcza, zaś od północy ograniczona kompleksem jezior: Okmiany, Galwe, Skajści i od wschodu linią kolejową Wilno – Lida.

W lipcu 1943 roku na terenie podinspektoratu powstał niewielki 1-18 osobowy oddział, którym dowodził przedwojenny podoficer Jan Czerwiński, ps. „Żuk”. W odwodzie znajdowała się kilkudziesięcioosobowa grupa zaprzysiężonych partyzantów, mieszkających w okolicznych wsiach, po czym wracali do własnych domostw lub od razu do pracy. Mała liczebność oddziału sprzyjała doskonałej konspiracji, szybkiemu przemieszczaniu się, przeprowadzaniu błyskawicznych akcji oraz ułatwiała wyżywienie się. Dyspozycje i wskazówki do działalności oddziału „Żuk” otrzymywał od podinspektora „Czarnego Jana”. Należy nadmienić, że istniała wówczas dobrze zorganizowana siatka wywiadu i łączności, którą zorganizował plut. Stanisław Orłowski, ps. „Kruk”.

Nie sposób dzisiaj szczegółowo odtworzyć przebieg i klimat przeprowadzonych akcji bojowych. Dlatego przedstawiony opis najważniejszych akcji nie jest pozbawiony luk i nieścisłości. Opis akcji oparto na zeznaniach autentycznych uczestników.

Oddział dowodzony przez Jana Czerwińskiego, ps. „Żuk”, przeprowadził następujące akcje: Sierpień 1943 rok – spalenie mostu na rzece Mereczance pod Madziunami. Spowodowało to wstrzymanie ruchu kołowego na szosie Wilno – Grodno. W akcji uczestniczyło 20 partyzantów, w tym 12 z „odwodu”. Akcja bez strat własnych. Unieruchomienie szosy trwało kilka tygodni.

Październik 1943 rok – oddział w sile 25 partyzantów łącznie z „odwodem”, dokonał spalenia wieży ciśnień stacji kolejowej w Rudziszkach, niszcząc zbiornik wodny, co w znaczący sposób utrudniło eksploatację używanego tam taboru kolejowego. Akcja bez strat własnych.

Listopad 1943 rok – po przeprowadzeniu dokładnej obserwacji zorganizowano akcję, głównie siłami z tzw. „odvodu”. Celem akcji było zniszczenie napowietrznej linii telefonicznej wzdłuż szosy Wilno – Grodno na przestrzeni około 2,5 km między wsiami Świątniki – Chaźbiejewicze. Spiłowano słupy drewniane, rozbito izolatory oraz pocięto przewody. Akcja bez strat własnych. Przywrócenie do użytku ważnej dla okupanta linii łączności telefonicznej nastąpiło po 6 dniach.

Grudzień 1943 rok – ponownie przeprowadzono zniszczenia linii telefonicznej przy tej samej szosie, lecz w kierunku południowym między wsiami Świątniki – Ropieja. Po dokonaniu akcji oddział wycofując się nad rzeczką Cyrwią obok wsi Inklaryszki natknął się na kilkunastoosobową bandę jadącą na zrabowanych wozach. W krótkiej potyczce bandę rozbito, a zrabowane mienie zwrócono poszkodowanym chłopom ze wsi Madziuny i Mamowo.

Grudzień 1943 rok – akcja wspólna z Brygadą „Szczerbca”. Uczestniczyło 12 partyzantów z Oddziału „Żuka” uzbrojonych w RKM i pistolety maszynowe. Stanowili osłonę wysadzenia torów kolejowych w pobliżu stacji Leśniki na trasie Landwarów – Rudziszki. Akcja bez strat własnych.

Po tej akcji okupant zwiększa aktywność działań odwetowych, na tym terenie, oddziałów specjalnych przeznaczonych do walki z partyzantami. Zostają zwiększone represje. Niemcy, Litwini coraz częściej zagłębiają się w okoliczne lasy, rekwirując żywność, wprowadzają atmosferę terroru, lęku i niepokoju. Dowództwo AK ze względu na trudne warunki zimowe postanawia czasowo zawiesić działalność bojową oddziału. Zostaje on rozformowany na 2-3 osobowe grupy z zadaniem oczyszczenia terenu z kolaborantów oraz gromadzeniu ukrytej przez ludność miejscową broni i amunicji z 1939 i 1941 r.

Wznowienie działalności nastąpiło w pierwszych dniach lutego 1944 roku. Reaktywowany oddział otrzymał nazwę 7-mej Brygady Armii Krajowej. Na komendanta mianowano por. Wilhelma Tupikowskiego, ps. „Wilhelm”. Nowy komendant, były uczestnik wojny 1939 roku, dowódca 7-mej kompanii 6 Pułku Piechoty Legionów, przeszedł cały szlak bojowy pułku. Uciekł przed dostaniem się do niewoli i natychmiast włączył się do działalności konspiracyjnej. Powołanie Brygady spowodowało znaczny wzrost ilościowy żołnierzy. Zostają do niej skierowani zdekonspirowani, czyli „spaleni” w dotychczasowej działalności, bojownicy o Polskę. Wstępują do oddziału mieszkańcy wsi puszczańskich, młodzież z Ponar, Landwarowa, Czarnego Boru i Wilna. Stan osobowy Brygady wzrasta do około 50 osób. Pierwszy pluton kompletny. Dowódcą zostaje por. „Poraj”. Powołane są służby sztabowe, sanitarne i kwatermistrzowskie. Brygada z racji swego usytuowania

przyjmuje charakter Brygady lotnej. Zmuszają do tego niezmiernie dokuczliwe, ukrywające się w puszczy, uzbrojone grupy nie legitymujące się jakkolwiek przynależnością organizacyjną. Miejsce zakwaterowania Brygady ulega ciągłym zmianom, nocami marsze – dniami odpoczynek i to wciąż w innej wsi lub zaścianku. Tryb takiego postępowania wynikał z konieczności zachowania bezpieczeństwa oddziału. Kierunki przemarszów oraz miejsca postoju były utrzymywane w ścisłej tajemnicy, o której wiedziało tylko ścisłe dowództwo. Prawdopodobnie dlatego zaskoczeń i niespodzianek było niewiele, a Brygada mogła przetrwać i prowadzić działalność nakazaną przez dowództwo Okręgu. Osiedlami, w których najczęściej stacjonowano, były wsie Skorbuciany, Sorok-Tatary, Gaj, Terniany, Jurgielany, Zwierzyniec oraz mająteczki znajdujące się na tym terenie. Uzbrojenie Brygady nadal bardzo słabe, mimo przekazywanej często przez mieszkańców okolicznych wsi starych karabinów, pistoletów, a czasem i amunicji. Brygada zaczyna przekształcać się w oddział ujęty regulaminami wojskowymi, przeprowadza się ćwiczenia taktyczne. Następuje formowanie nowych drużyn i mianowanie dowódców niższych szczebli z ochotników mających już staż wojskowy, bądź przeszkolonych w konspiracji. Przeprowadzane ćwiczenia wojskowe, przemarsze w ustalonym szyku, wszystko to konsolidowało wyraźnie oddział, zaś u miejscowej ludności wywoływało autentyczny entuzjazm, co miało ogromne znaczenie prestiżowe i propagandowe. Każdy kontakt z uzbrojonym partyzantem polskim, noszącym na rękawie opaskę biało-czerwoną, a na czapce – często cywilnej – orła, stawało się dla mieszkańców olbrzymim przeżyciem. Powstaje drugi pluton. Dowódcą zostaje mianowany „Wicher”. W połowie marca stan Brygady wzrasta do ok. 70 żołnierzy.

Są już formowane wszystkie służby wewnętrzne, zorganizowano sprawną sieć łączności oraz bardzo ważną sieć wywiadowczą. Rozpoczyna się działalność duszpasterska, którą prowadzą bracia, księża Antoni i Józef Prejsserowie, ps. „Protazy” i „Gerwazy”. Niedługo potem „Protazy” przechodzi do Brygady „Juranda”. Brygada staje się pełnosprawnym oddziałem bojowym. W dalszym ciągu zgłaszanie się ochotników jest dużo większe niż Brygada może wchłonąć w swoje szeregi. Na przeszkodzie stoi brak uzbrojenia i trudności aprowizacyjne, wszak tereny Wileńszczyzny to ziemie mało urodzajne, szczególnie przednówek zawsze był okresem bardzo trudnym. Trudną sytuację wyżywieniową pogłębiały istniejące liczne ugrupowania leśne i bandy, które przy każdej sposobności dokonywały na wsie napadów, rabując wszystko, co się dało skonsumować lub wykorzystać w ich życiu tułaczym. Mimo wielu trudności, Brygada wciąż krzepnie, powstaje stała opieka medyczna, którą kieruje znany w Wilnie chirurg Władysław Żemojtel, ps. „Brodacz”, „Znachor”, „Biały Jan”.

Zorganizowany punkt sanitarny wkrótce zostaje przekształcony w szpital polowy, który usytuowano w folwarku Czernickich w Bolesławowie koło Rudziszek.

Tymczasem represje nasilają się, powoływane zostają nowe specjalne oddziały niemiecko-litewsko-ukraińskie, przeznaczone do walki z partyzantami. Przy szosach grodzieńskiej i lidzkiej na obrzeżach zjawiają się duże tablice ostrzegawcze z napisami: ACHTUNG – BANDITEN GEBIET! Mimo zamierzeń okupanta tablice spełniały wręcz odwrotną rolę, przekonywały ludność, że w ostępach leśnych istnieje „Leśna Republika Polska”. Ludność uwierzyła, że Polska mimo okupacji żyje, a podziemie jest coraz silniejsze, o czym świadczą zuchwałe akcje dywersyjne Armii Krajowej.

Brygada rozpoczyna działalność bojową, następują akcje:

Druga dekada marca 1944 roku – akcja na zakłady torfowe w pobliżu Białej Waki, gdzie nadzór pełnią Holendrzy z Organizacji Todt. Doskonale rozpoznanie sytuacyjne przyczyniło się do całkowitego zaskoczenia. Posterunki i załogę rozbrojono bez walki, zdobyto sporą ilość broni, amunicji i umundurowania oraz uwolniono, zatrudnionych tam przymusowo, robotników narodowości rosyjskiej, żydowskiej i polskiej. Urządzenia mechaniczne spalono, co spowodowało, że zakład nie wznowił działalności.

25 marca 1944 roku – cel akcji: zdobycie broni i amunicji poprzez sterroryzowanie załogi pociągu i jadących w nim uzbrojonych okupantów na trasie Wilno – Lida. Akcja nieudana – straty: 2 zabitych i 1 ranny. Zdobyto zaledwie kilka sztuk broni.

Początek kwietnia – zaczyna się formowanie trzeciego plutonu, którego dowództwo obejmuje podchor. Jerzy Dzierżyński, ps. „Szczęsny”. W dalszym ciągu daje się odczuwać brak uzbrojenia dla nowopowstających drużyn. Sztab powiększa się o oficera artylerii o przeszkoleniu saperskim Adolfa Połńskiego, ps. „Benek”, któremu powierzono formowanie plutonu służby technicznej.

29-30 marzec 1944 rok – w akcji na Nowe Troki uczestniczy pięć drużyn stanowiąc osłonę ubezpieczeniową od strony Stare Troki – Landwarów dla Brygady „Szczerbca”. Zdobyto miasteczko i Arbeitsamt, spalono całą dokumentację, co uchroniło wielu Polaków przed wywiezieniem na roboty przymusowe do Niemiec. Akcja bez strat własnych.

Kwiecień 1944 roku – po nocnym marszu postój we wsi Skorbuciany. Nieoczekiwanie od strony Ternian i Międzyrzecza Niemcy zaatakowali początkowo z karabinów pojedynczymi strzałami, później z broni maszynowej i wreszcie z granatnika. Całkowite zaskoczenie wynikało z tego, że w tym właśnie czasie oczekiwano plutonu z Brygady „Szczerbca”, który miał przyjść w mundurach niemieckich. Jest to jedyne usprawiedliwienie, że informacja od wartownika została zbagatelizowana. Za ten błąd zapłacono życiem dwóch partyzantów,

zginęli od pocisku granatnika - dowódca 6-tej drużyny „Zięba” i „Jarosław”. Zabitych pochowano po dwóch dniach na cmentarzu w Skorbcucianach.

Kwiecień 1944 rok – Brygada stacjonuje w Ternianach. Od łącznika dociera wiadomość, że jakaś bliżej nieokreślona uzbrojona grupa dokonuje rabunku wsi Popiszki. Natychmiast zostaje skierowany tam drugi i trzeci pluton. Efekt końcowy – banda rozbita, ludność odbiera swoje zrabowane rzeczy. Następuje chwilowy spokój, który jeszcze nie raz był przez bandy zakłócony.

30 maj 1944 rok – przeprowadzono brawurową akcję mającą na celu zdobycie bunkra ochraniającego most kolejowy na rzece Rudominka w miejscowości Wielko Pole. W akcji uczestniczyło ponad 30 partyzantów. Wyznaczona drużyna, przebrana w mundury niemieckie, dowodzona przez „Koniecznego”, miała za zadanie podchodząc do bunkra pozorować zmianę warty. Zamysł nie udaje się, Niemcy wcześniej spostrzegli pozorowanie. Otwierają zmasowany ogień z broni maszynowej. Mimo to, brawurowy atak doprowadza do podpalenia, a następnie wysadzenia w powietrze bunkra. W akcji tej giną „Jastrząb” i „Warszawiak” oraz zostaje ciężko ranny „Lolek” (Longin Jarmołkiewicz). Poległych pochowano na cmentarzu w Skorbcucianach.

Czerwiec 1944 rok – tragiczny wypadek zdarzył się w czasie postoju we wsi Gaj. Od skrytobójczej kuli ginie oficer sztabowy Brygady por. Wiesław Makowski, ps. „Wacław” i następuje jedyny przypadek dezercji. Dezerterują „Judycki” i „Lech”. Zabitego pochowano na cmentarzu w Skorbcucianach.

Pierwsze dni czerwca 1944 roku – akcja na majątek Landwarów udana częściowo. Jeden z uczestników nie wytrzymał nerwowo i wystrzelił przedwcześnie, co zaalarmowało Niemców. Zdobyto kilka koni pociągowych, lecz broni nie udało się zdobyć.

Pierwsza dekada czerwca 1944 roku – z miejsca postoju we wsi Popiszki, powiększona do 18 osób drużyna z II plutonu pod dowództwem Bolesława Chonta, ps. „Spokojny”, przeprowadziła akcję rekwizycyjną koni wierzchowych dla nowo organizowanej drużyny zwiadu konnego. Akcja udana bez strat własnych.

Pierwsza połowa czerwca 1944 roku – Brygada prawie w pełnym składzie osobowym przeprowadziła akcję bojową na bunkry obsadzone załogą niemiecko-litewską przed miejscowością Połuknia. Nastąpiła silna wymiana ognia. Po nadejściu dość dużych sił nieprzyjaciela, akcję przerwano i Brygada wycofała się bez strat własnych.

W dniach 17 do 25 czerwca Brygada uczestniczy w koncentracji – ćwiczeniach w Taboryszkach. Przeprowadzono szkolenie taktyczne, po których Brygada wróciła na swój tradycyjny teren działania.

Koniec czerwca 1944 roku – wydzielony oddział z II i III plutonu przeprowadził akcję na niemiecki magazyn broni i bomb lotniczych pod Jaszunami. Celem akcji było zdobycie bomb jako materiału wybuchowego dla naszych potrzeb. Akcja udana bez strat własnych. Bomby przekazano w majątku Ropieje na magazyn konspiracyjny.

Koniec czerwca 1944 roku – łącznik zawiadamia, że we wsi Kiewliszki koło Połukni uzbrojeni Litwini nakazali mieszkańcom zorganizować kąpiel w łaźni. Wyznaczonych 12 partyzantów szybkim marszem dociera pod wskazaną łaźnię, otacza ją i bez walki odbiera broń i umundurowanie. Okazało się, że jest to część oddziału przeznaczonego do walki z partyzantami. Zaś według oświadczeń chłopów, to byli ci, którzy wielokrotnie znęcali się nad miejscową ludnością. Siedmioosobowa grupa została zlikwidowana. Miało to również olbrzymi wpływ na kolaborantów.

Pierwsze dni lipca 1944 roku – akcja na szosie Wilno – Grodno w pobliżu wsi Chaźbiejewicze. Nieprzewidziana potyczka z maszerującym oddziałem niemieckim. Ginie kilku Niemców, bez strat własnych. Zdobyto kilka karabinów, niewielkie ilości amunicji i innego zaopatrzenia.

Z uwagi na stale wzrastającą liczebność oddziału zostaje powołany przez dowództwo Okręgu Wileńskiego nowy oddział partyzancki „Gozdawy” pod dowództwem por. Jerzego Rożałowskiego. Do nowego oddziału po uzgodnieniu z „Wilhelmem” przeniesiona zostaje część młodzieży z Ponar, Ladwarowa, Trok i okolic. Do oddziału dochodzi nowy oficer, por. „Lot” (Henryk Dytz), który obejmuje dowództwo pierwszego plutonu nazwanego szturmowym.

Oddział ten przeprowadził:

Pierwsze dni lipca 1944 roku – zaplanowaną akcję na majątek koło Porubanku. Planowano rozbrojenie dużej jednostki Organizacji Todt i zdobycie większej ilości sprzętu wojskowego, w akcji brali udział tylko ochotnicy. Plan zostaje pokrzyżowany, bowiem tej nocy do majątku przybyło uzupełnienie w ilości ponad 100 żołnierzy niemieckich. Szybkie wycofanie się i marsz do wyznaczonego miejsca. Przed przekroczeniem szosy między Świątnikami a Połkunią zorganizowano zasadzkę na kolumnę samochodową. Akcja w pełni udana, zdobyto kilka samochodów, w tym jedną cysternę, natomiast bardzo mało broni. Jeńców po przewiezieniu do Brygady rozebrano i puszczono wolno. Akcja bez strat własnych.

Brygada „Wilhelma” 8 lipca 1944 roku zorganizowała zasadzkę na szosie grodzieńskiej. Rozbito kolumnę niemiecką. Brawurowe zachowanie się dowódcy 8-mej drużyny „Marchołta (Eugeniusz Ilnatowicz) okazało się tragiczne w skutkach, bowiem został śmiertelnie ranny i zmarł. Pogrzeb odbył się następnego dnia na cmentarzu w Skorbucianach.

W dniu 10 lipca 1944 roku dowództwo Brygady otrzymuje rozkaz demobilizacji i przejście do konspiracji. Brygada zostaje zdemobilizowana, a partyzanci w pełnym uzbrojeniu mieli wracać do miejsc zamieszkania i oczekiwać na dalsze rozkazy.

Już następnego dnia łącznicy w miejscach zamieszkania partyzantów ogłosili mobilizację, wyznaczając koncentrację w Skorbucianach i Sorok-Tatarach. Sprawny jej przebieg i ogólna mobilizacja spowodowały masowy napływ ludzi do Brygady. Z niewyjaśnionych przyczyn nie stawiał się „Gozdawa”, co siłą rzeczy wpłynęło na decyzję „Wilhelma” o stworzeniu jednego oddziału. W dniach 12-14 lipca odbyło się uroczyste wręczanie legitymacji wojskowych. Partyzanci z ogromnym zadowoleniem i dumą przyjmowali dokument opatrzony godłem narodowym i pieczęcią, na której widniał podpis dowódcy.

W tym czasie, przez tereny zajmowane dotychczas przez 7-mą Brygadę, coraz częściej maszerują oddziały wojsk radzieckich różnych formacji, od piechoty począwszy do oddziałów zmotoryzowanych. W dniu 17 lipca 1944 roku do dowództwa dociera rozkaz o zorganizowaniu oddziału do ochrony sztabu we wsi Bogusze. Do ochrony wyznaczono cztery drużyny. Uzbrojenie: jeden LKM, dwa RKM-y oraz karabiny i granaty. Wyznaczony oddział po forsownym marszu zajmuje wskazane stanowiska. Stanowiska usytuowane na lekkim wzgórzu w odległości 200 – 300 metrów od zabudowań. Sygnałem rozpoczęcia akcji ma być strzał pistoletowy. Istnieje pełna gotowość bojowa, oczekiwanie trwa w maksymalnym napięciu kilka godzin. Po jakimś czasie od zabudowań biegnie w kierunku oddziału chłopak krzyżąc głośno: „Ruskie oficerów zabrali!” Od strony szosy na koniach podjeżdża kilku radzieckich oficerów w kierunku stanowisk partyzanckich. Naprzeciw nadjeżdżającym oficerom wychodzi „Wilhelm”. Wymiana zdań nie ma charakteru dyplomatycznej konwersacji. W tym czasie zgromadzonych na odprawie oficerów załadowano na podstawione wozy ciężarowe, które natychmiast odjechały. To przesądziło o konieczności szybkiego wycofania się i powrotu do matecznika, jakim do niedawna była Puszcza Rudnicka.

Rano, dnia 18 lipca 1944 roku niedaleko wsi Piłukańce, zostaliśmy rozbrojeni.

W trudnym życiu partyzanckim był to najtragiczniejszy akt. Partyzanci rzucali broń zdobywaną nieraz za cenę życia. Wielu głośno przysięgało, że jeszcze będą walczyli o Polskę. Po złożeniu broni i sformowaniu kolumny marszowej nastąpił wymarsz w kierunku Miednik Królewskich. Trwał on wiele godzin i nie obył się bez tragedii. Po drodze zostały ciała zastrzelonych partyzantów, którzy za cenę życia wybrali wiekiustą wolność.

Taki był epilog partyzanckich losów, których krwią tak często zroszona była Ojczysta Ziemia na Kresach Wschodnich i tym samym działalność 7-mej Wileńskiej Brygady Armii Krajowej „Wilhelma” zakończyła swój chlubny szlak bojowy.

Posłowie: żyjący partyzanci są dumni z tego, że do końca czynnie walczyli z wrogami w szeregach Armii Krajowej.

MOJA SŁUŻBA W 7. BRYGADZIE „WILHELMA” ARMII KRAJOWEJ OKRĘGU WILEŃSKIEGO

Moja droga do 7. Brygady „Wilhelma”

Zbliżało się południe, słońce, osuszyło kałuże, ziemia z lekka parowała a słabiutki wiatr ciepłym dotykiem pieścił i unosił ze sobą troski, niepokoje i co tu ukrywać strach.

Młodość ma swoje prawa.

Koń, jeżeli można nazwać tak szkapinę o wielkości psa, /z tych większych psów/-koniem, również odczuwa życiodajny wpływ wiosny, rażno przebierała nogami. Uprząż skrzypi, a koła o słabo smarowanych osiach popiskują płaczliwie.

Woznica przygarbiony wiekiem, a może to jego poza drzemie. Wzrostu średniego o twarzy ascety, głowa ogolona jak u Rydza Śmiałego. Oczy zamknięte, twarz poddana działaniom słońca kiwa się w takt podskakiwania kół na wybojach rozjeżdżonej drogi. Snop dobrze ubitej słomy przykryty derką służy za siedzenie dla młokosa o ledwo widocznym zaroście.

Drobny, chudy jak ta szkapa, co ich dwoje ciągnie na tym wózku, do ich przeznaczenia. Młody nie śpi, czujnie rozgląda się po nieznannej okolicy, w oczach niepokój. Twarz blada, znać, że dawno słońca nie widziała- lazaret, a potem konspiracyjne kwatery wyrzyły ślady na tej spłoszonej fizjonomii.

Myśli lecą tabunami wśród ich natłoku, ciągle ta sama myśl, to pożegnanie z nią. Jakoś tak wyszło, bezbarwnie, pełne zakłopotania.

Te drzwi, to punkt kontaktowy, a tu tyle do powiedzenia, całe morze uczuć, wszystko bardzo ważne. Stało się to pożegnanie, ani czułe, ani wdzięczne za wszystko- za tak wiele, za życie jakieś takie, - aby to mieć za sobą, jak powinność ofiary złożonej tej strasznej wojnie.

Wóz podskakuje, myśli płoszy, podskakuje na kocich łbach, zbliżając się do mostu, gdzie odcinek drogi umocowano kamieniem polnym.

Starszy przerywa drzemkę i powiada. Jeszcze most przejechać, pilnowany przez Niemców, aby tylko nie chcieli rewizji robić.

Strach niepokojem dusi za gardło- wiadomo dokumenty lipne, cała siła to nogi, a one jeszcze słabe, rany bolą.

Ulga, wielka ulga, most za nami, a niemiecki wartownik nawet nie spojrzął na wóz zaprzęgnięty w „konio-psa” i jadących podludzi, dziadów.

Za mostem toczy się wózek po poboczu gruntowym, a droga obniża się i wchodzi w gardziel wąwozu.

Słońce przetoczyło się po niebie i skłoniło się na zachód. W wąwozie cienie nikną, a podróżnych wita przedwieczorny półmrok. Przelotny wiaterek nad głowami, szeleści resztkami zeschniętych liści, ostałych po zimie, na młodych dębinach okalających wąwozik.

Niedługo tenże wąwóz stanie się jak wąwóz Somosierry, ale w ten czas, co dopiero przyjdzie, zabraknie Koziatulskiego i 7. Brygady Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego. Nie sforsuje wąwozu, nie zdobędzie miasta- nie weźmie udziału w zdobywaniu Wilna.

Dzielna szkapina przebiera nóżkami coraz prędzej i prędzej, czuje swój żłób. Ona wie, że jest blisko jej zaciszna stajnia i zasłużony odpoczynek tuż, tuż.

Bo teraz droga zakolem w lewo odejdzie od traktu na grunty Wojdat. Przesmyk lasu o sosnach starych, na skraju przez zgorzel tak powykręcanych jak spracowane ręce górnika fedrującego w wiecznie nawilgłej kopalni.

Za Wojdatem, za lasem na górcie Sorok Tatarzy z malutkim, a smukłym meczetem. Po skręceniu na południe widać park, gdzie drzewa bezlistne jeszcze, stoją w rozproszeniu jak żołnierze we wzorowej tyralierze broniąc rozłożystego dworku szlacheckiego.

Aleja wysadzona starodrzewem, dorodnie wyrosłym, tworzy jakby śluzę.

To już jesteśmy na miejscu, to mój dom – mówi stary.

Starszy pan nie jest już przygarbionym starym. Głos przywykły do rozkazywania informuje. Oto pole po prawej, jak grządka uprawione, to dzieło mojego syna „panicza Jasia”. Aby nie było podejrzeń, to Wy tu będziecie uchodzić za mojego parobka, aż do czasu nadejścia Oddziału.

Tak jest- posłusznie potwierdza młokos.

To uchodzenie to nie pozory, ale z miejsca należy zająć się koniem, którego nie tak łatwo wyprząć, gdy w życie nie widziało się hołobla i nie wie się, co to jest duha.

W nocy warta.

Kij i pies do dyspozycji. Psina życzliwa, nogi grzeje, rozumie wspólnotę interesów.

Oficer inspekcyjny- Pani Starsza- sprawdza czujność, instruuje jak nasłuchiwać, jak zagrożenie ustalić, kiedy meldować, co zabierać i dokąd uciekać.

Teren jest nawiedzany przez różnych: partyzantów, niby-partyzantów, bandy, przez pojedynczych bandziorów i rabusiów.

Czasem konia zabiorą, czasem zdychającego zostawią, zdrowego zabiorą. Tak wszystkie zabrali. Wymienili nam na tego, który ostatnio nam dzielnie pomaga- niepozorny to i się zachował. Odzież do szczytu wyrabowali. Jedzenie niby to zarekwirowali.

Od rana sianie owsa, a w nocy warta.

Rannym świtem „rota strzelców stanęła zielona”.

Pierwszy pluton, pierwsza drużyna – kadrowa, barwna, z bronią, jak malowana.

Komendant prosi.

Panie Komendancie! Gefrajter Kroll melduje się z prośbą...

Przydział do trzeciego plutonu, objąć 7 drużynę.

Pseudonim dali „Konieczny”.

Dowodzić drużyną, to zaszczyt, a po prawdzie to tak z mianowania, jeszcze nikt. Na froncie to tak się człowiek wzwyczał, że czy dowódca był czy go nie było, a przeważnie nie było, wszystko szło normalnie. Przy odwrocie bywało, że oficerowie prosili aby nimi dowodzić, aby ich bronić, ale to wtedy, kiedy „żic” dostali. A jak strachu nie ma to wtedy wielki pysk.

Wakat dowódcy siódmej drużyny został spowodowany prozaicznie, zapalenie płuc ustępującego drużynowego.

Siódma drużyna to nie kadrowa pierwsza.

Stan osobowy niepełny, 10 partyzantów prawdziwych, każdy inaczej ubrany, co drugi ma broń i tak 4 mauzery z tego dwa to „obrezanki”, jedna libella bez amunicji.

Drużynowy fasuje piękną raportówkę, latarkę bez baterii i jeden granat „sidolkę”.

Chłopcy – mam być waszym drużynowym, nazywam się Konieczny, pochodzę ze Śląska.

„Prosim”, „prosim” – niech pan drużynowy „wejdom” do izby to się „poznakomim”.

No i „poznajomili się” z Trąbką, Korą, Szpakiem, Kaczką, Lwem, Turem i innymi. Im młodszy tym groźniejszy pseudonim sobie obrał.

Po południu zbiórka i zmiana postoju.

Dowódca siódmej drużyny do Komendanta.

Rozkaz- poprowadzić ubezpieczenie czołowe.

Wiadomo sprawdzenie umiejętności dla nowo mianowanego drużynowego.

Tysiące razy stawało się na zbiórki i przypominają się te pierwsze, jeszcze w P.W.

W dwuszeregu za mną zbiórka!

W lewo zwrot!

Stój! Spocznij!

Kto zna drogę do Popisze i zaczęło się: Skorbuciany, Terniany, Popiszki, Rykonty i Zwierzyniec piaty, tak w kółko Macieju. W nocy przemarsze, w dzień patrole- różne, najczęściej żywnościowe. Służba na postoju, ubezpieczenie postoju, ubezpieczenie marszu, na okrągło.

Jedzenie co z łaski, a więc chleb razowy o tak przedziwnym zapachu, że dzisiaj już nie znajdziesz a smaku przewybornym, którego doznać można tylko wtedy, kiedy zrozumiesz słowa „ chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”- było go skąpo, a do tego mleko nie gotowane i w miarę jak dnia przybywało to możliwość dostania jaj się zwiększała.

W zależności od przydzielonej kwatery, zależał obiad, przeważnie na gwoździu gotowany.

Wioski przy puszczańskie biedne nie miały czym się dzielić a dawały od serca bo głodnego tylko głodny zrozumie.

Nadszedł maj, oziminy zazieleniły się a na gałęziach sokami pączki zaczęły pękać i skromniutko uchylały rąbki blado zielonych listeczków.

W wioskach, na drogach rozstajnych, przy krzyżach wioskowych, lud się zbiera pobożny i niesie się po lesie pieśń „maryjna” pieśń majowa.

W brygadzie ruch- 3 Maja. Msza polowa, zaprzysiężenie nowych partyzantów.

Skorbuciany – stolica Siódemki. W kaplicy ludu, nie pomieści się. Msza polowa jak przystało w czas wojny. Wszystko odświętnie umajono, tłocznie, zbrojnie.

Wyszedł Ksiądz Kapelan na wzniesienie do stóp ołtarza Chrystusa Ukrzyżowanego, a z nim ministranci zbrojni. Msza solenna, Wotywna, za pomyślność Ojczyzny, za wyzwolenie i za nasze zwycięstwo. Podniesienie i Rota Przysięgi z ucałowaniem monstrancji, a partyzanci korzą się u stóp Ukrzyżowanego, całują Jego stopy i pokornie proszą, aby dane było im znieść, by sprostać słowom przysięgi.

Po południu zabawy po kwaterach – skromnie jak, kto może, wszak okupacja. Ochoty nie zabrakło. Jak Trąbka zaczął wywijać hołubce to mało chaty nie rozwalił. Chata niska,

okienka maleńkie a przy okienku rozsiadł się partyzant Szpak z cymbałami. Teraz można zrozumieć ten jego pseudonim. On to pałeczkami miga, to wibruje, to skacze po strunach, że wzrokiem nie złowisz.

Całą izbę dźwięki wypełniły, a melodia goni. Trąbka kręci się w kółko, przysiada, podryguje, skacze, a podkówki drzazgi sieczą z podłogi.

To te pałeczki każą zrzucić kozuchy tańczącym, a nie „tancorów” wyganiają na dwór. Te pałeczki przypominają służbowym o służbie.

Poszedł drużynowy – służbowy, na szeroki piaszczysty trakt dzielący Skorbuciany.

Na południe Puszcza Rudnicka z przetrzebionym drzewostanem sięga po „wioszczyne” opłotki, Tam gdzie na piaszczystym wzniesieniu „tutejsi” grzebią swoich najbliższych.

Partyzantów jako zasłużonych grzebią przy kaplicy, gdzie na cmentarzu znajdują wieczny odpoczynek, a miejsca jest dużo.

Przy tej drodze, u zachodniego końca wioski, za cmentarzem i już w lesie – trzeba sprawdzić ubezpieczenie.

To stanowisko ma złą sławę. Cmentarz blisko, pełno duchów, a i z puszczy nadejść może groźniejsze niebezpieczeństwo, od ludzi żywych, złych bandziorów udających partyzantów. Tu w niedalekiej przeszłości krew bratnia się polała.

Teraz na powrót, na wschodni kraniec, gdzie młyn stoi, przy stawidłach, szeroko rozlanego stawu, łyskającego srebrną poświatą w ciepłą noc majową.

Koło młyna jest kładka, dla wąziutkiej ścieżki, prowadzącej na skrót do Ternian i Sorok Tatr.

Tu rozsiadła się nasza czata.

Z daleka widać żarzące się ogniki palonych papierosów. To młodość, brak doświadczenia, a szczególnie wyobraźni – monotonia czuwania nuży, ale służba.

Trzeba groźnie, służbowo z wojskowym drylem. Natychmiast zmiana warty, „pucowa” od ręki, aby już, aby nie na potem.

No jeszcze przeprowadzenie pozostałych zmian i na tą noc 3-go maja 1944 roku starczy służby dla 7 drużyny III plutony 7. Brygady.

Przestaje działać hasło „Wilno” i odzew „Wojsko”.

„Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie”, plutony rozciągnięto jak zerwany różaniec. Maszerują na nowe miejsce postoju.

Ubezpieczenie jak te trzy paciorki, a zaraz tuż, tuż dowódca pierwszego plutonu „Poraj” i paciorki jego drużyn. Pierwsza i druga kadrowa, jednolita barwa ubrań, dalej trzecia pstrokata i przerwa.

Dalej idzie „Wicher” – długi, co prowadzi pluton drugi. Jego trzy drużyny, chłopaki fasonowe, wiadomo miastowi, wyszkoleni. Znów przerwa. Dalej prowadzi pluton „Szczęsny” – „Kot w butach” i 7 drużyna „Koniecznego” – „Karlikiem” przezywanego, to dziedzice tej ziemi „tutejsi”. Dalej 8-ma drużyna „Marchoła” i formująca się reszta, jeszcze w karby nie wzięta, a przy tym tabory, żandarmeria i sztab ze swoimi służbami.

Komendant „Wilhelm” na kasztance to, co wysforuje na czoło, to galopem toczy, aż na sam koniec, daleko poza kolumnę.

„Przez pola i łąki rozciąga się sznur” – paciorków, niby jednakowi, a każdy inny, niepowtarzalny, a przed każdym los zakryty.

Komendant na kasztance pogalopuje na czoło i stoi na wzgórku. Mars na twarzy, oczy groźne, wąs obwisły, rudy sumiasty z „waszecia”.

Strój myśliwski, lornetka, pistolet na pasie i mapnik na długich rapciach, pałeta się przy strzemieniu lewej nogi. Na głowie rogatywka polowa, oryginalna z orłem wojskowym – marzenie wielu.

Sznur maszerujących się spręża, wzrok podwładnych patrzy w oczy swojego wodza.

Wódz przegląda i liczy siłę bojową, zdaje się pytać, co też można z tym żołnierzem zrobić. Ile i jakich bitew stoczyć. Chmurzy się oblicze, może to świadomość odpowiedzialności za los każdego z tych podkomendnych, w większości dzieci.

Rusza galopem jak pies owczarski oganiać kierdel baranów, prowadzonych z wioski do wioski, zjadający chłopskie resztki w czasie głodnego przednówka.

Toczą się paciorki od swojego przeznaczenia do krzyża. Bo los zakryty przyszłości nieskapiący im goryczy złożenia broni, poniewierki, łagrów, Kaługi, Workuty, Magadanu...na nieludzkiej ziemi.

Po powrocie, dla tych, co przeżyli swoi spod znaku UB dopełniali ten kielich goryczy. Który ich poniży a serdeczny ból poniesie aż dowłoką się na Golgotę swojego życia, za to że chcieli dochować wierności żołnierskiej przysięgi, wierności mundurowi.

Ale ich czeka jeszcze gorszy los, bo za to, że tam walczyli, że trwali, że nie tylko objadali ten lud, ale go przede wszystkim bronili – zostali skazani przez wielkich tego świata na zapomnienie.

Dzień powszedni w 7. Brygadzie

Pod flagą z czerwonym krzyżem, podwoda wysoko wymoszczona sianem leży na niej ranny partyzant „Ptak”, tężcem zarażony.

Tężeją mięśnie, grymas bólu twarz mu napina i ciało pręży się po całej długości wozu, a tu krzyczeć nie wolno. Pot rosi umęczone czoło. Ratunku dla niego nie ma. W Skorbucianach przy kaplicy miejsc jest dosyć.

Siostra miłosierdzia, jak matka, rodzonego syna, na kolanach trzyma głowę i pracowicie ociera pot śmiertelny.

Na kwaterach nie słycać donośnym głosem komend wydawanych. Na kwaterach się gwarzy.

Aby prowadzić zajęcia, należy robić to sposobem.

Na przykład musztra:

Najlepiej od niechcienia „na ramię broń” chwytem rezerwy z młyńcem.

Potem pokazać jak to robią Francuzi, a jak Rusczy. A tak obowiązuje w naszej armii na 4 tempa, z małą przerwą pomiędzy tempem 3 a 4.

Pan drużynowy odzywają się – „pozwolą poprobujem”.

Próbuje „Trąbka”, „Szpak”, „Kora”, „Lew” i inny. Albo zajęcia ze znajomości broni. Dobrze jest rozebrać RKM, najlepiej zdobyczny a później udać, że nie ma części za dużo a wtedy chętni do poprawienia się znajdują i już można aż do znudzenia, – bo partyzant w dobrej broni smakuje jak wytrawny smakosz.

Na kwaterach czas się wlecze to go się skraca i bajdurzy o tym, co było, co by być mogło, a najwięcej i najchętniej, co będzie, szczególnie po wojnie, w tej przez nich wywalczonej. Wolnej, sprawiedliwej Polsce.

Wspomina się jak pierwsza grupa jeszcze w kilku chłopów chodziła, kto pierwszymi dowodził, kiedy „Wilhelm” nastał, jak pierwszą broń zdobywano.

Tyłu przygód inni doznali. A my nic, chodzimy w kółko Skorbuciany, Ternary itp.

W międzyczasie 9 drużyna dostała nowego drużynowego. Został nim plutonowy, podchorąży „Strzała”.

Nasza siódma ma pełny stan osobowy. Dokoptowano nam „Wilka” z pełnym uzbrojeniem i umundurowaniem.

Alarm!!! Wymarsz – postój w puszczy. Przygotowania do wielkiej akcji.

Potyczka pod Sorok Tatarami

Okres przejścia do konspiracji 7. Brygady nie mając gdzie się udać spędziłem w majątku Skorbuciany. 9 lipca przybył kpt. Jerzy Bronikowski „Czarny Jan”. Skontaktował się z Lilką Dobrzycką i wysłał ją w teren z rozkazem mobilizacyjnym. Zgłosiłem się do Sorok Tatar razem z drużynowym Ernestem Brylem „Strzałą”. Przybył również por. „Poraj” z dwoma samochodami załadowanymi karabinami. Nastąpiła wymiana lub fasowanie broni przez przybywających żołnierzy. Zaczęto formować Brygadę już według nowego układu organizacyjnego, w miarę przybywania ochotników.

Po skompletowaniu Drużyny otrzymałem od kpt. „Czarnego Jana” następujące zadanie:

Za Sorok Tatarami w łaźni nad strugą ukrywają się niemieccy żołnierze. Dwom drużynami, moją i „Strzałą”, okrążyć, wezwać do poddania się, rozbroić lub zniszczyć. Inspektor „Czarny Jan” doprowadza nas do pozycji wyjściowej i w asyście dwu nieznanym mnie osób, pozostaje, lornetkując przedpole.

Pierwsza drużyna „Strzałą” skrycie za garbem zajmuje stanowiska, odcinając Niemcom drogę do lasu. Koncert zaczyna druga drużyna, moja, krótka seria z erkaemu i pauza. Wezwanie Niemców do poddania, a ci wieją, w przeciwnym przez nas kierunku na „Strzałę”. Wzywam Niemców do zatrzymania się, nie skutkuje. Biorę na cel, plecy ostatniego z uciekających, pada strzał, Niemiec wali się na ziemię, pada. Ostatni z uciekających, klęcząc podnosi ręce. Zdziwiony, że jestem takim kiepskim strzelcem, celowałem w plecy, a poległy ma rozwaloną głowę, odwracam poległego i stwierdzam, że ten upadając na trzymane „parabellum”, sam sobie głowę rozwalił. „Parabellum” wsadziłem pod swoją bluzę za pasek. Jeńcowi zabrałem lornetkę, karabin maszynowy i resztę dobytku, co pozostawili w łaźni wypłoszeni serią z RKM-u. „Strzałą” gdy pozostała część Niemców osiągnęła wzgórze podniósł swoich wojaków, stopując uciekających. Dwóch oficerów strzeliło sobie w głowy, z tym że jeden się zabił, a drugi tylko ranił. Ranny i jego towarzysz poddali się do niewoli.

Jeńców, lornetkę i pistolety przekazaliśmy Inspektorowi z tym, że „parabellum” zatrzymałem. Pan Inspektor szybko ustalił brak jednego pistoletu, uwierzył w bajkę, że widocznie uciekający Niemcy musieli pistolet zgubić. „Parabellum” zamieniłem z Władkiem na buty, które mi były bardziej potrzebne niż napływającym funkcyjnym pistolet.

Strat własnych nie było. Straty nieprzyjaciela: poległ oficer i jeden podoficer. Wzięto do niewoli jednego oficera i dwu podoficerów. Zdobyto jeden RKM z amunicją i lufami zapasowymi, 6 teczek z mundurami, 1 lornetka i 4 pistolety.

Potyczka pod Chazbiejewiczami

Brygada dnia 7 lipca 1944 roku zwinęła obóz w Skorbucianach i maszerowała na północ w kierunku Wojdat gdzie zmieniła kierunek na północno-zachodni.

O zmroku przemieszczając się wzdłuż lewego brzegu rzeki Waki, zaległa w zasadzce. Cel zasadzki nie był mnie znany. Z rozkazu Komendanta Brygady dowodziłem 7 drużyną. Karabinowy „Kaczka” obsługiwał w miejsce uprzednio posiadanego LKM-u obecnie RKM typu „diektiariew”, wymontowany z czołgu.

Ta zmiana KM-u i brak możliwości przeszkolenia kosztowała życie „Kaczki”. Wieczorem został zatrzymany przez 8 drużynę samochód osobowy. Padło kilka strzałów, słychać było krzyki. Przed moim stanowiskiem na poboczu wąwozu wspinał się uciekający Niemiec. Krzyknąłem mu w same ucho, zeszywniał i łapy podniósł, rozbroiłem go. Między innymi miał dwa granaty, które bardzo przydały się w dniu następnym. Wzięty do niewoli Niemiec był kierowca zatrzymanego samochodu, a pasażer, oficer niemiecki, korzystając z ciemności zdołał uciec.

Prawdopodobnie ten fakt spowodował ranną ekspedycje Niemców przygotowanych na naszą obecność, gdzie czynni zaskoczenia nie mógł zadziałać.

Czerwcowe noce są bardzo krótkie. W mojej pamięci 7 na 8 lipca 1944 roku zachowała się jako bardzo długa. Drzemaliśmy na rosą pokrytych młodych pędach grochu. Większość po dwóch, tak jak ja ze „Strzałą”, grzaliśmy się wzajemnie ciepłem własnych ciał. Przy RKM- ie czuwał „Kaczka” a od kierunku rzeki w połowie długości wąwozu pozostawał samotnie „Szpak”. Na szosie panowała cisza tylko do Chazbiejewicz narastał lekki pomruk pracy silników samochodowych.

Wczesnym rankiem warkot samochodów zaczął się zbliżać do naszych stanowisk.

Wysokim tonem słychać samotny strzał czujki i już pierwszy samochód ciężarowy rozładowuje się. Wrzask niemieckich komend i natychmiastowy ogień z broni maszynowej, przygniata nas do ziemi. Pierwsza poderwała się do szturm 8. Drużyna, wzywając Niemców

do poddania się. Niemcy odpowiedzieli skoncentrowanym ogniem. Zostaje ciężko ranny „Marchoń” i zostaje ranny „Lipa”.

Nasza 7 drużyna pod ostrzałem z przeciwległego stoku podciąga czołgając się do krawędzi wąwozu. „Kaczka” podnosi się i pada. Wołam sanitariusza. Łapię karabin maszynowy – zacięty. Zabezpieczenie nie odbezpieczone, a rączka zamku silnie szarpnięta blokuje zamek. Podczołguje się „Strzała”, rzuca granat. Wykorzystuję przewagę ogniową, usuwam zacięcie RKM’u. Sanitariusz guzdrze się przy rannym. Pomagam ściągnąć „Kaczkę” z przedpiersia, wtykam nożyczki w ręce sanitariusza, każę ciąć bluzę. Na plecach „Kaczki” trzy postrzeliny pulsują krwią płucną.

Niemcy nasilają ogień – tracę orientację, szukam granatów. Jest por. „Benek”, podaje mi granat i komenda – „przygotować się do szturm”, uspakaja nerwy i strach znika, już nie sam decyduję, jest ktoś kto czuwa nad całością. „Strzała”, „sidolkę” ja „tłuczkiem”, rzucam w samochód. Razem z detonacją granatów z RKM-em w ręku na łeb na szyję z góry do wąwozu. Stawiam nóżki RKM-u na masce samochodu, widzę na przeciwległym wzniesieniu przy LKM-ie trzech Niemców. Strzelam, RKM równym odrzutem uspokaja obsługę LKM-u.

Na szosie zaroilo się od naszych. „Strzała” jako kierowca zostaje i uruchomiwszy samochód odjeżdża nim. Dowódca plutonu por. „Benek” prawdopodobnie zajął się drużyną.

Dwa następne samochody ciężarowe z Niemcami zatrzymały się przed wąwozem. W dolinie rzeki Waki ustawili moździerze, z tego kierunku słuchać charakterystyczne stękanie, a za chwilę detonuje pierwsza mina, wstrzeliwujących się moździerzystów. Zastępuje „Strzałę” i wyprowadzam obie drużyny spod ostrzału moździerzy. Pojedynczymi skokami podciągam żołnierzy nad skarpę doliny rzeki Waki. Szykuję drużyny do skoncentrowanego ostrzału widocznego mostu.

Na koniu, galopem przyjeżdża sanitariuszka „Teo” i krzykiem przekazuje rozkaz Komendanta „Wilhelma” o wycofaniu się z walki. Niemieckie moździerze wiązką szybkich – pierwszy detonuje, następnych 5 w powietrzu – kierują się na „Teo”. Koń się spłoszył i wlecze dzielną sanitariuszkę po łanie zboża, a ta prosi konia – stój i to niby bydlę zatrzymało się.

Od tej chwili, za odwagę wyniesienia z boju i spod masowego ognia „Marchoń”, „kaczki”, „Blondyna: i za odwagę gońca niosącego rozkaz w nawale ognia moździerzowego, inaczej widziałem siostrę „Teo”, przestałem jej dokuczać.

Wycofaliśmy się i w miejscu wyznaczonym przez Komendanta, oddaliśmy ostatnią salwę ze wszystkich rur. Wymusiliśmy szacunek niemieckiej tyralierki, która wyładowała się z trzeciego samochodu, dalekim łukiem obeszła wąwóz, a teraz od zachodu nam zagrażała. Po

naszej salwie Niemcy zalegli, a my oderwawszy się od nieprzyjaciela i przed Wojdatami połączyliśmy się z resztą Brygady, z którą wróciliśmy do Skorbucian.

WAKCKA GÓRA

Gawęda o dwóch „śląskich gefrajtrach”

Parno, duszno, pot klei do ciała bluzę, płucom brakuje powietrza. Noc wypoczynku dać nie może, bo co oczy zamkniesz, to słyszysz przewalający się grzmot. Wsłuchasz się, a on zamilknie, już przysypiasz, i znowu go słyszysz, ale teraz bliżej. Po jakimś czasie już wyraźniej, ale znacznie wyraźniejsze huk. Teraz można stwierdzić, że to strzelają salwy dział ciężkiego kalibru, [szurkot] granatników i jazgot serii km – ów, a to wszystko głuży oktawa tonów organów Stalina – katuszy. Front się zbliża. Co dzień przyniesie: wyzwolenie czy zmianę okupanta?

Po pobudce partyzanci w grupach radzą i radzą o okropnościach hitlerowskich mordów, o Ponarach, ale też o deportacjach, o wyborach, o tym, jak Litwę zniewolono, itd. Wszyscy liczą na sojuszników, co nam gwarancji udzielali i od stalinowskich apetytów nas obronią. [Gadamy, gadamy, a służba pełni mus]. Rozprowadzający warty zmieniają, na posterunkach czujność zwiększona. Ze sztabu jakoś bardzo często odchodzą oficerowie do ubezpieczeń i meldunki przyjmują. Widać, że tam czekają na wiadomości, bo i łączniczki wychodzą w różne kierunki. Dawniej z m.p. nikogo się nie wypuszczało. Wyszedł patrol z pierwszego plutonu, wyszedł i z drugiego, tylko trzeci pluton zwyczajowo w Skorbucianach służbę trzyma.

W cieniu drzew, w parku przy dworku p. Leszczyńskich cienia zażywają kierowcy nowo formowanego plutonu samochodowego. To ci, co z Wilna uciekli na swoich samochodach na gaz drzewny pędzonych. Tu, przy puszczy Rudnickiej, schronienia szukają. Po co dowództwu te samochody w partyzantce? Może już partyzantki nie będzie? Zastanawia się niejeden, co to

wzwyczał się. Niedawno w czasie ubezpieczania jednej z akcji, ubezpieczenie tylne z Karlikiem niemiecki samochód z dwoma Niemcami zdobyli. Pluton samochodowy ten

samochód wytoczył z lasu. Jakiś niemiecki, opancerzony, na gąsienicach sprowadzili. Jeżdżą tym i udają czołgi, drogi rozjeżdżają, a na poboczach to , to zboża niszczy – chyba zdurnowacili do reszty. Dawniej na postoju był porządek, nikt nie hałasował, partyzant maskował swoją obecność w wiosce, a teraz ruch jak w Wilnie w dzień targowy.

Zaraz po obiedzie zbiórki w pododdziałach i długo odwlekany, późnym popołudniem wymarsz w kierunku ogólnym na Wzgórza Ponarskie. Kolumna marszowa rozciągnięta jak gigantyczny sznur. Wicher ze swoim drugim plutonem prowadzi ubezpieczenie czołowe. Trzeci pluton w środku, koło sztabu. W nachodzie pierwszy pluton Paroja. Konny zwiad przeszkadza, ile może, raz na czele, to znowu na bokach albo i z tyłu, po co i na co, kto ich wie. Maszeruje cały pieszy rzut. Wicher ze swoimi minął Skierdziany i zażywa cienia leśnego, a my, tzn. trzeci pluton, ledwo majątek Leszczyńskich mijamy. Mijamy i my Skierdziny i widzimy po prawej stronie na wzgórzu Sorok Tatarzy, gdzie na minarecie zachodzące słońce łyska – odbija od półksiężyca promieniami. Szumem wita nas las, a przed nami Wojdaty. Oglądam się za siebie i poznaję te na skraju rosnące sosny, pojedyncze sosny, pokręcone przez zgorzel. Tak niedawno dostojnie mnie witały wiezionego do partyzantki. Mam nadzieję, że przyjaźnie szumią, bo na pewno i one mnie poznały, przecież czułbym pożegnanie, jeszcze tu wrócę – na pewno. Karabinowy – Kaczka zwalnia krok, zrównałem się z nim, a Kaczka mówi: „jeżeli tu się zatrzymamy, to proszę do domu. Tam bliżej rzeki nasz dom, ale czoło, nie dochodząc Wojdat, skręca na zachód, zostawiając Wojdaty po prawej stronie. Kaczka chce do domu. A co ma zrobić Karlik – musi służby pilnować, chce się zasłużyć. Karabinowy Kaczka przepustki nie otrzymał. Co tu robić? Brygada w marszu i nie wiadomo, dokąd idzie – ta trasa niezwykajna, a czas nie po temu.

Dzień ma się ku skłonowi, cienie się wydłużają, gdy rzut pierwszy Brygady zajmuje pozycje nad szosą Wilno – Grodno, zabezpieczony od północy rzeką Waką. W miejscu, gdzie droga wchodzi w gardziel wąwozu. Miejsce to miejscowi nazywają Wacką Górą. Góra ta to zaledwie 161m npm, stanowi część płaskowyżu przeciętego rzeką z kierunku południowo – zachodniego na kierunek północno – wschodni. Od południa opada łagodnie, wystawiając złocące się już zboża, pole na działanie słońca. Od północy gwałtownym urwiskiem kończy się płaskowyż, a zaczynają łąki pradoliny Waki, która łagodnymi zakolami wije się wśród rozległych łąk o soczystej zieleni odrastających traw, gdzie bardzo rzadko podnosi główkę kwiatuszek, którego kosa pożałowała.

Tam pod wieczór, dnia 7 lipca 1944 roku trzeci pluton 7 Brygady AK stanął postojem. Składał się z trzech drużyn: 7 z drużynowym Koniecznym – Karlikiem, 8 drużynowego Marchołta i 9 Strzały. Przy plutonie znajduje się nowy, który ma zastąpić dotychczasowego

dowódcę plutonu Szczęsnego. Szczęsny przeszedł do nowo formowanego oddziału, zabierając chłopców z Landwarowa i eks – drużynowego 8 drużyny Andego. Nowego dowódcy plutonu jeszcze partyzantom w rozkazie nie podano. Gdzieś po bokach przywarowały pozostałe plutony. Nad całością piecze sprawuje K – t Brygady wąsaty Wilhelm.

Pluton trzeci został rozlokowany wzdłuż wąwozu od strony jego wlotu (od południa). Marchońt ze swoją ósmą drużyną zajął zachodni brzeg wąwozu, w miejscu, gdzie jest on najszerszy, a pobocze wzniesione w stosunku do osi wąwozu, daje z jednej strony podstawę ostrzału ujścia szosy z kierunku Traki Stare, zaś z drugiej strony pozwala na dogodny wgląd na znaczną długość wąwozu. Tam też stanął postojem komendant Wilhelm. Drużyna siódma i dziewiąta zajęły przeciwległy brzeg wąwozu.

Zmierzch przechodzi w mrok nocy letniej i ledwo widać cienie przejeżdżających konnych, to konny zwiad ubezpiecza miejsce postoju. Wilczym szlakiem robią kolejną rundę. Strudzeni partyzanci przysypiają przytuleni do ziemi pełnej kojącego chłodu. Błogi sen dający odpocznienie po wczorajszej nocy, pełnej armatnich basowań i jazgotu zbliżającego się frontu. Teraz jest cisza.

Opancerzona lokomotywa pociągu kompani zaporowej 391 dywizji dowodzonej przez generała von Montetona stoi przy zwrotnicy. Stoi i sapie i dyszy, świszczy i piszczy i sapie jakby ją diabli brali, piekłem palenisk pali, dymem wali, a swojego składu ruszyć nie jest w stanie. Głównym torem pełnie stalowy potwór, niby gad, co głowy na zachodzie nie widać i ogona na wschodzie nie dojrzysz. Ten potworny wąż wagonów, lokomotyw wszelkiego rodzaju wielkości, różnych przeznaczeń, zgrzyta, stuka, puka, klekocze i trzaska bez końca i wytchnienia, toczy się po szynach na zachód, do swojego zmijowiska. Tak to niepokonalna armia Hitlera ucieka do piekła.

Na platformie jednego z wagonów kompani zaporowej, za workami z piaskiem Kalus wymościł sobie stanowisko dla swojego NG 38. Korzystając z przerwy w niszczeniu ludzkiego dobytku czyści swój karabin maszynowy, którego jest pierwszym strzelcem. Czyni to ze sprawnością nabytą przez ciągłe powtarzanie czynności. Wbrew regulaminom scyzorykiem zdziera nagar z tłumika płomieni, lekko oliwi gwint i wkręca na koniec płaszczą chłodzenia. Teraz bierze zapasową lufę, karmi ją paciorkami wycioru. Teraz komorę nabożową oparł na bawełniany knot, należy go od strony wewnętrznej poczęstować wazeliną. Z góry w dół uformować knot, wycior lekko napiąć i sprawnie przeciągnąć przez lufę i jeszcze raz na pół – sucho. Tylko tyle tłuszczu na palach i bruzdach lufy, jakbyś chuchnął na zimną szybę. Wyczyszczoną lufę wkłada do km w miejsce uprzednio wyciągniętej, a czyni to

tak jakby w ogniu zmieniał lufę – dwa ruchy i trachnięcie z tyłu w przód, nowa w płaszczu chłodzenia stuka w dno tłumika, jeden ruch korpusem, półobrotu i drugi ruch – gotowe. Teraz zapasową lufę, tą wyjętą tak samo. Tak po kolei zamek ze sprawdzeniem i pazurem wyciąga zapasowy zamek no i dodatkową iglicę, wszystko systematycznie i porządnie. „Ordnung muss sein”. Ustawia MG na nóżkach, przymierza się wciśnięty do kolby – czuje opór nóżek, omiata teren. Zdejmuje MG, zmienia położenie nóżek z przedniego na środkowe, jeszcze raz wciska się w strzelnicę, sprawdza pole ostrzału, odchodzi, patrzy na przewalający się pociąg – nagle podchodzi gwałtownie do swojego MG i szybko, jakby się spieszył przenosi nóżki MG na poprzednie położenie – czyli to przednie, zaraz za tłumikiem płomieni. Ręką pogłaskał swój MG delikatnie jak dziewczynę, on kocha swoją fujarkę MG 38.

Na platformę gramoli się Wagner – chłopcy, zaraz ruszamy, co było do wysadzenia, wysadziliśmy, choć nie wszystko, bo trotylu brakło, pozostaje resztę palić – może macie co zapalić, cygarety się skończyły, a zapalki zawsze mam – śmieje się durnowato. Parno, gorąco i nareszcie koło jedenastej, w największej spiekocie pociąg zaporowy mija zwrotnicę i rusza w kierunku Nowej Wilejki.

W wagonie osobowym drzemie obl. Bull, siada, przeciąga się i mówi do swojego Hpt. fw. Co to za czasy, aby taki odcinek z Mickun do Nowej Wilejki czołgać się, a nie jechać i to siedem godzin. To nie to, co w Rosji. Tutaj, gdzie się ruszy, wszędzie fronty jak nie wojsko, to partyzantka, spod każdego krzaka strzelają. Stoimy od drugiej, a dochodzi piąta. Melduję służbiście Feldw. Mechling. Stoimy, bo cały szlak kolejowy zakorkowany. Ewakuująca się Rajchs – bachna. Gdzie my właściwie jesteśmy, pyta obl. Bull? Melduję uprzejmie, Panie dowódcu kompanii, że około jednego kilometra od Wilna – mówi szef kompanii.

Gefr. Kalus czuwa, stara się zasłużyć – może do krzyża II – giej klasy zasłuży na S.K I, mówi do swojego drugiego strzelca, odpowiada Stgefr. Boliński – dostaniesz, ale żelazem w krzyż, a nie krzyż. Już piąty rok w tym gównie siedzę i co mi dali: Stgefrajtra, żebym nigdy nie dowodził, nawet drużyną, te wszystkie, za mróz, za rany i wszy wiedzą, mogę tu tylko zdychać jako mięso armatnie.

Kalus przyciska zasłonę Bolińskiego, daje znak – coś się rusza, coś pełźnie. Kalus wciska się w swój MG i za chwilę MG ożył, cały pulsuje, równym ściegiem omiata przedpole. Na wagonach alarm bojowy. Zapełniły się wnęki strzeleckie i okopy przezornie wykopane wzdłuż torów, grzmi pojedynczy wybuch granatu, tu huknie strzał z KB – eku. To górnym tonem pr.r.r.r.r. zaterkocze seria z MP. Tam na przedzie słyhać serię z MG – 42 o głosie tak gęstej serii, jakbyś płótno darł. To partyzanci w swoim marszu na Wilno weszli w zwarcie w pojedynkę z pociągiem kompanii zaporowej. Przeszli, ale drogo zapłacili za to zwycięstwo.

Niemcy nie mieli kłopotu z policzeniem swoich strat. Stgefr. Bilinsky, stary frontowy wyga już się wszystkiego dowiedział i mówi swojemu krajanowi Kalusowi: no dałeś im wpierdoliliśmy, teraz to na pewno się zasłużyłeś na urlopie z Gerdą, poparadujesz z SK I, na pewno ci go dadzą. Ja pierwszy oblt. Bullowi zameldowałem, że to gofr. Kalus pierwszy otworzył ogień. Mówił, że masz pewny awans na obgfrejtera, bo ci się dawniej należał, a jak wnioski na odznaczenia będzie wystawiał, to o nas nie zapomni. Odpowiedziałem mu, że ja jak zawsze gównu dostanę, ale do domu chętnie pojedę, bo mi już trzecia kolejka przepadła. Kazał mi spieprzać, bo Feld fw. Mehlinga, tego dekownika przyproceedził sanitariusz. Drasnęło go, a wrzeszczał jakby mu nogi urwano. Do lazaretu iść nie chce, woli tu przy Kompanii się dekować i waźniaka grać. Jeden samochód oberwał, tego Obge fr. Rustera, a ten od niego na krok się nie cofnie, tak pilnuje swoich zdobyczy, mówią, że żarcia tam na całą kompanię powpychał, a niektórzy szeptem, że on tam ma złoto. Mnie się widzi, że takie głupie plotki. Sam widziałem, jak on się modlił do obrazka swojej żony. Obgefrejter jest głupi, on myśli, że tą jego Emi ktoś ukradnie. Ranni zostali, i to bardzo, i to kto, ten obgfr. Albrecht, co to mu zaliczyli dwadzieścia trzy szturmy, a ani raz nie został nawet lekko raniony. Teraz poważnie oberwał i czy go w szpitalu połatają, to Bóg wie i Hitler. Dostał za swoje ten Kreissen, no i [Klemke] też oberwał. Na pewno i inni się znajdują, muszę z sanitariuszem pogadać. Jak wyjdzie z punktu opatrunkowego, to powie, co się tu działo; oni tam w tym ruckwartigen Kriegslazarecie najlepiej wiedzą. Wiesz ty Kalus, skąd oni to wiedzą, na pewno nie wiesz, bo tyś jest za krótko na froncie, z zapasowego przyszedłeś, ale ja tu od początku – to wszystko wiem.

Kawę tego dnia, to jest siódmego lipca 1944 roku późno wydano, a zaraz po śniadaniu ruszył pociąg, wlokąc się tak do dwunastej w południe, osiągając stację kolejową Landwerów. Na rampie Kompania rozładowała swoje samochody, zostawiając szefa Kompanii, obsługę pociągu i środki techniczne. Sprawnie załadowano się na samochody i pojechali. Kolumną dowodził oblt. Bull. Jazda była bezpieczna bez przygód i za pół godziny a może i dłużej rozładowała się Kompania w folwarku Waka. Tu mają odpoczywać. Pogoda piękna, słońce, woda. Kuchnia już dymi, to znak, że obiad zaraz będzie, jeszcze kąpiel, potem obiad i spać, spać tak na ziemi, w cieniu folwarcznych zabudowań pod budami ciężarówek, jak kto może i jak chce – raj na ziemi.

Brutalny huk pękającego granatu, wrzaski, pojedyncze strzały, coś się dzieje w dole, u podnóża, w wąwozie. Na tle nieba widać wysuwającą się sylwetkę Niemca. Wyłazi z wąwozu na wprost drużynowego siódmej drużyny. Został sprawnie rozbrojony, a że deklarował się Czechem, na razie wzięty do niewoli. Dobrze był wyposażony, aparat fotograficzny, pistolet –

oficerska zabawka – kaliber 6 mm i tak nam potrzebne dwa granaty na trzonek. Granatem częstuje Karlik Strzałę, a czyni to tak, jakby to robili chłopcy częstujący się jabłkami. Cisza wraca nad wąwóz tak gwałtownie zakłócona przez niemiecki samochód osobowy, którego kierowca – Czech dostał się do niewoli, a oficer korzystając z ciemności panującej na dnie wąwozu, zdołał uciec, pozostawiając swój samochód jako zdobycz wojenną ósmej drużyny Marchołta.

Gofr. Kalus i Bolinsky zajęli w pustej stodole lewy sąsiek, gdzie stary wyga Bolinsky zorganizował kopkę siana i przykrył to wszystko paltem, na którym wypoczywają. Na obejściu kłóci się o kolejkę warty Wagner. Skłóconych uspokaja Uffz. Biehl, ale Lisek Wagner nawiązuje do wspólnej kąpieli, przymila się i mówi: „Herr Uffz. po tej gorącej łaźni pod Wilnem, należała nam się tak ochładzająca kąpiel”. Odpowiada Uffz. przecież wy k...jak ta salamandra lubicie się smażyć w gorącu pożarów – zapalki to wasz atrybut. Wagner nasz „Unser Furer rozkazał, żeby za nami pozostało tylko niebo i ziemia spalona”. Ja zapalki mam, ale Herr Uffz. lepiej wie, że najlepiej palić ... mit eine leit gugiel – to przytyk do niechlebnego czynu Herr Uffz. W ten sposób Lisek wymigał się od warty, a Uffz. Poszedł wyznaczyć głupszego od Wagnera.

Ledwo Gefr. Bauer przejął służbę, a tu od drogi, prosto na ukos, przez majdan wali zadyszany oficer, na „halt” podnosi taki krzyk, że zaraz wraca Uffz. Biehl. Teraz Uffz zostaje usztywniony na baczność, a wrzask nie ustaje. Za chwilę szyfrant klucz włącza w radiostację i wspólnie z radiotelegrafistą wywołują mjr. Sontaga. Szyfrem gadali, ale nieszczęście przyszło z nienacka i o godzinie drugiej w nocy nastąpił alarm dla całej Kompanii. Już mrok zaczął rzednąć, gdy trzeci pluton pod dowództwem Ofw. Gilberta załadował się na ciężarówkę „Hensehla” i pojechał walczyć z trzecim plutonem 7 Brygady Wilhelma. Kompanię postawił w stan alarmu oficer, który uciekł spod luf ósmej drużyny. A teraz mu się marzyło, że odzyska w popłochu pozostawiony samochód, w którym zostawił tajne dokumenty.

Ranna rosa pokryła śpiące obozowisko, matka ziemia chłodem i wilgocią budzi pokotem leżących, a tulących się do siebie partyzantów, szukając jeden u drugiego ciepła własnych ciał. Drzemie drużynowy Karlik, głowę wsadziwszy pod pachę drużynowego pchr. Strzały. Karabinowy Kaczka lufę „dziegcierowa” wysunął jak żądło w stronę wąwozu i pochrapuje. On najwięcej utrudzony, sam nosi karabin maszynowy. Pomocy nie lubi. Długo zasnąć nie mógł, ciągle zagadywał, że tu zaraz jego pole. Nie dziwota, że przysypia, pochrapując. Drużynowy podnosi się i sprawdza i liczy swoich. Kaczka jest, trąbka z Orzełkiem i Konusem przytuleni śpią skuleni jak paralitycy, Topola statecznie siedzi z karabinem na kolanach – wygląda jak Budda, Kora z Ursusem z dziewiątej drużyny razem koledzy. Lew

samotnie. Jest Mieczyk od Strzały, małolatek, co ma prześliczną siostrę. W dziurze siedzi por. Benek, a z nim plut. Sanitariusz – „Lotnik”. Na posterunku za grabiną stoją Szpak z siódmej drużyny, a po przeciwnej stronie wąwozu siedzi na posterunku ktoś z ósmej drużyny. Bliżej świtu, jeszcze głęboki zmrok, przed pobudką Karlik woła w stronę ubezpieczenia do stanowiska KM i mówi: „Kaczka, teraz nie śpij, świt na wojnie to paskudna pora, a wy Mieczyk do Szpaka niech z Gracjanem wzmocnią obserwację. Dodaje jeszcze raz że świt to paskudna pora – przeważnie na świtanie ludzi rozstrzeliwują. Mnie się zdaje, że na mus trzeba obserwować od Grodna – samochód stamtąd podjechał, co go marchołtowi zakosili nam spod nosa – mądrzy się Trąbka. No to dobrze, będziesz obserwował od Grodna. Trąbka, reszta może dalej spać. Znowu cisza zapanowała, tylko świat pojaśniał seledynem, a na polu, gdzie rośnie polny proch, rosa srebrzy się miliardami kropeczek, którem narastający świt dodaje blasku pereł, jeszcze matowe, później z połyskiem, a czasami strzelają igłami blasku szlachetnego, przypisanego brylantom.

W dalekich Wojdatkach, a może bliżej w Folwarku Waka pieje kogut. Doliną rzeki Waki niesie się głos szczekającego psa, świat się budzi na nowy dzień. Gospodarze zaczęli kolejny pracowity dzień, obrządzają bydło. Karabinowy Kaczka znowu swoje: matula zaraz krowy wypędzi, wie pan drużynowy, te krowy to ja przed partyzantką pasalem, tu niedaleko jest nasze pole, może zdarzyć się tak, że się spotkamy.

Strzał pojedynczy, to Szpak, i równocześnie klang silnika samochodowego i wrzask niemieckich komend i dźwięk, jakby chłopak patykiem wbiegnąc po sztachetach tłukł, to niemieckie MG – 38 gfr. Kalusa i jeszcze jeden płótno drze, to MG – 42 i jeszcze jeden niziutko, to również 38, a kosi po samej koronie naszego brzegu. Po przeciwnej stronie odbywa się Marchołtowej drużyny dziegcierow i głośnie Hende Hoch, zakończone kogucikiem. To Marchołt chce wziąć do niewoli pluton frontowych żołnierzy rozpoczynających szturm na z góry wyznaczonym miejscu. Za wczorajszy, a raczej nocny sukces trzeba płacić. Seria z Kalusowego MG łamie nogi drużynowego ósmej drużyny. Drugi MG kosi przeciwległe pobocze, podnosi się Kaczka ze swoim zaciętym dziegcierowym i pada na twarz, zły znak (młodzik zabezpieczył zamek w przodowej pozycji, a jak chciał strzelać, zapomniał odbezpieczyć, silnie szarpnięta rączka zablokowała zamek w połowie długości komory zamkowej). Karlik ściąga kaczkę za nogi, woła sanitariusza, dopada dziegcierowa - zacięty, a Niemcy koszą i wrzeszczą, zaraz ruszą. Co robić? Jeden granat (na Czechu zdobyty) pada za ciężarówkę „Henschla”, drugi poprawia Strzała, trzeci podaje por. Benek, a poprawia mądrala Trąbka. Teraz szybciotko jak tylko można zdejmują Karlik dysk z amunicją, odblokowuje zamek, dysk w zaczep, odbezpieczony, naciąga zamek i z góry na łeb

i szyję z trzaskami wyskakujących łusek już jest na dole wąwozu. Dziegcierow na masce Henschla wsparty, a naprzeciw KM niemiecki i ich dwóch zmienia lufę swojego MG – 38. Nie dał im Karlik lufy wymienić, już w życiu żadnej nie wymieni. Krótka seria dziegcierowa prądem galwanicznym targnęła Niemcami i uspokoiła ich na wieki. Reszta Niemców nie wytrzymała i w rozsypce, w popłochu w tył się wycofała. Jeszcze skok do wozu sprawdzić czy tam się śmierć nie przyczaiła. Wnętrze samochodu pełne dobytku w biegu zostawionego. Na samym brzegu pod ławką stoi packteczka, a w niej ruski nagan , cygaretki, galaretki i cukierki – słodki ersatz. To cała nagroda za męstwo gefr. Koniecznego, który chciał się zasłużyć. Tak wygrał, bo życie zachował, a gefr. Kalus nawet krzyża drewnianego się nie dosłużył i leży w bezimiennym grobie pod lasem w Skorbucianach.

Jeszcze Niemcy rzucili do akcji drugi i pierwszy pluton, a nic nie wskórawszy, nie doszli do wąwozu, choć sposobem z zachodniej flanki atakowali. Należy jeszcze kilka słów poświęcić najdzielniejszej sanitariuszce Teodozji „Tosi”. Należałoby też stwierdzić, że Kaczka – pacholę matki nie doczekał i to, że Niemcy zostawili swoje auto, broń swoich poległych, wymyślając bajkę o konnej partyzantce, liczącej 250 koni. Uspokoiли swoich przełożonych, a mjr. Sontak pozwolił im załadować się w Landwarowie na swojego żelaznego smoka, którym przez Kowno do piekła uciekli. Musimy też z Karlikiem opisać dzielność tych, co grzali ze wszystkich luf. To wszystko opowiemy w następnych gawędach.

E. Kroll

Ewald Kroll

W s p o m n i e n i e

Ewalda K r o l l a, ps. „Konieczny – Karlik” były dowódca wydzielonej grupy udającej Niemców, przydział – drużynowy 7 drużyny VII Brygady „W i l h e l m a” AK Okręgu Wileńsko- Nowogródzkiego.

Wstęp

Po południu dnia 29-go maja 1944 r. zostałem wezwany do Komendanta Brygady „Wilhelma” , gdzie zaproponowano mi objęcie dowództwa nad drużyną udającą Niemców. Drużynę tę miałem skompletować z ochotników i pod nadzorem por. „Wacława” wykonać zadanie, które polegało na: - marszem nocnym osiągnąć pozycję wyjściową pod stacją kolejową Czarny Bór. Rano o godz. 6.00 opanować pociąg, zatrzymujący się w Czarnym Borze. Po opanowaniu pociągu zniszczyć połączenia telefoniczne stacji. Opanowanym pociągiem udać się w kierunku na Rudniczki, na szlaku kolejowym w odległości około trzy kilometry od Czarnego Boru na sygnał (umówiony) zatrzymać pociąg. Do opanowanego pociągu pod dowództwem Komendanta „Wilhelma” wsiada grupa partyzantów w sile około 1-go plutonu. Dowództwo nad całością przejmuje Komendant. Połączone grupy udają się opanowanym pociągiem na most na rzece Rudomince. Połączone grupy udające Niemców w momencie, kiedy pociąg wjedzie między niemieckie umocnienie, gdzie ma się pociąg zatrzymać, wysiadając pozoruje wyładowanie się przysłanej Niemcom zmiany lub uzupełnienia. Dostać się do bunkra, zmusić załogę do poddania się, rozbroić. Dalszą część zadania wykonują odwody: przejmują jeńców, broń i niszczą umocnienia.

Ze źródeł niemieckich (dokumenty sztabowe)

„ Meldunek dzienny z dnia 30.05.1944 r. „

Der komendierende General der Sicherung – truppen und Befelchaber Wiessrusen I a

Tagesmeldung

Meldunek z dnia 30 maja 1944 r. (dokładne tłumaczenie z niemieckiego z zachowaniem niemieckiej składni)

221 Siche Din. 30.05.

Na torze kolejowym Wilno-Lida jadący pusty pociąg przez 60 pols. B. (polskich bandytów) w niemieckich mundurach, około 3 km od Czarnego Boru zatrzymany. Pociąg z bandytami pojechał do bazy Rudominke – most (8 km od Czarnego Boru). Na bazie zatrzymany i zaatakowany. Str. npl. (straty nieprzyjaciela) nie stwierdzono. Str. własne: 4 zabitych, 5 rannych 1 MG zacięty przez uszkodzenie przekaźnika.

E. Kroll

„Wielkie Pole” – akcja widziana moimi oczami.

Akcja pod Wielkim Polem – zdobycie pociągu i zniszczenie bunkra (w wyobrażeniach i relacjach partyzantów był to bunkier, podczas gdy w rzeczywistości było to zwykłe, umocnione stanowisko ogniowe z funkcją mieszkalną- zwykły „cek-haus”) osłaniającego most na Wace jest w oczach jej uczestników różnie widziana , wraz z upływem czasu rozbieżności w opisach i ocenach są coraz bardziej zróżnicowane. Czasem dominuje chęć wyniesienia swoich zasług, czasem chęć gloryfikacji przeszłości, możliwe że ubarwienie zdarzeń jest naturalną cechą kombatancą.

Przedstawiłem dwie obce relacje tego zdarzenia, tej akcji .Obie są godne szacunku i uznania , Są obiektywne na tyle na ile jest niezawodna ludzka pamięć i postrzeganie w bitewnym stresie. Na ile są wiarygodne przekazywane w podnieceniu gorące relacje .

W mojej ocenie, w akcji tej popełniono szereg błędów co nie umniejsza jej znaczenia jako heroicznego czynu partyzanckiego ani nie deprecjonuje żołnierzy w niej uczestniczących.

Partyzantkę tworzyli ludzie gorącego serca , patrioci gotowi zapłacić najwyższą cenę za wolność ojczyzny, nie koniecznie posiadający dostateczną wiedzę wojskową, często nie ostrzelani , posiadający nikłe doświadczenie bojowe – taka była rzeczywistość. Nie tworzyli jej ludzie święci ani doskonali .

Uczestniczyłem w tej akcji mając za sobą półtoraroczne piekło walk na pierwszej linii frontu. To mało powiedziane – byłem przez dwie zimy i jedno lato na dnie wojennego piekła. Przeżyłem koszmar dwudziestu sześciu szturmów , uczestniczyłem w jedenastu zaciekłych walkach wręcz .Siałem śmierć i byłem jej zabawką. Cudem przeżyłem z garstką towarzyszy frontowych. Koszmarne doświadczenie nie dające się porównać z niczym innym, pozostawiające jednak znajomość rzemiosła wojennego .Uciekłem z tego piekła i przyjęto mnie w szeregi wileńskiego AK jak swojego, nikt nigdy nie czynił mi wyrzutów z tego powodu, nikt nie wytykał mi ,że wsadzony w niemieckie kamasze i potrktowany jak coś pośredniego między janczarem, gladiatorem a pretorianinem zostałem zmuszony do tańca ze śmiercią w interesie germańskiego potwora. To moje specyficzne doświadczenie bojowe pozwalało spojrzeć innym okiem na przebieg wydarzeń, nie ma tu cienia krytykanctwa lecz jedynie inna optyka tego co się działo.

Początek akcji jest znany z wcześniejszych opisów ... Tak więc przechodzimy przez rzekę wplaw. Żołnierz ma trudną misję do wykonania. Dowódca postąpił lekkomyślnie – tak można było postępować na ćwiczeniach – przeprawa w ubraniu i pełnym rynsztunku wplaw była niczym nie uzasadniona. Nie było takiej konieczności sytuacyjnej. Wystarczyło przeprowić jednego czy dwóch żołnierzy z zadaniem ubezpieczenia a reszcie pozwolić przeprowić się po zdjęciu odzieży – tak aby rynsztunek, ubranie i broń były suche , ma to duże znaczenie przed forsownym marszem wykonywanym w dużym napięciu przed poważną akcją bojową.

No ale cóż? ...masz w butach mokro, człapiasz tak osiemnaście kilometrów z mlaskającym błotem. Wszyscy są umęczeni, urąbani przez tą bezmyślną przeprawę. Dochodzimy znacznie za wcześnie na wyznaczony punkt pod Landwerowem – jest tam Czarny Bór – miejscowość - stamtąd ma być pociąg. Leżymy w zasadzce, żołnierz zmęczony śpi i chrapie, dowódca rozsierdzony próbuje wymusić ciszę – leżymy przy samych torach ,po których co jakiś cza przechodzą niemieckie patrole, ktoś może usłyszeć chrapiących i dojdzie do przedwczesnej wymiany ognia . Wreszcie pociąg nadjeżdża .Żołnierza rozspanego i umordowanego nie można podnieść komendą jak w wojsku niemieckim ... Panie tego...no i ten Panie pociąg nadjeżdża, rusza ze stacji w naszą stronę ... dowódca Waław...panie...zdenerwowany coś bąka ..”nie udka się, nie uda”...Wyskoczyłem naprzód z typowym niemieckim wrzaskiem –In laut schrit marsz! Marsz! (marsch)- naprzód w stronę lokomotyw – halt , halt!! – wrzaski , mundur niemiecki i wymierzony karabin zrobiły swoje. Maszynista zobaczył to niemieckie wojsko i zatrzymał pociąg. Dzięki szybkiej mojej reakcji akcja mogła być kontynuowana. Teraz wyznaczeni żołnierz pobiegli zlikwidować łączność – dobrze że ja za nimi – szarpią się z przewodami zamiast wszystko szybko rozpieprzyć, rozwiązałem problem rozbijając aparaty kolbą karabinu. To jest wojna, tu nie ma czasu na zabawę... tam pociąg stoi.. Waław wskoczył do lokomotywy i tam pistolet im przyłożył. Ja do wagonów, w jednym są policjanci litewscy. Cofnąłem się do lokomotywy, do dowódcy- co mam robić z policjantami!? Wracam... chłopaki pertraktują z babami w wagonie żeby wysiadły, po niemiecku nie umieją.. coś tam pieprzą, kobiety przyglądają się twarzom, coś jakby ze zdziwieniem i niedowierzaniem w tych Niemcach zdają się rozpoznawać swoich dalekich sąsiadów ,coś plotą i to przy litewskich policjantach. Żeby przerwać to żenujące widowisko wpadam z wrzaskiem i niemieckimi przekleństwami, kopniakami rozwalam koszyki z różnorodną zawartości . wypędzam całe to babskie towarzystwo w popłochu i nieładzie z wagonu. Litewscy policjanci też chcą wyjść widząc i słysząc szalejącego szkopa wymachującego

odbezpieczoną bronią. Najn- mówię po niemiecku- my przecież koledzy- siedźcie , jedziemy dalej. Zadowoleni zostają. Wiem że to za chwilę będą kolejnym problemem do rozwiązania.

„KARLIK”

Szkic autobiograficzny

Ewalda Krolla –

Koniecznego.

1983

Ilustrowany grafikami mojego serdecznego przyjaciela Witolda
Strzałkowskiego

Zbliżało się południe, słońce osuszyło kałuże, ziemia z lekka parowała, a słabiutki wiatr ciepłym dotykiem pieścił i unosił z sobą troski, niepokoje i co tu ukrywać – strach. Młodość ma swoje prawa – koń, jeżeli można nazwać szkapinę o wielkości psa z tych większych psów – koniem, również odczuwa życiodajny wpływ wiosny, rażno przebiera nogami. Uprząż skrzypi, a koła o słabo smarowanych osiach popiskują płaczliwie.

Woźnica przygarbiony wiekiem (a może to jego poza) – drzemie. Wzrostu średniego, żyłasty o twarzy ascety, głowa ogolona jak u Rydza – Śmigłego. Oczy zamknięte, twarz poddana pod działanie promieni słońca kiwa w takt podskakiwania kół na wybojach rozjeżdżonej drogi.



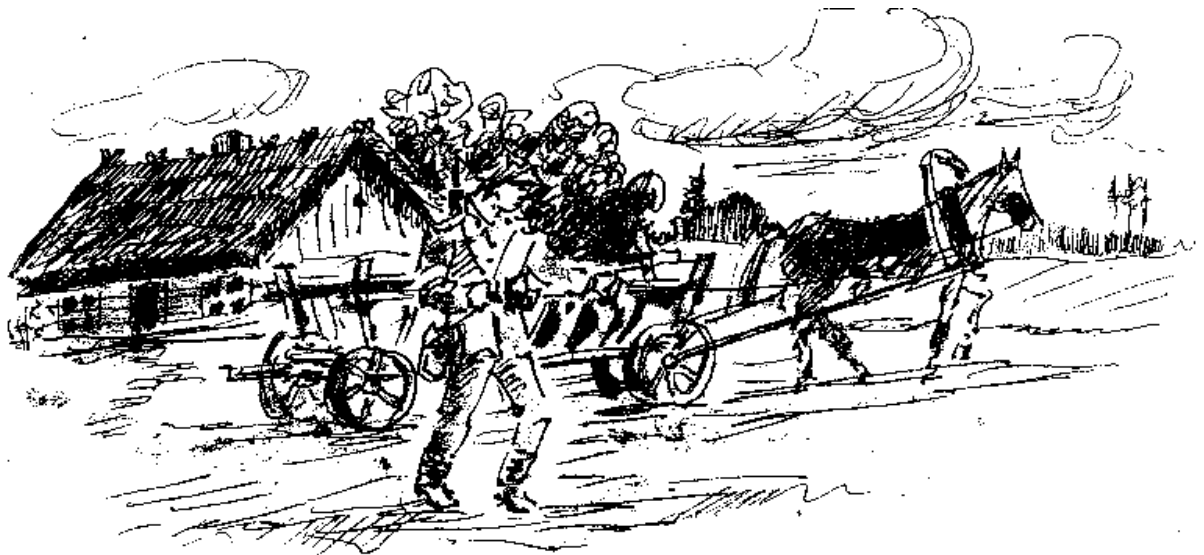
Snop dobrze nabitej słomy przykryty derką służy za siedzenie młokosa o ledwo widocznym zaroście. Drobny, chudy jak ta szkapa, co ich dwoje ciągnie na tym wózku do ich przeznaczenia. Młody nie śpi, czujnie rozgląda się po nieznannej okolicy. W oczach niepokój. Twarz blada, znać, że dawno słońca nie widziała. Lazaret, a po tym – konspiracyjne kwatery wyryły ślady na tej spłoszonej fizjonomii.

Myśli lecą tabunami, wśród ich natłoku, ciągle ta sama – to pożegnanie z Nią jakoś tak wyszło, bezbarwnie, pełne zakłopotania, już trzeba się żegnać, te drzwi to punkt kontaktowy, a tak tyle do powiedzenia, całe morze uczuć, wszystko bardzo ważne. Stało się, pożegnanie ani czułe ani, wdzięczne za wszystko, za tak wiele, za życie jakieś takie, aby to mieć za sobą, Wóz podskakuje, myśli płoszy, podskakuje na kocich łbach, zbliżając się do mostu, gdzie odcinek drogi [umocnionej kamieniem polnym]. Starszy przerywa drzemkę i powiada „jeszcze most przejechać, pilnowany przez Niemców, aby tylko nie chcieli rewizji robić”. Strach niepokojem dusi za gardło – wiadomo dokumenty [...], cała siła to nogi, a one jeszcze słabe, rany bolą. Ulga, wielka ulga, most za nimi, a niemiecki wartownik nawet nie spojrzął na wóz zaprzęgnięty w konio – psa i jadących podludzi – dziadów.

Za mostem dalej toczy się wózek po poboczu gruntowym, a droga obniża się i wchodzi w gardziel wąwozu. Słońce przetoczyło się po niebie i skłoniło się na zachód. W wąwozie cienie nikną, a podróżnych wita przedwieczorny półmrok. Przelotny wiaterek nad głowami szeleści resztkami zeschniętych liści, ostałych po zimie na młodych dębinach okalających wąwozik. Niedługo tenże wąwóz stanie jak wąwóz [...], ale w ten czas, co dopiero przyjdzie, zabraknie [.....] i 7 Brygada AK okręgu Wileńsko – Nowogrodzkiego nie sforsuje wąwozu, nie zdobędzie mostu i nie weźmie udziału w zdobywaniu Wilna.



Dzielna szkapina przebiera nóżkami co raz prędzej i prędzej, czuje swój żłób. Ona wie, że jest blisko jej zaciszna stajnia i zasłużony odpoczynek tuż tuż. Bo teraz droga zakolem w lewo odejdzie od traktu na grunty Wojdat. Przesmyk lasu o sosnach starych, na skraju przez zgorzel tak powykręcane jak spracowane ręce górnika, fedrującego w wiecznie nawilgłej kopalni. Za Wojdatami, za lasem na górcie Sorok Tatory o malutkim, a smukłym meczecie.



Po skłonie na południe widać park, gdzie drzewa bezlistne jeszcze, stoją w rozproszeniu jak żołnierze – bronią rozłożystego dworku szlacheckiego. Aleja wysadzana starodrzewiem dorodnie wyrosłym tworzy jakby służę. To już jesteśmy na miejscu, to mój dom – mówi stary. Starszy pan nie jest już przygarbionym starym, głos przywykły do rozkazywania informuje: o to pole po prawej, jak grządka uprawione, to dzieło mojego syna – panicza Jasia”. Dalej, aby nie było podejrzeń, to wy tu będziecie uchodzić za mojego parobka, aż do czasu nadejścia oddziału – „tak jest” – posłusznie potwierdza młokos.



To uchodzenie to nie pozory, ale z miejsca należy zająć się koniem, którego nie tak prosto wyprząc, gdy się w życiu nie robiło tej czynności. W nocy, warta! Kij i pies do dyspozycji.

Psina życzliwa nogi grzeje, rozumie, wspólnota interesu. Oficer inspekcyjny Pani Starsza sprawdza czujność, instruuje, jak nadłuchiwać, jak zagrożenie ustalić, kiedy meldować, co zabierać i gdzie uciekać. Teren jest nawiedzany przez różnych: partyzantów, niby to partyzantów i rabusiów. Czasem konia zabiorą, a czasem zdychającego zostawią, a zdrowego zabiorą, tak to wszystkie zabrali. Wymienili nam konia na tego, który ostatnio nam wiernie pomaga – niepozorny... Odzież lepszą wyrabowali, jedzenie niby to zarekwirowali. Od rana sianie owsa, a w nocy warta.



Rannym świtem „rota strzelców stanęła zielona”. Pierwszy pluton, pierwsza drużyna – barwa i broń, jak malowani.

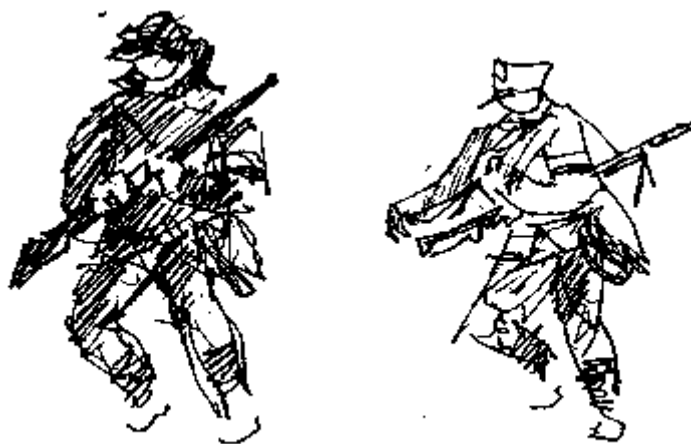
Komendant prosi: „Panie Komendancie! Gefrajter Kroll melduje się z prośbą ...”

Przydział w trzecim plutonie objąć 7 drużynę, pseudonim „Komiczny”.



Ano Konieczny – różnie już przezywali człowieka, jak się było małym bajtlem, to paskudnie „gloniarz”. Wiele to razy do krwi z takim Pietrem od Kosytorza albo z Tyjdzikiem my się prali, Jefek pomagał, a niekiedy to Babuś – w łobronie honoru bo przeca glony to z choroby. Trzewików nie dla wszystkich stykło, a w trepach to się człek i przeziębiał.

Dowodzić drużyną to zaszczyt, a po prawdzie to tak z mianowania jeszcze nigdy. Na froncie to tak się człowiek wzwyczał, że czy był dowódca, czy go nie było, a przeważnie nie było, wszystko szło normalnie. Przy odwrocie bywało, że oficerkowie prosili, aby nimi dowodzić, aby ich bronić, ale to wtedy, kiedy w żię dostali. A jak strachu nie ma, to wtedy wielki pysk.



Wakat dowódcy siódmej drużyny został spowodowany tak prozaiczną przyczyną, jak zapalenie płuc ustępującego drużynowego.

Siódma drużyna to nie kadrowa pierwsza. Stan osobowy niepełny: 10 partyzantów, prawdziwych, każdy inaczej ubrany, co drugi ma broń i tak 4 karabiny z tego dwa to obrezanki, 1 libella bez amunicji.

Drużynowy fasuje piękną raportówkę, latarkę bez baterii i jeden granat.

„Chłopcy, mam być waszym drużynowym, nazywam się Konieczny, pochodzę ze Śląska – prosim, prosim, niech pan drużynowy wejdzie do izby, to się poznam. No i poznamomili się z Trąbką, Korą, Szpakiem, Kaczką, Lwem, Turem i innymi. Im młodszy i mniejszy, tym groźniejszy pseudonim sobie obrał.

Po południu zbiórka i zmiana m.p. Dowódca 7 drużyny do Komendanta – rozkaz poprowadzić ubezpieczenie czołowe. Wiadomo sprawdzian umiejętności dla nowo mianowanego drużynowego. Tysiące razy stawało się na zbiórki i przypominają się te pierwsze jeszcze w P.W. W dwuszeregu za mną zbiórka! W prawo zwrot! Za mną stój! Spoczniej! Kto zna drogę do Pupiszek i zaczęło się: Termiany, Pupiszki, Ryka i Zwierzyniec

piąty, tak w koło Macieju. W nocy przemarsze, w dzień patrole różne najczęściej żywnościowe, służba na postoju, ubezpieczenie postoju, ubezpieczenie marszu i nic.





Jedzenie, co z łaski, a więc chleb razowy o tak przedziwnym zapachu, że go dzisiaj już nie znajdziesz, a smaku przewybornym, którego można doznać tylko wtedy, kiedy zrozumiesz słowa modlitwy pańskiej „chleba powszedniego daj nam dzisiaj” – było go skąpo, do tego mleko nie gotowane i w miarę, jak dnia przybywało, to możliwość dostania jaj się zwiększała. W zależności od przydzielonej kwatery zależał obiad – przeważnie na „gwoździu gotowany”. Wioski przypuszczańskie biedne, nie miały czym się dzielić, a dzieliły się z serca, bo głodnego tylko głodny zrozumie.



Nadszedł maj, oziminy zazieleniły się, a na gałązkach nabrzmiałe sokami pączki zaczęły pękać i skromniutko uchylały rąbki bladezielonych listeczków. W wioskach na drogach

rozstajnych i przy krzyżach wioskowych lud się zbiera pobożny i niesie się po lesie pieśń maryjna, pieśń majowa. W Brygadzie ruch. 3 Maja, msza polowa. Zaprzysiężenie nowych partyzantów.



Skorbuciany, stolica Siódmej, w kaplicy ludu nie pomieści. Msza polowa jak przystało w czas wojny. Wszystko odświętnie umajono, tłoczno i zbrojnie.

Wyszedł Ksiądz Kapelan na wzniesienie, do stóp ołtarza Chrystusa Ukrzyżowanego, a z Nim ministranci zbrojni. Msza za pomyślność ojczyzny, za wyzwolenie i za nasze zwycięstwo. Podniesienie i Rota Przysięgi z ucałowaniem monstrancji, a partyzanci korzą się jak dzieci u stóp Ukrzyżowanego, całują Jego stopy i pokornie proszą, aby było im danym zmęczyć, by sprostali słowom przysięgi. Po południu zabawy po kwaterach – skromnie, jak kto może, wszak to okupacja. Ochoty nie zabrakło. Jak Trąbka zaczął wywijać chałupce, to mało co chaty nie rozwalił. Chata niska, okienko malutkie, a przy okienku rozsiadł się partyzant Szpak z cymbałami. Teraz można zrozumieć ten Jego pseudonim. On to pałeczkami miga, to skacze po strunach że wzrokiem nie złowisz. Całego dźwięki otoczą, a melodia goni Trąbkę, że kręci się w kółko, przysiada, podryguje, skacze i przytupuje, a podkówki drzazgi sieczą z podłogi. To te pałeczki każą zrzucić kozuchy tańczącym, a nie tańczących wyganiają na dwór. Te pałeczki przypomną służbowym o służbie.

Poszedł drużynowy – służbowy na szeroki piaszczysty trakt, dzielący Skorbuciany. Na południe puszcza Rudnicka sięga przetrzebionym drzewostanem po wioszczyne opłotki. Tam, gdzie na piaszczystym wzniesieniu „tutejsi” grzebią swoich najbliższych. Partyzantów jako zasłużonych grzebią przy kaplicy, gdzie na cmentarzu znajdą wieczny odpoczynek... a

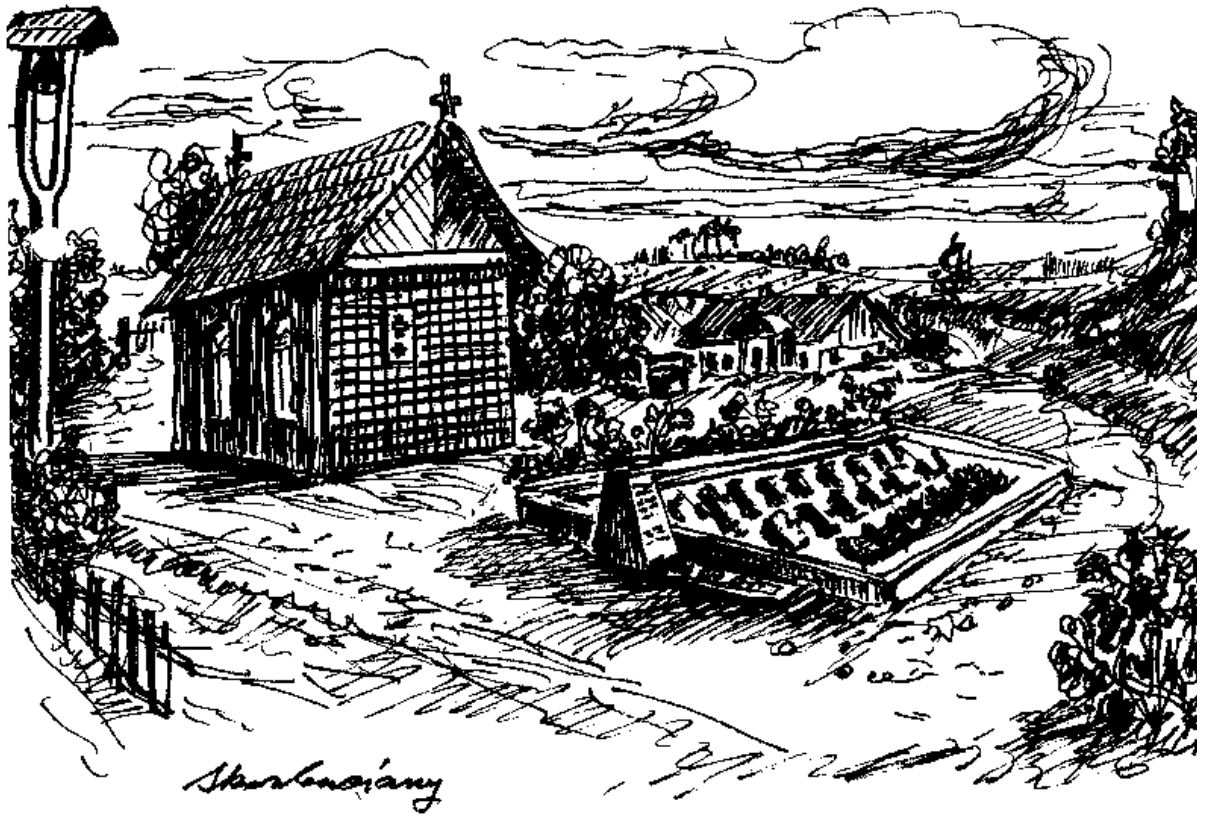
miejsca jest dużo. Przy tej drodze u końca zachodniego wioski, za cmentarzem, w lesie - tam trzeba sprawdzić ubezpieczenie. To stanowisko ma złą sławę, cmentarz blisko pełno duchów, a z puszczy może nadejść groźniejsze niebezpieczeństwo ludzi żywych, złych bandziorów uzbrojonych, udających partyzantów. Tu już w niedalekiej przeszłości krew bratnia się polała.



Teraz na powrót na wschodni kraniec, gdzie młyn stoi przy stawidłach, szeroko rozlanego stawu łyskającego srebrną poświatą w cichą ciepłą noc majową.

Koło młyna jest kładka dla wąziutkiej ścieżki prowadzącej na skróty do Termin i Sorok Tatarów. Tam rozsiadło się nasze ubezpieczenie. Z daleka widać żarzące się ogniki papierosów. To młodość, brak doświadczenia, a szczególnie wyobraźni, monotonia czuwania ich nuży – ale służba. Trzeba groźnie, służbowo z wojskowym drylem. Natychmiastowa zmiana warty i ruganie od ręki, aby już, aby nie na potem.







No, jeszcze rozproszanie pozostałych zmian i na tą noc 3-go maja 1944 roku starczyło służby dla 7 drużyny III plutonu VII Brygady.

Przestaje działać hasło „Wilno” i odzew „Wojsko”.



Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie, plutony rozciągnięto jak różaniec. Maszerują na nowe miejsce postoj. Ubezpieczenie jak te trzy paciorki, a zaraz tuż, tuż dowódca plutonu pierwszego „Poraj” i paciorki Jego drużyn, pierwsza i druga kadrowa – jednolita barwa i broń, dalej trzecia pstrokata, no i przerwa. Dalej idzie „Wicher” – długi, co prowadzi pluton drugi i Jego trzy drużyny, chłopaki fasonowe, wiadomo – miastowi, wyszkoleni. No, znów przerwa prowadzi pluton „Szczęsny” – „kot w butach” i drużyna 7 Koniecznego, Karlikiem przezywanego i dziedzice tej ziemi, tutejsi, dalej 8-ma Marchołta i formująca się reszta jeszcze w karby nie ujęta, a przy tym tabory, żandarmeria i sztab ze swoimi służbami.

Komendant Wilhelm na kasztance to się wysforuje na czoło, to galopem toczy aż na sam koniec daleko poza nachod.



„Przez pola, łąki wyciąga się sznur” – paciorków, niby jednakowi, a każdy inny, niepowtarzalny, a przed każdym los zakryty. Komendant na kasztance galopuje na czoło i stanie na wzgórku. Mars na twarzy, oczy wydatne, groźne, wąs obwisły, rudy, sumiasty. Strój myśliwski, lorneta, pistolet na pasie i mapnik pałętający się przy strzemionach lewej nogi. Na głowie polowa rogatywka, oryginalna z orłem wojskowym – marzenie wielu. Sznur maszerujących się spręża, wzrok podwładnych patrzy w oczy swojego wodza. Komendant przegląda i liczy siłę bojową i zdaje się pytać co też można z tym żołnierzem zrobić? Ile i jakich bitew stoczyć? Chmurzy się oblicze, może to świadomość odpowiedzialności za los każdego z tych podkomendnych, w większości pewnie dzieci. Postawa jak u Napoleona i rusza w galop jak pies owczarski oganiać baranów prowadzonych z wioski do wioski, zjadających chłopskie resztki w czas głodnego przednówka. Toczą się paciorki do swego

przeznaczenia, do krzyża, bo los zakryty, w przyszłości nie poskromi im goryczy złożenia broni, ponieważ łągrów Kaługi, czy łągrów dalekiej Workuty położonej hen za kołem podbiegunowym północnym w krainie Samojedów. Po powrocie tych, co przeżyli, swoi spod znaku UB dopełnią im ten kielich goryczy, która ich poniży, a serdeczny ból podniesie, aż dowloką się na gólgotę swego życia za to, że chcieli dochować wierności żołnierskiej przysiędze wierności sztandarowi. Ale ich czeka jeszcze gorszy los, bo za to, że tu walczyli, że trwali, że nie tylko objadali ten lud, ale go przede wszystkim bronili – zostali skazani przez możnych tego świata na zapomnienie.



Partyzant na postoju to nie żołnierz w koszarach lub obozie, partyzant to żołnierz przyczajony, a życie obozowe toczy się cicho jak w zasadzce. Karmi konie po gospodarsku z gospodarzem do stogu siana zmierza i wspólnie obrządzą bydło. Kucharz nie pichci obiadu w kuchni polowej według racji żywnościowych i stanu osobowego. Pojedynczy partyzant nosi wodę gospodni kwatery i przydział uzyskany przez patrol żywnościowy niesie do wspólnego sagana. Żeby drużynę nakarmić, dobrze się nagłówkuje, to soli porosić, to o coś do zagęszczenia, a i kartofelek choć jeden, a przydałoby się z dziesięć.



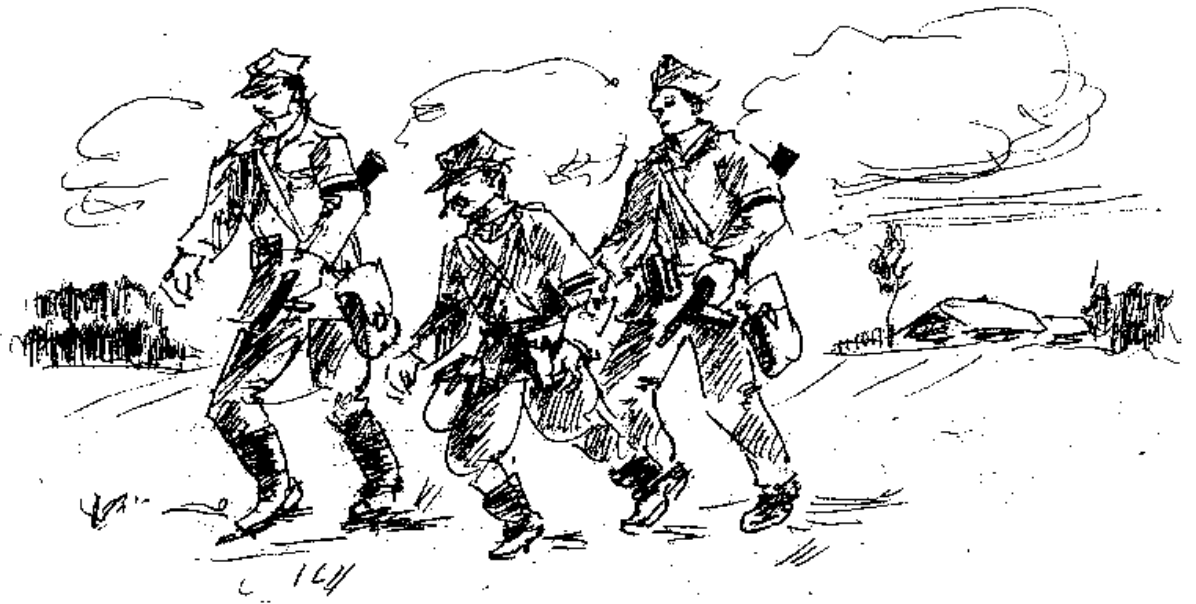


Pod flagą z czerwonym krzyżem, na furze wysoko wmoszczonej leży lekko ranny, tężcem porażony. Tężeją mięśnie, grymas bólu twarz mu napina i pręży się ciało po całej długości wozu, a tu krzyczeć nie wolno, umęczone czoło zlane potem. Ratunku dla niego już nie ma – w Skorborucianach przy kaplicy miejsca jest dosyć. Siostra miłosierdzia jak matka rodzonemu synowi na kolanach trzyma głowę i pracowicie ociera pot śmiertelny.

Na kwaterach nie słycać komend donośnym głosem wydawanych, na kwaterach się gwarzy. Aby prowadzić zajęcia, należy to czynić sposobem – na przykład musztra: najlepiej od niechcienia, na ramię broń chwytem, potem pokazać jak to robią Francuzi a jak Ruscy, a tak obowiązuje w naszej armii na 4 tempa z małą przerwą pomiędzy tempem trzy i cztery. „Pan drużynowy pozwolę, poprobujemy”. I próbuje Trąbka, Kora, Szpak, Lew i inni.

Albo zajęcia ze znajomości broni: dobrze jest rozebrać KM, najlepiej zdobyczny, a później udać, że ma części za dużo, wtedy chętni do poprawienia się znajdują i już można, aż do znudzenia – bo partyzant w dobrej broni smakuje jak wytrawny smakosz.



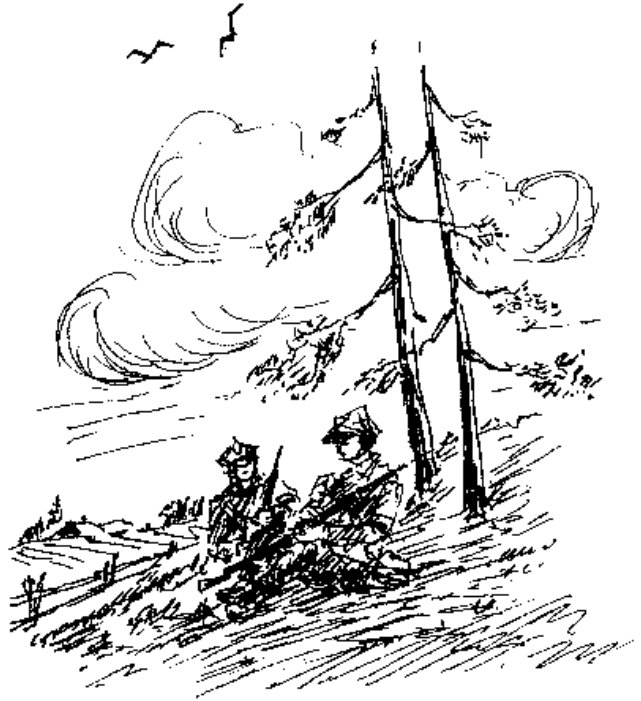


Na kwaterach czas się wlecze, to go się skraca i bajdurzy o tym, co było, co by być mogło, a najwięcej i najchętniej, co będzie, a szczególnie po wojnie, w tej przez nich wywalczonej wolnej, sprawiedliwej Polsce. Wspomina się, jak pierwsza grupa jeszcze w kilku chłopa chodziła, kto pierwszymi dowodził. Kiedy Wilhelm został, jak pierwszą broń zdobywano.



Tyle przygód inni zaznali, a my nie chodzimy w kółko Skorbucian, Ternian itd. W międzyczasie 9 drużyna dostała swego drużynowego. Został nim plut. pchor. „Strzała”. Nasza 7 drużyna ma pełny skład osobowy, dokoptowano nam Wilka z pełnym uzbrojeniem i umundurowaniem.

Wiosenne słońce, słońce końca maja grzeje gołe plecy. Koszula i reszta przyodziewku leży na okazałym mrowisku, gdzie pracowite mrówki pełnią sanitarną służbę, walcząc skutecznie z insektami. Starzec siedzi przy kole garncarskim i bosymi stopami wprawia je w ruch wirowy. Ręce starca formują kolejny od pokolenia do pokolenia potrzebny garnek. Każdy służy człowiekowi, ma swoją duszę, historię i koniec w skorupach zaścielających warstwy kulturowe, większości siedlisk ludzkich. Stare dzieje wspomina staruszek, a młody słucha uważnie, jak to na Litwie dawniej bywało. „Człowiek człowiekowi był przyjacielem, ludzie dawniej Boga szanowali, a dzisiaj Jantychryst światem rządzi, się Gitler nazywa”. Tak stary prawi, rzucając mądre maksymy i starcze gderanie na przemian mieszając.



Słońce przetoczyło się na zachodnią stronę nieba, a jego grzanie rozleniwia i usypia – powieki opadają. Nie widać już wyrobiska, łąką żółtego piasku pokrytego, które siedzi w obramowaniu wysokich sosen o wiechach wiecznie srebrno – zielonych i strzelistych pniach, których korę słońce wyzłociło. Przed oczyma staje mirażem taki sam las sosnowy, tam w Kośmidrach na Wesółych Górkach tak samo żółci się piasek, przy karczowaniu pni wydobywany.

„Pan drużynowy proszeni do Komendanta” – odprawa przed akcją pod Wielko Polem na most na rzece Rudomince.

Dzień ma się ku skłonowi, niebo nadal bez jednej chmurki świeci lazurem, tylko na skłonie widnokregu słońce kąpie się w oparach zachodu, ścieląc płaskie oranże – co wzroku nie męczy, pozwalając spojrzeć w majestat swojego oblicza.



Mała grupka oddzielona od głównego oddziału oddała się pośpiesznie. Mało im nie stało wrażeń mundurów na skompletowanie jednej drużyny według nieprzyjacielskiego regulaminu. Niemiecka drużyna składa się z 9 żołnierzy plus jeden dowódca (albowiem tak głosiła gebelowska propaganda, jeden żołnierz jest przedstawicielem Trzeciej Rzeszy, a trzech żołnierzy to jeden szereg, a trzy szeregi to jedna drużyna, która ma swojego fuhrera). No , tą najmniejszą jednostkę z biedą skompletowano: 6 plus jeden, a i tak na piersiach munduru po stronie prawej powinna się znajdować „gapa” ze swastyką, a takowej ani jednej w oddziale nie znaleziono. Martwi się nowo wcielony grupen – fuhrer, oddział za niemiecki tylko z biedą może uchodzić. Ta grupa ma mundury źle dopasowane, brak tak bardzo charakterystycznego szczegółu, oporządzenie jak poziomo leżąca na lędźwiach puszką maski przeciwgazowej – w której oprócz maski przeciętny lanczer trzyma to, co chce ukryć przed wścibskim wzrokiem swojego przełożonego.



Każdy żandarm z daleka pozna, że to nie niemiecki oddział (powiedzmy przestrelany w akcji z powodu zanizonego stanu), ale Niemcy zawsze do boju stawali w sagonach na głowie, a to z tego powodu, że zakuty łeb wykona najgłupsze rozkazy i dopuści się najohydniejszej zbrodni. Ten oddział idzie w furazerkach, a tym również brak barwy Niemiec i faszystowskiego znieawidzonego orła.

Oficer dowodzący grupą w ubraniu cywilnym uchodzi za wlezonego przez Niemców przewodnika, a niby to Niemcy milczą i tak charakterystyczny w kolumnach marszowych szmer w tym oddziale zamarł całkowicie.

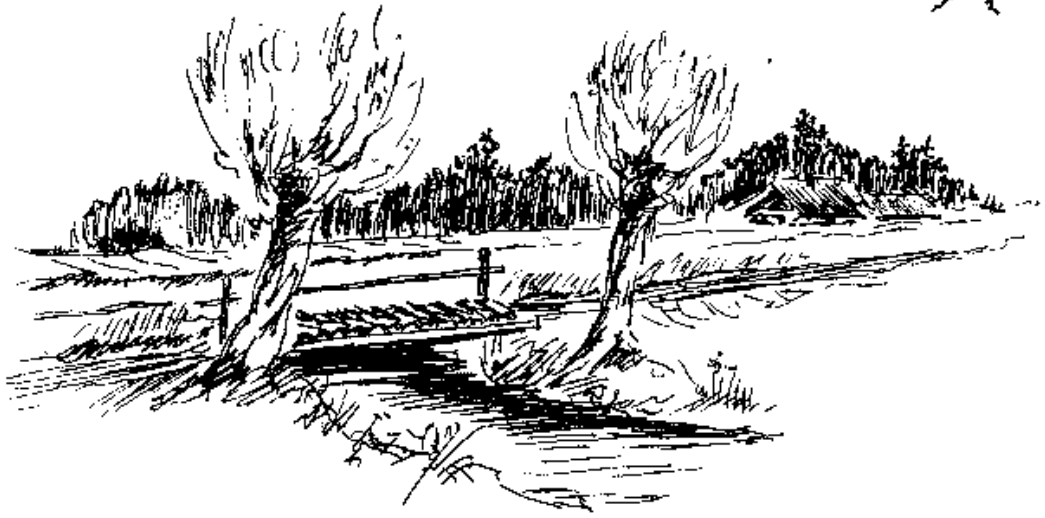
Świat mrocznieje, tylko w dali łyśka woda Czarnej Waki. Waki ze swoimi skrętami i zakolami a nurtem szybkim, albo zastoinami o dnie czarnym, nieprzejrzystym albo wesołym cicho pluszczącym, gdzie na przewężeniach złocisty piasek prześwituje, tam gdzie brzeg łyśka szczyrkem. Na to szczyrkowisko kieruje się oddział, forsując rzekę w marszu tylko pod butami szczyrczy i chlupocze.





Krajsty





W grupie cisza śmiertelna – suną jak widma, przemoczeni, w butach młascze pozostała woda, której wylać się nie da. Czasami „Wilk” dowcipem w noc rzuconym chce nastrój zmienić, ale obecność oficera onieśmiela. Do Czarnego Boru jeszcze daleko, woda w butach przestała mlaskać, nogawice powoli wysychają, a strudzone nogi raz po raz zawadzają o nierówności na prawie, że nie uczęszczanej ścieżce. To przeklnie cicho pod nosem „Marchoń” to inny z grupy syknie, wtedy pada cicha „Waclawa” komenda: „Stój – zachować się cicho, te krzaki znajdują się przy samym nasypie kolejowym, gdzie często i pilnie nasłuchując, łążą niemieckie patrole. Palić nie wolno”.

Kładzie się bractwo i tuli do siebie, aby zatrzymać te ciepła odrobinę ciał własnych. Trud nocy i odległość świtu usypia ich i raz po raz któryś zachrapie, jak babcia w czas poobiedniej drzemki. Boi się grupowy i łązi niepotrzebnie budzić zmęczonych. Już jutrzienka rozjaśnia niebo na przyjscie słońca, już słońce świta i cicha pobudka – wstawać, oporządzić się. Trzeba by przegonić to rozespiane bractwo i doprowadzić umundurowanie do tej charakterystycznej sylwetki, cechującej stare frontowe wygi, ale tu to trud zbyteczny. Już słycać lokomotywę – szybko, szybko i kroki się wydłużają, dworzec widać i pociąg toczy się z za stacji. Moment wahania – nie zdążą, wtem niemiecka komenda „In lauf schrit marsch! marsch! Grupen – fuhrer na przedzie i znowu wrzeszczy halt! halt! Pociąg się zatrzymuje. Por. Waclaw z Karlikiem do lokomotywy, a partyzanci – niby Niemcy, po trzech do wagonów. Waclaw trzyma w ręku pistolet i grzecznie a stanowczo: „My polska partyzantka w imieniu itd. Wykonywać wszystkie rozkazy. Za odmowę kula w łeb”. Pomocnik maszynisty – młokos podskakuje z radości i z lubością powtarza „Boże, nasi Polacy” i wali do kotła dodatkową porcję węgla. „Konieczny wykonuj swoje jak ustalono – biegiem do wagonu”.

Wraca Karlik, a tam cywile, przede wszystkim kobiety z tobołami, bańkami, drobiem itp. A na dodatek 2 litewskich policjantów. Minał wagony i do budki z telefonem dyżurnego. Jedno uderzenie kolbą i Karlik telefon rozwalił, wraca biegiem do lokomotywy, co robić z policjantami – rozkaz: „w czasie jazdy rozbroić”. Biegiem na miejsce – w wagonach szum – kobieciny chcą jechać, chłopcy po niemiecku ani w ząb, a po polsku im nie wolno. Tu drużynowy słyca szept „ty, Andzia paczaj, to podobny jak nasz Józik z Landwarowa, co to Niemce na roboty wywieźli – musi go do innego wojska zabrali”. Trudno, za toboły i raus! raus! Po niemiecku kopa w kosz. Już Andzia nie szuka Józika podobnego do tego z Landwarowa, jeno krzyczy: Wyłazuj, bo Niemiec wściekły się. Policjanci również wyłazą, ale wściekły Niemiec ich poklepuje i informuje sojuszników: „nein, nein, my jesteśmy koledzy nie ma sprawy jedziemy razem”.

Pociąg rusza, jeszcze rozpędu nie nabrał, a na każdym policjancie dwóch partyzantów siedzi – już rozbrojeni i potulni pod lufą w rogu wagonu stoją. Po przejechaniu około trzech kilometrów pociąg hamuje i w miejscu uzyskania określonego hasłem sygnału staje. Następuje szybka „tasówka”, niby Niemcy do przedniego wagonu, a jest ich siedmiu i mają bardzo wygodnie.

Drugi wagon nabity pstrokacizną po brzeg, a łączy ich wszystkich tylko ta opaska biała – czerwona, na lewym rękawie noszona. Co oni przemyśleli i o czym marzyli ci młodzi, nikt nie wie, ale na pewno śniła im się ta mnogości granatów, karabinów, i amunicji i wszelkie oporządzenie niezbędne żołnierzowi. To wszystko należy Niemcom z gardła wydrzeć, aby zapłacić okupantom za łzy i krew lejącą się strugami umęczonego narodu, za zdeptaną buciorami najeźdźców świętą praojców ziemię. Koła wagonów zmieniają rytm stukotu, czuć zwalnianie biegu, pociąg wjeżdża na most, a żołnierze w pierwszym wagonie rozsuwają wierzeje na całą szerokość i całością wychylają się, aby niemiecka załoga umocnień widziała, że swoi nadjeżdżają. Pociąg toczy się wolno, ale przeciąga. Pierwszy wagon w biegu się rozładowuje, niemiecki wartownik jest przekonany, bo rozumie wrzask niemieckiej komendy „ableisung aus chteigen”, ale co niektórzy z udających Niemców komendy nie rozumieją, z wagonu za drużynowym nie wszyscy wyskoczyli, a szczególnie ten, którego zadaniem było ubezpieczać go, gdy do bunkrów wejdzie. Z bunkra unteroficer, co wyszedł za potrzebą, a hamujący pociąg go zaciekawił, już spojrzał na drugi wagon i zobaczywszy tą pstrokacizną z białą – czerwonymi opaskami z wrażenia aż przysiadł. Zadrzały łody i w nogi, z nie zapiętym rozpiętym uciekł do bunkra, drzwi ryglując.



Wartownik zrolowany z nasypu, a inne gniazda ogniowe zgodnie z rozkazami komendanta Wilhelma opanowane. Ale bunkra zdobyć nie można, Niemcy już złapali oddech, już się opanowali i grzeją ze wszystkich strzelnic i wszystkimi lufami, pluja pociskami po naszych. Anioł śmierci miota się po polu walki, już „Wilka” granat podrzuca na nasypie, któryś sztywnieje, a inny jęczy. Dopiero rozkaz komendanta Wilhelma: „Granatami w nich!” Anioł śmierci przenosi się do bunkra, a bunkier się pali, to za granatami Karlik grzeje ze zdobytego MG 42, którego taśmę Niemcy sobie uprzednio załadowali amunicją zapalającą. Wali z nasypu po dachu i.... i tak sfajczył się bunkier strupem na polskiej ziemi wyrosły. Co aniołek śmierci skrzydełkiem oczy Niemca zamknie, to szkop kaput. Za uciekającymi Niemcami goni anioł śmierci i pomaga nosić kule, te, co „żołnierze strzelają, a pan Bóg kule nosi, kto Boga uprosi” – niewielu ich uprosiło, choć mieli na sprzączkach pasów napisane: „Gott mit Uns”. Faszyci mieli Boga, ale przez SS zakutego w kajdany. Bóg dał partyzantom wiktoria, choć spodziewaną zdobycz pomniejszył za przelaną krew litewskich policjantów, których zapomniano osądzić. Dziadowie nasi największe wiktoria odnosili, wtedy gdy orły z pogonią razem do boju stawały.

Szczecin, dnia 17 sierpnia 1986.

E. Kroll



ŻYCIE

Życie jak paciorki na nici
Co w sercu bierze początek
A łączy je jedynie wątek
Dzień do dnia podobny
A nie każdy jest dobry
Ból go podnosi od krzyża
Do krzyża
Radość smakuje i uskrzydla
Aż na ziemię przyciśnie krzywda
Faszyści strzelców wymordowali
Zabili i gdzieś pochowali
Płaczą zatroskane matki
Pytają Boga, gdzie ich dziatki?
Dzieci do 19-tu lat nie dożyli

Gdy z rąk niemieckich zginęli
Wojna zerwała różańca wążek
W Kośmiderach był jej początek
Rozsypały paciorki od Workuty
Po Linawijo lasu kikuty
Od Monte Cassino po Lenino
Od St. Petersburg po „Berlino”
Wszystkie jednakie wybrane
A teraz w błotach Wołchowa upačkane
Strach czupryny podnosi
Śpiewano, „ Kto Boga uprosi...”
Bóg daleko w niebie
A ruskie zabijają ciebie
Tu Niemcy a tam Ruscy
Jeden i drugi leje i dusi
Aliant obietnicami kuszą
Których nie musi dochować.
Pod Monte Cassino próchnieją ich kości
Czekają może kości z ojczyzny zagości
Odmówi modlitwę, zapali znicz pamięci
Wspomni w wypominkach i w oku łza się zakręci.
Jak temu co to spisał dla wiecznej pamięci
Wiem, że to płonne nadzieje
Bardzo blisko ...za miedzą
Leżą jego wojenni koledzy
Oni szli zza gór zza rzek
Aż doszli nad Nysy brzeg
Łużycka ziemia jęczy
Tuląc zwłok 28 tysięcy
Wieczny odpoczynek daj
Im Panie.
Niech odpoczywają w pokoju. Amen
Jeszcze żywy Kroll.

10,04,2009r

Korespondencja kombatancka . Wspomnienia i relacje
Kolegów, towarzyszy broni i niedoli.

Odpis

Szczecin, dn. 10.09.1987 r.

Drogi Kolego „Antek” !

Prosiłeś mnie na Wełtyniu o kilka szczegółów z akcji pod Wielkim Polem. Jak sam widziałeś, nie było to miejsce i czas na takie rozmowy. Po prostu panował tam rozgardiasz i chaos, a tym samym nie było możliwe zebranie myśli. Na następnych spotkaniach będzie na pewno tak samo. Rzeczowo i spokojnie można porozmawiać o tak ważnych sprawach tylko w osobistej rozmowie lub listownie. Wybrałem to drugie. Bardzo mnie cieszy, że podjąłeś się opracować historię naszej akcji pod Wielkim Polem, a mniemam, że i innych akcji. Słyszałem też, że i inni mają takie zamiary. To jest bardzo pożyteczne i celowe. Relacje uczestników są bardzo różne – od prawdziwych do bajecznych. Z tego należy wyłuskać rzeczywistą prawdę. Uważam, że jeden człowiek temu nie podoła, ale kilku wybierze ziarno prawdy od plew i stworzy pełną i prawdziwą naszą historię.

Nasz „Czortek” dokonał olbrzymiej pracy, gdyż nas odnalazł i ujął ewidencyjnie. Stworzył też zarysy naszej historii. Teraz naszą historię należy pogłębić i opracować dokładniej. Mogą to zrobić jedynie ofiarni i cierpliwi, ale uważam, że nie pojedynczo, ale w grupie kilku osób. Postaraj się też o pełną relację naszego Komendanta Brygady, przecież on wie bardzo dużo i jego relacja będzie bardzo ważna i cenna.

Odpowiadam na Twoje pytania.

Czy było upozorowanie, że my prowadzimy aresztowanego cywila – partyzanta w kajdanach, tj. naszego dowódcy, por. „Wacława”?

Nie pamiętam tego. Ale logicznie podaje, nie było takiej potrzeby. Może tak planowano, ale my nie stykaliśmy się z obcymi ludźmi i byłoby to bezsensowne. A już na peronie to por. „Wacław” z pistoletem w garści podszedł do parowozu.

Czy parowóz został odpięty od wagonów i miał je objechać?

Uważam, że było to niemożliwe. Tam był tylko jeden tor. Musiałby być co najmniej drugi i zwrotnice. Po prostu pociąg się zatrzymał i ruszył dalej. A my zatrzymaliśmy go ponownie, grożąc bronią, okrzykami „Halt!”.

Gdzie było miejsce opanowania pociągu?

Niektórzy koledzy podają, że była to stacja Czarny Bór. Mnie się wydaje, że był to przystanek pod Czarnym Borem (ja nie wiem, jak wyglądała stacja Czarny Bór). Zresztą meldunek niemiecki twierdzi, że było to 3 km od Czarnego Boru. A temu było trzeba wierzyć.

Ilu nas było?

Niektórzy twierdzą, że 15-tu. Ja dokładnie nie pamiętam. Ale do tego można dojść logicznie. Pociąg był podmiejski, trzy wagony towarowe z ławkami do siedzenia. Jechali w nim cywile, przeważnie kobiety. Do każdego wagonu wkroczyło nas dwóch, a więc było 6-ciu. Plus por. „Wacław” i „Konieczny” („Karlik”) na parowozie („Konieczny” rozbijał też telefon u dyżurnego ruchu), a więc 7-miu plus 1 oficer. Nadmieniam, że mundury mieliśmy i niekompletne, i różne, tj. z Wehrmachtu, lotnicze i organizacji Todta. Byli też ludzie do spółowywania słupów telegraficznych i przecięcia drutów, ale ci nie włączyli się do nas. Wzięcie dwóch litewskich policjantów do niewoli.

Nie rozebrano ich do kalesonów, przecież nie było na to czasu, liczyły się minuty. To nastąpiło później. Oni byli w pierwszym wagonie. Ja ich rozbijałem i rewidowałem. Mieli karabiny Mauzery i po dwa granaty w kieszeniach spodni. Pistoletów nie mieli, bo gdybym je zdobył, to jednego bym nie oddał nikomu. Granaty były „jajkowe” - nie obronne, ale zaczepne. Po rozbrojeniu leżeli na podłodze. Granatami podzieliliśmy się z kolegą. Zostały one zużyte na Wielkim Polu. Kto zabrał karabiny, nie wiem. Po zatrzymaniu pociągu w polu, załadowała się nasza osłona. Dowództwo objął sam Komendant „Wilhelm”. My w niemieckich mundurach przeszliśmy do pierwszego wagonu. Reszta – do następnych. Co się stało w tym czasie z Litwinami, nie wiem, ja miałem inne zadanie, tj. skoczyć do bunkra na Wielkim Polu z okrzykiem „hoende hoch!” (to się nie udało). Prawdopodobnie leżeli na podłodze w wagonie przez cały czas akcji. Tak mi później mówili (ja ich jakiś czas konwojowałem). Kto ich z wagonu wyciągnął, nie wiem.

Jakie były nasze pseudonimy?

Pamiętam dokładnie tylko por. „Wacława” i dowódcę mojej drużyny „Koniecznego”, przezywanego przez nas „Karlikiem”. On był dowódcą „Niemców” i najczęściej wrzeszczał po niemiecku (bo umiał) i nami dowodził przy opanowywaniu pociągu. Pozostałych należy jeszcze ustalić. Ja uważam, że byli to nasi zabici i ranni, bo nasza osłona leżała za nasypem kolejowym i była stosunkowo dobrze osłonięta. Największe straty ponieśliśmy my. Przypuszczam więc, że byli to:

Jastrząb” lub „Jarząbek” (poległy);

Poległy „Warszawiak”

Czy „Warszawiak” był pseudonimem, czy tylko przezwiskiem, nie pamiętam. Było dwóch Warszawiaków, uciekli z organizacji Todta. Jeden zdezerterował od nas z bronią, zgwałcił w jakiejś wsi kobietę i ukradł jej chustkę na głowę. Po schwytaniu został rozstrzelany.

Drugi zginął na Wielkim Polu. Został ciężko ranny i pozostawiony w krzakach, ale nie odnaleziony. Ostrzeliwał się przed Niemcami i popełnił samobójstwo, by nie dostać się żywcem do niewoli. Jego pamięć nie może zagać w naszej Brygadzie!

„Lolek” (Longin Jarmołkiewicz) – ciężko ranny;

„Andź” („Piorun”) - Hipolit Aleksionek.

Ale musisz zebrać od jeszcze żyjących relacje i ustalić, o ile pamiętają, dalsze pseudonimy. Ja tego konkretnie podać nie mogę, nie pamiętam.

Czy była siatka w strzelnicy bunkra (w oknie)?

Nie było tam żadnej siatki. Uważam, że wieść ta pochodzi od tego, który rzucił granat i nie trafił, bo mu rzekomo zawadzała siatka. Ja byłem kilka kroków od strzelnicy i pilnowałem, żeby mnie Niemiec stamtąd nie zastrzelił. Siatki nie było. Zresztą wrzuciliśmy przez tę strzelnicę kilkanaście granatów. Gdzie się podziała siatka? Kto ją usunął?

Spalenie się ostatniego wagonu i eksplozja bunkra. Nic podobnego.

Gdy Brygada była już oddalona, w lesie, ja z kolegą „Piorunem” wróciłem po dwóch rannych. Już tam myszkowali Niemcy. Obserwowaliśmy to z krzaków. Pociąg stał cichy i opuszczony. Zapamiętałem, że z komina parowozu nie było w ogóle widać dymu, chyba całkiem wygasł. Nic się też nie paliło. Bunkier też był cichy, a eksplozja w bunkrze nie wyrwała nawet dachu. Wypaliło się tylko wewnątrz. Zresztą był to bunkier drewniano-ziemny i służył Niemcom za mieszkanie. Dokładniejsze relacje może dać maszynista pociągu pancernego (Polak z Wilna), zamieszkały w Szczecinie Marian Maciejewski, ul Dwernickiego 1. Ten maszynista twierdzi, że wagony były bardzo ostrzelane. Przewidujący był więc rozkaz usunięcia bab z pociągu, bo byłyby wśród nich duże straty.

Jaką broń zdobyto? (jak ja pamiętam)

Karabin maszynowy „MG” zdobył „Konieczny” („Karlik”), ostrzeliwał z niego bunkier i krzychał po niemiecku „Poddajcie się, obejdzie się bez krwi!”. A „Karlika” spod mostu chciał zastrzelić ukryty tam Niemiec. Ponieważ był on zasłonięty, nie można było do niego strzelać. Wykończono go granatami.

Karabin „MG” był potem w naszej drużynie. Zdobyliśmy też kilka Mauzerów po poległych na zewnątrz Niemcach. Plus dwa od Litwinów. Zdobyliśmy też pancerfausta (a może kilka). Ja sam pamiętam, gdy później w lesie ktoś nas instruował, jak się obchodzi z tą nową wówczas bronią. Odjęto głowicę (tj. łeb pancerfausta) i ćwiczone się tylko samą rurą. W

pewnym momencie z rury wybuchł olbrzymi płomień i do przodu, i do tyłu. Szczęście, że nikt nie stał tam, bo byłby niechybnie ciężko poparzony. Ten wypadek powinni pamiętać i inni koledzy – było to na postoju w lesie.

Sprawa uratowania ciężko rannego.

Już to opisałem kiedyś, z tym, że nie wiedziałem nawet jaki jest pseudonim ani rannego, ani tego drugiego. Obecnie, po czterdziestu dwóch latach dowiedziałem się, że rannym był „Lolek” (Longin Jarmołkiewicz), a tym drugim „Piorun” (Hipolit Alesionek). Co mogę dodać? Ciężko ranny był młodziutkim i szczupłym młodzieńcem. Całkiem nagi. Był żywy, bo coś gaworzył i mówił sam do siebie. Nie wiem, czy był przytomny. Nie miał żadnych chęci do poruszania nogami i był raczej obojętny na wszystko. Dziwiło mnie to, że chociaż był ranny odłamkami granatu na całym ciele, krew z niego prawie nie wyciekała. To samo teraz potwierdza i sam „Piorun”.

Gdzie był adiutant Komendanta, ps. „Żuk” (Jan Czerwiński) – my potocznie nazywaliśmy go zastępcą Komendanta.

Był na pewno w Kałudze i w lesie w II Batalionie, koło Charłampiejewa – Prudy. Ja też tam byłem i często z nim się spotykałem (ale dla bezpieczeństwa udawaliśmy, że się nie znamy). On był starszy wiekiem i lasu nie piłował, był krawcem albo szewcem - nie pamiętam, ale wie to „Wacek” (Wacław Iwaszkiewicz), bo był razem z nim. „Żuk” już nie żyje. On uciekł i mu się to udało. „Wacek” też, ale 8 lat odpokutował. Ja też uciekłem i mnie się udało dotrzeć do kraju po 40 dniach.

Tyle mam odpowiedzi na Twoje pytania. O ile będziesz opisywał i inne akcje, służę z przyjemnością. Naturalnie i inni koledzy również, bo ja przecież nie znam wszystkiego, a i dużo już zapomniałem.

Przysyłam Tobie serdeczne pozdrowienia
 i całej Twojej Rodzinie

dawny „Wilk”

Piastów, dnia 3.X.1987 r.

Karlik do Wilka.

Drogi Wilku!

Za otrzymany list i relację z Wielko Pola serdecznie dziękuję. Postaram się odpisać na list, a w dalszej części na pytania odnośnie relacji.

Faktycznie na Wełtyniu staje się tłoczno i pełno rozgardiaszu, mnie szczególnie razi podział na oficerów mających prawo (poparte zaproszeniem kierownictwa) do zabierania głosu. Dzisiaj, kiedy mi włosy spleśniały, trudno mi być tłem dla zasłużonych biorąc pod uwagę fakt, że 2/3 czasu wojny spędziłem na pierwszej linii, a oficerów tam rzadko widywałem. Dziwi mnie Twój żal, iż z Tobą nie przegadałem następnego dnia (4-go września). To takie proste do zrozumienia. Wracałem z pogrzebu (szanowanej i lubianej w naszej rodzinie osoby), zaliczyłem Wełtyń, byłem w kościele na odsłonięciu tablicy i spieszyłem na ślub mojego syna Pawła. Gdzie mi w głowie jeszcze jedno odżegnywanie się od wypitki? Zresztą obyczajaje upadają: wrabiałeś mnie w załatwienie narratora, dobrze, że to sami załatwiliście, bo jeden nazwisko i imię Jacka pomylił, a drugi zapomniał podziękować – najskromniejsze dziękuję. Stał sierota dochodząc, co źle. Prywatnie poprosiłem „Lilę”, aby Mu podziękowała, sam pocieszyłem, że cacy i wsadziłem do taxi i Inspicjenta zawiozłem do domu. Pytam, czyj żal? Czyje pretensje?

Wielko Pole – akcja na umocnienia ochrony mostu na rzece Rudomince. Uważam, że co w tej sprawie było istotnego napisałem i wysłałem „Czortkowi” razem z pozostałymi relacjami z akcji i potyczek, w których brałem udział przebywając w VII Brygadzie. Uważam, że więcej pisać nie powinienem i jeżeli się pomyliłem, to trudno. Jeżeli pamiętam, że nas było przy opanowaniu pociągu 6 gemajnow, jeden gefreiter i jeden oficer, a inni powiadają, że było nas 15-tu albo, jak powiadają Niemcy, 60-ciu - nie moja wina. Ja pozostawiam swoje takie, jakie na żywo bez konsultacji spisałem. Uważam, że każdy ma prawo opisywać swoje przeżycia tak, jak fakty pamięta, kierując się faktami, które z reguły będą subiektywne. Zaś pisanie pod laurkę – od tego się wyłączam. Piszesz mi, Drogi Kolego, cytując: „Mój Drogi, na Wełtyniu spotkałem naszego kolegę z I plutonu „Antka” z Poznania, którego przedstawiłem i Tobie. On się interesuje naszą akcją pod Wielkim Polem. Chce ją opisać, on dobrze zna „Wilhelma”, liczę więc, że w tym jest „Wilhelm””. Taką laurkę pt. „Wielko Pole” napisała siostra „Teo”, drugą prawdopodobnie napisze „Antek”, a materiał Im daje „Wilk” i do tego mnie zaprasza. Niech piszą ci, co tam byli, a inni niech piszą rozprawy historyczne albo fikcje literackie, ale wtedy nie wolno mnie dekonspirować bez mojej zgody i implikować mi bzdur obrażających Ślązaków. Kiedy mnie prowokujesz, to wyrąbię i resztę: Co za bajeczkę wymyślicie o kajdanach – „Wacław” przewodnik kajdankami drogę

Niemcom wskazuje? Kwestionujesz nazwę stacji Czarny Bór – mapę masz, nazwa mówi, że domy w lesie stały, w tamtych czasach Tyś się jeszcze nie golił, a jak „dla Ciebie starszy mówi, że to Czarny Bór, to Ty jemu nie wierzysz”. Kolegom nie wierzysz, a Niemcom wierzysz, bo tak w meldunku napisali, a ja pytam, czy było nas 60-ciu polskich bandytów, przecież w niemieckim meldunku tak jest napisane. Dyskwalifikujesz tych, co widzieli siatkę w oknie strzelnicy (pkt 7 relacji) – drwisz, że do okna granatem nie trafili. Ten pierwszy granat ja wrzucałem i to z mniejszej odległości od okna niżeli jego wielkość, to mnie się rzucony granat odbił od siatki, a stoczywszy się został nakryty niemieckim wartownikiem, na którym z nasypu zjechał śp. „Marchołem”. Czy Ty, „Wilku”, mieszkałeś kiedyś w takim „cekhauzie”? Przypuszczam, że los Ci tego oszczędził. Zakładając, że w takim drewniano-ziemnym bunkrze byłeś, to musisz uznać, że lepiej wie ten, który w tym świństwie mieszkał, a ja mieszkałem. Mogę Tobie powiedzieć, że siatki nie potrzebował nikt usuwać. Wystarczyło tylko roztworzyć skrzydło okna zamykającego strzelnicę i strzelec w „Wilka”, jak do tarczy, który tak blisko był, celował.

Karabin maszynowy MG-42 zdobyłem jak Zagłoba chorągiew, a było to tak: jeden z naszych w niemieckich mundurach wyskoczył za „Marchołem”, a że „Marchołem” zajął się wartownikiem, to on zajął się MG, które było zacięte. To to nie chciało strzelać, więc podał go mnie. Pokrywę zdjąłem, podajnik ustawiłem na przerwie taśmy, pokrywę zamknąłem, zamek naciągnąłem i zagrałem Niemcom czołganego. Sam również odczołguję się na z góry zaplanowane pozycje.

Cieszę się, że tyłu pisarzy nam się narodziło. „Wilk” przestanie mnie popędzać, a spokojnie mogę zabrać się za pożyteczniejszą robotę. Tak na marginesie – dlaczego Ty, „Wilku”, sam nie bierzesz się za pisanie? Pisziesz dużo lepiej od nas wielu, nawet lepiej od tych, co do związku literatów należą, fantazji może Ci niejeden pozazdrościć, jak i oryginalnych dowcipów, np. jak to pastuch batem popędził gerojów zabierających, usiłujących zabrać krowy.

Pozostaję z szacunkiem etc., etc. Ciebie całuję z dubeltówki, Szanownej Małżonce rączki całuję, a całą Partyzanckiej Rodzinie – CZOLEM

Karlik

Żmigród, 21.11.1987 r.

Szanowny Panie!

Piszę do Pana, gdyż zbieram materiały do opracowania pt. „Organizacje Armii Krajowej podczas realizacji planu „Burza”. Będzie to poszerzona wersja mojej pracy magisterskiej, obronionej w 1984 r. Interesują mnie przede wszystkim problemy związane z organizacją i działaniami oddziałów partyzanckich AK w okresie realizacji „Burzy”. Zbieram też materiały dotyczące rozwoju siatki konspiracyjnej.

Chciałbym od Pana uzyskać trochę informacji o 7 brygadzie Okręgu Wilno, której dowódcą był „Wilhelm” (W. Tupikowski). Wdzięczny byłbym Panu za uwagi dotyczące następujących spraw:

Okoliczności, w których znalazł się Pan w 7 brygadzie „Wilhelma”.

Struktura organizacyjna brygady (wg moich materiałów latem 1944 r. brygada składała się z trzech plutonów strzeleckich, zwiadu konnego, plutonu kwatermistrzowskiego, lecz nie znam nazwisk i pseudonimów dowódców drużyn i plutonów).

Liczebność, umundurowanie, wyżywienie, życie codzienne, trasy przemarszu, miejsca kwaterowania, ważniejsze walki do lipca.

Działania 7 brygady w lipcu 1944 r. i okoliczności jej rozwiązania.

Informacje o brygadzie „Gozdawy”.

Będę Panu wdzięczny za pomoc w ustaleniu tych faktów. Każda informacja będzie dla mnie bardzo cenna.

Jeszcze kilka słów o sobie. Mam 27 lat, w 1984 r. ukończyłem studia historyczne, obecnie pracuję w SP nr 37 we Wrocławiu. Materiały do dziejów AK zbieram od kilku lat.

Kończąc, serdecznie Pana pozdrawiam i łączę wyrazy szacunku

Leszek Ubowski

PS. Mój adres:

Leszek Ubowski
ul. Wrocławska 46
55-055 Żmigród

Leszek Ubowski
ul. Kolisty 24 m.14
54- 152 Wrocław

Wrocław, 10.03.1988 r.

Szanowny Panie!

Dziękuję bardzo za nadesłane materiały. Odpisuję z opóźnieniem, gdyż zmieniłem miejsce zamieszkania. Dostałem mieszkanie we Wrocławiu (adres powyżej).

Wspomina Pan o ciężeniu Ślązaków (Kaszubów, Mazurów) ku Niemcom. Z problemem tym się zetknąłem, gdyż przez dwa lata mieszkałem w Bytowie. Prymitywnymi ocenami przymusowego zaciągu ludności autochtonicznej do armii niemieckiej można spotkać się jeszcze obecnie. W pierwszych miesiącach stanu wojennego, podczas akcji propagandowej skierowanej przeciwko działaczom „Solidarności” podkreślano, że ojciec Jana Rulewskiego działał w armii niemieckiej.

Jeżeli chodzi o 7 brygadę „Wilhelma”, to wdzięczny byłbym za dalsze informacje dotyczące następujących spraw:

„życia codziennego” w brygadzie (rozkład dnia, wyżywienie, szkolenie, miejsc postojów, warunków higienicznych, sanitariatu, działalności kapelanów),

umundurowanie i uzbrojenie,

przebiegu rozbrojenia oddziału przez Sowietów.

Będę Panu bardzo wdzięczny za adresy byłych żołnierzy wileńskich i lidzkich oddziałów AK.

Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Serdecznie Pana pozdrawiam i łączę wyrazy szacunku

L. Ubowski

Piastów, dnia 23.VI.1988 r.

Szanowny Panie!

List Pana z dnia 10-go marca br. otrzymałem. Trudno mi się cofać w przeszłość, do tego potrzebny jest nastrój, a mnie coraz trudniej znaleźć czas na wspomnienia. Jestem, co prawda, na emeryturze, lecz z emerytury trudno wyżyć, więc dorabiam, do tego inne powinności. Ostatnio powiększam mój domek, gdyż syn mi się ożenił i nie ma gdzie mieszkać. Proszę o wzięcie powyższego pod uwagę i zrozumienie tego, że dopiero dzisiaj odpisuję. Z drugiej strony, aby odpowiedzieć na pana Leszka pytania, należałoby książkę napisać.

Ad. 1.

życie codzienne – dzień do dnia niepodobny i każda drużyna różna od pozostałych drużyn, a wszystko to zależy od czasookresu, o którym mamy pisać. Jeżeli na początku roku 43, to oddział liczył około 15 partyzantów nocujących w domu. W czasie, kiedy ja tam byłem, to były dwa kompletne plutony i trzeci w trakcie formowania, do tego dochodzą pozostałe służby, jest to połowa kwietnia 1944 roku. Przeciętny dzień bez walki lub innych specjalnych wydarzeń wyglądał mniej więcej tak: Rano zbiórka przed kolejnym przemarszem do następnego miejsca postoju. Komendant dokonuje przeglądu, wyznacza służby, przyjmuje raporty, itp. Po wyznaczeniu plutonu służbowego dowódca plutonu wyznacza pierwszą drużynę, która ubezpiecza przemarsz oddziału. Odbywa się taki przemarsz jak w każdej armii z tym, że całość maszeruje gęsiego. Na miejscu postoju drużyny zajmują kwatery wg uprzednio stosowanych zwyczajów (w każdej z miejscowości już wielokrotnie kwaterowaliśmy). Jeżeli pierwszy raz, to kwatery zajmowano często na zasadzie powiązań rodzinnych, a czasami z rozkazu przełożonych. Miejsce postoju ubezpiecza drużyna prowadząca ubezpieczenie marszu, a ta zaś zostanie zlurowana przez następną drużynę do ubezpieczenia nocnego. Ubezpieczenie postoju wpuszcza do wioski (lub zaścianka) każdego, a z miejsca postoju nie wypuszcza nikogo. Podejrzanych przybyszy sprawdzano. Trzecia drużyna służbowego plutonu stanowi patrol żywnościowy, a ten jest odprawiany w zależności od sytuacji do odbierania przygotowanej żywności lub udaje się w wyznaczony rejon kwesty. Wyglądało to np. tak: Służbowy jest trzeci pluton, a 7-ma drużyna stanowi patrol żywnościowy. Rejonem kwesty zaś jest wioska Pupiszki. Drużyna ubezpiecza się 2-ma szperaczami, a reszta maszeruje szeregiem do wsi. Wieś penetruje dochodząc do jej przeciwległych krańców, tam osadza ubezpieczenie (kierunek niezbadany). Sołtys wyznacza podwodę, podwoda wie, co ma zabrać i zajeżdża na krańce wsi. Partyzanci

kwestują od domu do domu „co łaska dla partyzantów”. Na podwodzie wyznaczony przez sołtysa woźnica pakuje jaja do kosza z sieczką, mleko zlewa do konwi, chleb a czasami i kawałek słoniny wrzuca do skrzyni. W miarę przesuwania się kwestujących partyzantów w kierunku powrotnym, wycofuje się ubezpieczenie. Organizacja powód, współpraca z wójtami i sprawność zbiórki żywności była zorganizowana przez lokalne komórki konspiracyjne. Mogę stwierdzić, że życzliwie nas przyjmowano i dzielono się często ostatkami. Omówiłem przebieg dnia w plutonie służbowym, gdzie jedna drużyna prowadziła ubezpieczenie przemarszu, druga była patrolom żywnościowym, a trzecia pogotowiem – odwozem, a w nocy zamieniała się z pierwszą w ubezpieczaniu miejsca postoju. szkolenie – plutony nie mające służby były albo kierowane na patrole, lub inne – często zadania specjalne. Szkolenie z bronią odbywało się indywidualnie w drużynach, musztra była przez partyzantów bojkotowana. Cała brygada była skierowana do Taboryszek, gdzie przeszła intensywne, dwutygodniowe przeszkolenie unitarne, które zakończono uroczystą mszą św. i defiladą.

miejsca postojów – stolicą 7 Wileńskiej Brygady AK Okręg Wilno była wioska Skorbućiany. Tam jest mały kościółek drewniany i tam grzebano naszych poległych partyzantów. Kwaterowano nas w różnych wsiach i zaściankach, m.in. Ternianach, Gaju, Jurgielenach, Mereszlanach, Rykontach, Zwierzyńcu, Popiszkach i wielu innych, których nazw nie pamiętam.

warunki higieniczne – każdy partyzant dbał o swoje indywidualnie, a tradycja bani (łaźni) pozwoliła uniknąć zauszenia, a może i to, że sypialiśmy w stodołach na sianie.

sanitarne – służba sanitarna liczna, na każdy pluton jeden sanitariusz lub sanitariuszka, przy sztabie oficera siostra przełożona, a w czołówce zakonspirowany szpital polowy z lekarzami i pielęgniarkami.

działalność duszpasterska kapelanów – okresowo w naszej brygadzie przebywało dwóch kapelanów. Cały czas obowiązki naszego kapelana pełnił ks. „Gerwazy”. Wszystkie niedziele i święta były przez Kapelana spowiedź, msza święta. Kapelan przyjmował uroczyście przysięgę. Modlił się na pogrzebach poległych, a śmiertelnie rannych sposobił na żywot wieczny.

Ad. 2.

Umundurowanie i uzbrojenie - ubrania nasze były podobne do mundurów, w większości były to mundury niemieckie różnych formacji. W pierwszym okresie pierwsza drużyna pierwszego plutonu była jednolicie umundurowana w zdobyczne, w kolorze khaki, mundury zdobyte na Holendrach i uzbrojona w jednolitą broń. Broń

w całości zdobywana lub taka, z jaką przychodzili ochotnicy. Zasadniczo jednoczyła nas opaska biało-czerwona noszona przez wszystkich i tych nie umundurowanych, i tych z szarżą, i szeregowych.

Ad. 3.

Przebieg rozbrojenia oddziału przez Sowietów – Goryoz rozbrojenie. Dnia 16-go lipca 1944 roku po długim i męczącym marszu Brygada nasza osiągnęła miejscowość Bogusze. Przemarsz ten pamiętam jako imponujący znaczną ilością pododdziałów dobrze uzbrojonych, nasyconych bronią maszynową. Budował fakt, że z mijanymi oddziałami Armii Czerwonej wymienialiśmy pozdrowienia żołnierskie, a żołnierze rosyjscy wiwatowali na cześć „partizanów”.

Bogusze – wioska rozłożysta, rozległa. Rano dnia 17 lipca krótko przed pobudką pierwszy pluton otrzymuje rozkaz meldowania się u Komendanta „Wilhelma”. Przed kwaterą sztabu oczekiwaliśmy długo na dyspozycje. Około godz. 8.00 wyszedł Komendant, raportu nie przyjął, polecił zbiórkę w marszu drużynami. Dowódcy plutonu jeszcze nie mieliśmy, obowiązki te pełnił plut. pchor. „Strzała”. Komendant uzbrojony jak zawsze (lecz bez MP) szedł w środku, mając „Strzałę” i mnie po bokach. Prowadziliśmy rozmowę z Komendantem, który wykazywał wiele troski o dalsze nasze losy. Był pełen nadziei co do wyników prowadzonych rozmów z Sowietami. Byłem przekonany, że rozmowy te są prowadzone w Boguszach i my ubezpieczamy Gen. „Wilka”. Prowadząc rozmowy, Komendant „Wilhelm” wyprowadził nas drogą polną do szosy. Szosą szliśmy kawałek w kierunku wschodnim i za większymi zabudowaniami skręciliśmy pod kątem prostym na północ, po polnej drodze prowadzącej do widocznego lasu. Na samym rogu tego odejścia drogi stał domek. Przed domkiem przebywał luzak z dwoma osiodłanymi końmi, nad głowami terkotał kukuruźnik. Komendant powiedział znamienne zdanie, które często przemyślałem, „niepoprawni z fasonem na kobyłce – pilot policzy i sprawdzi listę obecności”. Jak doszliśmy do lasu „Wilhelm”, widocznie kończąc myśl, mówi „z nimi należy sposobem. Miałem dać pluton osłony, wszyscy widzą - jest pluton. A tu w lesie od nocy czeka drugi pluton, ja ich znam”. Faktycznie w lesie zauważyłem wielu naszych. Zalegliśmy na samym brzegu lasu. Rozdano nam Biuletyny bieżące i stare, zaległe. W krótkim czasie po naszym przybyciu słychać donośne „aresztowany”. Ja słyszałem aresztowany i myślałem – Gen. „Wilk”. Widocznie to było: „aresztowani!!!”. Komendant alarmem podrywa oddział, słychać powtarzające się komendy. „Strzała” i ja z naszymi drużynami wychodzimy z lasu, a byliśmy na jego brzegu. Drużyna „Strzały” rozwija się w tyralierę po lewej stronie tej drogi, po której dopiero co przyszliśmy, a moja drużyna rozwija się po stronie prawej. „Wilhelm”

idzie środkiem drogi, „Strzała” i ja po bokach, za nami z lasu wysypują się roje następnych drużyn, formując tyraliery. Od szosy z kierunku wschodniego galopują „pograniczniki” (zielone otoki), a ich komandir rozkazuje: ”okrużaj”. „Strzała” ładuje broń. Trzask repetowanych zamków. Jeden z Ruskich, może zastępca dowodzącego, odpowiada: „kako budu ich okrużać, kako oni w tyralieru idut” (ja po rusku nie potrafię, ale dobrze pamiętam słowo w słowo). Konni zawinęli się w miejscu i zawrócili. Idziemy dalej, wychodząc z niecki zagłębienia terenu, widzę szosę, a na jej poboczu (od naszej strony) ckm-y na stanowiskach (duże) wycelowane w naszym kierunku, za drogą zamaskowane samochody i kilka czołgów również zamaskowanych. Nad nami terkocze dwupłatowiec. Od stanowisk ckm-ów odchodzi sowiecki oficer i szybkim krokiem zbliża się do nas. Oficer ten zatrzymuje się naprzeciw Komendanta i salutując zaprasza na rozmowę na osobności. Niesubordynowany „Strzała” rozumiejący język rosyjski mówi po rosyjsku: „My komendanta nie puścimy”. Ruski oficer po rosyjsku: „Żołnierze wam nie ufają”, a wtedy nasz Komendant odpowiada, tym razem również po rosyjsku: „mnie tak, ale wam – nie”. Sowiet robi w tył zwrot i bardzo szybkim krokiem zmierza do stanowisk ckm-ów. Miałem takie odczucie, że jak dojdzie do stanowisk – ckm-y otworzą ogień, a mnie dostanie się po nogach. Szczęściem ognia nie było, a my doszliśmy szczęśliwie do szosy, gdzie obłudnicy szpalerem między tyłkami ckm-ów, a zamaskowanymi czołgami salutując nas przepuścili. Maszerowaliśmy z powrotem do Boguszy i dalej szliśmy całą noc po różnych wertepach, ciągle zawracani przez ruskie służby ruchu drogowego, przez przemarsze różnych kolumn wojskowych. Rano dowlekliśmy się koło Starych Rakanontów, gdzie wleźliśmy w przygotowany worek. Czołgi zarygłowały odwrót, samoloty szturmowe z wkm-ów dały serie ostrzegawcze. Podeszło trzech oficerów sowieckich z dyktatem złożenia broni. Tak została rozbrojona 7 Brygada „Wilhelma” AK Okręgu Wilno, mająca stanowić osłonę rzekomej dekoracji zasłużonych dla koalicji dowódców oddziałów Okręgu Wilno, podstępnie zwabionych, rozbrojonych i wywiezionych tak, że ochrona tego nie zauważyła.

Z n i e w o l e n i!!! i sprzedani przez zachodnich sojuszników ruszyliśmy odwiecznym szlakiem prowadzeni pod bagnetem sojusznika Wielkiej Zwycięskiej Koalicji.

„Karlik – Konieczny” Ewald Kroll

Piastów, 23.VI. 1988 r.

Bądź pozdrowiony, Piorunie!

Widzę, że tego nagrania nie otrzymam, jeżeli zaległej korespondencji nie odwołę. Mnie jest tak trudno pisać i ciągle się boję, że to nie to, co chcę powiedzieć. Kiedyś pisałem do „Czortka” – zdawało mi się, że zrozumiałe, a efekt jest taki, iż w tej ostatniej historii przez Niego autoryzowanej – zostałem zdekonspirowany jako były wermachtowiec. Opis akcji pod Wielko –Polem wcale nie wyjaśnia, po co tę drużynę przemundurowano. Akcja w dniu 7 lipca daleko odbiega od faktów, m.in. dzieje się to przed reorganizacją, a „Marchoń” ginie jako dowódca 8 drużyny, a „Kaczka” jako karabinowy rkm-u 7-mej drużyny.

Siostra „Teo” w swojej pracy, pt. „Wielko Pole” również nie liczy się z faktem i podaje, jak to prostą drogą dezerterski „Karlik” dołącza do Brygady. „Prostą drogą”. A ta droga wcale a wcale nie była prosta, a raczej pogmatwana tak, jak drogi większości Ślązaków. Aby wyjaśnić stan faktyczny załączam „Przedmowę” do książki Juliusza Niekwasza i streszczę moją drogę do wolności.

Urodziłem się w Kośmidrach w powiecie lublinieckim na Białym Śląsku, „gdzie białe brzozy znaczą drogi a ziemia nasza nie rada chleba rodzić”. Wioska nasza była bardzo biedna, przedzielona granicą (z Niemcami), w lasach siedziała – rozłożona nad rzeką Lublinicą. Przemysłu u nas nie było, woda i las nas żywiły. Po 600-letniej niewoli, polskości uczyłem się w Orłętach, a ducha kształtował mi Związek Strzelca. Ten Związek w 1939 r. oddelegował swoich wychowanków do OPL-u i Pomocniczej Służby Ochrony Granicy. Za tę ochronę granicy w pierwszych dniach pamiętnego września oddali swe bardzo młode życie Strzelcy: Kurcyk, bracia Paweł i Karol Światłowie i Pyka. Niemcy ich rozstrzelali, a zwłoki tak ukryli, że do dnia dzisiejszego ich szukamy. Wszyscy nasi Strzelcy walczyli od samej granicy i w walkach doszli – jedni do Sarn, inni do Janowa Lubelskiego, a jeszcze inni, np. ja do Warszawy. Dużo czytam o II Wojnie Światowej i nigdzie nie spotkałem się z opisem udziału „Strzelca” w walkach obronnych we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Ta formacja paramilitarna związana z legendą Józefa Piłsudskiego nie jest popularna i tak męczeńska śmierć Kośmiderskich Strzelców, udział pozostałych poszły w zapomnienie, a może i zatajenie. Słyszałem w radiu „Wolna Europa”, że najwięksi germanizatorzy ludu śląskiego to Bismarck, Hitler i PRL. Coś w tym jest, bo te moje Kośmidry tak w przeszłości polskie, w

„odrodzonej” w całości są za Niemcami. Jest to wina takich układów podobnych do mojego przypadku: Polakowi nie wytłumaczysz coś w Wehrmachcie szukał. Miejscowe władze wołały mieć do czynienia z wracającym z niewoli Ślązakiem, niżeli z politycznie zaangażowanym Akowcem. ZBOWiD zaś za karę, żeś z Wehrmachtu zdezerterował, w swoje szeregi takich nie przyjmował. Niemcy zaś wszystkich zapraszają na wczasy, mareczkami deprawują i grzmią na cały świat o swojej neomniejszości w Polsce. Przez 40 lat nie podawałem i nadal niechętnie podaję tego, z czego powinienem być dumny, ukrywam fakt dezercji z przymusowej służby. Wymyślam bajki, jak znalazłem się w wileńskiej partyzantce, a towarzysze broni bez upoważnienia dekonspirują mnie gdzie się da i to czy trzeba czy nie trzeba o naruszeniu Konwencji Genewskiej. Z godnością zawsze podawałem moją przynależność do VII Brygady AK Okręg Wilno. Jak się tam dostałem, opiszę w następnym liście.

Dołączam moje pozdrowienia dla wszystkich moich sercu miłych kolegów, których całuję po tysiąc razy – „Karlik”. Szczególne pozdrowienia załączam Paniom, jak stwierdza „Róża”, Przeuroczym Małżonkom, czego nie neguję i pozostaję, etc.

Ewald

PS. Proszę o przekazanie moich żali zasadniczemu „Czortkowi”, a jak się spotkamy, poproszę o wyjaśnienie, gdzie mnie zaliczył. Czy do sklerotyków?

„Konieczny”

Gdańsk, 08.07. 1988 r.

Drogi Karliku!

Serdecznie dziękuję za długi, szczerzy i serdeczny list, który przeczytałem kilka razy z wielką uwagą. Piszesz w nim to, co Cię boli i smuci, o podejściu do tej sprawy niektórych kolegów i koleżanek. Powiem Ci szczerze, nie bierz do głowy. W życiu swym robiłeś tak a nie inaczej. Życie to Twoja sprawa i innym wara od Twego życia i podjętych przez Ciebie decyzji przymusowych i patriotycznych. Uważam, że jesteś absolutnie w porządku wobec siebie, Boga i ojczyzny. Ty o tym najlepiej wiesz.

Miałem trochę trudności w nagraniu. Jak to u nas jest. Pożyczysz jednemu, a ten dalej i dalej. Moje taśmy wróciły już pozamieniane i nie są w tak dobrym stanie. Ale mój zięć Tadzio (tam w dworku, gdzie byłeś) nagrał je na japońskich urządzeniach i tylko tak, jak się dało to zrobić.

Poza tym u mnie nic nowego. Byłem w Wilnie i niedawno wróciłem. Miałem bardzo dużo korespondencji, jak również zaległości na działce i malowanie mieszkania.

Z „Czortkiem” spotykam się rzadko i nasze zdania nie są zawsze zbieżne. Teraz właśnie idziemy na spotkanie u niego, aby ustalić miejscowości naszych kolegów, tj. Ich grobów na terenie Wileńszczyzny. Prawdopodobnie 15-go pojedę do Sokółki. Tam będzie odsłonięcie tablicy tych, co przyszli z Puszczy Rudnickiej do Polski i legli na polskiej ziemi.

Bardzo Cię przepraszam za tak krótki list, ale postaram się w następnym opisać mój pobyt w Wilnie.

Kochany, koniecznie trzymaj się i nie słuchaj bredni nieprzyjaznych Ci.

Zawsze Ci serdecznie przyjazny

„Andź” „Piorun”

Piastów, dn. 31.VII. 1988 r.

Witaj, Piorunie!

Przesyłkę otrzymałem, za którą jeszcze raz dziękuję i za miły list, a szczególnie słowa pociechy. Nawiązując do obietnicy opisuję moja drogę do VII Brygady „Wilhelma”.

Jak Niemcy wymyślili, żeby polskich Ślązaków, zamiast do więzień pchać, zmykać ich w Wehrmachcie, tak i mnie wsadzili w mundur i pognali kompanią marszową do Francji (jak mojego dziada w latach 70-tych), a z Francji na front wschodni. Tam dwie zimy utrzymywałem piekielny przyczółek w błotach Wałchowa. Jeżeli ktoś sobie myśli, że przejście pierwszej linii frontu jest proste, to jest w wielkim błędzie. Są takie fronty, że pojedynczy człowiek bez pomocy innych linii takiej prawie nigdy nie przejdzie. W takiej matni, w piekle, wśród trupów w bloku, czerwonce i gorącznie błotnej, słabo mówiący po niemiecku, jedyny Polak w kompanii – trwałem żywy. Czekałem na okazję, długo czekałem, a nadarzyła się po dwóch zimach. W pierwszych miesiącach 44 roku. Zostałem drugi raz ranny i samolotem przetransportowany do Wilna. Nawiązanie łączności z ruchem partyzanckim nie było ani łatwe, ani proste. Przecież nikt nie będzie na ul. Mickiewicza czy Miłosiernej prosił o miłosierdzie, wołając: „zabierzcie mnie, polskiego Ślązaka do partyzantki”. Jako ozdrowieniec długo szukałem kontaktu, ale jak zawsze tam, gdzie zawiedli mężczyźni, kobiety pomagały. Mojego tokowania opisywać nie będę. Dość, że powiem, iż taki kontakt został nawiązany i zaraz mogłem pójść do ludzkich oddziałów. W ten sposób ubezpieczony zacząłem szybko zdrowieć. „Wiosna nadchodziła, do lasu pora”. Teraz należało jeszcze oszwabić Szwabów, niemieckich skrupulantów. Zwolniony ze szpitala, z rozkazem wyjazdu w kieszeni, uzyskuję u oficera służbowego na dworcu wileńskim marszrutę do macierzystej jednostki. Skrupulatnie odnotowany, cichaczem opuszczam dworzec wileński. Ubezpieczony o bezpieczeństwo rodziców i rodzeństwa wsiadam w dryndę i jadę na punkt kontaktowy. Biedne siostry Sienkiewiczanki z ul. Miłosiernej – kontakt na oddziały ludzkie urwał się. Ta dzielna rodzina Sienkiewiczów dwa miesiące ukrywa dezertera, którego żywią, a często pocieszają, a stawką jest życie nas wszystkich. Na początku kwietnia Danusia Sienkiewiczanka uzyskała kontakt przy ul. Kalwaryjskiej w oficynie pod nr 17/19 w mieszkaniu państwa Leszczyńskich. Tam weryfikację przeprowadził pan dr inż. Wendekier

(po rozbrojeniu poznałem pana inż., z którym pracowałem). Przydzielony przewodnik przewiózł mnie do majątku Skorbuciany, gdzie komendant „Wilhelm” powierzył mi obowiązki drużynowego 7-mej drużynowego formowanego III-go plutonu, którego dowództwo przejął plut. pchor. „Szczęśny”. W tym czasie, kiedy mnie przyjmowano, pełnił „Szczęśny” dowództwo 8-mej drużyny. Oto w ten sposób znalazłem się w VII Brygadzie.

Zdaje mi się, że na przyjęcie do partyzantki zasłużyłem, służbę pełniłem sumiennie, życia i zdrowia nie szczędziłem. Zachowałem wierność partyzanckiej AK-owskiej przysiędze, po rozbrojeniu uciekłem i do stycznia 1945 roku czyniłem powinności wyznaczone mi przez przełożonych. Po rozwiązaniu AK wstąpiłem do tak zwanego Odrodzonego Wojska Polskiego. W szeregach II armii ukończyłem służbę 10 września 1945 roku w miejscowości Greifenberg n. Pomer, gdzie zostałem zdemobilizowany w stopniu sierż. pchor.

Jeżeli interesuje Cię mój dalszy los, to mogę opisać służbę w Wojsku Polskim, ale w następnej korespondencji.

Będę na Wełtyniu. Mam nadzieję, że się tam spotkamy. Na to spotkanie bardzo się cieszę, szczególnie, że chciałbym skomentować wynik moich przemyśleń, a mianowicie udział VII Brygady, a raczej brak udziału naszej brygady w Akcji „Burza”.

Dołączam pozdrowienia dla Wszystkich,
a Szanownej Małżonce rączki całuję,
Ciebie z dubeltówki

„Konieczny - Karlik”

Ewald Kroll
„Konieczny – Karlik“
ul. Kujawsja 2a
05-820 Piastów

31.I.1989 r.

Komendant 7 Brygady „Wilhelma”
Okręgu Wileńskiego AK
Pan płk Wilhelm Tupikowski

/Droga służbowa/

Raport

Stosownie do obecnie stosowanej praktyki, przekazuję wnioski odznaczeniowe (dwa) wyróżniających się partyzantów, którzy jako żołnierze podporządkowani byli moim rozkazom w akcjach, do których wyznaczony rozkazem Pana Komendanta dowodziłem.

Melduję, że przedstawieni do odznaczenia wyróżnili się w sposób szczególny i wg co prawda zawodnej pamięci zasługują na wyróżnienie. Jeżeli w czym pobrałem, proszę Przełożonych o wniesienie korekty.

Dla lepszego przybliżenia tamtych dni korzystałem z dostępnych dokumentów źródłowych niemieckich, których wypisy cytuję przy wnioskach.

Odmeldowuje się
dawny „Konieczny – Karlik”,
a obecnie Ewald Kroll

Gdańsk, 03.09.1991 r.

Drogi Karliczku!

Zgodnie z naszą rozmową w Podrodziu, podaję Ci odtworzone osoby, które na pewno brały udział w akcji Wielkie Pole jako Twoja drużyna w mundurach niemieckich. Są to:

„Lolek” Longin Jarmołkiewicz - obecnie mieszka we Wrocławiu.

„Andź”, „Piorun” Hipolit Alesionek – Gdańsk.

Wilk Józef Garbaczonek – Szczecin

oraz Ty. Moim zdaniem są to osoby, które na pewno zasłużyły na Krzyż Walecznych.

Jakie jest Twoje zdanie na temat Lilki Dobrzyckiej za przygotowanie udanej akcji rozbrojenia Holendrów w Białej Wace oraz działalności w Skorbucianach?

Ja z „Andziem” wybieramy się do Komendanta do Poznania. Jemu chcemy przedstawić tę sprawę i uzyskać akceptację, bo to jest warunek składania wniosków odznaczeniowych.

Składu Twojej liniowej drużyny w 3-cim plutonie nie jestem w stanie odtworzyć.

Oczekuję szybkiej odpowiedzi

Czortek

Gdańsk, 09.08.1994 r.

Czołem Karliczku!

Przesyłam Ci na pamiątkę zdjęcie z naszego spotkania z Gdańska. Jak dojechałeś do domu, jak ze zdrowiem? Czy poprawiło Ci się samopoczucie?

Ja po naszym spotkaniu byłem ponownie z transportem w Wilnie. Zawiozłem 1,3 tony lekarstw i duży samochód z dużą przyczepą mebli dla Polskiego Uniwersytetu Wileńskiego od Uniwersytetu Gdańskiego. Oni tam już kupili na własność budynek, obecnie remontują i meblują, aby z początkiem roku akademickiego rozpocząć normalne zajęcia dydaktyczne. Obecnie jestem na etapie poszukiwania mebli na porządne wyposażenie apteki darów dla ludności. Może w tej materii mógłbyś coś pomóc. Wiesz, CEFARMY często wymieniają w swoich aptekach meble, może mogliby podarować lub je przecenić, aby można było tanio zakupić. Remontować je i odnawiać będziemy na miejscu w Wilnie.

Pokombinuj coś w tej sprawie. A może jest szansa na uzyskanie jakiejś pomocy od Twoich znajomych z Niemiec? Pomyśl.

My się jakoś czujemy.

Czy tydzień w tym roku w Międzyzdrojach 18-22.09.94 koszt 1 doby 180.000,-
Ja z Krysią będziemy. Liczę, że się zobaczymy.

Oczekuję wiadomości

Janusz

Kośmidry, dn. 14.VIII.1994 r.

Czołem Czortek!

List Twój otrzymałem, za pamięć i zdjęcie dziękuję. Czuję się nieszczególnie, noga mnie boli a dusza moja chora.

W Międzyzdrojach będę, aby nie mówili, że oszkalowałem Wilnian i na koleżeńskie spotkanie nie przyjeżdżam. Ludzie różnie plotą, ale przeraża mnie moja reakcja, zagryzam się, miejsca sobie znaleźć nie mogę, a do tego jestem sam. Jak to jest możliwe, żeby (przecież to docent) Antoni Kaczyński powtarzał mi za innymi, że w moim wystąpieniu w TVP z dn. 26.05.1991 r. pt. „W moim sercu Śląsk i Wilno” w stwierdzeniu „nikt mnie nie wydał, bo mnie nie znali” oszkalowałem Wilnian. Dnia 9 maja 1987 r. w kościele pod wezwaniem św. Bartłomieja w czasie uroczystego odsłonięcia tablicy – epitafium naszej brygady komendant Wilhelm Tupikowski między innymi mówił o zdrajcach, sprzedawczykach i judaszach, którzy swoich kolegów sprzedali (taśmę posiadam). Komendantowi nikt zarzutu o szkalowanie Wilnian nie czynił? Jak to ma być? Mam głosić, że Wilnianie to sami niepokalani?

Kochani, za moje serce, za to, że Was kocham i myślałem, że jestem jednym z Was, iż krew przelana nas łączy – ciągle pomówienia. Powiedz sam, czy w tej sytuacji masz prawo oczekiwać ode mnie aktywnego udziału w Twoich szczytnych zamiarach? Co tylko uczynię, będzie przyjęte za naganne.

W tej sytuacji wycofuję się z uprzednio podjętych zobowiązań i pozostaję z poważaniem

„Konieczny - Karlik”

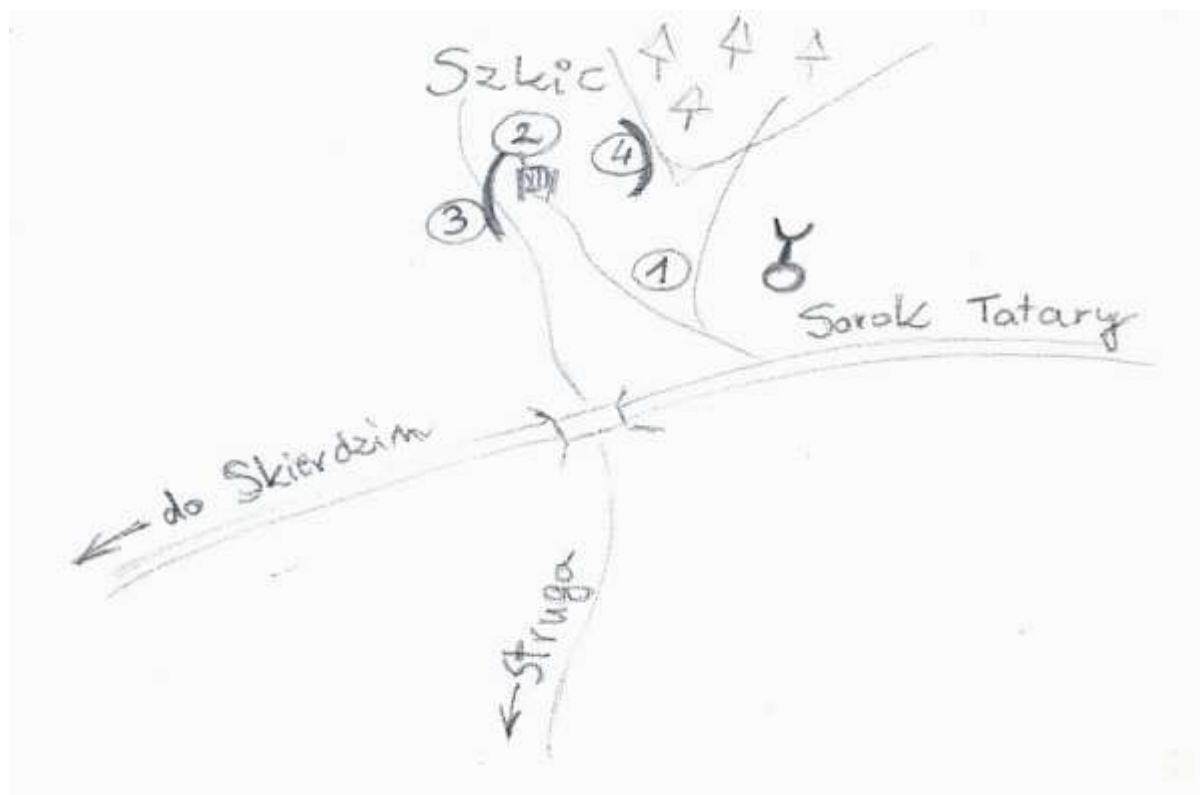
4.5 OSTATNI STRZAŁ

Po demobilizacji Oddziału uzyskałem miejsce i schronienie w majątku Państwa Dobrzyckich w Skorbucianach. Rano dnia 7-go lub 8-go lipca 1944 roku przybył do majątku Inspektor „Czarny Jan”. Z jego rozkazu łączniczka „Lila” udała się w teren, a Inspektor pozostał na miejscu oczekując na innych łączników. W dniu poprzednim, czyli wczorajszym, samoloty niemieckie dokonały nalotu na kolumnę wojsk sowieckich, zaskoczoną w marszu pomiędzy Ternianami a Skorbucianami – zostało rannych wielu żołnierzy. Kiedy przybył Inspektor „Czarny Jan”, z majątku ewakuowano rannych (uprzednio tam znoszonych), panował duży ruch karetek sanitarnych. Inspektor wybrał kryjówkę w łanie żyta i tam Inspektora ubezpieczałem. Lipiec, na niebie ani jednej chmurki, skwar się nasila, powietrze stoi zastoiną, a słońce praży jak w piecu chlebowym i płucom brakuje powietrza. Wyprosiłem u Inspektora pozwolenie na ubezpieczanie kryjówki spod drzew parkowych. Jak pan „Czarny Jan” wytrzymał ten czas, trudno mi pojąć, ale wytrzymał do nadejścia pierwszych łączników i pierwszych grup żołnierzy. Wieczorem zebrała się już spora gromada, a rano dnia następnego na majdanie i w parku panował wielki ruch i rozgardiasz. Zameldował się por. „Poraj” z dwoma samochodami załadowanymi kopiasto karabinami. Na obrzeżu parku kopano wielki dół, w którym zakopano nietypowe karabiny, orezanki i różny zbrojarski złom.

Ruszyła kancelaria, formowano nowe drużyny, plutony, kompanie. Wydawano zaświadczenia, przydzielano broń. Każdy uformowany oddział wymaszerował na nowe miejsce postoju.

W tym czasie kolegowałem się z Włodkiem Brylem, ps. „Strzała”. Razem przydzielono nam drużyny i ruszyliśmy na wyznaczone miejsce postoju, którym były Sorok Tatory. Zaraz po zajęciu kwater alarm i zbiórka. Na zbiórce zastałem drużynę „Strzały”, która była drużyną pierwszą, a moja otrzymała numer drugi i wchodziliśmy w stan osobowy pierwszego plutonu, pierwszej kompanii w pierwszym batalionie. Dowódców jeszcze nie poznaliśmy, prawdopodobnie funkcje oficerskie były w tym czasie przedmiotem przetargów. Raport składał plut. Pchor. „Strzała”, a przyjmował Inspektor „Czarny Jan”. Inspektor poinformował nas, że przydziela nam zadanie bojowe, którego wykonanie będzie obserwować.

Z a d a n i e: za Sorok Tatarami w łaźni nad Strugą ukrywają się niemieccy żołnierze – okrążyć, wezwać do poddania, rozbroić lub zniszczyć.



Przygotowanie – szkic obok.

Inspektor doprowadza nas do p-ktu 1, stąd w asyście 2-ch nieznanych mi osób, lornetując przedpole pozostaje. W krzakach widać łaźnię - punkt 2. Druga drużyna okrąża łaźnię i zajmuje pozycję wyjściową – pkt 3. Pierwsza drużyna skrycie za garbem terenu zajmuje stanowisko 4, odcinając Niemcom drogę do lasu.

P r z e b i e g:

Koncert zaczyna druga drużyna - krótka seria z erkaemu i pauza, wezwanie Niemców do poddania się, a ci widać w przewidzianym kierunku na „Strzałę”. Wzywam Niemców do zatrzymania się – nie skutkuje. Biorę na cel plecy przedostatniego z uciekających, pada strzała, Niemiec wali się na ziemię, a przy nim pada ostatni z uciekających i klęcząc podnosi rękę. Zdziwiony, że jestem tak kiepskim strzelcem (celowałem w plecy, a poległy ma rozwaloną głowę) odwracam zabitego i stwierdzam, że ten upadając na trzymane w ręku parabellum, sam sobie głowę rozwalił. Parabellum wsadziłem pod bluzę za pasek, jeńcowi zabrałem lornetkę i karabin maszynowy . Resztę dobytku pozostawili w łaźni wypłoszeni

serią z erkaemu. „Strzała”, gdy pozostała część Niemców osiągnęła wzgórze, podniósł swoich wojaków stopując uciekających. Dwóch oficerów strzeliło sobie w głowę, z tym, że jeden się zabił, a drugi tylko ranił. Ranny i jego towarzysz poszli do niewoli. Jeńców, lornetę, pistolety przekazaliśmy Inspektorowi, lecz parabellum zatrzymałem. Pan Inspektor szybko ustalił brak jednego pistoletu, uwierzył jednak w bajkę, iż widocznie uciekający Niemcy musieli go zgubić. Drażniła mnie oficerska pogoń za pistoletami. Parabellum zamieniłem z Włodkiem na buty, które mi były bardziej potrzebne niż napływającym funkcyjnym.

Strat własnych nie było. Straty nieprzyjaciela: poległ 1 oficer, 1 podoficer, wzięto do niewoli jednego oficera i dwóch podoficerów. Zdobyto 1 LKM z amunicją i lufami zapasowymi, 6 teczek z mundurami, jedną lornetę i 4 pistolety.

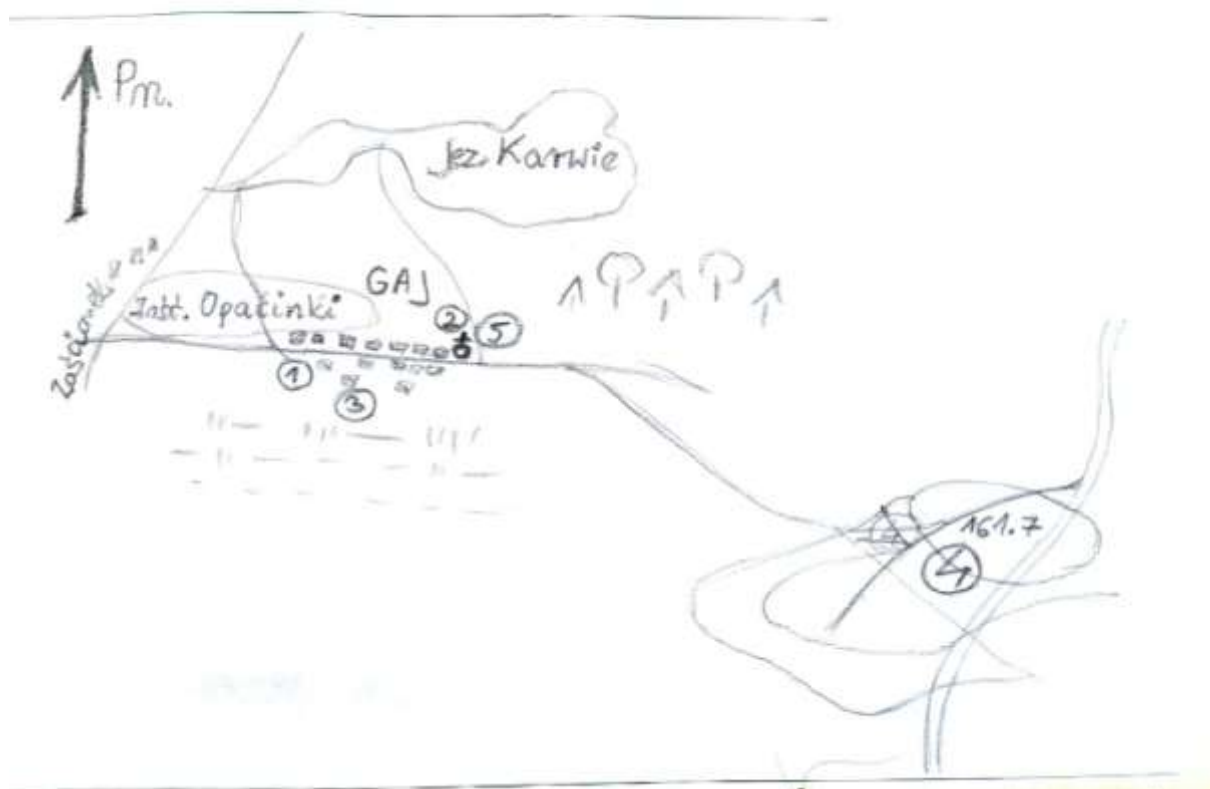
E.Kroll „Konieczny – Karlik”

Czerwiec 1944 r. – pierwsza dekada czerwca.

Miejsce postoju – Gaj.

Wioska typu ulicówka – od wschodu kompleks leśny, od południa jezioro Karwie, a na południu podmokłe łąki, na stronie zachodniej Zaścianek Opacinki.

Szkic sytuacyjny:



LEGENDA:

- ① Miejsce postoju Komendanta.
- ② Miejsce kwaterowania 1 drużyny „Judyckiego”.
- ③

Miejsce kwaterowanie 7 drużyny.

- 4 Miejsce postoju w ubezpieczeniu okrężnym.
- 5 Przekazanie dowództwa oddziału.

Wprowadzenie w temat

Po akcji na pociąg i wyjściu z Puszczy w pierwszej dekadzie czerwca na postoju w Gaju, w godzinach rannych zostałem zaproszony przez „Judyckiego”. Pierwsza drużyna kwaterowała w skrajnym budynku od strony wschodniej. „Judycki” przyjmował mnie jako drużynowy i poinformował, że tworzy się pluton śmierci złożony z ochotników na wszystko gotowych. Nad tym plutonem komendę ma objąć por. „Poraj”, aktualnie w oddziale nie przebywający. Dalej zaproponował mi miejsce w tym plutonie. Swoją akces zgłosiłem z warunkiem, że przejdę z całą drużyną. Z dalszej luźnej dyskusji wynikało, że Komendant „Wilhelm” nie może narażać życia całego oddziału, wydziela więc oddział straceńców i takie tam pieprzenia, że w tej materii są prowadzone rozmowy na szczeblach, w zasadzie co do obsadzenia dowództwa. Chłopcy chcą „Poraję”, a Komendant ma opory, itp. Jako „nietutejszy”, nie bardzo rozumiałem niuanse tej całej dyplomacji. Do partyzantki przyszedłem walczyć, a nie się dekowac. Sam w tym czasie odczuwałem te ciągle marsze, jako unikanie styczności z nieprzyjacielem.

Przebieg zajścia

W godzinach popołudniowych przybiegł do kwater 7-mej drużyny „Judycki” Zdenerwowany, roztrzęsiony relacjonuje, że „Poraj” wrócił i został aresztowany za tworzenie plutonu śmierci, a z nim drużynowy 2-giej drużyny, że on, „Judycki” idzie ich odbić, bo to nie wina „Poraję”, a jego („Judyckiego”). Bo „Poraj” o wybraniu go na dowódcę plutonu śmierci nic nie wie, że on, „Judycki” rozstrzelać niewinnych nie pozwoli. Ja mam dać ochronę zewnątrz kwatery dowództwa, aby nie dopuścić do interwencji z zewnątrz. Jakie tam inne argumenty padały, nie pamiętam. Dość, że rozmowy te były prowadzone głośno na kwaterze przy wszystkich partyzantach, skłonnych do każdej akcji. Zgodę wyraziłem. Zbiórkę pod bronią zarządziłem i w ślad za „Judyckim” pod kwaterę dowództwa pomaszzerowałem. „Judycki” z karabinkiem, który na Holendrach zdobyłem, wszedł pierwszy do kwatery, za

nim erkaemista Michał z r.k.m. czeskim i z mojej drużyny „Wilk” z rewolwerem. Ja w tym czasie rzędem otoczyłem kwaterę. W trakcie otaczania podbiegł szef taborów i zza piwnicy strzelił do mnie z karabinu. Nie trafił mnie, bo jak zawsze był podcięty. Karabin mu zabrałem, a po rozładowaniu oddałem i przegoniłem. W tym czasie usłyszałem, że w pomieszczeniu padł pojedynczy strzał pistoletowy i krótka seria z erkaemu. W tej sytuacji moja młodzież zdrewniała, a i mnie strach obleciał. Od zaplecza, oknem z kwatery ucieka „Judycki”, nadbiega żandarmeria. Strzelają do „Judyckiego”, ale go nie trafiają.

Przejmuję od karabinowego „Kaczki” MG 42, rozdaję pas nośny, zawieszam na karku karabin maszynowy, spod pachy, z biodra kierując, nie strzelając, lufę do zbiegowiska. Po mojej komendzie: „siódma drużyna za mną w marszu zbiórka”, opuszczamy bez przeszkód miejsce postoju sztabu. Jeszcze nie wiemy, co w izbie zaszło, ale w zwykłym odruchu jak się nabroiło, to najlepiej uciekać.

Wychodzę z wioski Gaj prawdopodobnie, aby te sprawy przemyśleć lub dostosować się do sytuacji. Dochodząc do opłotków wioski widzę, że za naszą drużyną wychodzi cały pierwszy pluton, a za pierwszym drugi – każdy z taborami.

Naturalnie, zwyczajowo wyznaczyłem ubezpieczenie. Odeszliśmy może na odległość kilometra, kiedy dogania nas na kasztance Komendanta sanitariusz „Wacek”. Chłopcy z pierwszego plutonu zsiadają go z konia i któryś krzyczy; „Konia Komendantowi!” W tej chwili uświadomiłem sobie, co to jest odpowiedzialność i naturalnie przyjąć jej nie byłem w stanie. Przecież to nie były moje sprawy. Przypomnił mi się Zagłoba ze swoim regimentarstwem, ale gnałem dalej w czasy Imperium Rzymu i ustalamy triumwirat. Wszystko to w marszu, a zasadniczo to nikt z nas nie ma pojęcia, co w tej sytuacji robić. Odpowiedzialność za to, co się stało i co się jeszcze może zdarzyć. Nikt nie chce rozkazów wydawać, nikt nie wydaje, więc decyduję – postój – przyjmując obronę okrężną. Mając pod ręką ochotnego „Wilka” ustalamy stanowiska karabinom maszynowym. „Wilk” przejmuje ubezpieczenie od najważniejszego kierunku, tj. od wsi Gaj.

Po krótkiej naradzie z pozostałymi drużynowymi, wysyłamy na kasztance Komendanta sanitariusza „Wacka” z zadaniem powiadomienia dowództwa, że oczekujemy w tym ubezpieczonym miejscu upoważnionych rozjemców. W międzyczasie „Wilk” zatrzymał plut. pchor. „Szczęsnego”, który miał życzenie rozmawiać z „Koniecznym”.

Zatrzymany został dokooptowany do wysłanych przez komendanta „Wilhelma” rozjemców. Byli to z całą pewnością – adiutant „Żuk”, plut. pchor. „Szczęsny” i zdaje mi się, że por. „Poraj”, który oświadczył, że nie był przez Komendanta aresztowany, a do rokowań pełnomocnictwa nie posiadał.

Ustalono, że oddział wraca na miejsce postoju. Co do winnych, sprawa zostaje uznana za niebyłą. Strony oświadczyły solidarnie, że sprawa wymaga zatuszowania, gdyż nikomu nie przynosi zaszczytu, a raczej kłopoty.

Już było ciemno, kiedy wróciliśmy na miejsce postoju, gdzie na skraju wsi Gaj oczekującemu na nas Komendantowi „Wilhelmowi” złożyłem meldunek o powrocie oddziału. Wiele lat minęło, a jeszcze dziś słyszę z płaczem wypowiedziane słowa „Wilhelma”: „I toście mi zrobili”.

Uwagi!

Ten wstydlivy rozdział historii naszej brygady wynikał z globalnej taktyki kierownictwa, określonej przez lewicowych polityków „staniem z bronią u nogi”. Fakt bezsporny, że takie nastroje w naszej Brygadzie były powszechne i często na postojach krytykowano ciągle marsze i kontrmarsze nużące partyzantów, a unikanie walki traktowano jako nieudolność, a czasami wręcz tchórzostwo dowództwa. Wszak wszyscy pamiętają wrzesień 1939 r.

Na bazie tych nastrojów „Judycki, a może i jeszcze inni chcieli ubić swój mały interes, uczynić zadość wygórowanym ambicjom. Jako przyczynek dodaję później stwierdzone fakty: „Judycki” pełnił obowiązki drużynowego w pierwszej zaszczytnej drużynie w pierwszym plutonie. A kiedy do oddziału przybywali podoficerowie po szkołach podoficerskich (przedwojenni – zupaki), sztab zamieniał drużynowych na zasadzie Murzyn zrobił swoje. To spotkało „Judyckiego” (później Andy’ego, a w przyszłości przejściowo i mnie).

Jak daleko był rozpropagowany pluton śmierci, trudno ustalić i czy „Poraj” z tym miał coś wspólnego, stwierdzić trudno. Pogłoski do mnie dochodziły, że „Judycki” i Leszczyńscy mieli przejść do „Szczerbca” na wyższe funkcje. Przesłankę tę w części potwierdza fakt, że po tych ekscesach „Judycki” uciekał, ale zmuszony sytuacją za to jeden z Leszczyńskich również opuścił oddział i zdaje mi się, że już do naszego oddziału nie wrócił.

Na przebieg ekscesu miał również wpływ precedens, który w siódemce miał miejsce. I tak Siódma Brygada pierwotnie była z imieniem patrona, którego nie pamiętam. „Wilhelm” w tej Brygadzie za czasów „Żuka”, czy krótko potem, przebywał w sprawach organizacyjnych. a kiedy po „Wilhelma” kierownictwo Okręgu przysłało łącznika, to z inicjatywy księdza kapelana zatrzymali „Wilhelma” i po przeprowadzonych pertraktacjach „Wilhelm” otrzymał nominację na dowódcę 7 Brygady, która przeszła do historii jako 7 Brygada „Wilhelma”. Ten precedens prawdopodobnie w swojej kalkulacji pragnął

wykorzystać albo „Judycki”, lub może „Poraj”. To, co wyżej piszę, słyszałem z wielu ust, a musisz wiedzieć, że po rozbrojeniu bywałem i tu, i tam od czerwca do lutego 1945 roku.

W tym nieszczęsnym dniu zginął śp. Por. „Wacław” cieszący się opinią bardzo zdolnego oficera sztabowego. Pod Jego bezpośrednim dowództwem ubezpieczałem raz wymierzanie kary wyciorami, a drugi raz opanowanie pociągu w Czarnym Borze. Był postacią znaną i wielka szkoda, że zginął niepotrzebnie od kuli swoich. To, co teraz relacjonuję, to są informacje uzyskane od plut. Pchor. „Strzały”. „Strzała” po rozbrojeniu uciekał razem ze mną z tym, że On wiał przez wioskę, a ja polami. Wyzaczyliśmy sobie miejsce spotkania w Skorbucianach i tam przebywaliśmy dosyć długo, a jeszcze później, gdzieś do listopada, często u Jego wojennej żony się zatrzymywaliśmy. „Strzała”, a właściwie Władysław Bryl, był wychowankiem małałatki w Koninie, a w roku 1938 – 39 skończył tzw. wojskową maturę. Z por. „Wacławem” znał się z pułku, gdzie razem służyli. W dzień ten nieszczęśliwy „Strzała” miał służbę. Wychodząc na patrol żywnościowy pożyczył po starej znajomości od por. „Wacława” pistolet. W czasie patrolu miał spotkanie z nieprzyjacielem, na którym doszło do wymiany ognia. „Strzała” zwracając pistolet zwrócił go z jednym jedynym nabojem, a por. „Wacław” się nie gniewał, gdyż był pod humorkiem. To mi opowiadał „Strzała”.

Co się działo w izbie, przekazuję jak pamiętam z relacji „Michała” erkaemisty 3 drużyny w czasie, kiedy go żandarmeria zakutego w kajdanach prowadziła. Jako, że rozjemcy mnie przekazali gwarancję o zatuszowaniu sprawy, ubolewałem nad losem „Michała” dużego, a w dalszej kolejności „Michałka” małego, którego żandarmi również prowadzali, choć „Michałek” nie chodził skuty. Byłem za szary, aby swoje niezadowolenie okazać. A kto był w brygadzie, ten pamięta, że z akcjami tłoku nie było, za to rozwałek dużo. Śpiewano w Taboryszkach „w pamięci utkwia najmiłsze chwile” i tak mi przykro pisać o tych sprawach, ale niech się wyleje ten kielich goryczy. O innych rozwałkach nie wspomnę, ale dwie mnie prześladują, gdyż ja tych ludzi brałem do niewoli i tak: litewscy policjanci w pociągu zatrzymanym i pancerniacy, których wziąłem do niewoli w Sorok Tatarach, a sztab za esesmanów ich uznał. Za niedotrzymane słowo dane nie oficerowi mogłem sobie palec gryźć.

Wszedł „Judycki” do izby, za nim z rkm „Michał”. Siedzi por. „Wacław”, por. „Poraj” bez pasa, Komendant „Wilhelm” i Jasińczyk „Michałkiem” zwany – drużynowy drugiej drużyny. „Judycki” prawi o oddaniu broni i swoje pretensje wyłuszcza o uwolnieniu por. „Poraja”. Zrywa się zza stołu por. „Wacław”, wrywa pistolet i wali do „Judyckiego”. Kula trafia „Michała”, a ten waląc się na ziemię pociąga za spust rkm-u. Seria trafia por.

„Wacława”, który ginie na miejscu. „Judycki” po stole skacze w otwarte okno i ucieka przez łąki. Strzelająca za nim żandarmeria go nie trafia. Zemstę wywierają na „Michale”. Rana w płucach po założeniu opatrunku powietrzno – strzelnego nie jest groźna. Zakutego w kajdanach prowadzono go długo na końcu oddziału, aby swoim widokiem nas nie drażnił. W tej sprawie w Taboryszkach był przesłuchiwany „Wilk”, a „Michała” i „Michałka” wywieziono z naszego oddziału. Mnie osobiście nikt nie przesłuchiwał, choć szykan doznałem. Najpierw pod pretekstem organizowania plutonu ckm, zabrano zdobyczny MG 42, a w tychże Taboryszkach zaczęto czepiać się mojej drużyny. A to na przeglądzie broni - broń była źle wyczyszczona, a to przy Komendancie „Kocie w butach” na rozkaz „za pas broń” partyzanci nie wiedzieli, co z karabinem zrobić. Zmuszony, złożyłem rezygnację z drużynowego. Na moje miejsce mianowano plutonowego służby sanitarnej.

WSPOMNIENIA ŻOŁNIERZA AK OKRĘGU WILNO

MEMORIES OF A SOLDIER OF THE HOME ARMY WILNO

Moja działalność konspiracyjna w okresie II-ej Wojny Światowej datuje się od wykopania jesienią 1940 roku (Wilno – okupacja litewska), ukrytych we wrześniu 1939 r. na terenie posiadłości mojej ciotki, śp. Marii Polanowskiej (ul. Słoneczna 7b), wraz z moim bratem ciotecznym A. Polanowskim (mieszka obecnie w Londynie) sześciu karabinów „Stayer” z amunicją plus jedna dubeltówka kaliber 16 oraz trzech hełmów ochronnych i przeniesienie wraz z dowódcą naszej sekcji, śp. Zbigniewem Kuligowskim (zamordowanym przez Gestapo w więzieniu Łukiskim w Wilnie latem 1943 r.) oraz jego bratem Jerzym całego tego arsenału do ich mieszkania przy ul. Bakszta Nr 1.

Wilno – jesień 1941 r. – okupacja niemiecka. Przeiwezenie wraz z Jerzym Kuligowskim konspiracyjnej drukarni z mieszkania państwa Kuligowskich na posesję jednego z byłych pracowników Banku Polskiego w Wilnie przy ulicy Letniej – dzielnica Antokol. Jerzy Kuligowski, pseudonim „Góra”, był żołnierzem Brygady „Łupaszki”, był wywieziony wraz ze mną w lipcu 1955 roku do Kaługi, gdzie symulował chorobę umysłową i został zwolniony z obozu w Rosji zimą 1945 roku. Obecnie, podobno mieszka gdzieś na zachodzie, wraz ze swoim ojcem, mjr. Łączności, byłym jeńcem jednego z Oflagów.

Wilno – od 1942 roku do wiosny 1944 – dzielnica Zarzecze, sekcja AK „Nagana”, śp. Zbigniew Kałużan, były żołnierz I Kompanii Szturmowej „Burego”, III Brygada „Szczerbca” zginął w ataku na pozycje batalionu litewskiego z dywizji gen. Plechaviciusa pod Murowaną Oszmianką w dniu 13 maja 1944 r. Gen. Plechavicius to renegat polskiego pochodzenia, były oficer armii carskiej, pochodzący lub wywodzący się z ogólnie szanowanej na terenie Żmudzi polskiej rodziny Plechowiczów. Oficer armii litewskiej w okresie międzywojennym, został zwolniony ze służby w latach 30-tych z powodu „dyktatorskich” zapędów.

Na terenie parku samochodowego H.K.P. nr 562 znajdowały się wojskowe warsztaty reperacyjne. Wszelkiego rodzaju sprzęt wojskowy z frontu był dostarczany właśnie tutaj do naprawy. Naszym zadaniem było przeprowadzanie sabotażu zapasowych części do pojazdów

mechanicznych w łagier. Moją specjalnością były „pływaki” w gaźnikach oraz przewody elektryczne w pojazdach.

Dwukrotne, częściowo tylko udane akcje z gazem łzawiącym na kino Helios na ulicy Wileńskiej – latem 1943 roku, o mało nie przyplaciłem utratą wzroku. Stało się to przy próbnej detonacji ampułki szklanej z płynnym gazem łzawiącym, zaopatrzonej w nieznanymi mi w działaniu lont Pickforda „śnieżka prochowa”.

Miejscowy okulista dr Markiewicz odmówił mi wydania świadectwa niezdolności do pracy. Leczył zaś mnie prof. Abramowicz ? Żyd (ukrywający się u swojej żony – Aryjki), przy ul. Wielkiej, obok księgarni Zawadzkiego.

Nieusprawiedliwione niestawienie się do pracy w H.K.P. przez okres następnych dwóch tygodni spowodował aresztowanie mnie w lipcu 1943 r. Zostałem wykupiony tuż przed rozpoczęciem śledztwa przez Gestapo.

16 kwietnia 1944 r., po nabyciu ryngrafu z Matką Boską Ostrobramską w sklepie z dewocjonaliami na ulicy Ostrobramskiej, opuściłem Wilno. Było to w dwa dni po złożeniu przyspieszonego egzaminu dojrzałości na tzw. Zorganizowanych Kompletach Tajnego Nauczania w Wilnie, które prowadził były dyrektor gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta, Zeleski (do roku 1952 mieszkał w Bydgoszczy).

W rejonie miasteczka Turgiele dołączyłem do III Zmotoryzowanej Brygady AK „Szczerbca”. Przydziałem moim była 3 kompania, III pluton, druga drużyna – sekcja r.k.m. Trzecia kompania była dowodzona przez „Joego”, ppor. okresu wojny, który zmarł z odniesionych ran w Wilnie. Zimą trzeci pluton prowadził „Bohdan” – Kazimierz Surowiak, mój kolega z gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta, 2-gą drużynę „Nocy” – Czesław Chrysta, również mój kolega z gimnazjum Zygmunta Augusta, sekcję r.k.m „Foki” – Zbigniew Kukiela, kolega z Zarzecza, syn byłego dowódcy artylerii Obrony Wybrzeża (do 1960 r. mieszkał w Poznaniu obok Ogrodu Botanicznego).

Dwa dni przed dołączeniem do „Szczerbca”, Brygada przeprowadziła wypad na letnią rezydencję Gebits-Komisara Wilna-Land w pałacu Tyszkiewiczów w Nowych Trokach (Zatrocze).

13 maja 1944 roku brałem udział w akcji na osaczony w Murowanej Oszmiance batalion pacyfikacyjny z dywizji gen. Plechaviciusa. Udział w wyżej wymienionej akcji wzięły trzy brygady partyzanckie AK: „Szczerbiec”, „Oszmiańska” i „Wilhelma”. Straty „Szczerbca”: 14 zabitych. Wzięto około 500 jeńców oraz sporą ilość broni i amunicji, a także umundurowania. Broń była produkcji francuskiej.

Za wyjątkiem oficerów, jeńcy zostali pozostawieni jedynie w bieliźnie i to z obciętymi guzikami u kałesonów. W takim też stanie zostali oni podprowadzeni przez naszą kawalerią na przedmieście Wilna – rejon Lipówki. W niespełna dwa tygodnie potem wszyscy ci jeńcy litewscy, pozostawieni nadal tylko w samej bieliźnie, zostali wysłani przez Niemców na karne roboty do okręgu Ruhry.

Początek czerwca 1944 r., otoczenie osaczonego na tzw. „rojstach” (bagnach) w pobliżu wsi Wsiliszki, gdzie był cmentarz III Brygady, sowieckiego oddziału partyzanckiego. Nastąpiła całonocna wymiana ognia i parogodzinne „okładanie” bagna ogniem 15 naszych granatników, a pomiędzy pierwszą a trzecią nad ranem, ściągnięcie całej blokady z jedynej drogi wyjściowej z trzęsawisk, w tym naszej sekcji r.k.m., na wyraźny rozkaz „Szczerbca”, co umożliwiło Sowietom wyjście z oblężenia.

W niespełna rok później, podczas nocnych „woprosów” oficerów śledczych, przeprowadzanych w naszym obozie jenieckim w Sierednikach – powyższy fakt wypuszczenia przez „Szczerbca” partyzantów sowieckich z okrażenia był doskonale Sowietom znany i bardzo pozytywnie oceniany.

Pierwsza połowa czerwca 1944 r. - ochrona gen. „Wilka” w ciągu jego pięciodniowej podróży inspekcyjnej oddziałów partyzanckich AK na Wileńszczyźnie. W skład ochrony wchodziły dwa plutony 3-ciej kompanii saperskiej „Joego”, dwie ciężarówki, jeden motocykl z przyczepką i Opel - Olympia. Opel został zabrany powracającemu z Rygi prawosławnemu arcybiskupowi przez drugą kompanię „Brzozy” w akcji pod Święcianami.

Generał „Wilk” powrócił z Rosji do Gdańska na przełomie 1947-48 roku, gdzie mieszkała jego żona (dzielnica Gdańsk Wrzeszcz). Do momentu ponownego aresztowania generała „Wilka” przez UB, opiekowała się generałem jego córka i grono byłych przyjaciół.

Druga połowa czerwca 1944 r. - przyjazd na teren postoju naszej Brygady (około Turgiel) grupy oficerów Wehrmachtu z zamiarem wszczęcia pertraktacji pokojowo-sojuszniczych. O ile sobie przypominam, w zastępstwie „Szczerbca” bezowocnym rozmowom z Niemcami przewodniczył dowódca naszego szwadronu kawalerii hrabia Plater, który zastrzelił się w lipcu 1944 roku po wybiciu „do nogi” jego spieszonego szwadronu w ataku na pociąg pancerny koło Kolonii Wileńskiej.

Druga połowa czerwca 1944 r – wysłanie mnie wraz z grupą piątą na okręgowy kurs minersko-saperski do zaścianka (nie pamiętam nazwy). Kryptonim kursu – „Pod słońcem”, kierownik – por. „Promień”, a jednym z instruktorów był ppor. „Frez” – zrzutek z Anglii. W sumie około 90 kursantów i intensywne szkolenie w dziedzinie sabotażu i minerstwa przy

użyciu najprzeróżniejszych dostępnych materiałów, jak np. niemiecki „Spring” munition nr 88, sowiecki „Łok”, angielski „Plastic” – rodzaj plasteliny, itp.

Przypominam sobie, że biorąc udział w wyżej wymienionym kursie, uczestniczyłem parokrotnie w pogadankach oświatowych organizowanych przez śp. mjr „Kotwicza” (zrzutek z Anglii), przebywającego podówczas na leczeniu w szpitalu polowym na terenie tego samego zaścianka, gdzie odbywało się nasze szkolenie.

Na ile sobie przypominam, śp. major „Kotwicz” żywił wielką antypatię w stosunku do śp. gen. Żeligowskiego, a to z uwagi na „ciągotki” prosowieckie generała, której też major „Kotwicz” dawał częste wyrazy w toku jego pogadanek o ustroju przyszłej powojennej Europy.

Podczas pobytu w Sierednikach w Rosji zimą 1944 – 45, dowiedziałem się od mojej matki w czasie jej pierwszych odwiedzin u mnie, że grupa mjr „Kotwicza” została zlikwidowana przez Sowietów jesienią 1944 roku koło Lidy.

Pierwsza połowa lipca 1944 roku – akcja na Wilno. Przeznaczeniem lub raczej zadaniem mojej drużyny z kursu minerskiego było, aby w razie napotkania oporu w gmachu sądu (przy placu Łukiskim) wysadzić w powietrze narożne bunkry oraz stanowiska ogniowe na wyższych piętrach, używając do tego trójkątnych stojaków z żerdziami z zawieszonymi u góry workami wypełnionymi kostkami Łoku” oraz placków z „Plasticu”.

Cała ta nasza jednostka specjalna została rozbita – rozproszona na szosie Niemiencyńskiej, w odległości niespełna 10 km od Wilna przez kolumnę uciekających w nie dającym się opisać popłochu, desperacko oszalałych esesmanów łotewskich, którzy wyrwali się z jakiegoś sowieckiego okrążenia.

Po zmieceniu nas z szosy przez wiejących na zachód Łotyszy, na rozkaz por. „Filara” wycofaliśmy się z rannymi i paroma zabitymi w rejon majątku Szwajcary, gdzie mieścił się szpital polowy. Tego samego dnia około godziny piątej po południu uczestniczyliśmy wraz z drużyną ochrony szpitala plus łącznicy w uwolnieniu kolumny około 2 tysięcy jeńców włoskich, pędzonych spod Mińska przez małą grupę wermachtowców.

Druga połowa lipca 1944 roku – odszukanie po trzydniowej włóczędze miejsca postoju Brygady „Szczerbca” we wsi Niedźwiedzie, gdzie w parę dni potem nastąpiła reorganizacja Brygady.

Mój przydział: 4-ty batalion piechoty, instruktor – miner. Najprawdopodobniej reorganizacja ta miała miejsce w niedzielę, jako że była poprzedzona mszą polową.

Przypominam sobie, że maszerując tego rana na miejsce zbiórki, ujrzeliśmy w pewnym momencie grupę 5 lub 6-ciu naszych „kanarków” równających ziemię na zboczu

pobliskiego wzgórza. Niespełna godzinę wcześniej został rozstrzelany w tym miejscu przez pluton żandarmerii oficer oświatowy naszej Brygady, por. „Kurant” wraz z żoną. Wyrok wykonano na podstawie znalezionych dokumentów w Wilnie stwierdzających jego współpracę z Abwehrą.

17 lipca 1944 roku powracając z dwudniowego urlopu na punkt zborny przy placu Katedralnym w Wilnie, zostałem aresztowany i rozbrojony przez patrol sowiecki w Cieleńniku od strony ulicy Arsenalskiej i przewieziony do więzienia znajdującego się w gmachu byłego gimnazjum mechanicznego przy ulicy Kopanica.

Po dwóch dniach zwrócono mi, odebrany podczas aresztowania, złoty ręczny zegarek marki Tissot. Tego samego dnia przemaszerowaliśmy w okolicę radiostacji na Lipówce, skąd zabrała nas sowiecka kolumna samochodowa do obozu w Miednikach (ruiny dawnego pałacu królowej Bony). Po parodniowej, bezowocnej zresztą agitacji za wstąpieniem do Armii Berlinga, prowadzonej przez pułkownika Sorokę „pa polski czut’, czut’ gawarił” i jakiegoś kapitana, kaprala-kierowcę - również z Armii Berlinga (były pracownik Głosu Wileńskiego /?/), wczesnym rankiem 22 lub 25 lipca 1944 roku wyprowadzono nas wszystkich z Miednik. Długą, na kilometr ciągnącą się kolumnę około czterech tysięcy partyzantów konwojowało wojsko NKWD (niebieskie otoku na czapkach) do najbliższej, leżącej w szczerym polu, linii kolejowej. Tam załadowano nas do oczekującego już pociągu – po pięćdziesięciu do każdego bydłowego wagonu - i odjazd do Rosji.

Zapomniałem poprzednio nadmienić, że podczas całego naszego pobytu w Miednikach, przy głównej bramie stało pięć ciężarówek sowieckich załadowanych powyżej burt odebraną nam bronią, a którą mieliśmy otrzymać natychmiast z powrotem po wyrażeniu chęci wstąpienia do Armii Berlinga.

Jeszcze jedno. Doskonale zorganizowana przez moją matkę i panią Ossowską (ze Starej Wilejki) moja i około dwudziestu moich kolegów ucieczka z Miednik, przy współdziałaniu mieszkającego w naszym domu oficera sowieckiego – dowódcy kolumny samochodowej, nigdy nie została zrealizowana. A to z powodu całkowicie bezpodstawnej informacji naszej łączniczki od „Szczerbca” (pseudonim „Sabina”) o przyjeździe do Wilna amerykańsko-angielskiej misji wojskowej i to specjalnie w celu uwolnienia nas z obozu w Miednikach.

27 lub 28 lipca odjazd, a 4 sierpnia 1944 roku około północy – przyjazd do Kaługi. Po drodze „polskije faszisty i bandity” , a w Kałudze na dworcu orkiestra wojskowa i mowy powitalne. Nazajutrz, około południa, zbiórka za miastem na terenie strzelnicy i oświadczenie pułkownika (gwardii ppłk) Jermołowa o wcieleniu nas do Armii Czerwonej jako 361

zapasowego pułku piechoty. Płk Jermołow był dowódcą jednego z tzw. pułków gwardyjskich – karnie odesłany na tyły, niezwykle jak na Sowieców szczerzy i uczciwy człowiek.

Sierpień, wrzesień i część października 1944 roku – odebranie wszystkich posiadanych przez nas dokumentów, przemundurowanie i intensywne szkolenie. Mój przydział: 2-ga kompania ciężkich karabinów maszynowych.

Druga połowa października 1944 roku – zbiorowa odmowa złożenia przysięgi zaczynającej się od słów; „ja, grażdanin Sawietskowo Sajuza...” (ja, obywatel Związku Radzieckiego...).

Koniec października 1944 roku – przemundurowanie w stare łachy sowieckie, załadowanie nocą do wagonów i wyładowanie po dwóch dniach jazdy, dnia 1 listopada w głębi lasu, w okolicy tartaku Sieredniki na południe – północy od Moskwy 100 km (Sierednikowo faktycznie leży około 130 km na południowy wschód od Moskwy – przyp. Innego uczestnika pobytu w Sierednikach).

Okolo jednej czwartej naszego stanu osobowego pozostawiono w Kałudze, zatrudniając przy odbudowie koszar i pracy w kopalni węgla koło Tuły. Wiosną 1945 roku dołączono tę grupę do nas do pracy w lesie.

Na zawsze zapewne pozostanie w mojej pamięci pewien szczegół z momentu wyładowania się z wagonów koło tartaku w Sierednikach. Otóż ujrzelismy, większość z nas zapewne po raz pierwszy w życiu, stojącego na skraju lasu pięknego łosia wypuszczającego smugi pary z chrapów. Było to doskonale widoczne w czasie tego wczesnego i mroźnego już poranka.

Od listopada 1944 roku do 20 grudnia 1945 roku – mój adres: Moskowskaja obłast, Korbowski rajon, siel-sowiet Sieredniki, polewaja poczta nr 36990 II.

Okres pierwszych dwóch tygodni – oczyszczanie terenu oraz kopanie dołów i budowa ziemianek. Zachowując podział z Kaługi na bataliony, kompanie, plutony i drużyny – rozpoczęcie pracy przy wyrębie lasów.

Początkowa dzienna norma dla dwóch osób wynosiła cztery metry sześciennie (6-16 mp – metrów przestrzennych), podniesiona została już w maju 1945 roku do 12 m³. Nocą odbywało się ładowanie ściętego w ciągu dnia drzewa do wagonów i na lory.

Wyżywienie dzienne: 450 – 650 gramów chleba (podniesiona do 700 gramów w lecie 1945 roku) oraz trzy razy dziennie po misce zupy z tym, że w południe otrzymywaliśmy dodatkowo parę łyżek kaszy. Oprócz tego raz w tygodniu, w sobotę dostawaliśmy jednego śledzia, od 2 do 4 łyżek cukru i trochę tytoniu, a także uświadomienie polityczne.

Praca ponad siły, fatalne warunki bytowania oraz liczne aresztowania za udział w walce z partyzantką sowiecką na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie, wszystko to w dość szybkim czasie przerzedziło nasze szeregi.

Maj 1945 rok – pierwsza wizyta mojej matki i pierwsze paczki żywnościowe.

Październik 1945 rok – druga z kolei wizyta mojej matki. W drodze do Wilna matka moja uzyskała audiencję u prof. Henryka Raabe, ówczesnego ambasadora reżimowego w Moskwie, niezwykle uczynnego i szczerego Polaka. W przeprowadzonej rozmowie, przy głośnym nastawionym przez ambasadora radiu, matka moja zapoznała go z naszą historią, naszym obecnym położeniem i sytuacją. Prof. Raabe nic absolutnie nie wiedział o istnieniu naszego obozu i został głęboko wstrząśnięty naszym losem.

Jeszcze przed wyjazdem mojej matki z Moskwy, gdzie przez okres paru dni była gościem ambasadora, na własne ryzyko, wobec całkowitej odmowy interweniowania w naszej sprawie reżimowców w Warszawie, uzyskał on audiencję u Mołotowa w naszej sprawie.

W niespełna dwa tygodnie po ostatniej wizycie mojej matki zjawił się w naszym obozie mjr Kwiatkowski, członek Komitetu tzw. Patriotów Polskich w Moskwie. O istnieniu naszego obozu w Sierednikach dowiedział się on od ambasadora i zawitał u nas w poszukiwaniu swojego syna Zdzisława (były kierowca z naszej Brygady). Odnalazł go w naszym batalionie na stanowisku tzw. „piło-tocza”, czyli ostrzającego piły.

Major Kwiatkowski przekazał nam wszystkim serdeczne pozdrowienia od ambasadora H. Raabe wraz z jego gorącą prośbą o powstrzymanie się od kontynuowania dalszych ucieczek (zaledwie jakieś 50 procent udanych) i zapewnieniem, że do końca 1945 roku zostaniemy odesłani do Polski.

Obietnica została dotrzymana. W dniu 20 grudnia 1945 roku wyprowadzono nas z obozu w stronę Sieredników, gdzie oczekiwały na nas tym razem dwa pociągi osobowe („Ja jechałem pociągiem towarowym, gdzie w środku wagonu była zainstalowana „ciepłuszka” – piecyk opalany drzewem” – wspomnienie innego uczestnika powrotu do Polski). W niespełna też dobę wylądowaliśmy na boczniczy kolejowej pod Moskwą (Łopuchowo?). Byliśmy tam 25 lub 26 grudnia.

Z okresem naszego postoju w Moskwie wiąże się szczególne wspomnienie. Otóż, bodajże w drugim dniu naszego pobytu, zjawiła się na naszej boczniczy kolejowej Wanda Wasilewska. Była ubrana szaro i skromnie, w niczym się nie odróżniająca od reszty obywateli sowieckich. Nie mówiąc kim jest i nie rozpoznana przez nikogo, obchodziła w towarzystwie swojego szofera nasze wagony, wypytyując nas o najrozmaitsze detale z naszej historii. Podczas odwiedzin w wagonach 2-go batalionu Wanda Wasilewska została aresztowana za

„spijonez” i sianie jakiejś propagandy. Aresztował ją zastępca pułkownika Jermołowa, major do spraw politycznego wychowania – Wasylenko. Przysłowiowe też „pęknięcie bomby” nastąpiło w niedługim czasie po aresztowaniu, gdy W. Wasilewska okazała dokument stwierdzający, że jest członkiem Wierchownowo Sowieta SSSR (ZSRR) i przewodniczącą Związku Patriotów Polskich. Przepraszam i kajaniom się majora Wasylenki nie było końca.

Od tego też dnia datowała się nasza całkowita swoboda w poruszaniu się po Moskwie i zaprzestanie oddawania honorów wojskowych naszym „patronom”.

Nowy rok 1946 przywitaliśmy w barakach sowieckiej dywizji pancernej na przedmieściu Kirowogradu (lub Kirowa), gdzie znajduje się fabryka materiałów fotograficznych. Po przemundurowaniu nas w nowe angielskie płaszcze wojskowe i amerykańskie buty, w dniu 7 stycznia zapakowano nas z powrotem do osobowych wagonów. Po niespełna dwóch dniach „zieloną trasą”, co oznacza pierwszeństwo na liniach kolejowych transportu o znaczeniu strategicznym, stanęliśmy w Brześciu Litewskim.

Nową granicę polsko-sowiecką przejechaliśmy dnia 11 stycznia 1946 roku około północy. Oddrutowanie naszych wagonów przez kolejarzy i żołnierzy z ochrony stacji nastąpiło po północy dnia 12 stycznia na stacji Biała Podlaska.

Rozlokowaliśmy się, a raczej zostaliśmy rozchwytni na kwatery przez niezwykle uczynnych i serdecznych mieszkańców Białej Podlaskiej i okolicznych wiosek, jeszcze tej samej nocy.

Nazajutrz rozpoczęła się nasza weryfikacja w miejscowym Urzędzie Bezpieki, a więc fotografie, tasiemcowe formularze, dowody weryfikacyjne (numer mojego dowodu: 1954 lub 1964) plus paczka z UNRA na zakończenie tych całych ceregieli.

W Warszawie „wyglądowaleni” w dniu 17 stycznia, a więc w pierwszą rocznicę tak zwanego wyzwolenia stolicy, wśród ruin, zgliszczy, z woli „Wielkiego” Stalina.

Matkę moją odnalazłem w Gdańsku, dokąd przyjechała ona jednym z transportów repatriacyjnych z Wilna na parę dni przed naszym powrotem.

Okres pierwszych paru miesięcy, pełnej osobistej wolności spędziłem na włączegostwie po kraju.

Z nastaniem lata 1946 roku rozpoczęły się dość liczne aresztowania byłych żołnierzy Armii Krajowej (akcja „Burego” w okolicach Tczewa i Malborka). Za poradą matki wyjechałem do znajomych w Jeleniej Górze, gdzie w krótkim czasie uzyskałem pracę zastępcy kierownika Ośrodka Wczasów pracowników przemysłu odzieżowego w Matejkowicach.

Na początku sierpnia 1946 r. zjawił się u mnie mój kolega Zdzisław Kazimierczak, który podczas jednej z akcji Brygady „Burego” został postrzelony w ramię. W drodze powrotnej z Matejkowic do Gdańska, na dworcu w Łodzi, Kazimierczak został rozpoznany. Do dziś przebywa on w jednym w więzień na Dolnym Śląsku.

W początkach września 1946 roku miejscowe UB (Wrocław i Jelenia Góra) wszczęło dochodzenie odnośnie mego przełożonego Jerzego Górczyńskiego, syna byłego dyrektora Banku Polskiego w Warszawie. Górczyński był żołnierzem AK i brał udział w Powstaniu Warszawskim. On, jego brat i Kopecki z Warszawy prowadzili akcję przerzutu „spalonych” przez Czechosłowację do Austrii. Donosu w tej sprawie dokonała kierowniczka Domu Wczasowego „Olimpia” w Matejkowicach.

Będąc w porę ostrzeżonym przez jednego z pracowników Ośrodka o tym, co się święci, zlikwidowałem w ciągu paru godzin wszystkie swoje sprawy w Matejkowicach i pierwszym pociągiem „zwiąłem” do Gdańska. Niestety nie dane mi było zabawić tam dłużej. Nastąpiły masowe wyłapywania byłych „kaługowców” po wsypie komendanta wojskowego szpitala w Sopocie, porucznika Chrysty. Przed wojną był on chorążym w Wojsku Polskim. Jego dwóch synów znałem z okresu pobytu w AK, gdzie Czesław Chrysta był dowódcą 2-giej drużyny „Nocy”, do której należałem, a drugi syn był znany pod pseudonimem „Mamut”.

To wszystko spowodowało, że nie będąc zdecydowanym na ucieczkę na Zachód, przyjąłem propozycję znanych nam jeszcze sprzed wojny szczerych i ideowych komunistów. Za ich „poręką” i gwarancją wstąpiłem do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Dowódcą Szkoły w tym czasie był pułkownik Madejski z Anglii.

Tu przesiedziałem i to możliwie spokojnie w eskadrze szkolnej od jesieni 1946 roku do listopada 1948 roku. Na własną prośbę i przy znacznej „pomocy” kapitana politycznego wychowania – Paliwody opuściłem Dęblin z opinią: „... władza ludowa nie będzie tolerowała dłużej zaplutek karłów reakcji i to tym bardziej w perle Ludowego Wojska, jaką jest nasz Odrodzona Oficerska Szkoła Lotnicza”.

Tak więc jesienią 1948 roku wylądowałem z powrotem u matki w okolicy Gdańska. Okres następnych lat do 1956 roku obfitował w dalszym ciągu w nie lada historie. Trzeba było używać szeregu „tricków”, aby przetrwać cało z piętnem „zaplutego karła reakcji”.

Przeoczonym przeze mnie faktem był wyjazd naszych lekarzy w marcu 1945 roku do Moskwy po lekarstwa dla naszych izb chorych i ambulansów. Zmyliwszy czujność „karaulów”, kilku lekarzy z tej grupy dotarło do Ambasady Brytyjskiej. Anglicy spokojnie i łaskawie wysłuchali tego, co im lekarze opowiedzieli o naszym lesie. Ze słowami „we are

very sorry” wypchnęli oni lekarzy za drzwi i teren ambasady, prosto w łapy oczekujących NKWD.

W „nagrodę” za powyższe trzech lekarzy odesłano do ścinania drzewa. Do końca też naszego pobytu pozbawieni byliśmy podstawowych leków za wyjątkiem jodyny, chininy i „margańcówki” – maści na świerzb, będącej mieszaniną dziegciu i siarki.

Do innego rodzaju wspomnień z pobytu w Rosji zaliczyć należy fakt, że nasza obecna sława śpiewacza – Bernard Ładysz, bas – baryton rozpoczął swoją karierę śpiewacza w naszym obozie w Sierednikach, jako tzw. „zapiewajła” trzeciego batalionu.

Słynny zaś obecnie w kraju dyrygent i kompozytor Henryk Czyż, również w Sierednikach zapoczątkował swoją karierę jako dyrygent naszej orkiestry, w skład której wchodziły dwie harmonie, jedna gitara i skrzypce.

R. E. Urbański

Pisane w pośpiechu i przy różnych okazjach dla siebie i „potomnych” w C.I.P. Nature Centre w okresie od 7 do 10 listopada 1967 roku.



Od lewej: Marchoń, Strzała, Ewald (Karlik), Dzierżyński „Kot w butach” (bratanek Feliksa)

